

BEREK

Klaudia Morawa

Jeżeli chcesz skopiować fragment, proszę podpisz autora.

Kilka słów...

Poniższy tekst leżał w „szufladzie” ponad rok czasu. Dokładnie w dniu dzisiejszym (20.03.2021), jedna z wyjątkowych osób w moim życiu, pokazała czym jest determinacja oraz konsekwencja w dążeniu do celu. Zmotywowała mnie w sposób pośredni do pokazania tekstu. Mimo, iż rok temu dowiedziałam się, żeby go nie upubliczniać ze względu na brak redakcji oraz korekty. Rzekomo wpłynie to negatywnie na mój wizerunek jako autora.

Cztery osoby przeczytały książkę lub jej fragment. Dwie stwierdziły, że jest „do bani” dwie, że powinien to być bestseller po wprowadzeniu niewielkich zmian. Zmian nigdy nie wprowadziłam, bo straciłam motywację w kwestii pisania i od ubiegłego roku nie otworzyłam pliku wiedząc, że jest trochę słabych momentów (jeden wątek do usunięcia).

Upublicznię książkę, ponieważ nigdy mi nie zależało na moim wizerunku. Jestem sobą, a pierwsza książka powstała dla innych, ponieważ taki jest mój cel.

Nie chcę trzymać Berka w ukryciu.

Książka została wysłana do prawie czterdziestu polskich wydawnictw, dwa się zgodziły na publikację książki, jako publikacji subsydiowanej, czyli musiałabym pokryć znaczną część kosztów. Redakcja i korekta byłyby niskiej jakości, a działania marketingowe prawie żadne. Otrzymałabym prowizję wynoszącą ok. 30 % ceny okładkowej netto oraz straciłabym autorskie prawa majątkowe. Preferuję upublicznic bezpłatnie w wersji niedoskonałej.

Książka jest przed korektą oraz redakcją i w takiej formie pozostanie do momentu wydania wersji papierowej. O ile, nadejdzie kiedyś taka chwila. Zatem w książce są błędy ortograficzne, interpunkcyjne, pomyłony podmiot z orzeczeniem, powtórzenia oraz inne niuanse.

Berek jest książką bardzo specyficzną, trzeba „przebrnąć” przez długi i dziwny początek. Sens tej książki jest dopiero po przeczytaniu całości, lecz niewiele osób dotrwa do końca, ze względu na specyfikę w wielu aspektach.

W odróżnieniu od poprzedniej książki, w tej praktycznie nie ma dialogów. Jest dużo emocji oraz opisów, które momentami mogą być trudne do przebrnięcia.

Jest inna niż wszystkie i napisana z myślą o kobietach, które doświadczają przemocy.

W książce jest opisana historia Joanny, która żyje w świecie przemocy oraz życiowej traumy. W świecie w którym nie dostrzega się poważnych problemów i nie reaguje się na krzywdę innych.

Žannie...

PROLOG

Czuję przeszywający chłód, który biegnie wzdłuż pleców. Prostuję się. Wystające łopatki stykają się z zimną ścianą, a ociężała głowa, którą lekko opieram o ścianę – czuje jeszcze większy dopływ zimna. Biorę kilka głębszych wdechów. Liczę w myślach do dziesięciu po czym spoglądam przed siebie. Jest pełnia i chyba zaczynam wariować. Mam wrażenie, że księżyc obserwuje mnie. Kontroluje każdy ruch ciała. Ściskam mocniej ołówek. Obracam go kilka razy między palcami, na których są bolące odciski. Denerwuję się coraz bardziej. Widzę jak klatka piersiowa unosi się w rytmie szybkiego bicia serca. Spoglądam przez niewielkie okno, dostrzegam tylko jego – piękny i jasny okrąg, z którego bije spokój, a który przeradza się w przerażenie. Kieruję gwałtownie oczy na kartkę papieru i zamykam, wracając do przeszłości.

GIMNAZJUM

Śmierdzący szkolny korytarz. Hałas rozsadzający bębenki i tłum gorszy niż na wtorkowym targu. W tle nie słysząc krzykaczek, które chcą kupić kurę w dobrej cenie, ale pisk i wrzask młodzieży gimnazjalnej. Przezywają się od pedałów, czy kurw. Wyzywają od debili oraz kujonów. A dyżurujący nauczyciele udają, że nie słyszą niecenzuralnych słów. Stoją na rzekomej straży, aby nikomu nie stała się krzywda podczas przerwy. Zaczepiają tylko tych, co szybko biegają, grożąc obniżeniem oceny z zachowania. To zaledwie dziesięć minut, które w większości daje upust nagromadzonej energii czy złości. Ale dla mnie to wieczność. Wieczność, która jest szarą codziennością.

Jak zawsze, siedzę z podkulonymi nogami na parapecie, a moje ręce mocno obejmują nogi. Palce nerwowo skubią nitki w dziurawych spodniach a broda spoczywa na moich kolanach. Zawieszam wzrok na brudnej szybie, a w zasadzie na boisku szkolnym.

Młodsze dzieciaki biegają po krzywych płytkach, udając, że bawią się w berka. A starszaki mizdrzą się pod drzewami, mając nadzieję, że ich nikt nie widzi. Czulości nie widać końca. U niektórych zakochanych par usta nie odrywają się od siebie przez dziesięć minut. Czasami widok ich przyprawia o mdłości. Są tak pochłonięci swoją miłością oraz towarzystwem, że dźwięk dzwonka dla nich nie istnieje. Liczą się tylko oni. Całusy, przytulania i szepty na ucho. Świat w zasadzie zamyka się na drugiej osobie. Tylko na jak długo?

Następuje gong, i wszechogarniające niezadowolenie bo trzeba wrócić do klasy na kolejne czterdzieści pięć minut lekcji. Bycia posłusznym, odpowiadania na pytania, i słuchania – nie zawsze ciekawych informacji.

Zwlekam swoje ociężałe nogi jednocześnie wyglądając przez okno. Pod drzewem została tylko jedna para i każdy dostrzeże, że jest to Zośka. Jej bujne rude włosy można zauważyć z kilku kilometrów. Próbuje się uwolnić z uścisku Szymka, lecz ten mocno przyciska ją do klatki piersiowej. Na jej twarzy widać dziecięcy, beztroski uśmiech. Widać, że jest w miejscu którego nie chce opuszczać.

Korytarz powoli pustoszeje. Zostali na nim uczniowie z mojej klasy a na zewnątrz biegnąca Zośka i za nią Szymek. Jego długie blond włosy powodują, że z dala można go pomylić i pomyśleć, że jest dziewczyną. Zresztą, sam opowiadał, że czasami dochodziło do takich komicznych sytuacji. Każda dziewczyna zachwyca się jego włosy, dopytując jakich środków do pielęgnacji używa, na co reaguje złością.

Michalczewska pojawiła się na horyzoncie obscurnego korytarza, więc za jednym susem znalazłam się w klasie. A za mną pozostali wchodzili w ogromnym niezadowoleniu.

Zajęłam ulubione miejsce. W pierwszym rzędzie, tuż przed biurkiem nauczyciela. Tym razem wiedziałam, że czeka mnie ciężka przeprawa, bo lekcja języka polskiego należy do wyjątkowych. A wyjątkowością jest tor lotu śliny, która potrafi obrać zaskakujący kierunek.

Drzwi mocno trzasnęły, podłoga zaskrzypiała.

– Wszyscy są? – spytała zachrypniętym głosem.

– A jak pani myśli? – rzekł Michał, który słynął ze specyficznego poczucia humoru.

– Rozumiem, że zgłosiłeś się na ochotnika do odpowiedzi.

Wszyscy buchnęli śmiechem. A na twarzy szatyna pojawił się grymas.

– Ale jaaa...

– Tak wiem, że już chcesz błysnąć swoją wiedzą lecz poczekaj jak sprawdzę listę obecności.

Złapałam głęboki wdech. Zatrzymałam powietrze, lekko przesunęłam się krzesłem do tyłu, patrząc jak moja ławka przysuwa się do moje klatki piersiowej. Grubasek – bo taki miała pseudonim Michalczewska musiała zawsze zrobić przemeblowanie. Jej brzuch nie mieścił się pomiędzy starym krzesłem, które opierało się o ścianę, a rozlatującym się biurkiem.

Usiadła z trudem, podwijając swoją kwiecistą, długą do ziemi spódnicę.

Zmierzyła mnie oczami.

– Mam coś na twarzy, że się tak patrzysz?

Wbiłam wzrok w niebieskie oczy i liczyłam sekundy do mrugnięcia. W klasie cisza. Słysząc było ciężki oddech polonistki. Doliczyłam do dwudziestu siedmiu i zobaczyłam szybki ruch powiekami. Tym razem lepiej jej poszło. Poprawiła się o dwie sekundy.

Minęło kilkanaście innych, kiedy usłyszałam swoje nazwisko.

– Borek.

– Jestem – odrzekłam.

– Bednarz.

– Nie ma mnie – usłyszałam zza głowy.

– Jesteś drugi w kolejności do odpowiedzi.

– Bednarz – ty głupku! – poleciało z końca sali.

Rzuciła swoimi okularami na biurko. Wyteżyła podkrążone oczy.

– Kto to powiedział?

Zapanowała ponownie cisza. Każdy wymieniał wzrok ze sąsiadem, lekko uśmiechając się. Tylko Grzesiek siedział dumny jak paw. Widząc minę Grubaski, dusił w sobie śmiech, próbując powstrzymać się od jeszcze większych kłopotów. Ale nie trwało to długo. Jego twarz drgała coraz bardziej. I bardziej. Aż w końcu parsknął śmiechem. A klasa zaczęła mu wtórować.

– Co ciebie tak bawi?

–Ja... ja... ja...

– Jajko! – dopowiedział jego rudy sąsiad.

Grzesiek nie mógł wydusić z siebie ani jednego pełnego wyrazu. Po wybrykach kolegi, śmiech ogarnął go jeszcze bardziej. Nie chcąc robić większego błazna z siebie, położył głowę na ławce i próbował zasłonić się swoimi rękami. Łkał ze śmiechu. A jego ciało poruszało się w takt kolejnych parsknięć.

Michalczewska oparła się pulchnymi dłońmi o krawędź biurka. Delikatnie odsunęłam się do tyłu, bo wiedziałam, że ciężar jej ciała spowoduje mimowolne przesunięcie biurka. I po kilku sekundach, trudu jakiego włożyła na spionizowanie ciała – podłoga zgrzytnęła, a ja czułam się jak uwięziona we własnym ciele. Cel osiągnęła i swoim kaczkowatym chodem zrobiła kilka kroków. Nawet nie podjęła próby przeciśnięcia się pomiędzy ławkami. Stała na środku klasy. Spojrzała na Grzegorza, który było nieco poważniejszy.

– Do pedagoga.
– Muszę? – spytał z pełnym niezadowoleniem.
– Czy ja zadałam pytanie?!

Kropłe śliny z jej ust powędrowały, aż w kierunku drugiego rzędu. Karolina, która siedziała tuż przed Grubaską, od razu sięgnęła po paczkę chusteczek higienicznych. Szybko przetarła twarz, po to, aby ponownie zrobić to, ale z większą dokładnością. Obce DNA na twarzy nie jest mile widziane jako środek do pielęgnacji skóry.

Grzesiek opuścił swoje miejsce. Skierował się wolno w kierunku drewnianych drzwi.

– Co się mówi?

Udał, że nie usłyszał. Ominął nauczycielkę.

– Grzegorz! Pytam co się mówi?

Zastygnął. Lekko obracając głowę w prawą stronę. Jego łobuzerski uśmiech sugerował ripostę.

– Do widzenia! – i wyszedł.

Spoglądnęła na każdego z nas. Po czym wróciła do biurka.

– Co ostatnio przerabialiśmy?

Słysząc szelest, wertowanie kartek lecz nikt nie chciał odpowiedzieć. Każda sekunda gry na zwłokę była idealną sekundą. Spojrzała na mój zielony zeszyt i bez pytania wyciągnęła w jego kierunku rękę – przesuwając go na swoje biurko.

Założyła wzorzyste okulary i zaczęła przekładać kartki w poszukiwaniu ostatniej zapisanej. Robiąc przy tym dziwne miny. I potakując.

Po chwili zeszyt wrócił na moje biurko.

– Michał zapraszam na środek.

– Ale ja już nie będę.

– Odpowiadasz czy mam wpisać niedostateczny?

Skrzywił usta.

– Zaproszenie potrzebujesz?

– Koniecznie z osobą towarzyszącą – dodał.

Lekko podniósł się, chcąc się udać w kierunku tablicy.

– Nie fatyguj się. Niedostateczny.

Przy nazwisku Michała kropka zaczynała nabierać kształtu jedynek. I kiedy osiągnęła zamierzony efekt, Michał stał na baczność tuż obok. Michalczewska podniosła lekko wzrok ku górze, patrząc na błagalną twarz chłopaka.

– Co to jest neogotyck?

Wytrzeszczył oczy.

– Byłeś na poprzedniej lekcji?

– Byłem.

– Skończą tę błazenadę!

– Tak byłem, proszę pani.

– To powinienes wiedzieć. Słucham?

Oparła się o niewygodne oparcie i nie odrywała wzroku od szatyna. Jego oczy natomiast wędrowały po całej klasie, próbując dostrzec odpowiedzi w cudzych notatkach. Szybko przewertowałam kilka kartek w poszukiwaniu zielonego koloru odpowiedniej definicji. Zajęło mi kilkanaście sekund zanim w gąszczu definicji znalazłam tą poprawną. Lekko przesunęłam zeszyt, tak, aby mógł dostrzec duże, i estetyczne litery. Zrobił krok w stronę mojej ławki i lekko wyciągnął głowę.

– Neogotyck jest to...

Poczułam ruch powietrza i ujrzałam dłoń nauczycielki na moim zeszycie.

– Chcesz dostać niedostateczny za pomoc?

Sięgnęłam w kierunku moich notatek i subtelnie zaczęłam ciągnąć, komunikując, że propozycja jest dla mnie nieodpowiednia.

– To jak Michale?

– Poproszę koło ratunkowe.

Kilka męskich głosów parsknęło. A w zeszycie Michała pojawiła się wielka, czerwona adnotacja.

Spojrzała na duży okrągły zegar, który wisiał tuż nad tablicą.

– Czas wrócić do bieżącego materiału.

Rozległ się dźwięk otwieranych piórników oraz koleżeńskich szeptów.

Wyciągnęłam długopis Parkera, który towarzyszył mi od przeszło roku i zaczęłam wszystko skrupulatnie notować. A ważniejsze informacje podkreślać kolorem zielonym.

Grubaska przechadzała się z jednego końca klasy na drugi, mówiąc o epoce romantyzmu. Pomiedzy kolejnymi słowami, było słyhać drewnianą podłogę, która skrzypiała pod ciężarem nauczycielki. Okresowo dźwięk był zagłuszany przez pstrykające długopisy. Była to ostatnia lekcja, więc każdy z niecierpliwości spoglądał na zegarek mając nadzieję, że wskazówka zacznie się szybciej przemieszczać. Ale zamiast tego – upływała wieczność. A promienie słoneczne, które wdzierały się do klasy, powodowały, że nieprzyjemny zapach ludzkiego potu był coraz mocniejszy.

Wygięłam się nad ławką, aby dosięgnąć starej klamki od okna i poczułam lekkie ukłucie na moich plecach. Rozglądnęłam się dookoła i na podłodze dostrzegłam gumkę owiniętą świstkiem białego papieru.

Odwinęłam delikatnie i ujrzałam napis: „Głupia! Głupia! Głupia niemowa!”. Obróciłam się do tyłu, aby sprawdzić, kto mi posłał liścik, ale chłopacy udawali, że słuchają kolejnej definicji cechującej romantyzm. Miałam wrażenie, że nagle nikt nie patrzy w moją stronę. A jednocześnie czułam wzrok innych na swoich plecach. Spontanicznie obracałam się do tyłu, próbując rozszyfrować twarz, która posłała złośliwą wiadomość – bezskutecznie. Jakby nagle wszystkie stały się posągami, wpatrzonymi w nauczycielkę.

Kontynuowałam notowanie, kiedy rozległ się gong lecz krzyki radości, zagłuszyły ostatnie zdanie definicji.

– Na zadanie domowe...

– Lekcja się skończyła. Dowidzenia pani – rzekł rudzielec i ostentacyjnie wyszedł z klasy.

Nikt nie zwracał uwagi na polonistkę, która próbowała przekrzyczeć uczniów.

Wszyscy w pośpiechu opuszczali klasę. Zostałam, próbując domknąć okno oraz Grubaska pakująca swoje kolorowe długopisy do skórzanego, starego piórnika.

– Daj pomogę tobie.

Poczułam jak jej ciepła ręka delikatnie dotyka mojej, nieco chłodniejszej. Wzdrygnęłam się, i szybko cofnęłam udając, że muszę szybko spakować szkolne przybory do wysłużonego już plecaka.

– Wszystko w porządku Asiu?

Zamknęłam zamek błyskawiczny i opuściłam pomieszczenie bez słowa.

Szłam wolno, opustoszałym korytarzem, którego ściany straszyły rysunkami. Każda jedna linia. Każdy kolor. Każdy obrazek, był namalowany przez obecnych uczniów lub absolwentów. Na przerwach pod nieuwagę nauczycieli przybywało kolorów oraz kresek. Niektóre układały się w piękne ilustracje, a w niektórych miejscach były wyznania miłości lub niecenzuralne słowa.

Pobazgrane ściany były częścią szkoły i naszego społeczeństwa. Wyglądały paskudnie, ale każdy centymetr miał swoją własną historię. Był częścią jednego z nas. Był ważny, albo mniej ważny. Był złośliwością, albo cichym krzykiem o pomoc.

Pchnęłam mocno czarne przeszklone drzwi i poczułam uderzenie gorącego lecz świeżego powietrza. Na zniszczonych, marmurowych schodach siedziała Karolina. Trzymała kurczowo na kolanach swój plecak.

Zbiegłam energicznie z kilku schodów.

– Cześć Asia – usłyszałam zza pleców.

Nie obróciłam się tylko szłam przed siebie po nierównych płytkach. Idąc przez kilkaset metrów w kierunku przystanku autobusowego słyszałam rozmowy. Dziecięce. Dorosłych. Kłótnie. Dowcipy. Każdy, kto mnie minął rozmawiał przez telefon lub z drugą osobą. Tylko ja szłam w swoim zamyśleniu, obserwując otaczający świat: ludzi i przyrodę. Było mi dobrze w swoim świecie, z którego chcieli mnie wyciągnąć.

Podjechał stary, prawie rozlatujący się autobus. Wsiadłam. Pokazałam kierowcy zielony bilet i zajęłam miejsce w pierwszym rzędzie. Tuż obok okna, miałam nieograniczony widok.

Wygrzebałam z plecaka słuchawki i po chwili znalazłam się w całkiem innym świecie. Trochę rzeczywistości. Trochę marzeń. I trochę fikcji. Wystarczyło zamknąć oczy, aby spełnić swoje marzenia. I znaleźć się w fikcyjnej rzeczywistości. A po otwarciu znajdowałam się w panującej rzeczywistości.

Oprócz mnie w autobusie było kilka starszych kobiet, które plotkowały na temat zakupionych jaj na targu. Porównywały ceny i przy okazji wymieniały się plotkami dotyczącymi sprzedających osób. Natomiast kierowca lekko podskakiwał na wytartym siedzeniu, kiedy koła autobusu napotykały głębokie dziury. Delikatnie ruszał kierownicą w lewo i prawo starając się ominąć te największe, których było wiele. Dojeżdżaliśmy do ostrego zakrętu. Wyprostował się. Przyjął waleczną pozycję. Na prędkościomierzu wskazówka obniżyła się, a on z trudem kręcił kierownicą w lewo. Jego ręce energicznie przesuwwały się po czarnej obręczy. Poczułam, że lekko przesuwam się na sąsiednie siedzenie, które na szczęście nie było własnością innego pasażera.

Przed nami był jeszcze jeden ostry zakręt, tym razem w prawo, po czym będę niedaleko domu. W swojej wsi.

Dla innych to nie jest wieś, tylko małe miasteczko. Wielu nie chce mieszkać na wsi bo się kojarzy z biedotą. Zaco fanem. Byciem parobkiem. Ale dla mnie to nie ma znaczenia. Nigdy nie wstydziałam się miejsca zamieszkania. I zapewne nigdy nie będę. Miejscowość rodzinna, nie definiuje tego kim jesteśmy. Ani tego jak się zachowujemy.

Tu jest spokój. Inny świat. Nie ma gonitwy za pieniędzmi. Każdy sobie wzajemnie pomaga. A i widoki – obłędne. Śpiew ptaków. Szczekanie psów. I ten zapach. Zwłaszcza w czasie żniw.

Autobus zatrzymał się, a mnie czekała jeszcze piesza przeprawa przez wieś. Moment, który uwielbiałam. I chwila, która zabierała mnie do przeszłości. Do demonów, które potrafiły pojawiać się w nieoczekiwanych chwilach, i które miały wrażenie, że towarzyszą mi przez całe życie. Im bardziej próbowałam się z od nich uwolnić, tym one uderzały z dwojonną siłą. Siłą, która potrafiła paraliżować, mimo iż to ja powinnam sprawować kontrolę nad swoim ciałem. Ale tak nie było. Przez myśli przebiegała setka krzywdzących słów, i widoków które mnie nawiedzały. Im bardziej wypierałam to co widziałam, i w czym żyłam tym bardziej one obezwładniały mnie. Nie potrafiłam wskrzesić żadnego słowa czy zdania. Żadnego. Zaczęłam się przyzwyczaić, bo z wrogiem nie można się kopać. Czasami trzeba zaakceptować, chociaż wiedziałam, że nie powinnam być bierna. Że powinnam działać lecz strach był silniejszy ode mnie.

Kiedy zbliżałam się do domu. Na podwórku mama zmiatała roztrzepane siano. A tata wywoził gnój. Człapał w tych wielkich, gumowych filcach. Nie przejmując się czy stanie na kurze odchody czy może ominie - nie patrzył pod nogi. Jak gladiator, szedł przed siebie, pchając metalowe taczki.

– Jak było w szkole? – usłyszałam wchodząc do domu.

Matka oparła się bezradnie o miotłę. Na jej twarzy było widać zmęczenie oraz bezsilność. Drobne ręce lekko oplatały drewniany kij a jednocześnie podtrzymywały ciężar jej ciała.

– To twoja wina! – rozbrzmiał męski głos.

Matka otrzepała się i upuściła miotłę, tracąc przy tym równowagę.

Stałam w kuchni oparta o futrynę i patrzyłam jak wygląda małżeństwo moich rodziców. Nie wiem czy można to było jeszcze nazwać małżeństwem. Ojciec bardziej przypominał króla, a matka jego służącą.

– Rusz się, co tak stoisz?!

Klepnął ją w pośladek, a ta niezwłocznie powróciła do wykonywania swoich zadań. Kury biegały po podwórku, wydzielając resztki pokarmu spod płytek. A matka, jak w transie zmiatała. Raz z lewej, a raz z prawej. Powtarzała swoje ruchy, nie zauważając, że rozsypuje już wcześniej nagarnięte śmieci.

Wiedziała, że zadaje im wiele bólu. I wiedziała, że teraz matka płacze przeze mnie. Ale było mi tak dobrze, mimo demonów które mnie odwiedzały. Nie chciałam tego zmieniać. Nawet kosztem swoich rodziców i ich relacji. Swoich koleżanek i kolegów. Nie byłam na to gotowa.

Nie byłem gotowa, aby ponownie znaleźć się w ich świecie. Świecie krzywdy. Świecie bólu. I cierpienia. Po co coś zmieniać, naprawiać, skoro nie czuję takiej potrzeby. I tego nie chce?

Zamyśliłam się wpatrując się na biegające kury, które rywalizowały o pokarm. Dokuczały sobie wzajemnie, aby pozbyć się konkurenta. Chwilowo zachowywały się jak opętane, i to tylko po to, aby zjeść niewielki okruch. Rywalizowały o coś, co dla wielu było bezużyteczne. Toczyły zacięty bój bo były głodne, albo chciały pokazać swoją wyższość.

Odpłynęłam myślami daleko i miałam wrażenie, że czas zatrzymał się. Przed oczami miałam powtarzające się ruchu miotły, i kury, które energicznie ruszały głową: góra – dół.

Nie wiem jak długo stałam tak wpatrzona bo kiedy powróciłam do rzeczywistości zauważyłam, że w pomieszczeniu krząta się matka. A wydawało mi się, że jeszcze minutę wcześniej była na zewnątrz.

Zajęłam miejsce przy dużym, drewnianym stole, na którym były trzy talerze.

Naprzeciwko mnie usiadła matka. A z lewej strony ojciec w swojej kraciastej koszuli.

Matka przesunęła białą wazę zupy ogórkowej w moim kierunku.

– Jutro jedziemy do Krakowa.

Nalałam dwie chochle zupy i przesunęłam ją w stronę ojca.

– Zawiozę was – usłyszałam.

Jedliśmy w ciszy. A do domu wdzierał się odgłos chrupkania świń, przerywany dźwiękiem łyżki uderzającej w porcelanowy talerz.

Zanurzyłam swoją w zupie i wpatrywałam się w pływające frędzle.

– To ogórki – rzekła matka.

Starałam się wybrać ziemniaki, bo widok długich, ciągnących się nitek nie napawał mnie optymizmem do jedzenia. Wołałam równe kostki, które wyglądały apetycznie.

– No jedz! Matka specjalnie dla ciebie ugotowała.

Spojrzałam na jego owalną twarz z kilkudniowym, nieestetycznym zarostem. Czułam jego wielkie, brązowe oczy na ciele. Wymieniłam spojrzenie z matką, która lekko kiwnęła głową, prosząc abym kontynuowała posiłek. Na jej mizernej twarzy można było dostrzec skutki zmęczenia. Miała podkrążone oraz zapadnięte oczy. Tylko jej bujne czarne loki tryskały energią. Kiedy zanurzyłam ponownie łyżkę. Czułam, że wpatrują się we mnie. Kontrolują czy zjem ogórki czy może wybiorę tylko ziemniaki. Chcieliby mieć nad wszystkim kontrolę. Nie tylko nad swoim życiem ale także nad moim. Nad zwierzakami. Nie tyle matka, co ojciec, który uważa, że jest najważniejszy w rodzinie i, że to on powinien dyktować warunki współistnienia. Matka za każdym razem ulegała mu. Jej zdanie się nie liczyło. Była typową kurą domową. Jak większość kobiet na wsi. Mężczyzna był kimś - głową rodziny.

Wybrałam ziemniaki. Ojciec to zauważył. Wstał. Zamachnął się i poczułam odbicie jego dłoni na twarzy. Zaciśnęłam zęby z bólu i ze złości a z wściekłością spojrzałam na matkę, która siedziała spokojnie. Bez reakcji. Jakby problem nie dotyczył jej, a ja byłam zupełnie obcą osobą. Nie stawiała już w mojej obronie. Czasami, jej obojętność porażała mnie. Nie potrafiłam znaleźć słów wytłumaczenia na takie zachowanie i zastanawiałam się czy ona mnie jeszcze kocha. Czy nadal jestem jej dzieckiem. Jej wymarzoną córką, na którą podobno czekała z utęsknieniem?

Chciałam odejść od stołu, lecz ojciec zamachną się drugi raz. Tym razem nie w moim kierunku, ale w kierunku żony. Opuściłam wzrok, aby nie widzieć jak głowa matki odskakuje w prawą stronę. Na jej twarzy pojawił się dokładny zarys wielkiej dłoni ojca. Chwyciła się za policzek i delikatnie wstała, kierując się w stronę kuchni.

– Daj drugie!

Pospiesznie przyniosła wielki talerz ziemniaków i kiszeki. Zabrała brudne naczynia i bez słowa wyszła. Odchyliłam się lekko na krześle i dostrzegłam, jak przykładła mrożonkę do swojego policzka.

– Za mało pieprzne! – krzyknął.

Pochłaniał kolejne wielkie kęsy, które głośno przeżuwał.

– Daj pieprz! Głucha jesteś?!

Nie minęło kilka sekund, kiedy na stole pojawiło się taca z przyprawami. Sięgnął po jeden ze szklanych pojemników.

– Twoja matka kiepsko gotuje.

Odeszłam od stołu. Nie chciałam tego więcej słuchać. Nie chciałam na to patrzeć. Dla matki to była normalna sytuacja. Znała swoje miejsce w rodzinie i akceptowała to jak jest traktowana. Nie wiedziała, albo nie chciała wiedzieć, że to jest przemoc. Nie chciała zmian, albo nie była na nie gotowa. Poniekąd, ja też w tym tkwiłam. I to od wielu lat. Nie robiłam nic aby pomóc sobie czy matce, mimo iż byłam świadoma sytuacji. Wszyscy milczeliśmy, udając, że nie ma żadnego problemu.

Udałam się do swojej oazy. Swoich kilku metrów, które były moje. Tylko moje.

Usiadłam na łóżku i oparłam się o różową ścianę. Wpatrywałam się w biblioteczkę, która była oparta o przeciwną ścianę. Sporo lektur szkolnych. Kilka książek z zakresu psychologii oraz pod oknem biurko z laptopem - z bramą do innego świata.

Wyciągnęłam telefon. Podłączyłam słuchawki. Znalazłam się w ukochanym świecie. Świecie muzyki, która była dla mnie jak lekarstwo. Na każdy smutek. Na każdą chorobę. Była ze mną w każdej sytuacji i była mi wierna. Wiedziałam, że mogę na nią liczyć w każdej chwili.

Słuchałam wszystkiego. Jako jedyna w klasie nie miałam swojego muzycznego idola. Osoby, do której każdy wdychał, miał plakaty na ścianie w pokoju. Czy nucił przeboje na przerwie. Dla mnie każdy wykonawca był idolem. Każdy wers piosenki analizowałam. Dzieliłam na mniejsze części, które zmuszały mnie do refleksji. Dla mnie to nie tylko głos, zaśpiewany tekst. To historia. Czasami prawdziwa, czasami z elementami prawdy, a czasami zmyślona. Ale za każdym razem dostrzegałam coś cennego. Coś nad czym warto było się zatrzymać. Pomyśleć przez chwilę.

Nie bez znaczenia uważali mnie za wariatkę i dzikuskę. Taka byłam. I nie odbierałam tego negatywnie. Nie miałam z tym problemu. Oni mieli, bo nie szanowali mnie taką jaką byłam. Nie zaakceptowali mnie i mojej zmiany. Tylko od razu przykleili łatkę. Nie liczyli się ze mną, z moimi uczuciami, emocjami. One nie istniały dla nich. Byłam tylko ja – ja jako ciało i ja jako – usta, które nie chcą się poruszać. Nie było mnie – wewnętrzna, tego co jest cenne. Co jest najcenniejsze. Była tylko okładka, która dla każdego wyglądała inaczej. Która była kawałkiem

papieru, który można podeptać, nie patrząc na to co jest w środku. Była tylko tym, co mogą dostrzec oczy. Była przedmiotem krzywdzącej oceny.

Zamknęłam oczy i odpłynęłam. Daleko. Do innego świata, do innej strefy klimatycznej. Tam gdzie jest ciepło. Miłość. Tam gdzie podstawowe potrzeby są zaspakajane. Tam, gdzie małżeństwo to partnerstwo, a rodzicielstwo to wsparcie oraz szacunek. Odpłynęłam do swoich marzeń, które chciałam, aby się kiedykolwiek spełniły. Marzeń, które dla wielu były codziennością, a dla mnie światem odległym o nieokreśloną liczbę kilometrów.

Z przyszłości wyrwała mnie matka. Wystraszyłam się kiedy jej dłoń dotknęła mojego ramienia.

– Tata nie chciał – mówiła trzymając mnie za rękę.

Patrzyła się na mnie przez chwilę. Jej oczy zaszkliły się lecz powstrzymała łzy.

– Powiedz coś. Proszę ciebie bardzo.

Miała błagalne spojrzenie. A ja nie czułam potrzeby rozmowy. Nie chciałam tego już więcej robić. Jej dłoń zsunęła się z mojej.

– Dlaczego mnie krzywdzisz? – spytała ze złością.

Założyłam słuchawki, okazując brak szacunku. Obróciłam się w stronę ściany, a ona odeszła.

Mimo głośnej muzyki słyszałam jak ojciec wydierał się na nią. Kłócili się o mnie. O moje zaburzenie, które rzekomo niszczyło naszą rodzinę. Ale czy to ja niszczyłam rodzinę, czy to on niszczył ją?

Leżałam wpatrzona w sufit. Rześkie powietrze wdierało się przez uchylone okno, a kogut już dawno zapiał. Lubiłam każdego dnia tę chwilę. W domu było jeszcze względnie spokojnie. Ojciec pracował w stajni. Matka przygotowywała śniadanie, krzątając się delikatnie po kuchni tak, aby mnie nie obudzić. Spoglądałam na telefon. Żadnych powiadomień, ani jednej wiadomości. Widok znajomy, do którego zaczęłam się przyzwyczajać. Taką drogę wybrałam i nie miałam żalu, że nikt do mnie nie wysyła wiadomości. Żyłam w oazie.

– Asia śniadanie – usłyszałam niewyraźnie.

Rzuciłam pidżamę na łóżko i sięgnęłam po parę jeansów oraz rozciągnięty top.

– Aśka! – usłyszałam tym razem męski głos.

Zbiegłam po schodach i poczułam zapach gotowanego mleka. W mojej misce płatki kukurydziane zdążyły napęcznieć, a mleko ostygnąć.

– Jedz bo się spóźnimy – rzekła matka zabierając pustą miskę, która stała koło ojca.

Zrobiłam kilka energicznych ruchów ręką i dostrzegłam białe dno.

– Gotowa?

Wstałam, kierując się w stronę łazienki.

– Pośpiesz się!

Myłam dokładnie zęby. Szorując najpierw dół, później górę. A na końcu język. Posmak ohydneho mleka został zniwelowany przez miętową pastę do zębów. Wzdrygnęłam się. Drzwi się zatrzaśły. I drgnęły.

– Szybciej!

Wypłułam resztę pasty. Przetarłam usta przedramieniem i wychodząc dostrzegłam w lustrze długie, strzępiaste czarne włosy. Zrobiłam krok do tyłu. Każdy jeden wił się w inną stronę.

Sięgnęłam po szczotkę. Kilka wykonanych ruchów nic nie dało. Nie dało się ich okiełznać, były marne. I miałam wrażenie, że połowa ich znalazła się w siódlach szczotki.

– Ruszaj dupę do samochodu! – krzyczał męski głos.

Wbiegłam na minutę do pokoju. Zgarnęłam telefon, słuchawki i chwilę później siedziałam już przypięta pasami w samochodzie.

Czekała mnie czterdziesto minutowa podróż. W upale, bez klimatyzacji oraz z rodzicami. Zawsze o tym pragnęłam oraz marzyłam.

– Dałabyś w końcu spokój. Matka zachodzi w głowę!

Widzę jak szturcha go.

– Nie krzycz na nią.

– I tak chcesz rozwiązać problem? A może jeszcze pogłaskać?

– Patrz jak jedziesz.

– Nie pouczaj mnie!

Zaczyna się. Za każdym razem jest dokładnie tak samo. Nie potrafią normalnie porozmawiać. Wydierają się że, aż uszy bolą. Nie słuchają siebie. Ojciec podnosi głos bo myśli, że w taki sposób ma jeszcze większy autorytet. A wystraszona matka woli nie wdawać się w dyskusje bo wie jak się skończy. Oberwie lub nie dostanie pieniędzy.

– Spójrz Aśka – obraca się w moją stronę.

Spojrzałam przez okno i dostrzegłam jednopiętrowy budynek z kratami w oknach.

– Może od razu zostawimy ciebie tam? Tam ciebie naprawią.

– Oszalałeś? Chcesz ją oddać do wariatkowa?

– Myślisz, że nie spełnia kryteriów?

– Nie mów tak o niej. To jest twoja córka.

Samochód zatrzymał się na czerwonym świetle. Dostrzegłam jego oczy w lusterku wstecznym. Patrzył na mnie z obrzydliwością jakbym była trefna. Odpadkiem, którego należy zgnieść i wrzucić do kosza na śmieci.

– Niemowa – skwitował.

Matka wiedząc, że wszystko słyszę, wyciągnęła prawą rękę zza fotela i delikatnie dotknęła kolana. Lekko się przesunęłam, komunikując, że nie potrzebuję wsparcia - nie w taki sposób.

Podróż dłużyła się. Zanurzyłam się w świetle muzyki. Dźwięk ustawiłam na poziom maksymalny. Słyszałam kolejne takty i widziałam gestykulujące ręce matki oraz ojca, który co chwilę odrywał je od kierownicy manifestując agresywność.

Wjechaliśmy do dużego miasta jakim był Kraków. Dla nas to był całkiem inny świat. Świat do którego nie pasowała nasza rodzina. Świat, który już mnie nie interesował. Był to świat przepełniony nienawiścią, pogonią za pieniędzmi, zapatrzeniem w siebie. Świat, w którym drugi człowiek nie miał znaczenia. Liczyła się kariera i własne sukcesy.

Mijaliśmy kolejne zatłoczone ulice. Ojca ponosiło, wyżywał się na klaksonie i przeklinał pod nosem. A wszystko to była moja wina. Kiedy zatrzymaliśmy się na kolejnym skrzyżowaniu, ludzie przebiegali przez jezdnię w stronę tramwaju. Nie patrzyli jak idą, szturchali innych przechodniów byle zdążyć zanim zatrzasną się drzwi. Z tłumu wyróżniał się elegancko ubrany

mężczyzna. Szedł swobodnie, rozmawiając przez telefon komórkowy. Nie zwracał uwagi na otoczenie. Gdy dostrzegł, że drzwi tramwaju zamykają się, wyciągnął swoją długą rękę, w której trzymał aktówkę i włożył ją pomiędzy domykające się drzwi. Stare, niebiesko białe drzwi rozsunęły się, a mężczyzna bez skrępowań wszedł do środka, kontynuując rozmowę telefoniczną. Nie liczył się z potrzebami innych. Nie interesował go to, że tramwaj będzie opóźniony przez jego zachowanie, a część pasażerów może się spóźnić do pracy czy na uczelnię.

Gdy zapaliło się zielone światło ojciec ruszył z piskiem opon swoim starym volkswagenem. Cisnął gaz. Mnie wciskało w stronę siedzenia, ale długo nie cieszył się z pierwszego miejsca. Z prawej strony wyprzedziło nas czarne, sportowe audi, za kierownicą, którego siedziała młoda blondynka.

– Takie to się potrafią prowadzić – rzekła matka.

– Nie dosięgasz jej do pięt – skwitował.

Matka obróciła głowę w prawą stronę.

Byli małżeństwem i powinni być jedną całością, która się wspiera, która się kocha i która czasami się kłóci, ale byli dwiema całościami, które nie potrafiły ze sobą współistnieć. Egzystować. To co matka przechodziła przy ojcu to nie było życie. To było piekło z jakim zderzała się każdego dnia. Od przeszło dwudziestu lat lewitowała pomiędzy godnością a upokorzeniem. Podziwiałam ją, a jednocześnie współczułam, że nie potrafi zmienić swojej sytuacji. Że tego nie chce zrobić bo się boi, że sobie sama nie poradzi. Że życie w gospodarstwie i z nastolatką jest czymś co jest ponad jej siły.

Poczułam mocne szarpnięcie pasów.

– Co za idiota! – wydarł się ojciec.

Przed samochodem pojawił się mężczyzna na rowerze, który w szybkim tempie pedałowal. Jego prędkość była wciąż za mała dla ojca, który próbował go wyprzedzić z lewej strony.

Jego nogi rytmicznie się poruszały, a ojciec nerwowo wciskał gaz po czym hamulec. Próbował zmienić pas ruchu lecz nadjeżdżające samochody poruszały się ze zbyt dużą prędkością. Jechaliśmy czterdzieści na godzinę, a podmuch świeżego powietrza, który wdierał się przez otwarte szyby nie był już tak orzeźwiający.

Przekręciłam kilkukrotnie plastikową korbę, szyba zaczęła zgrzytać i lekko się obniżać. Po kilku ruchach mogłam już wystawić głowę na zewnątrz. Wzięłam jeden głęboki oddech.

– Nie wdychaj tego smrodu! – krzyknęła matka.

– Zamknij okno! – dodał ojciec.

Jak grzeczna dziewczynka spełniałam polecenia. Byłam niepełnoletnia, więc mieli prawo kontrolować mnie, moje zachowanie. Mieli do wszystkiego prawo. Do mojego ciała. Do moich wyborów. Nie było mnie. Byłam ich własnością. Tak przynajmniej wydawało mi się.

Odliczałam miesiące do swoich osiemnastych urodzin. Ta granica była dla mnie celem. Dla mojego życia. Wkroczenie w dorosłość, która za pewne nie będzie taka jak ta z moich marzeń. Ale samodzielność decyzji będzie wynagradzała wszystkie niedoskonałości dorosłego życia.

Jechaliśmy wolno za rowerzystą, bo zatłoczone krakowskie ulice były czymś normalnym. Tłoczno na drodze. Tłoczno na przystankach. I tłoczno na chodnikach. Studenci przemierzali

kolejne metry w kierunku uczelni albo kawiarni. Z słuchawkami na uszach. Albo w towarzystwie innych. Różnorodność, która panowała była czymś fascynującym dla mnie. Na ubraniach wręcz kolory tęczy. A szpilki wyłaniały się spośród adidasów i gланów. Nikt nie zwracał szczególnej uwagi na przechodniów. Większość podążała w zamyśleniu. Z telefonem przy uchu, lub w czułych objęciach swojego partnera. Mijali się. Nie zwracali na siebie uwagi. Żadnego uśmiechu. Grymasu na twarzy. Obojętność albo egoizm dominował na każdej ulicy. Zatrzymaliśmy się na kolejnym skrzyżowaniu. Po prawej stronie, pod kamienicą w której znajdował się sklep siedział zaniedbany mężczyzna. Pewnie bezdomny. Na jego podkulone nogi opadała siwa długa broda. Wpatrywał się w niewielki biały kubek, który był tuż obok niego. Przeszedł jeden mężczyzna. Młody, nie zwrócił na niego uwagi. Szedł dalej wpatrzony w telefon. Tuż za nim przeszedł mężczyzna w garniturze. Spojrzał z obrzydliwością na kubek i wszedł do sklepu. Starszy mężczyzna nie spuszczał wzroku z kubka, którego lekkie poddmuchy wiatru przechylały. Spojrzałam na sygnalizację świetlną. Wciąż było czerwone, ale kiedy wzrok powrócił w stronę sklepu moim oczom ukazał się niecodzienny widok. Kilkuletni chłopiec zatrzymał się tuż obok bezdomnego. Spojrzał na niego. Zrzucił plecak z ramion. I po chwili wyciągnął zapakowaną kanapkę. Zielone. Samochód ruszył. Obróciłam się bezwiednie, mężczyzna wyciągnął monetę i podał chłopcu. Historię zasłonił ostry zakręt za którym pojawiły się wysokie i nowoczesne budynki.

Tak niewiele dzieli. Nas ludzi. Dobro od zła. Szarą rzeczywistość od normalności w której każdy chciałby żyć. Albo ktoś ma czegoś za dużo. Albo tego nie ma wcale. Podziały są nie tylko zewnętrzne – w otaczającym środowisku. Ale we wnętrzu także. To my dzielimy na gorsze na lepsze. Czasami bez zastanowienia się. Spontanicznie. Nie dając szansy. Nie próbując zrozumieć, czy dłużej się zastanowić. Problem tkwi w nas. W naszym wychowaniu i zachowaniu. W wartościach, które są istotne.

Student zapewne przeszedł nie zauważając człowieka. Ale widział telefon. Widział w nim ludzi. Tylko czy, aby na pewno godnych rozmowy, towarzystwa? Czy tylko ich zdjęciach, ich menu, czy kolejne selfie z plaży? To tylko literki, które pojawiają się i znikają. Jest człowiek, ale czy jego prawdziwe oblicze. Jego prawdziwe „ja”? Czy może wyidealizowana nowa tożsamość, która próbuje zdobyć popularność pokazując jak pije wino w drogiej restauracji?

I jest człowiek w garniturze. Idealnie skrojonym. Z dwoma aktówkami. Spogląda z pogardą. Wchodzi do sklepu i po chwili wychodzi z paczką papierosów. Jest tylko on. I jego potrzeby. Bo przecież nigdy nie będzie w takiej sytuacji jak bezdomny. Nie dopuszcza takiej myśli i nie interesuje go los innych. Zbiera na nowy samochód, bo nie wypada jeździć dwuletnim modelem. Ale nie zastanowi się, że być może ten człowiek jest głodny. Marzy tylko o kromce chleba. To są tak przyziemne marzenia, że nikt o tym nie myśli. Przechodzi obojętnie. I jest młody chłopiec. Dobrze wychowany albo pochodzący z domu dziecka. Oddał drugie śniadanie bo zapewne wiedział, że w domu albo w szkole czeka na niego bochenek chleba, lub ciepła zupa.

Minęło tego mężczyznę, kilka osób. Mężczyźni, dorośli. Młodzi, starsi. A tylko chłopiec się zatrzymał. Nie przeszedł z pogardą. Pewnie dla niego jeszcze nie istniał podział na gorszych i lepszych.

Na dźwięk głośnego klaksonu powróciłam do rzeczywistości.

– Mówiłam ci, żebyś skręcił w prawo.

– Przestań gderać bo na niczym się nie znasz!

– Magister się znalazł, który ledwo szkołę skończył.

– A ty co? Kur nie potrafisz porządnie zagonić.

Zawsze się kłócili. Normalne rozmowy nie istniały w ich życiu.

– Spóźnimy się – rzekła matka widząc wskazówki zegara, który miał lekko zbitą szybkę.

– Płacisz to poczeka.

– W jakim ty świecie żyjesz?

– Swoim – odburknął ojciec.

Powróciłam do muzyki. Do tego co mnie koło. Co mnie uspakajało. Dawało nadzieję. Nadzieję, że kiedyś będę mieć rodzinę. Nie taką w jakiej żyję, ale prawdziwą rodzinę. Rodzinę w której szacunek i miłość są nieodłącznymi elementami każdego dnia. Każdej minuty.

Życie toczyło się. Kolejne budynki. Kolejne samochody. Kolejne osoby. Czas uciekał. Nieubłagalnie. A ja wciąż byłam w swoim, wyidealizowanym świecie.

Powietrze delikatnie wprawiało w ruch kartki, które wystawały z dużych koszy na śmieci. Podnosiły się lekko, aby wydostać się z pojemnika lecz po chwili swobodnie opadały na to samo miejsce. Zawiało mocniej. Duża męska ręka wepchała kubek po napoju z którego wieczko pofrunęło w stronę ulicy. Samochodem lekko zatrzęsło, w rytm podmuchu wiatru. Ale w środku panowała duchota. Czułam ostry pot ojca, który na koszuli miał kilka mokrych plam a czoło było pokryte kroplami potu, które przecierał ręką, po czym wcierał do spodni. Matka patrzyła na niego z obrzydzeniem lecz nie reagowała.

Samochód zatrzymał się pomiędzy dwoma mercedesami. Poczułam mocne szturchnięcie w nogę. Nie musiałam zdejmować słuchawek, bo słowa ojca były wykrzyczane.

– Wsiadka!

Otwarłam delikatnie drzwi, aby nie porysować zielonego, ekskluzywnego samochodu. Przeszłam kilka kroków w kierunku dużych, masywnych drzwi. Wykaz mieszkańców na domofonie wskazywał, że w kamienicy oprócz usług psychologicznych były także usługi radcy prawnego, a także stomatologa. W oczekiwaniu na matkę, która prowadziła energiczną rozmowę z ojcem, zaczęłam zataczać niewielkie koła na chodniku. Niczym jak obłąkana, która szuka swojego cienia. Ale im szybciej chodziłam, tym bardziej miałam złudzenia, że ktoś jest w ciele. Że to nie ja stawiam większe kroki, tylko ktoś pociąga za sznurki, a moje nogi w rytm pociągnięć robią ruch. Zaczęło mi się kręcić w głowie. Zatrzymałam się a świat wirował dookoła. Obraz przesunął się tak pięknie. Szybko. Poczułam, że się osuwam lecz moje ciało oparło się.

– Aśka, dobrze się czujesz?

Matka była przerażona. Poprawiłam swoje włosy i stanęłam tuż obok niej. Już bez pomocy, chociaż miałam wrażenie, że się za chwilę przewrócę. Nie wiem czy ze stresu przed wizytą, czy wirujący świat nadal na mnie działa. Z niewielkiego głośnika usłyszałam przyjazny, młody głos.

– Proszę wejść.

Zamek się otworzył. Matka niepewnym krokiem zbliżyła się do metalowych drzwi i pchnęła duży uchwyt. Na skórze pojawiła się gęsia skórka. Matka przytuliła swoją torebkę do piersi, jakby chciała się schronić przed zimnym powietrzem, które napływało z podwórka kamienicy. Wysoki sufit, białe ściany a po prawej stronie niebieska duża tabliczka „Psycholog”. Zrobiłyśmy trzy kroki po niewielkich oraz stromych schodach. Drzwi przed nami otworzyły się. Stała w nich trzydziestokilkuletnia blondynka. Na jej widok od razu się uśmiechnęłam. Nie wyglądała na typowego psychologa. Nie miała modnej garsonki, ani okularów od znanego projektanta. Wyglądała na przebojową osobę i jej krótko ścięte włosy dodawały charyzmy.

Otworzyła szeroko drzwi, posyłając przyjazny uśmiech w moim kierunku.

– Dzień dobry. Zapraszam.

Matka weszła pierwsza. Zatrzymała się nieopodal wejścia, patrząc na mnie, czy wejść, czy może tak jak poprzednio - ucieknę. Poprzedni psycholog wyglądał okropnie: był gruby i niemiły. Nie miałam ochoty spędzić z nim ani minuty czasu lecz rodzice tego nie rozumieli. Nie potrafili zaakceptować, że tak mi jest lepiej. Że nie chcę niczyjej pomocy. Że chcę być sobą. I zachowywać się w taki sposób w jaki chce. Szukali na siłę pomocy dla mnie, niechętnie wydając ciężko zarobione pieniądze.

– Dzień dobry – odrzekła matka drżącym głosem.

Weszłam pewnym krokiem. Od razu spojrzałam na ścianę, na której były obrazy przedstawiające różne plaże i wschody słońca.

– Przynieść coś do picia?

– Poproszę wodę. – rzekła nieśmiało.

Podeszła bliżej mnie.

– A dla ciebie?

Wbiłam wzrok w jej brązowe oczy. Było w nich coś wyjątkowego. Dobroć i nadzieja.

Doliczyłam do trzydziestu i wciąż widziałam jej wąskie źrenice, które nie zostały przysłonięte przez powieki, które były pokryte delikatnym makijażem.

– Dla ciebie też przyniosę wodę.

Zrobiła kilka kroków i wskazała na przestronne pomieszczenie.

– Proszę usiąść. Zaraz dołączę do pań.

Podążałam za nią wzorkiem. Za jej jeansami i koszulą w paski, która była lekko wpuszczona do spodni. Matka pierwsza zajęła miejsce na wygodnym czarnym fotelu. Usiadłam obok i zaczęłam się rozglądać. Nie było wielkiego biurka, stosów książek, certyfikatów na ścianach. Była sofa, niewielki szklany stolik i fotele. Ściany, które były pokryte beżową farbą idealnie wkomponowały się w kolejne zdjęcia przedstawiające widok morza lub oceanu, nad którym królował wschód słońca. Na jednych bardziej pomarańczowy, na innych bardziej żółty.

Patrząc na zdjęcia słyszałam szum wody. Czułam zapach morskiego powietrza, które nadciągało razem z dużymi falami. Myśli pochłonęły mnie. Próbowałam sobie przypomnieć czy kiedykolwiek byłam nad morzem lecz moje wspomnienia zatrzymały się szczególnie na jednym dniu. Miałam może dziesięć lat, kiedy wbrew ojcu wymknęłam się z domu. Były wakacje, a moje koleżanki bywały codziennie nad rzeką. Nie mogłam uczestniczyć ze względu na

przymusową pracę w gospodarstwie. Nawet nie miałam stroju kąpielowego, bo według ojca kobieta nie powinna obnażać swojego ciała przed obcymi mężczyznami. To był jeden z wielu dni, które chciałam wymazać z pamięci lecz tkwiły tak głęboko, że nauczyłam się z nim żyć.

Rzeka

Była sobota. Upał. Marzyłam, aby wejść do lodówki i się ochłodzić. Obijałam się od ściany do ściany poszukując miejsca, w którym poczuje na skórze lekki chłód. Ojciec pracował w stajni gdy do domu zapukała Zuzka. Po krótkiej wymianie zdań zaproponowała pójście nad rzekę – dołączenie do reszty dzieciaków ze wsi. Bez chwili zastanowienia pobiegłam do stajni. Ojciec ostrzył kosę więc zadałam krótkie pytanie. Jego odpowiedź wprowadziła mnie w osłupienie.

– Twoje miejsce jest w domu! Przy mnie i przy matce!

– Ale ja nigdzie się nie wyprowadzam.

– Do domu! Ale to już!

Mogłam się spodziewać takiej reakcji. Tak bardzo zależało mi na spędzeniu czasu z koleżankami, że odpyskowałam. Rzucił ostrzałą, kosę oparł o podłogę i tym przerażającym wzorkiem spojrzał na mnie. Poczułam ciarki na plecach, nogi lekko mi zadrżały. Czułam jak serce zaczyna coraz szybciej i nieregularnie bić. Wzrok wędrował pomiędzy jego twarzą, a lewą ręką, która mocno obejmowała kosę. Czekałam na jego ruch. Ręki. Ust. Bałam się poruszyć. Stał i patrzył jaka jestem mała. Bezbronna. Nagle cały świat ucichł. Zwierzęta przestały wydawać donośne dźwięki. Ptaki ćwierkać. Usłyszałam pociągnięcie na nosie.

– Na co się tak gapisz?

Opuściłam wzrok. Uciekłam w przerażeniu i strachu. Biegałam w stronę domu mimo iż na podwórzu czekała na mnie Zuzka.

– Co się stało? – usłyszałam.

Wbiegłam, trzaskając drzwiami. Biegałam po schodach pokonując za każdym razem dwa. Byłam wściekła. Czułam żal do rodziców z powodu krzywdy, którą mi wyrządzali. Kopnęłam mocno w stare drzwi od pokoju. Zamknęły się robiąc duży hałas. Rzuciłam się na łóżko, na którym chwilę później była duża mokra plama. Z każdą minutą, lzy kapały z policzek coraz bardziej i szybciej. Plama powiększała się, a ja byłam bezsilna. Czułam się jak więzień, który nie może opuścić celi na sygnał śniadania. Tak jak on – miałam strażnika lecz jego celem nie była resocjalizacja. Jego celem była władza. Nie ważne w jaki sposób osiągnięta. Był urodzony do bycia przywódcą stada. Nie tylko zwierzęcego lecz także ludzkich organizmów. Było to dla niego tym czym tlen dla egzystencji. Kiedy się go nie ma – wszystko umiera. Ale kiedy jest to trzeba żyć z nim w zgodzie.

Chciałam żyć zgodnie z własnym sumieniem. Mieć swobodny wybór. Pragnęłam tego co inne dzieci dostawały nieświadomie. Co było oczywistym modelem wychowawczym. Chociaż raz chciałam się poczuć jak one. Być taka jak inni. Ale wiedziałam, że tak się nie stanie. Nigdy. Klucz od klatki był schowany głęboko. Tak bardzo, że tylko jedna osoba wiedziała gdzie jest i otwierała ją tylko po to, aby spełnić swoje potrzeby.

Byłam cała mokra. Nie tylko od płaczu lecz też z powodu temperatury. Przez okno wdierało się ciepłe powietrze, a okrzyki radości, które dochodziły powodowały u mnie jeszcze większą frustrację. Chęć działania, potrzebę zmiany oraz bycia przez chwilę normalnym dzieckiem. Podniosłam głowę i lekko spojrzałam przez szybę. Dwójka chłopaków szła w kąpielówkach pomiędzy kolejnymi domami. Jeden z nich podskakiwał po czym kopał kamień – udając, że gra w piłkę nożną. A drugi niósł duży zielony materac. Co chwilę szturchał nim swojego towarzysza. Omijały mnie chwilę, które tworzyły piękne wspomnienia.

Wiedziałam, że w poniedziałek w szkole będą rozmawiać o występach nad rzeką. Nie chciałam być dłużej tą co udaje śmiech próbując zrozumieć kontekst sytuacji. Usłyszałam dźwięk silnika od traktora.

Otarłam o podkoszulek łzy, które wciąż spływały po policzkach bo wiedziałam, że to jest jedyna szansa, aby wymknąć się z domu. Miałam kilka godzin do powrotu ojca. Nie zastanawiałam się dłużej. Ubrałam krótsze szorty oraz topa na ramiączkach i po cichu zeszałam po schodach.

Idąc w stronę rzeki miałam wyrzuty sumienia, że źle postępuję. Że powinnam zaakceptować decyzję ojca bo jestem mała i ma prawo, aby decydować za mnie. Ale chęć chwilowej wolności oraz innego życia spowodowała, że przyspieszyłam kroku, tak, aby przez dłuższy czas cieszyć się widokiem wody oraz spoglądać jak małe ryby pływają pomiędzy kamieniami.

Nad rzeką było kilkanaście dzieciaków, które mieszkały na wsi. Chłopacy w kąpielówkach paradowali pomiędzy rozłożonymi ręcznikami, na których leżały dziewczyny, które opalały się zmieniając co kilka minut pozycję. Z brzucha na plecy i z pleców na brzuch.

Usiadałam na trawie obok Zuzki, która miała jednoczęściowy, czarny strój.

– Rozbieraj się.

Spuściłam wzrok. I podkuliłam nogi.

– No dawaj! – zaczęła ciągnąć top.

Odepchnęłam jej ciepłe ręce.

– Nie mogłam w bałaganie odnaleźć stroju.

– Nie potrafisz sprzątać?

Poczułam kilka kropel orzeźwiającej wody na twarzy.

– Mam was! – krzyknął Bartek, który stał w zielono pomarańczowych kąpielówkach.

– Głupek! – wykrzyknęłam, przecierając czoło.

Gdy spojrzałam ku górze, jego chude nogi były zanurzone w płytkiej wodzie. Na przemian z Szymkiem chlapali się wydając głośnie okrzyki niezadowolenia.

– Co za dziecinada! – odrzekła Kryśka – gimnazjalistka, która była najstarsza z nas wszystkich.

Prężyła się na czerwonym kocu w skąpym, dwuczęściowym stroju kąpielowym.

– Udaje dorosłą – dodała Zuzka, która wcierała w nogi olejek do opalania.

– Też takie będziemy.

– Jak będziesz taką sztywniara to na pewno. Chcesz trochę?

Podsunęła żółtą, tłustą butelkę.

– Nie zaszkodzi.

Nadstawiłam dłoń i chwilę później nogi i ręce lekko się świeciły a Zuzka przesunęła się na ręczniku.

– Kładź się.

Położyłam się i poczułam jak promienie słoneczne padają na twarz. Zamknęłam oczy i poczułam się jak w innym świecie. Lekki podmuch wiatru. Radość. Odgłosy zwierząt, powodowały zewnętrzny spokój, który chciałam zatrzymać.

– Nad czym tak myślisz?

Przekręciłam głowę na lewą stronę, spojrzałam na kilka rudych piegów, które dodawały Zuzce urody.

– O życiu.

– A co z nim nie tak?

– Tak jakoś mi się powiedziało.

– A co z nim nie tak? – dopytywała, siadając.

– Zobacz na nich.

Kiwnęłam lekko głową, wskazując na Kryskę i Bartka, którzy przytulali się pod drzewem.

– Ohyda – rzekła Zuzka po czym parsknęła śmiechem.

– Też się tak będziesz lepić.

– Nigdy! – wstała i dodała: – Chodź do wody.

– Następnym razem.

– No chodź – pociągnęła moją rękę.

– Zimna jest.

Pociągnęła jeszcze mocniej, ale nie drgnęłam z miejsca.

– Nie weszłaś i mówisz, że zimna jest.

– Następnym razem.

– I po to tutaj przyszłaś? Żeby siedzieć?

Wyciągnęła w moim kierunku drugą rękę. Jej niebieskie paznokcie błyszczały się pod wpływem promieni słonecznych. A na moje ciało padło kilka dużych cieni. Pięciu chłopaków podbiegło, chwycili mnie za ręce i nogi. Krzyczałam, żeby mnie puścili, ale zrobili to dopiero na środku rzeki. Byłam wściekła lecz zarazem szczęśliwa. Chłód wody, który mnie obezwładnił był lekarstwem na moją duszę. Z prądem rzeki odpływały troski i problemy. Chciałam zatrzymać czas, ale wiedziałam, że jak to zrobię to chłód będzie mnie atakować z coraz większą siłą. Aż mnie obezwładni, jak mój ojciec.

– Hej! Żyjesz? – szturchała mnie Zuzka.

Polałam twarz wodą i lekko się otrząsnęłam.

– Mówiłam, że zimna!

– A co ty myślałaś? To nie jacuzzi.

Siedziałam na niewygodnych kamieniach i wpatrywałam się w niewielkie ryby. Pływały tuż obok. Te niewielkie stworzenia ruszały się swobodnie pomiędzy kolejnymi kamykami. Omijały każdą przeszkodę. Nie przeszkadzały sobie wzajemnie. Potrafiły żyć w środowisku. W swojej grupie, nie czyniąc krzywdy. Zanurzyłam rękę i chwyciłam jedną, tę która była najbliżej.

Podniosłam ją ku górze. Ruszała energicznie płetwami, aby wydostać się z mojego silnego uścisku. Patrzyłam. I patrzyłam. A po chwili puściłam. Woda wysoko chlupnęła, a ona próbowała płynąć dalej. Ale na próbach zakończyła swój żywot.

Usłyszałam w oddali silnik traktora. Spojrzałam na zegarek.

– To niemożliwe!

– Aśka gdzie biegniesz? – spytała Zuzka.

– Do domu – odrzekłam, już biegnąc.

Było za wcześnie, aby ojciec wrócił lecz ten dźwięk. Ten stukot. Byłam niemal pewna, że to on. Biegnąc potykałam się o kamienie o gałęzie, które były na polnej drodze. Z każdym krokiem, dźwięk był coraz głośniejszy. Kiedy dostrzegłam stodołę. Zwolniłam. Zaczęłam się skradać.

Ojciec zaparkował traktor na podwórku i zaczął się przyglądać silnikowi. Stałam za ścianą domu przez kilka minut. Ale on wciąż kręcił się koło wejścia do domu. Po kilku minutach poszłam w kierunku ogrodu lecz okna na parterze były zamknięte. Zostało mi czekać, aż wejdzie do stodoły. Stojąc i ukradkiem patrząc jak naprawia usterkę w traktorze, zaczęłam wyciskać wodę z ubrań. Mimo żaru, który panował, na beton spływały kolejne krople wody. Ślady mojego nieodpowiedniego zachowania. Ślady walki. Bycia sobą.

Mijały kolejne minuty, a ja wciąż nie mogłam wejść niepostrzeżenie. Ubranie praktycznie było suche, zostały tylko niewielkie mokre plamy na spodniach. Usłyszałam huk spadających narzędzi.

– Kurwa!

Cisnął, że złości brudną szmatą w stronę traktora i udał się w kierunku stodoły. Zrobiłam kilka kroków i zauważyłam, że zaczął iść w moją stronę. Cofnęłam się. Oparłam się o żółtą ścianę i dostrzegłam z lewej strony pod wiatą skrzynkę z narzędziami. Wychyliłam głowę po czym, zorientowałam się, że idzie po nią. Zaczęłam biec.

– A ty co tutaj robisz?!

Zatrzymałam się. Nie odwracałam się przez chwilę. Próbowałam wymyślić wymówkę.

– Idę do ogrodu – powiedziałam, obracając się.

– Już myślałem, że byłeś nad rzeką.

– Nie – odpowiedziałam z zawahaniem.

Pokonałam nerwowo kilka metrów.

– Czekaj!

– Co się stało? – mówiłam idąc.

– Czekaj! – usłyszałam głośniejsze.

Podszedł do mnie. Zmierzył mnie oczami. Nic nie mówił. Wpatrywał się. Zasłoniłam lekko rękami mokre spodnie.

– Do kurwy! Mówiłem ci, że masz w domu siedzieć!

– Ale...

– Byłeś nad rzeką?

W gardle poczułam gulę. Nie mogłam nic powiedzieć.

– Pytam się coś! Byłeś czy nie byłeś?

Kipiał ze złości. Pchnął mnie mocno w stronę ściany. Przytrzymał moje ręce.

– Byłam! – krzyknęłam.

Jego prawe przedramię przycisnęło szyję. Zaczynało mi brakować powietrza. Ale jego oczy były szeroko otwarte. Wiedział co robi.

– Puść mnie – rzekłam z trudem.

– Teraz mam ciebie puścić? – zaśmiał się szyderczo.

Walczyłam o każdy oddech. Podniosłam lekko stopy, ale poczułam jak jego ręka jeszcze mocniej dociska ciało. Zaciskał mocno zęby, jego zmarszczone brwi uwydatniały zmarszczki. To nie był dla mnie już mój ojciec. Stał się potworem przed którym należało uciekać. Był tak samo waleczny jak lew lecz on nie musi walczyć. Miał wszystko: żonę, rodzinę, dom. Nie musiał przed nikim udowadniać swojej siły, a jednak to robił.

Zza jego barczystych ramion próbowałam kogoś dostrzec. Widziałam drzewa i pola. Chciałam krzyczeć lecz nie potrafiłam. Byłam obezwładniona. Nie tyle przez jego ciężką i umięśnioną rękę, ale przez własny strach. Podpowiadał mi, że mam być posłuszna bo on jest autorytetem rodziny. Zaczynałam mieć mroczki przed oczami a świat wirował dookoła. Mówił coś do mnie lecz to był surrealizm. Kiedy ręka opadła, płuca wzięły głęboki wdech. Jeden. Drugi. Trzeci. A ręce delikatne powędrowały w kierunku szyi. Nie musiałam jej dotykać bym poczuła rozchodzący się ból.

Chciałam, aby to był koszmar. Abym mogła otworzyć oczy i ujrzeć biały sufit swojego pokoju. Tak bardzo chciałam... Że piekący ból spowodowany uderzeniem w twarz był drobnostką. Wisienką na torcie. Dodatkowo, który zaspokoił potrzeby ojca. Spojrzałam na jego oczy. Szklily się. Było widać chęć walki. Gotowość do niej. Poczułam jak drugi policzek robi się ciepły. Zamknęłam powieki. Nie chciałam dłużej na niego patrzeć. Stał się bestią w moich oczach.

– Teraz już zapamiętasz smarkulo!

Odszedł. Szedł spokojnym krokiem, jakby całą złość zostawił na moim ciecie. Osunęłam się na trawę. Czułam jak łzy napływają, powstrzymywałam się. Wiedziałam, że muszę zacząć być silna bo słabość nakręca agresora.

Przez kolejną godzinę siedziałam skulona w kłębek. Tak czułam się najbezpieczniej, nie chciałam wracać do domu, do pokoju. Nie byłam gotowa na rozmowę z matką a tym bardziej na spotkanie z nim. Chciałam być sama, znaleźć się na bezludnej wyspie. Z dala od wszystkich i wszystkiego. Pośród pięknego błękitnego oceanu, ciepła i zwierząt. Mieć kawałek przestrzeni tylko dla siebie. Strefę życiowego komfortu, oazę wewnętrznego spokoju i zrozumienia.

– Aśka! Obiad! – usłyszałam dochodzący głos matki.

– Nie jestem głodna.

– Chodź! I nie dyskutuj! – trzasnęła oknem.

Z trudem podniosłam się. Przeszłam kilka kroków i w szybie spojrzałam na odbicie. Było niewyraźne, ale za to kraciasta koszula już tak.

Kiedy otwierałam drzwi, ojciec zmierzył mnie wzrokiem. Wskazał na miejsce tuż obok. Usiadłam pokornie.

– Jedz – rzekł.

Ślinę przetykałam z trudem, a na widok schabowego traciłam apetyt. Ukroiłam niewielki kawałek. Zbliżyłam do ust lecz rzuciłam widelcem i odeszłam od stołu.

– Wracaj natychmiast! – kontynuował.

– Daj mi spokój!

Wstał tak gwałtownie, że krzesło przewróciło się. Oparł się rękami o stół – wylewając kompot ze szklanek.

– Jak ty się do mnie odnosisz?

– Normalnie.

– Aśka. Przepraszaj ojca!

Byłam osamotniona w walce. Jak chcieli to potrafili być w komitywie lecz robili to w niewłaściwy sposób.

– Ale za co mam go przeprosić? Za to? – odsunęłam lekko bluzkę i pokazałam czerwone ślady.

– Kto ci to zrobił? – spytała matka idąc w moim kierunku.

– Ojciec...

Obróciła się w jego kierunku.

– Zasłużyła na to. Jest niewychowana.

Dotknęła szorstkimi palcami szyi. Wzdrygnęłam się lekko.

– Szybko się zagoi. A teraz wróć do stołu i zjedz coś.

Zrobiłam niewielkiego łyka jabłkowego napoju. Nie odrywałam wzroku od matki, która wpatrywała się w swój talerz. A kiedy ojciec poprosił o dokładkę ziemniaków, wymijała spojrzenie.

– Już dobrze Aśka – poklepał mnie po głowie.

Nie chciałam na niego patrzeć. Być w jego towarzystwie. Jego widok powodował, że moje serce galopowało niczym stado koni na wybiegu. A oddech nie mógł złapać równego rytmu. Organizm przygotowywał się do nadchodzącego niebezpieczeństwa.

Powrót do gabinetu

Na stoliku pojawiła się taca z trzema szklankami wody. Matka chcąc zaspokoić pragnienie, wypila całą zawartość. Bez wahania sięgnęła w kierunku zapelnionego dzbanka.

– Proszę – usłyszałam i dostrzegałam, że jedna ze szklanek pojawiła się na krawędzi.

– Straszny dzisiaj upał – skwitowała, wypełniając szklankę.

– Tak to prawda.

– Ale tutaj u pani to przyjemnie. Chłodno.

– Naturalna klimatyzacja – odpowiedziała, lekko uśmiechając się.

Matka lekko mnie szturchnęła

– To co Aśka? Przeprowadzamy się tutaj?

Oczy Agaty od razu były zawieszona na mojej twarzy. Ale tym razem tylko przez kilka sekund.

– Zapoznałam się z dokumentacją – matka wtrąciła: – da się ją wyleczyć?

Psycholog lekko poprawiła się na swoim miejscu.

– Pani Lucyno, rozumiem, że chciała pani zapytać czy można pomóc Joannie. Zgadza się?

– Tak. Dokładnie o to zapytałam.
– Wyleczyć – nie, ale pomóc – owszem.
– A co za różnica? Będzie gadać? – wykrzyczała.
– Bardzo proszę o kontrolowanie swojego tonu.
– Jest pani bezczelna – rzekła odkładając z hukiem szklankę.
– Dlaczego pani tak uważa?
– Chodź idziemy!
Podniosła się z oburzeniem i zaczęła mnie ciągnąć za rękę.
– Pani Mario. Proszę spokojnie.
– Nie będziesz mnie uspakajać! – i po chwili dodała: – Idziemy!
Poddałam się mocnemu szarpnięciu. Trąciłam kolanami stolik, jedna ze szklane spadła, rozbijając się. Poczułam uderzenie gorąca. Zacerwieniłam się.
– Nic się nie stało. To tylko szklanka.
Matka mnie ciągnęła wychodząc z pokoju. Moja głowa była skierowana w stronę Agaty - patrzyłam jak zbiera kawałki potłuczonego szkła. Ten jej wzrok. Ta twarz.
Podążałam za matką jak zahipnotyzowana bo nie mogłam przestać myśleć o wizycie. Ocknęłam się nieopodal samochodu.
– Mówiłem ci, że tylko pieniądze niepotrzebnie wydasz!
Matka milczała, mając podpartą głowę o szybę.
– Teraz nic nie mówisz?
– A co mam ci powiedzieć? Że walczę? Że wciąż szukam?
Ojciec obrócił się w moją stronę.
– Wyrzucasz pieniądze w błoto. Koniec z tym!
– Co masz na myśli?
– Nie dostaniesz ode mnie, ani grosza. Ani złotych.
Matka przetrzała bluzką spływającą łzę.
Jak tylko samochód zatrzymał się na podwórzu, wysiadła trzaskając drzwiami. Ojciec agresywnie zaciągnął hamulec ręczny i wyparzył.
– Jak ty się zachowujesz? – spytał z nienawiścią.
Próbowała włożyć klucz do drzwi, ale trzęsły się jej ręce. Nie potrafiła trafić do zamka. Ojciec ją chwycił mocno. Nie krzyknął w obawie przed sąsiadami, nachylił się nad nią.
– Jeszcze popamiętasz – rzekł stanowczo i wyrwał klucze z jej drobnej ręki.
Siedziałam i patrzyłam jak z niechęcią wchodzi do domu. Do miejsca, w którym spędza się większość swojego życia. Które powinno być lekiem na wszystkie zła. A to jego mury były świadkiem nieodpowiednich zachowań. Przyjmowały każdy krzyk. Cios. Zostawiały dla siebie każde zdanie, wyraz. Tworzyły nieprzepuszczalną barierę. Oddzielały prawdziwą rzeczywistość, od rzeczywistości, która była wykreowana dla sąsiadów, znajomych, czy innych członków rodziny. Jedno miejsce, a zupełnie dwa światy i dwie historie.
Pot lał mi się po plecach, a jego zapach coraz bardziej drażnił moje nozdrza. Wysiadałam, spojrziałam w lewo w stronę podwórka sąsiadów.

– Cześć Asia! – usłyszałam od starszej kobiety.

Posłałam lekki uśmiech. Pomachała mi, zachęcając, abym dołączyła do jej prawnuczek, które skakały na skakance. Podeszłam bliżej płotu. Naszej przestrzeni. Oparłam się o drewniane sztachety i patrzyłam jak rytmicznie podskakuje mała blondynka. Jej długi warkocz zahaczał o różową skakankę lecz nie wybijało ją to z tempa. Obok, na plastikowym krześle siedziała pani Eugenia. Swoje siwe włosy miała zawinięte w czerwoną chustkę, a przewiewna kolorowa podomka swobodnie zwisała na jej chudym ciele.

– No chodź! – usłyszałam ponownie.

Lubiłam ją, bo miałam wrażenie, że nikogo nie ocenia. Była koło osiemdziesiątki i wciąż można było dostrzec w zachowaniu chęć życia. W zeszłym roku zmarł się jej mąż i przez kilka miesięcy mieszkała sama. Niedawno wprowadziła się do niej córka.

Podpierała głowę i z wielką radością obserwowała jak dziewczynki się bawią. Najmłodsza córka, odwiedzała ją dwa razy w tygodniu. Zawsze ze swoimi dziećmiakami. Za każdym razem mówiła, że uwielbia przyjeżdżać na wieś, bo tutaj jest całkiem inne życie.

Eugenia kiwnęła ponownie ręką. Odruchowo zrobiłam niewielki krok, kiedy gwałtownie się obróciłam.

– Asiu! Chodź do domu – rzekł ojciec.

Przez chwilę stałam nie reagując. Ani na zachętę sąsiadki, ani na wołanie ojca. Miałam wybór. Wiedziałam czego chce, ale nie to było najważniejsze. Ważne było to co muszę zrobić. Co będzie słusznym wyborem w tej sytuacji. Uległość, a może podległość?

– Na plotki ciebie wzięło? – usłyszałam wchodząc.

Oglądał telewizor z wyłożonymi nogami na fotelu i z kuflem piwa w ręce.

– Zapomniałem... zgubiłaś mowę – wziął dużego łyka, po czym oblizał pianę, która osiadła nad jego ustami.

– Jesteś głodna? – spytała matka.

– Dawaj! Dawaj! No dawaj! – krzyczał, patrząc na piłkarza, który biegł w stronę pola karnego.

– Upiekłam. Chcesz? – wskazała na stół, na którym był wielki talerz z równo ułożonymi naleśnikami.

– Przynieś mi dwa! – wtrącił.

Nie czekała ani chwili. Położyła talerz na brązowym stole. Wzięła jednego i nałożyła kilka łyżek sera białego z dodatkiem cukru oraz śmietany, po czym starannie zwinęła w trójkąt. Z drugim zrobiła to samo. Zaniosła ojcu, a sama wróciła do stołu, usiadła lecz nie jadła. Obserwowała ojca, czekając na jego dyspozycje, raz od czasu spoglądając przez okno. Nie była jego żoną, była jego służącą. Zawsze w pobliżu i w gotowości. Nie potrafiłam na to patrzeć. Na mogłam siebie wyobrazić w takiej roli, nawet nie chciałam, bo myślenie o tym bolało.

Wyszłam po drewnianych schodach. Zatrzymałam się na ostatnim tuż przed moim pokojem i usiadłam. Oparłam głowę na kolanach i ogarnęła mnie pustka. Żadnych myśli. Żadnych uczuć. Jakby mózg przeszedł twardy reset lecz tylko na chwilę. Na kilka sekund. W głowie pojawiła się pusta biała karta papieru. Gotowa do zapełnienia życiowymi doświadczeniami. Chwilowo z wymazanymi sukcesami, radościami i smutkami. Byłam na samej górze. Miałam wpływ na

wszystko co jest pode mną. Ale tylko w wyobraźni, która rysowała kręte ścieżki na papierze. Kilka i każda w inną stronę. Mniej lub bardziej kręta, z większymi bądź mniejszymi zakrętami. I każda z innym celem. Bardziej lub mniej życiowym, osiągalnym. Zaczynały się tak samo lecz kończyły w inny sposób.

– Dlaczego tak siedzisz? – spytała matka, która nagle pojawiała się przed moimi oczami.

Wiedziała, że nie odpowiem.

– Posuń się.

Przybliżyłam się w stronę ściany, a jej kościste ciało lekko dotknęło mojego.

– Dlaczego nie chcesz, aby było tak jak dawniej? Dlaczego nie chcesz z nami rozmawiać?

Patrzyłam przed siebie. Słyszałam jak z każdym wyrazem jej głos drży coraz bardziej.

– Ktoś ci krzywdę zrobił?

To pytanie wyprowadziło mnie z równowagi. Poderwałam się na nogi i wbiegłam do pokoju. Mocno strzelając drzwiami. Stare szyby w oknie lekko się zatrzęsły. Zdenerwowałam się tak, że nie mogłam złapać oddechu. Pociągnęłam nerwowo klamkę i szybko wychyliłam głowę na zewnątrz. Starając się regularnie i wolno oddychać. Spoglądałam w dół, na dach samochodu. Kilka sekund i kilka metrów mogło zmienić moje życie. Mogłam się znaleźć w innym świecie. Może lepszym, a może gorszym. Nikt z niego nie wrócił, i nikt nie wie jak tam jest. Ale to nie byłam ja. Nie wybierałam drogi na skróty, bo i tak kiedyś dowiem się jak tam jest. Nie z własnej woli, ale z kolei życia, która dla każdego z nas zakończy się w taki sam sposób. Tam nie ma gorszych czy lepszy. Po każdym chodzą mrówki, pająki. Nie wybierają biedaków, nie patrzą na markę zegarka. A ciężar i gatunek ziemi jest dla każdego jednakowy. W pewnym sensie niesprawiedliwe i budzące frustrację, ale nie da się zmienić kwestii na które nie mamy żadnego wpływu. Ktoś za nas coś ustalił. Bezwzględnie. Ale tam, gdzie mamy możliwość zmiany – dostrzegamy przeszkody, które są tylko wytłumaczeniem naszej bierności.

Uspokoiliłam się. Przymknęłam okno i położyłam się. Tuląc głowę do poduszki słyszałam jak ojciec zarzuca matce pieniężną rozrzutność. Spojrzałam do niewielkiej szafy. Panował w niej bałagan, a większość ubrań była pierwotną własnością obcych osób. Matka dostawała niewielką ilość pieniędzy od ojca. Musiała za to kupić jedzenie, książki. I nie zawsze starczało na ubrania dla mnie. Ale dla ojca nie było problemem, aby raz w tygodniu kupić skrzynkę piwa, czy butelkę wódki. Miał pieniądze, ale to były tylko jego. Nie miało znaczenia, że one pochodziły z uprawy roli, w której matka również pomagała. Musiała prosić o każdą złotówkę, a z zakupów skrupulatnie się rozliczać, aby przypadkiem nie wydało się, że kupiła lakier do paznokci, albo bluzkę. Dawał na moje rzekome leczenie. Do dzisiaj. Za to jestem mu wdzięczna. W końcu skończy się mój horror i rozwiązywanie głupich testów. Godzinne cisze w gabinetach. I niezliczona liczba diagnoz.

Obudził mnie hałas. Z trudem otwierałam oczy. Przetarłam je i z grymasem na twarzy sięgnęłam w stronę telefonu.

– Aską bo się spóźnisz!

– Że co?

Otwarłam szerzej oczy i dostrzegłam, że jestem spóźniona do szkoły. Nie wiem jak to się stało. Nie pamiętam jak usnęłam. W dodatku miałam na sobie ubranie a brzuch upominał się o posiłek. Z trudem usiadłam na kraju łóżka. Ogarnęłam wzrokiem pokój w poszukiwaniu potrzebnych książek lecz to było za trudne. Głowa mi pękała, a ja czułam się jakbym nie spała całą noc, a okazuje się, że musiałam usnąć jak noworodek.

– Aśka do cholery! Rusz się! – tym razem to ojciec się darł.

Drzwi się szeroko otwarły. Jego postać zajęła znaczną część miejsca.

– Ruszaj się! Ile razy mam powtarzać.

Wstałam i sięgnęłam po zeszyt, który leżał na biurku. Międzyczasie ojciec podniósł plecak z ziemi i cisnął nim w moją stronę. Wypadły z niego książki i piórniki.

– Idź bo żadnego pożytku z ciebie nie ma.

Odszedł. Schyliłam się i zaczęłam wkładać rozsypaną zawartość. Nie śpieszyło mi się do szkoły. Każdy pretekst był dobry, aby spóźnić się na nielubianą chemię.

Po kilku minutach stałam już przy drzwiach wejściowych i patrzyłam się na ojca, który jadł śniadanie.

– Teraz mam ciebie zawieźć?

Wyszłam, sugerując w jawny sposób swoją odpowiedź. Oparłam się o samochód i patrzyłam przez okno jak gestykuluje rękami podczas rozmowy z matką. Była skulona i wpatrzona w podłogę. Jej bierność zachowania, zachęcała ojca do agresywniejszych zachowań. Pchnął ją. Jej sukienka zasłoniła widok okna na które wpadła. Lekko obróciła głowę i dostrzegła mnie. Uśmiechnęła się. Poprawiła firankę, która zawinęła się na klamce i zniknęła w głębi pomieszczenia. Dlaczego to zrobił? Jakich potrzeb nie spełniła? Nasuwało mi się mnóstwo pytań, które chciałam jemu zadać lecz nie zasługiwał na moją uwagę.

Dźwięk zamka sugerował, że mogę wejść do samochodu. Usiadłam z tyłu, aby między nami było więcej przestrzeni. Żeby jego towarzystwo nie przytłaczało mnie tak bardzo. Raptem to tylko kilkuminutowa podróż, owiana strachem. Przytuliłam się do okna i patrzyłam jak drzewa przesuwały się, pomiędzy którymi pojawiały się kolejne domy. Na jednym z podwórek dostrzegłam młode małżeństwo. Obok nich była kilkuletnia dziewczynka. Miała duży plecak na plecach. Szła w kierunku samochodu, kiedy podszedł do niej mężczyzna, zabrał plecak, po czym pocałował w czoło. A rozradowana kobieta pomachała jej. Jak byłam mała to pamiętam częste i głośne kłótnie. Wtedy to była rozmowa na ważne tematy, jak twierdziła matka. Pojawiały się coraz częściej. Na początku raz na kilka tygodni. Później raz w tygodniu. Aż zaczęły towarzyszyć każdego dnia. Bez względu na porę. Dla niego nie miało znaczenia, że jest noc. Że matka chce spać, że ja wszystko słyszę.

Pierwszy raz

Jest zima. Matka była chora, a w domu panował chłód. Przebudził mnie głośny głos ojca.

– Idź do pieca!

Nie słyszałam jej. Chwilę później jego głos zrobił się bardziej donośny.

– Kurwa, mówię coś!

Wstałam, aby zobaczyć co się stało. Okryłam się kocem, który był na mojej pościeli i w lekkim sennym amoku udałam się w kierunku sypialni rodziców. Drzwi były uchylone. Stałam dyskretnie i widziałam jak kołdra leżała na podłodze. Stał nad nią, a ona była zwinięta w kłębek i drżała.

– Nie dam rady – wyszeptała, po czym próbowała zawinąć swoje nogi w długą koszulę nocną.

– Mówisz, że nie dasz rady? Tak?

Nachylił się nad nią. Trzasnął ją raz w twarz. Z przerażenia zakryłam swoją kocem.

– A teraz dasz radę?

Usiadła, podkulając nogi. Była blada. Z trudem oplotła nogi swoimi rękami, które się trzęsły.

– Ruszaj dupę! – pociągnął ją za rękę.

Opierała się. Przemieszczała w głąb łóżka. Byle być daleko od niego. Lecz to jego ręka kontrolowała dystans. Szarpnął ją tak mocno i gwałtownie puścił, że głowa matki zwisła poza łóżko. Przykucnął. Chwycił jej włosy, szarpiąc za nie. I drugą ręką trzasnął w policzek.

– Teraz na pewno pójdziesz – rzekł ze spokojem.

Podparła się rękoma i powoli wstała. Miała twarz czerwoną i zalaną łzami. Kiedy on leżał wygodnie, jej drobne i zmarznięte nogi robiły małe kroki, w kierunku drzwi. Uciekłam do pokoju. Przytuliłam się do maskotki i chciałam zasnąć. Wymazać z pamięci to co zobaczyłam. Kiedy lekko zamykałam powieki, widziałam jego – jak stoi tuż nad moim łóżkiem. Gwałtownie otwierałam i się obracałam, ale nikogo nie było obok mnie. Był tylko blask księżyca. Obróciłam się na drugi bok, kurczowo trzymając pluszaka. Nie zasnęłam, bo nie potrafiłam. Płakałam z przerażenia, zastanawiając się dlaczego to zrobił.

Leżałam całą noc w jednej pozycji. Bałam się poruszać. Oddychać. Nie chciałam, aby spotkało mnie to samo co moją matkę. Chciałam się do niej przytulić i powiedzieć, że bardzo ją kocham. Było jeszcze ciemno za oknem, kiedy wstałam i poszłam do kuchni. Było wcześnie rano. Ojciec był w stajni, a matka leżała w łóżku. Siadłam na parapecie w jadalni i patrzyłam jak płatki śniegu wirują za oknem. A biały puch zrobił piękny dywan, na którym były odbite duże ślady butów.

– Czemu nie śpisz? Coś się stało kochanie? – usłyszałam zatroskanym głosem.

– Patrz mamusiu jak jest ładnie – dotknęłam szyby niewielką dłonią.

Podeszła do mnie. Objęła mnie, spojrzałam ku górze – na jej zaczerwienione i podkrążone oczy. Na lewy policzek opadały piękne włosy a prawy był zaczerwieniony.

– Dlaczego masz czerwoną buzię? – zapytałam, delikatnie dotykając.

Nie odpowiedziała od razu lecz poczułam jak jej ręce mocniej mnie oplatają.

– Pewnie uczulenie od poduszki. Nic groźnego.

– Czy tatuś w nocy krzyczał?

Uśmiechnęła się lekko, robiąc dołek.

– To był tylko zły sen.

Chciałam, żeby to był zły sen. Oczy zbyt dobrze pamiętały każdy szczegół tej nocy. Jego wyraz twarzy i to jak przecierał ręką opadającą ślinę, podczas gdy krzyczał. Jej głośny oddech bezsilności, błagalne szepty. Pełzające ruchy, szukające bezpiecznego miejsca. Siłę, która manifestowała się głośnym płasem. Dyktaturę dla której nie ma żadnych reguł. Scena jak filmie,

z tym, że to moje oczy były kamerą. Ukrytą, z której nie da się wymazać poszczególnych ujęć a reżyserem była uległość. To wszystko pośród czterech ścian, które zatrzymywały wszystko dla siebie.

Do pomieszczenia wszedł ojciec. Matka gwałtownie wyszła, a on podszedł do mnie.

– Co mała? Pewnie chcesz bałwana ulepić?

Chciał mnie poklepać po głowie, ale schyliłam się i zeskoczyłam. Nie chciałam, aby mnie dotykał. Żeby był w moim pobliżu. Powodował niepokój, który towarzyszył w domu.

– Co ja ci zrobiłem? – spytał z oburzeniem.

Nie chciałam z nim rozmawiać. Usiadłam na sofie i włączyłam bajkę w telewizji.

– Kochanie, co dzisiaj dobrego na obiad?

– Kiszka.

Podszedł do niej i ją pocałował. Nie broniła się, ale kiedy obrócił głowę w moją stronę – przetarła kuchenną ścierką policzek.

– Nie gniewaj się – rzekł, delikatnie ją obejmując.

Obróciła wzrok bo wiedziała, że to tylko puste słowa. Za każdym razem było dokładnie to samo. Kłócili się, a potem ojciec przeproszał, po czym kilka godzin później znowu podnosił głos. Słowa dla niego nie miały wartości, zwłaszcza te, które powinny naprawiać relację.

– Moja matka przychodzi dzisiaj na kolację.

– Czego znowu chce?

Rzuciła ścierkę na ziemię.

– Jak twoja matka ma do nas przyjść, to ja się tak nie odzywam.

– Bo udajesz przykładną żonę.

– A ty powinienes przykładnego męża!

Zbliżył się do niej. Chciał podnieść rękę, ale jej kiwnięcie głowy zasugerowało, że jestem świadkiem kłótni. Cofnął się.

– Znowu Bolka oglądasz?

– Nie ma nic lepszego – odrzekłam, biorąc pilota do ręki.

Usiadł koło mnie. Nieświadomie odsunęłam się lekko, przybliżając do niewygodnego oparcia.

– Daj.

Nieśmiało wyciągnęłam rękę, a on masywną dłonią chwycił czarnego pilota.

– Jest jakiś mecz?

Wzruszyłam bezradnie ramionami.

– Nie wiem.

– I prawidłowo. Mała jesteś, wielu kwestii nie wiesz i nie rozumiesz.

Zmienił kilka kanałów, po czym usiadł twarzą w moim kierunku.

– Słuchaj... – zamilkł na chwilę, próbując zebrać myśli.

– Potrzebuje twojej pomocy! – usłyszeliśmy zza ściany.

– Za chwilę – odrzekł spokojnym głosem, dodając: – Idź sprawdzić co matka potrzebuje.

Udałam się w kierunku kuchni. Stała twarzą w kierunku mebli, siłując się ze słoikiem.

– Otwórz to. – Obróciła się i ujrzała mnie, dodając: – Myślałam, że to tata.

– Jest w salonie. Miałam sprawdzić co potrzebujesz.

– Zanieść mu i powiedz, żeby odkręcił.

Wzięłam litrowy słoik konserwowych ogórków, które były zawieszane pomiędzy przyprawami. Idąc, lekko nim potrząsałam, patrzyłam jak ziarnka pieprzu swobodnie przemieszczają się pomiędzy dużymi ogórkami, które wypełniały większość część słoika. Przylegały do siebie, a gdy przechyliłam do góry dnem, te mniejsze wcisnęły się w wolną przestrzeń, tworząc idealną całość.

– Nad czym się tak doktoryzujesz?

– Mama chce, żebyś odkręcił.

Z uśmiechem zabrał słoik. Chwycił jedną ręką, a drugą bez problemu przekręcił pokrywkę. Klik i ulotnił się zapach przypraw.

– I dlatego mężczyzna jest potrzebny w domu. Bez niego nie ma domu, bo kobiety są słabe. Nie potrafią nawet odkręcić słoika.

Zmarszczyłam brwi, bo jego słowa były dla mnie abstrakcją. Byłam zbyt mała, aby dokładnie zrozumieć panujące relacje i zależności. Ale wiedziałam, że mężczyzna nie powinien bić kobiety, bo nikt nie zasługuje na takie traktowanie.

– To jak mała? Idziemy lepić bałwana?

– Zimno mi.

– Zanieść mamie słoik i powiedz, żeby się pospieszyła.

Ona w kuchni. A on w salonie. Ich dwa odrębne światy. Jeden z wyboru, a drugi z przymusu. Usiadłam w kącie na niewielkim drewnianym stołku i patrzyłam jak przygotowuje obiad. Jak przemieszcza się z jednego końca kuchni na drugi, przy tym chwytając na kilka sekund łyżkę i energicznie przemieszczając zawartość patelni. Wszystkie czynności wykonywała automatycznie, jak zaprogramowany robot, który został zakodowany przez doświadczonego programistę. Tak jak jej schemat działania. Obracać ziemniaki, opłukać i wrzucić do garnka. Nie zwracała na mnie uwagi, była pochłonięta gotowaniem, albo myślami. Na jej twarzy próżno było szukać oznak radości czy satysfakcji, wręcz malowało się głębokie, wewnętrzne cierpienie, które było tylko jej własnością. Z którym, tylko ona mogła się zmierzyć. Zaakceptować, albo walczyć. Chciałam jej pomóc, ale tylko ona mogła podjąć odpowiednie decyzje. Podbiegłam do niej spontanicznie i mocno przytuliłam, mogłam tylko tyle zrobić. Okazać miłość, której jej brakowało.

– Czym sobie zasłużyłam? – usłyszałam przez zaciśnięte zęby.

– Bo ciebie kocham.

Ręce silnie oplatały jej ciało, a głowa poruszała się w rytm oddechu matki. Lekko się unosiła, po czym opadała. Ale z ciężkością, z trudem, który był wyczuwalny.

– Ubierz się – odepchnęła mnie i gwałtownie obróciła w stronę okna.

Uroniła dyskretnie kilka łez lecz w szybie widziałam jak spływają po jej policzkach.

– Nie płacz mamusiu.

Obróciła się w moją stronę. Mocno oparła o drewniany blat. Zaciśnęła usta, próbując powstrzymać się od okazania emocji.

– Nie płacze. To od cebuli, kochanie.

To nie był cebulowy płacz, który dopada każdego, bez względu na wiek. On nie jest taki krzywdzący bo szybko przychodzi i równie szybko odchodzi. Nie zostawiając po sobie żadnych widocznych ran.

– No idź się już ubrać – przetarła dłońmi oczy i obróciła się, aby przemieszczać kiskę, która była na patelni.

Szłam w zamyśleniu przez kolejne pomieszczenia. Wyszłam na górę i zajrzałam do sypialni. Stałam w tym samym miejscu, w którym stałam w nocy z tym, że szerzej otworzyłam drzwi. Pomieszczenie niewiele się różniło, dokładnie zaścielone łóżko przyciągało wzrok. Kwiecista narzuta nie miała, ani jednego zagięcia, była rozścielona równomiernie na całej powierzchni materaca. Nic nie wskazywało na to, że jeszcze kilka godzin temu, kobieta ciągnęła z podłogi kołdrę, aby się nią obronić. Na widok pokoju nie wiedziałam czy mam płakać czy zabraknie mi tchu. Chciałabym wziąć gumkę do mazania i wymazać fragment po fragmencie. Narysować od nowa, na rysunku umieszczając ojca, tuż obok matki. Tulącego jej ciało. Wiedziałam, że już nigdy tak nie będzie. Ta noc była nocą, w której coś się skończyło, a coś zaczęło. Weszłam do swojego pokoju i sięgnęłam po zieloną książkę z serii Doktor Dolittle. Położyłam się i myśli po chwili znalazły się w świecie zwierząt i lekarza, który stał na ich straży.

W samochodzie

Całą podróż myślałam o tej feralnej nocy, w której zrozumiałam po raz pierwszy, że żyję w dziwnym środowisku.

Ojciec zatrzymał samochód na ulicy, włączając światła awaryjne.

– Wsiadaj!

Otworłam szeroko drzwi i dostrzegłam wielką kałużę.

– Szybciej!

Postawiłam lewą nogę i poczułam jak but nabiera wody.

– Ruszaj się smarkulo!

Kałuża była zbyt duża, więc kilka sekund później poczułam wodę w drugim. Nie zdążyłam domknąć drzwi, kiedy samochód ruszył. Na chwilę straciłam równowagę, przy tym ochlapując się jeszcze bardziej.

– Kiepski dzień, co? – usłyszałam znajomym głosem.

Michalczewska mijając mnie spojrzała na wodę, w której wciąż tkwiłam.

– Każdemu się przytrafiło – skreśliła w stronę bramy wjazdowej do szkoły.

Opuściłam wzrok i zobaczyłam, że kolorowe trampki zrobiły się nieco ciemniejsze, a chłód wędrował wzdłuż nóg. Poruszałam palcami, buty się uniosły, a woda zatoczyła niewielkie koła wzdłuż, a kiedy niewielkie fale dotarły do brzegu to zniknęły podczas zderzenia z trawą. Napotkały przeszkodę, której nie potrafiły przezwyciężyć. Zniknęły swobodnie, tak jakby wiedziały jaki czeka ich los. Wprawiłam ponownie nogi w ruch, podnosząc się i opadając na piętach. Fale, które rozbijały się o nietypowy brzeg. Były takie jak ja. Uwięzione lecz z pewną niezależnością, która była częścią ich egzystencji.

Idąc szkolnym korytarzem, zostawiałam niewielkie ślady. Z każdym krokiem woda wypływała z butów pokazując ścieżkę.

Zatrzymałam się przed drzwiami. Słyszałam opryskliwy głos Woźniaka. Szarpnęłam delikatnie klamką i weszłam.

– No proszę. Kto nas zaszczycił swoją obecnością.

Zrobiłam kilka kroków przez środek klasy i dostrzegłam, że moje miejsce jest zajęte. Szybko obróciłam się w poszukiwaniu innego. Zatoczyłam koło lecz wszystkie ławki były zajęte.

– Dla wyjątkowych osób. Wyjątkowe miejsce.

Młody nauczyciel przecisnął się pomiędzy uczniami i wziął krzesło, na którym stał kwiatek. Otrząpął z fragmentów ziemi i położył na środku klasy, w której ławki były ułożone w kształcie litery U.

– Proszę – wskazał.

W klasie panowała cisza. Wszyscy wymieniali spojrzenia. Ich wzrok wędrował z mojej osoby, na nauczyciela i z powrotem w kierunku sąsiada.

Jego celem było upokorzenie. Twierdził, że dla takich dziwaków, nie ma miejsca na jego lekcjach.

Stał oparty o biurko. Triumfował, a na jego twarzy namalowane było zwycięstwo lecz to nie była wyrównana walka. Mocny, kontra słabszy. Zrobiłam krok, oparłam rękę o oparcie. Chciałam wziąć krzesło i cisnąć nim w stronę Woźniaka. Tak, żeby jego uśmiech zniknął z twarzy, a białe zęby znalazły się na podłodze. Zamiast tego, wzięłam krzesło – przesunęłam pod tablicę i bez wahania opuściłam klasę, a on za mną.

– Wracaj natychmiast – rzekł cicho lecz stanowczo.

Szłam przed siebie. Wracałam tymi samymi śladami, którymi przyszłam.

– Do pedagoga natychmiast!

Byłam obok dużych drzwi z napisem „Pedagog szkolny”. Po chwili siedziałam w ciasnym gabinecie, w którym śmierdziało papierosami. Woźniak stał i gestykulował opowiadając o zaistniałej sytuacji.

Stara – bo tak ją przezywaliśmy – nie reagowała. Podpierała głowę ręką i zaglądała do szuflady, z której wystawały papierosy. Pomieszczenie było tak zadymione, że widok ulicy przez niewielkie okno był niewyraźny.

– Ona się tak nie może zachowywać.

Stara, poprawiła rude, kręcone włosy i machnęła ręką, sugerując, aby opuścić pomieszczenie.

– Musisz z nią porozmawiać.

– Idź już bo ja się nie wtrącam w to jak prowadzisz lekcje.

Wychodząc zmierzył ją złośliwym spojrzeniem.

– Co za idiota – wypaliła.

Otworzyłam szerzej oczy.

– Tylko nie mów, że to powiedziałam.

Oparłam się o stare rozlatujące się krzesło. A Giżycka wyciągnęła papierosa i próbowała odpalić od zapalniczki.

– Muszę kupić nową.

Naciskała mocno zapalnik, ale ogień nie chciał się pojawić. Spróbowała wolniej i spokojnie lecz bez pożądanego efektu. Wrzuciła fajkę do szuflady, a zapalniczkę na biurko.

– I co mam z tobą zrobić? Powiesz mi?

Głowę odruchowo obróciłam w stronę okna. Samochody mijały, piesi przechodzili przez przejście dla pieszych. Dusłam w dymie papierosowym, który powodował coraz płytsze oddechy. Nigdy nie mogłam się przyzwyczaić do tego drażniącego zapachu. Bywałam tylko kilka minut w gabinecie, ale ona siedziała w nim po kilka godzin dziennie, wypalając paczkę codziennie.

– Nikt tobie nie pomógł, więc ja tym bardziej tego nie zrobię. Jestem po siedemdziesiątce i przychodzę tutaj dlatego, żeby sama w domu nie siedzieć.

Zaczęła głośno kaszleć, a wręcz charczeć.

– Tak się dzieje jak się za dużo pali – dodała na jednym wydechu, po czym ponownie dostała napadu kaszlu.

Jej klatka piersiowa uniosła się ku górze coraz mocniej – próbując efektywnie odkaszląć. Po dłuższej chwili wzięła mocny wdech, a następnie przetarła opadające łzy.

– Ale mnie wzięło – rzekła z niedowierzaniem, dodając: – Muszę w końcu rzucić.

Lekko się uśmiechnęłam, a ona spojrzała na biały zegar.

– Jeszcze cztery minuty.

Siedziałam swobodnie, słuchając tykania wskazówki. Przesuwała się rytmicznie, niczym bijące serce. Z małym ale... nie reagowała na emocje i uczucia. Tykała każdego dnia tak samo. Z taką samą częstotliwością i bez względu na kontekst sytuacji jakiej była świadkiem. Nie miało dla niej znaczenia, czy ktoś krzyczy, czy się śmieje, czy może skacze z radości. Mimo to miała wiele wspólnego z sercem. Była nieodłączną częścią każdego człowieka. Dla niektórych wyrocznią, a dla innych wybawieniem.

Na korytarzu słychać było pojedyncze głosy – zwiastun nadchodzącej przerwy. Kilka ruchów dużej wskazówki i rozległ się gong.

– Możesz już iść.

Nie chciałam, było mi dobrze w tym pomieszczeniu. Tylko jedna para oczu, która na mnie spoglądała, nie setka, która czekała na zewnątrz. Minęło kilkanaście miesięcy i jeszcze nie potrafili się przyzwyczaić. Wciąż byłam dla nich dziwakiem, zwłaszcza dla osób, które mnie znały i z którymi dawniej rozmawiałam.

Z niechęcią wstałam, zarzucając plecak na jedno ramię.

– Nie daj się – odrzekła z pogodnym uśmiechem.

Usiadłam na podłodze pod ścianą. Wyprostowałam długie nogi i patrzyłam jak niektóre dzieciaki przeskakując, szły dalej

– Przesuń się dzikusko! – poczułam mocne kopnięcie.

Podkuliłam i po chwili ponownie wyprostowałam. Większość tak siedziała bo to był jeden z wygodniejszych sposobów gdyż niewielkie, drewniane krzesła, które znajdowały się w klasach, nie były zbyt wygodne.

Tym razem, dziesięć minut minęło szybko. Znajomy dźwięk. Korytarz powoli pustoszył się. Czekaliśmy na Wróbel i kolejne eksperymenty chemiczne. Nie była w nich dobra, tak samo jak z punktualnością.

Kilka minut koleżeńskich rozmów. Wymiany informacji i na horyzoncie pojawiła się nauczycielka. Szła z gracją, w butach na wysokim obcasie trzymając niebieski dziennik pod pachą, a w prawej ręce filiżankę kawy. Im bliżej drzwi była, tym więcej dzieciaków wchodziło do klasy. Weszłam przedostania.

Nie komentowała swojego spóźnienia, tylko przystąpiła do czytania listy obecności. Robiła to powoli, a pomiędzy kolejnymi nazwiskami brała łyka.

– To kto nam przypomni tablicę Mendelejewa? Jakiś ochotnik?

Obróciłam się, ale wszystkie ręce były oparte o obdarte i pomalowane ławki.

– Michał. Nb to?

Próbował spojrzeć do tyłu.

– Z głowy.

– H to wodór. C to węgiel. O to tlen, a F to fluor. Wystarczy?

– A czy wymieniałeś Nb?

– No nie.

– A więc jaka jest odpowiedź na twoje pytanie?

– Nb... Nb... Nb... A teraz?

– Czy ty nie potrafisz być poważny?

– Zdarza się proszę pani.

Sąsiad go szturchnął.

– Cieszę się, że potrafisz zachować powagę sytuacji i mam nadzieję, że rodzicom przekażesz równie poważnie o niedostatecznym.

– Ale proszę pani – rzekł błagalnym głosem.

– Tablica nie składa się z trzech pierwiastków....

– Tak wiem – rzekł, biorąc długopis do ręki.

– Nie przerywaj. Tablica nie składa się z trzech pierwiastków, a ty przez ostatnie kilka lekcji nie odpowiedziałeś na żadne pytanie.

– Chemia jest trudna, proszę pani.

– Życie jest trudne, a chemia jest tylko dodatkiem – odrzekła i otworzyła kartę z listą nazwisk.

Dobiegł mnie lekki aczkolwiek wyraźny szept.

– To Niob, głupku.

– Skąd mogłem wiedzieć? – odpowiedział Michał.

– Z głowy. Da!

Wróbel podniosła wzrok. Rozglądnęła się po klasie. Spojrzała raz jeszcze na listę uczniów.

– Kościelniak, skoro tak dobrze sobie radzisz, to jaki jest wzór na Cynę?

– Ale ja nic nie zrobiłem – rzekł, wysoki blondyn z zadziorną grzywką.

– Myślisz, że powinnam udać się do laryngologa?

Kiwnął przecząco głową.

– Właśnie, więc słucham.

Oparła się o biurko, wycierając rękawami marynarki resztki kredy. Zielone ślady pyłu wyraźnie odznaczały się na czarnym materiale.

– Nie wiem.

– Tak myślałam.

– Dostałem niedostateczny?

– A chcesz?

– Zdecydowanie nie.

Wstała, obcasy wydały kilka dźwięków. Podeszła bliżej środkowego rzędu i sięgnęła w kierunku leżących zeszytów.

– Czy ktoś z was nauczył się? Powtórzył?

Cisza.

– Asia, jaki jest wzór cyrkonu?

– Zr.

– Widzicie? Czy tylko ona uczy się chemii?

– Nie mówi, to ma czas na naukę.

– Kto to powiedział? – spytała z niezadowoleniem.

Nikt się nie chciał przyznać. Powoli zaczynałam się przyzwyczajać do tego typu komentarzy bo nie świadczyły o mnie lecz o adresatach.

Przeszła pomiędzy kilkoma ławkami i stanęła tuż obok Jędrka.

– Dlaczego tak powiedziałeś?

– Ale to nie byłem ja. Proszę pani.

– Dobrze wiesz, że nie ze mną te gierki. Przeprós.

Wstał z oburzeniem.

– Siadaj! – dotknęła jego ramienia, na które opadały długie czarne włosy.

– Muszę?

– Nie wiem co wolisz. Rozwiązać tutaj problem czy pójść do pedagoga?

– Przepraszam, nie chciałem – rzekł lekceważąco.

Każdy z nich miał inne metody wychowawcze. Bardziej lub mniej życiowe. Dla większości to były tylko dzieciaki ze wsi, które i tak będą doić krowy przez resztę życia. Poziom nauczania w moim gimnazjum, od kilku lat był jednym z najniższych w województwie. Nikt się nie uczył, a większość nauczycieli przychodziła tylko z obowiązków. Nieliczni traktowali nas odpowiednio i próbowali przekazać wiedzę i cenne wartości. Do nich niewątpliwie należała Wróbel. Na różne sposoby próbowała nas motywować do nauki. Pokazać, że chemia nie musi wzbudzać przerażenia, a wręcz jej nieograniczone możliwości powodują zaciekawienie. Z nią jest jak z życiem. Dodaje się jednej substancji do innej i jeżeli wszystko się dobrze zrobiło to osiągniemy zamierzony efekt. Jeżeli chociaż trochę zmieniły się proporcje to można się okaleczyć, albo radować z powodu nowego odkrycia. Bez chemii nie ma życia i bez życia nie ma chemii. Tej dosłowniej i metaforycznej. To nie tylko wzory i związki, to relacje bez których jednostki nie potrafią odpowiednio funkcjonować.

Życie to jest niekończący się związek chemiczny. To poszczególne wiązania, które nie zawsze są stałe. Ale to też setka nowych, która wypełnia pustą przestrzeń, a gdzieś po środku – człowiek, który się przyczepia albo odczepia. Tworzy swój świat połączeń, kontaktów. Oscyluje pomiędzy wartościowymi i mniej wartościowymi jednostkami lecz ma jeden cel: bycie sobą; do którego dąży prostą drogą, albo krętymi zakrętami.

Nauczycielka demonstrowała kolejne przyrządy chemiczne lecz nikogo z klasy to nie interesowało. Skrupulatnie podnosiła szklane naczynia i z pasją opowiadała o ich budowie. Nikt na nią nie patrzył. Wzrok tkwił w zeszytach, w których pojawiały się czarno niebieskie zygzaki, albo za oknem wpatrując się w ślady samolotów na niebie. Zdążyła omówić trzy akcesoria z piętnastu, kiedy rozległ się dźwięk dzwonka. Wszyscy wychodzi, szturchając stolik na którym były położone szklane przedmioty. Kiwały się, obijając o siebie a żaden nie stuk się. Były kruche, cienkie a jednak mocne. Przeznaczone do wielokrotnego użytku lecz z każdym użyciem słabły.

Poszłam w stronę sali gimnastycznej bo czekała na nas dwu godzinna lekcja wychowania fizycznego. Kiedy po kilkuminutowym spacerze dostrzegłam, że pod drzwiami nie ma nikogo z mojej klasy i że są zamknięte – to mogło świadczyć tylko o jednym: czas do domu.

Kilkoro znajomych minęło mnie lecz nikt nie powiedział, że lekcja została odwołana. Nie mówię lecz to nie znaczy, że nie słucham. Że nie przetwarzam informacji. Jestem takim samym człowiekiem jak oni i powinnam być traktowana w podobny sposób bo nikt nie wie jak się czuję i co przeżywam w takich sytuacjach.

Zatrzymałam się przy niewielkiej gablocie, w której było zapisanych kilka białych kartek. Odszukałam odpowiednią i utwierdziłam się w przekonaniu, że mogę spędzić więcej czasu w parku, o czym nie dowie się ojciec.

Wyszłam z budynku z uśmiechem na twarzy, bo park był moim wentylem bezpieczeństwa. Był miejscem, który zapewniał mi poczucie bezpieczeństwa. Żył swoim życiem a każdy spacerowicz był jego częścią. Mijając dworzec autobusowy byłam pochłonięta słuchaniem muzyki. Wczuwaniem się w każdy takt, w rytmiczne uderzenia w perkusje. Miałam wrażenie, że ktoś mnie woła. Przyspieszyłam kroku bo nie chciałam się przeciskać przez tłum, który wysiadał z kursowego autobusu. Starsze kobiety z wielkimi siatkami, matki z wózkami. Wszyscy schodzili po stromych schodach, a przez szybę można było dostrzec kolejkę, która utworzyła się w środku autobusu. Głównie kobiety – czekały cierpliwie na kolej, wychylając się zza siedzeń, aby spojrzeć ile osób jest przed nimi. Codzienność, do której przyjeżdżają autobusy z wielkiego miasta.

Poczułam, że ktoś mnie dotknął. Nie zareagowałam tylko szłam przed siebie. Przeciskając się koło kolejnych osób, mogłam kogoś, albo ktoś mnie szturchnąć. Przeszłam kilka kroków, kiedy usłyszałam ponownie swoje imię, a także na lewym ramieniu poczułam mocny ucisk. Zatrzymałam się. Gwałtownie zrzuciłam słuchawki z uszu. Chciałam zadać pytanie lecz stanęłam w stuporze.

– Cześć Asiu. Pamiętasz mnie?

Stała przede mną Agata. Na jej pogodną twarz opadała zadziornie grzywka, a lekkie zgarbienie było spowodowane przewieszonym plecakiem przez ramie.

– Zadaje głupie pytania, co?

Potrząsnęłam ramionami.

– Przejdziemy się? Z chęcią zobaczę tajemnicze zakamarki.

Zdjęłam białe kable ze szyi i schowałam do plecaka. Dotrzymywała mi kroku. Nie zadawała pytań, tylko patrzyła na mnie. Na to jak stawiam stopy, jak ruszam rękami, chowając je ze stresu do kieszeni. Czułam się jakbym była na długim, ewaluacyjnym spotkaniu.

– Chciałabym spędzić z tobą więcej czasu. Bardziej ciebie poznać.

Zmierzyłam ją wzrokiem. Nasze oczy ponownie się spotkały lecz tym razem poległam.

– Zapoznałam się z twoją dokumentacją medyczną. Wszystkimi testami, opiniami. Część z nich jest dla ciebie krzywdząca, bo ty nie wymagasz leczenia, ty potrzebujesz bliskiej osoby. Zgadza się?

Nie reagowałam. Słuchałam i szłam przed siebie. W stronę pięknych zielonych terenów.

– Pewnie się zastanawiasz dlaczego tutaj przyjechałam?

Lekko obróciłam głowę, aby kątem oka spojrzeć na nią.

– Jestem inna niż większość psychologów. Jestem trochę podobna do ciebie. Wiem, że ty potrafisz mówić. Tylko tego nie chcesz. Zamknęłaś się we własnym świecie, bo jest tak ci lepiej. Zatrzymałam się bo chciałam posłuchać dalej. Oparłam się o metalowe przesłå płotu. Podkuliłam jedną nogę i skrzyżowałam ręce.

– Nie zamierzam zmuszać ciebie do rozmowy, bo to jest twój świadomy wybór. Chciałabym się dowiedzieć dlaczego podjęłaś taką decyzję?

Poruszyłam się energicznie, odbijając nogą od płotu. I ruszyłam szybkim krokiem.

– Nie pozbędziesz się mnie tak szybko!

Mijałam kolejne krzywo ułożone płytki, a ona za mną. Szła wolno i spokojnie. Oddalałam się od niej, a ona wciąż utrzymywała to samo tempo.

– W końcu odpuścisz.

Zwolniłam bo złapałam zadyszkę idąc pod górę. Dogoniła mnie.

– Krzywdzisz wszystkich. Siebie. Rodziców. Kolegów.

Spuściłam wzrok w stronę krawężnika na którym roilo się od śmieci.

– Wyrządzanie krzywdy innym sprawia ci przyjemność?

Chciałam jej przyłożyć. Zaczęłam biec.

– Myślisz, że uciekniesz od konsekwencji swojego niedojrzałego zachowania?

Biegłam coraz szybciej a ona za mną niczym jak pogoń agresora za ofiarą.

– Nie uciekniesz! Do końca życia będziesz żyła, z poczuciem winy. W beznadziejności!

Zatrzymałam się. Przykucnęłam i rozbeczałam się. Potok łez sam napływał do moich oczu. Liczyły się tylko one. Za każdym razem, rozumiałyśmy się bez słów.

Podeszła do mnie. Jej cień padał na moją ciałą. Przykucnęła zrzucając plecak na betonowy krawężnik. Spojrzała prosto w oczy, które starałam się zakryć rękoma.

– Przepraszam, ale musiałam ciebie sprowokować. Chciałam zobaczyć twoją reakcję.

Chciałam być sama.

– Chodź, wstawaj – zobaczyłam wyciągniętą dłoń w moim kierunku.

Przetarłam twarz bluzką. Wstałam i zaczęłam biec w dół ulicy. Biegłam potykając się o nierówności. Chciałam wbiec do innego świata. Do takiego w którym będę ja i muzyka, w którym nikt nie będzie mnie krzywdzić.

Nie chcąc, aby mnie dogoniła przebiegłam ulicę nie patrząc czy nadjeżdżają jakieś samochody. Wszystko było w rękach losu, moje życie również. Kiedy po drugiej stronie obróciłam się dostrzegłam, że jej nie ma. Tak bardzo uciekałam, że nawet nie obróciłam się, aby sprawdzić czy biegnie za mną. Ścigałam się sama, ze swoimi słabościami.

Usiadłam na przydrożnej, brudnej ławce i zaczęłam głęboko oddychać. Ze zmęczenia i z życiowego strachu. Nie mogłam się uspokoić. Brałam coraz większe oddechy, ale miałam wrażenie, że są tak płytkie, że się zaraz uduszę. Ciało zaczęło lekko drżeć, a nudności przypominały o spożytym śniadaniu. Włożyłam ręce pod nogi – lekko siadając na nich, tak aby przestały wykonywać niekontrolowane ruchy, które powodowały, że przechodzący ludzie patrzyli się na mnie. Liczyłam wizualizowane barany, które przeskakiwały zagrodę. Musiałam skupić myśli nad czymś przyjemniejszym niż życie.

Skakały tak niewinnie. Jeden za drugim. Wszystkie robiły to samo. Jeden z nich – mały, potknął się i nie zdołał przeskoczyć. Kolejne ominęły go i wysoko przeskoczyły, zostawiając go leżącego na trawie. Następne kilka zrobiły to samo. Doliczyłam do trzydziestu, i on wciąż leżał w tym samym miejscu. Kiedy próbował się podnieść. Podbiegł następny i trącił go delikatnie powodując jego upadek. Przebiegły wszystkie, a on lekko podniósł głowę, aby się podnieść. Nie miał siły, opuścił ją, mocno tuląc do trawy. Leżąc widział jak jego towarzysze oddalają się – nie patrząc za siebie. Nie sprawdzając, czy wszyscy zdołali się uwolnić. Chęć wolności była tak silna, że nic oprócz niej nie liczyło się.

– Wszystko w porządku, drogie dziecko? – rzekła starsza kobieta, która stanęła tuż obok.

Przytaknęłam głową a jej wzrok nadal był pytający.

– Na pewno?

Kiwnęłam jeszcze raz, tym razem dodając szeroki uśmiech.

Położyła jednorazową reklamówkę na ławce i zaczęła energicznie szukać czegoś w środku. Oprócz chleba i mleka była też butelka wódki, którą delikatnie starała się zakryć. Nie wyglądała na alkoholicką. Miała zmarszczki na twarzy i lekko pomarszczone dłonie lecz była schludnie ubrana. Jej siwe włosy były zaplecione w dużego koka i mimo wieku miała bardzo gęste włosy.

– Proszę – wyciągnęła tabliczkę gorzkiej czekolady.

Pokiwałam przecząco głową.

– Nie krępuj się. Proszę. – Przybliżyła rękę, w której trzymała czekoladę.

Przesunęłam się trochę, sugerując, że nie mam ochoty na słodkości. Położyła na ławce, zabierając zakupy, po czym odeszła wolnym krokiem. Jakby doceniała każdą minutę na zewnątrz. Po kilkudziesięciu metrach obróciła się w moją stronę. Skinęła głowę i poszła przed siebie. Spojrzałam na darmową czekoladę, która była na wyciągnięcie ręki. Kilkaset kalorii i potężna dawka serotoniny. Kolorowe opakowanie zachęcało do spożycia lecz wstałam i poszłam

w kierunku parku. Nie potrzebowałam pocieszenia bo ono tak samo szybko przychodzi, jak odchodzi.

Kilka godzin później byłam już w swojej prawdziwej rzeczywistości.

– Jak było w szkole? – zapytała matka, siedząc przy stole.

Rzekła to z taką obojętnością, jakby to był jej codzienny przymus, albo wiedziała, że nie odpowiem. Tak też zrobiłam, lecz tym razem usiadałam naprzeciwko niej.

Była wpatrzona w krzyżówki, które skrupulatnie rozwiązywała. Każde wolne pole wypełniała jedną literą, starannie napisaną, tak aby żaden bok nie dotykał czarnego obramowania.

Rozwiązywała je, kiedy nie było ojca w domu. To był jej jedyny czas wolny, rozrywka na jaką mogła sobie pozwolić w ciągu dnia. Krzyżówki dostawała od koleżanki, która pracowała w kiosku ruchu. Zawsze przynosiła jej te, które się nie sprzedały, a chowała je w spiżarni między słoikami, bo tylko tam ojciec nie zaglądał. Dla niego to była strata czasu bo nie mógł zrozumieć jaki jest cel wpisywania wyrazów, które są rozwiązaniem. Zawsze uważał, że one są dla ludzi głupich, którzy nie mają bardziej wartościowych obowiązków do wykonania, ale też nigdy nie spojrzał do środka. Nie docenił wiedzy, jaką trzeba mieć, aby wpisać krótki wyraz. Oczernianie było jego domeną.

– Surowiec na asfalt – wyszeptała matka, po czym spojrzała w moim kierunku.

Podniosła głowę, opuściła niebieski, zgryziony długopis na stół i odeszła w stronę toalety. Wyciągnęłam rękę w kierunku kolorowych pól i po chwili w pustych kratkach pojawiło się słowo „mazut”. Odłożyłam wszystko dokładnie tak jak było. I odeszłam.

– Dziękuję! – usłyszałam głośno, będąc już w swoim pokoju.

Podpięłam słuchawki do laptopa, odpaliłam playlistę i wpatrywałam się jak postacie, które się ruszały w klipie zaczęły tworzyć historię. Nie były dodatkiem do dźwięku, uzupełniały go, tworząc odrębną opowieść. Nie trzeba było słów, aby ją zrozumieć. Wystarczyły gesty, ruch oraz pojawiający się obraz. Płynące bodźce w połączeniu z harmonijnymi dźwiękami były tak mocne, że znalazłam się w ich świetle. Świecie dziecięcej przyjaźni i miłości.

Miałam osiem lat, a on pięć. Był miłością mojego życia. Przyjacielem. I ukochanym bratem, którego już nie ma obok mnie. Jest w mojej pamięci i być może matki. Nie ma go w naszym domu, na zdjęciach i pamiątek po nim. W dniu pogrzebu pamięć o nim została wyrzucona. Nie mogłam patrzeć jak ojciec rozpałił ognisko i co chwilę wrzucał kolejne ubrania, buty, kolorowanki. Matka biegła za nim, chwytając mocno za ręce i błagała, aby tego nie robił. Aby zostawił jego ulubionego niebieskiego misia, ale ojciec z pełną obojętnością wrzucił go do ogniska. Buchnęło płomieniami. A on zaczął się kurczyć. Patrzyłam przez okno jak dym się unosi w powietrzu, jak ojciec w szale wrzuca kolejne rzeczy. Nie płakałam, bo mój ból był zbyt duży. Pozbawił mnie wszystkich łez. Kazał się kotłować w moim wnętrzu, bez możliwości ulgi. Ulga odeszła razem z Jasiem.

Nigdy nikogo tak nie pokocham jak kochałam jego. To była bezwarunkowa miłość na którą niewiele osób zasługuje. Był dojrzały, a długie rozmowy z nim były czymś wyjątkowym. Czymś czego nie da się ująć w słowa. Dokuczał mi jak każdy młodszy brat, a w swoich rozważaniach życiowych kreował zupełnie inny świat. Świat w którym chciałoby się egzystować. Przepelniony

dobrocią, wsparciem i szacunkiem. Tak jak opowiadał, tak się zachowywał. Miał kilka lat, a był bardziej odważny niż ja – ta, która powinna dawać mu przykład. To on był wzorcem godnym do naśladowania, a dla ojca przemądrzałym dzieckiem. Nie potrafił go zrozumieć, docenić jego dobrego serca. Był dla niego nieudacznikiem, jak każdy z nas.

Pamiętam szczególnie jeden wieczór.

On.

Zima. Awantura w domu. Wyszliśmy oboje na zewnątrz, pod pretekstem jazdy na sankach, aby być z dala od krzywdzących słów. Było zbyt zimno, aby bawić się na śniegu, więc poszliśmy do stajni. Położyliśmy się na sianie. I po chwili zamyślenia odezwał się chłopięcy głos.

– Nigdy ciebie nie opuszczę.

Nie wiedziałam co mam odpowiedzieć. Słowa w jego ustach brzmiały tak poważnie, że wydawało mi się, że obok jest dojrzały mężczyzna. Przytuliłam go mocno.

– Zawsze będziemy mieć siebie – odrzekłam.

– Nie zawsze.

– Co masz na myśli?

– No wiesz śmierć. Jedno z nas będzie tutaj, a drugie daleko.

Usiadłam bo żdźbła zaczęły mnie kłuć.

– Dlaczego myślisz o śmierci?

– A ty nie myślisz?

– Mam osiem lat.

– Dzieci też umierają.

Zamilkłam bo był inteligentniejszy ode mnie. Często myślał w kontekście śmierci a ja życia, które nas czekało. Kres był nieunikniony lecz dla mnie ta wizja była wciąż zbyt odległa. Chciałam się bawić, poznawać świat oraz ludzi. Wymyślać kim będę jak dorosnę. Nie myślałam o końcu, o tym jak będzie wyglądać i o tym ile będę miała lat. Jaśkowi takie rozmowy przychodziły z łatwością. Swoboda w jakiej wypowiadała się świadczyła o tym, że był przygotowany na pożegnanie się. Tak jakby wewnętrznie czuł, że za kilka miesięcy pozna drugi świat i zostanie w nim już na zawsze.

W pokoju

Dlaczego tak się stało? Był przecież młody. Był moim niezastąpionym powiernikiem. Drugą połową, która mi dokuczała a także kochała. Z biegiem czasu przestałam zadawać pytania, bo one tylko rozdrapywały zabliźnione rany. Nauczyłam się żyć ze świadomością, że on jest tuż obok. Że mogę z nim za każdym razem porozmawiać lecz nie potrafiłam. Było to dla mnie zbyt wyimaginowane. Nie wyrzuciłam go z pamięci. Zdystansowałam się do tego, że już nigdy go nie zobaczę i nie dotknę. Nie przytulę. Siedział sobie wygodnie, gdzieś pośród innych myśli, wspomnień i za każdym razem czułam jego obecność. Miałam wrażenie, że słyszę bicie serca, ten rozbrajający śmiech, który paraliżował ciało. To było ukryte pragnienie, chęć cofnięcia

czasu. Powrotu do niezapomnianych momentów, które rozpromieniały moje życie i jego. ta piosenka, w której dwójka dzieci wyznaje sobie przyjacielską miłość, on wspiera ją, kiedy jej matka zachorowała... To jest nasza piosenka. I zawsze nią pozostanie.

Uspakajała mnie, bo wyobrażałam sobie jego lecz także powodowała smutek, bo zostałam osamotniona. Razem z nim odeszła częśćka mnie, chociaż wszyscy twierdzili, że się dzielnie trzymam. To było ich zdanie, bo nikt nigdy mnie nie zapytał jak się czuje po jego śmierci. Rodzice ze mną nie rozmawiali na ten temat. Matka płakała po kątach i przesiadywała w nocy przy oknie i wypatrywała jego śladów na śniegu. To było coś okropnego, zwłaszcza gdy rano zapominała się i przygotowywała dodatkowy talerz, który wręcz straszył. Nie było to łatwe dla mnie i nie byłam w stanie wyobrazić sobie co czuła matka bo ojciec stwierdził, że nie musi się zajmować bachorem.

Utwór dobiegł końca. Przeraźliwa cisza w słuchawkach. Kilka sekund i zapętlone nuty zaczęły ponownie tworzyć piękne dźwięki. Wpatrywałam się przez kilka minut w pustą kartę, a kursor migał na pasku adresu. Palce automatycznie napisały kilka literek i po długiej przerwie zobaczyłam jej nicka i zielone litery, które pojawiały się w oknie czata. Chwyciłam szybko myszkę i kliknęłam energicznie na ikona. Trzasnęłam pokrywę laptopa i wstając o mało nie zrzuciłam go na ziemię, bo słuchawki mocno go szarpnęły.

Położyłam się, usypiając.

Przebudził mnie głośny krzyk. Spojrzałam na telefon i zobaczyłam, że było dwadzieścia minut po godzinie drugiej. Przykryłam kołdrą głowę, ale nadal słyszałam toczącą się rozmowę.

– Rób!

– Nie dzisiaj. Daj spokój!

– Jak mówię, że masz zrobić to masz zrobić!

– Proszę, nie.

– Na kolana! I rób!

– Błagam....

– Chcesz powtórkę z zeszłego tygodnia?

Wytargałam ją. Mocno przycisnęłam go do prawego ucha i nastąpiła cisza.

Przyzwyczaiłam się do tego lecz wciąż nie potrafiłam słuchać. Wiedziałam, że w sypialni rozgrywały się dramaty matki. Byłam bezsilna. Moja autonomia, tak samo jak jej – była przy nim.

Trzymałam kurczowo cały czas miękkiego jąka i zastanawiałam się czy już skończyli, czy mogę wychylić głowę spod kołdry. Było mi duszno i coraz cieplej. Tak jak ona chciałam się znaleźć w innym miejscu - tam, gdzie jego nie ma. To się wydawało zbyt odległą myślą. Marzeniem, które wiesz, że się nigdy nie spełni. Nawet jak bardzo chcesz i się starasz. Wydaje ci się, że się zbliżasz małymi krokami do niego, ale przeszkody są zbyt natarczywe. Z każdym krokiem – spychają ciebie na pobocze. Wpadasz do głębokiego rowu i próbujesz się wydostać. Chwytasz najpierw jedną ręką grząską ziemię, a następnie drugą. Próbujesz wspiąć się na nogach, lecz podłoże się osuwa. Spadasz i próbujesz nadal. Wykonujesz te same czynności. Masz mniej siły, ale nadal tli się nadzieja. Dosięgasz krawędzi po kilku nieudanych próbach. Wkładasz resztę

energii, aby się wydostać. I nagle czujesz ból. Ktoś stanął na twoje palce. Osuwają się wolno, sypiąc ziemię do oczu. Schyłasz głowę, zaciskasz zęby z bólu i próbujesz przesunąć palce kilka centymetrów. Ale one odmawiają posłuszeństwa. Bardzo chcesz lecz boleśnie upadasz na dno. On stoi nad tobą i się szeroko uśmiecha. Uświadamia ci, że walka jest bez sensu. Pokazuje swoje, a jednocześnie twoje miejsce w szeregu. Jesteś małym szarym człowiekiem, który może się poruszać wzdłuż ciemnego rowu. Każda próba wydostania staje się klęską. Nadzieja i wola walki gaśnie z każdym dniem. Aż w końcu zgadzasz się żyć na dnie. Jesteś grzeczna po to, aby otrzymać posiłek i wodę. Każdy sprzeciw kończy się ograniczeniem jedzenia, a więc starasz się być posłuszną bo chcesz żyć. W szerokim i głębokim rowie, ale czasami promienie słoneczne, które docierają powodują, że się rozjaśnia. Przebłyśki regenerują chęć walki, która nie trwa długo bo wiesz, że znowu ktoś nadeptnie na twoje palce. Zaczynasz akceptować. Przyzwyczajając się do ziemi, która ciebie otacza a jednocześnie ogranicza. Stajesz się bierna, bo chmury zasłaniają słońce. Zostajesz sama – pozbawiona nadziei. Oddajesz siebie i swoje życie.

– Aśka! Aśka!

Otwieram z trudem oczy. Matka mnie szturcha.

– Wstawaj! Znowu się spóźnisz.

Spoglądam na zegarek, na którym jest piętnaście minut po siódmej. Patrzę z niedowierzaniem. Mam wrażenie, że jest noc. Nie wiem kiedy usnęłam lecz śpiew ptaków i jasność w pokoju uświadamiają, że jest dzień.

– Śniadanie na stole.

Odkryłam kołdrę i ku zdziwieniu, miałam na sobie ubranie z dnia poprzedniego. Podniosłam się i nerwowo przecierałam zaspane oczy.

– Szybciej!

Znowu będzie, że zdenerwowałam ojca. Że musi mnie zawieźć do szkoły, bo autobus odjechał.

Byłam niewyspana. Zeszłam leniwie po schodach.

Siedział przy stole i jadł kielbasę. Przy moim miejscu czekała niewielka miska owsianki. Nie miałam ochoty siadać koło niego. Zawiesiłam plecak na ramię i wyszłam na zewnątrz. Usiadałam na betonowym murku i zaczęłam wpatrywać się w kury.

Czasami miałam wrażenie, że one mają lepsze życie. Że ojciec pozwala im na więcej. Nie trzyma ich cały czas w kurniku. Wypuszcza, aby mogły zaznać trochę wolności. Nie uciekały, bo wiedziały, że jak to robią, to ich zabije. Nie lubił, gdy ktoś był nieposłuszny. Dotyczyło to każdej oddychającej istoty. Bez względu na to czy miała dwie kończyny, czy cztery.

Brama zawsze była otwarta i była symbolem wolności oraz uwięzienia. Z łatwością można było przejść do drugiego świata. Ale trzeba było liczyć się z konsekwencjami powrotu, które bywały okrutne.

Drzwi się otworzyły. Poczułam jego głośny oddech na plecach. Ohydne chrząknięcie a następnie koło mojego buta znalazła się wielka plama śliny. W ręce trzymał kawałek wykałaczki, którą zaczął dłubać między zębami.

Nie wiem dlaczego matka go poślubiła. Był wulgarny. Niechlujny i brzydki. Podobno jak był młodszy to był przystojny, ale te jego wredne oczy, w których widać jego prawdziwe oblicze

powodują, że na ciele pojawia się gęsia skórka. Był moim ojcem i mnie przerażał. Nie tylko zachowaniem lecz również wyglądem.

– Jeszcze tutaj siedzisz?! Dawno powinnaś być w samochodzie.

Podniosłam się. Otrzepałam spodnie i poczułam mocny uścisk na ramieniu. Obróciłam się z niechęcią i spojrzałam na jego twarz. Z lewego kąca ust wystawała wykałaczka. Puścił mnie i sięgnął po nią.

– Marsz do szkoły! – huknął i cisnął wykałaczką w stronę samochodu.

Wzdrygnęłam się i zrobiłam krok w tył, lekko tracąc równowagę na schodzie.

– No już! – krzyknął i obrócił się na pięcie, wchodząc do domu.

Czekał mnie czterdziesto-pięć minutowy spacer, albo godzinne czekanie na przystanku autobusowym.

Wyjęłam swój świat z plecaka i wybrałam drogę na skróty. Przeszłam kilkaset metrów po kamienistej drodze, po to, aby zanurzyć stopy w wysokich trawach, które sięgały do moich kolan. Pomiędzy kolejnymi dźwiękami w słuchawkach, słyszałam głos wydawany przez wypasające się krowy. Rozglądałam się, aby je dostrzec lecz mój wzrok został przyciągnięty przez wysokie, bujne drzewa, które zaczęły się wyłaniać. Skupiłam się na jednym – samotniku, który był z dala od innych. Był rozłożysty. Miał kilka metrów wysokości, a jego konary delikatnie muskały bujne zarośla. Zatrzymałam się. Kolejny mocny dźwięk w słuchawkach zrobił podniosłą atmosferę.

Stałam przez chwilę, wpatrzona jak zielone, duże liście lekko wirują. Nie mogłam przestać patrzeć. Było tak pięknie. Z lewej las. Z prawej las. I on. Praktycznie pośrodku. W otoczeniu wysokich traw. Zrobiłam w zadumie kilkanaście kroków. Znalazłam się tuż pod przepięknymi gałęziami. Niewątpliwie był starym drzewem, bo niektóre z nich wyglądały na spróchniałe.

Usiadłam, opierając się o masywny konar, i mój wzrok powędrował ku górze. Bezchmurne niebo przedzierało się pomiędzy różnokształtnymi liśćmi. Niebieskie i zielone. Zielone i niebieskie. Z boku inna perspektywa. Z góry inna. Mijałam go często, przechodząc obojętnie lecz od dzisiaj wiedziałam, że to będzie moje drzewo. I tylko moje.

Zawiało mocniej. Jeden liść spadł tuż przed brudne buty. Urwał się frywolnie lub został do tego zmuszony przez wiatr. Podniosłam i dostrzegłam, że to był liść dębu. Obracałam, trzymając za ogonek. Był niesymetryczny. Był inny, niż te, które leżały nieopodal a jednak wyjątkowy, bo inny. Wyjątkowy bo się wyróżniał spośród setek podobnych. Jednocześnie normalny, bo żył w otoczeniu sąsiadujących, symetrycznych aż do teraz, kiedy moje niewielkie palce ściskają, krótki i cienki koniec. Z delikatnością, aby nie skrzywdzić go jeszcze bardziej a zarazem z dozą ciekawości i współczucia, bo upadł i nie był w stanie podnieść się. Stał się zależy od innych, był w ich rękach.

Upuściłam go nagle bo odgłos szybko biegnącej zwierzyny, wystraszył mnie. Dostrzegłam tylko jak trawa poruszyła się, wyznaczając tor biegu. Prostoliniowy ślad zabrał mnie w głąb wspomnień.

Polowanie

Siarczysta zima. Zięb wdzierał się, każdą szparą do domu. Na szybach niewielki szron malował swoją historię. W powietrzu głębszy wydech rzeźbił nierówne okręgi. Drzwi zaskrzypiały.

– Ale mrozi – rzekł ojciec pocierając ręce.

– A tobie polowania się zachciewa na taki mróz.

Sięgnął po strzelbę, która była oparta o ścianę. Zarzucił skórzany pasek na ramię.

– Jasiek!

– Chyba.... – zaczęła matka.

– Jasiek! Jasiek! Wychodzimy.

Rozległ się entuzjastyczny bieg po schodach.

– Hura! Będziemy bałwana lepić – rzekł, skacząc radośnie z dwóch schodów.

– Nie synu. Nie będziemy.

Staął przed ojcem i wpatrywał się na długą broń. Obrócił się w moim kierunku, i na jego twarzy zarysował się smutek.

– Idziemy na polowanie – dodał.

– Nie chcę.

– Ubieraj kurtkę i nie dyskutuj.

– Nie – odpowiedział z przytupem.

Obrócił się na pięcie i chciał pobiec w kierunku schodów, lecz długa ręka ojca, zatrzymała jego ruch.

– Zostaw go jak nie chce – wtrąciła matka, która zabierała talerze ze stołu.

Ojciec zbliżył się do Jaśka. Przykucnął. Ich spojrzenia dzieliło kilka centymetrów. Obie dłonie ojca przytrzymały drobne kości przedramienia nie mając możliwości ruchu.

– Jak mówię, że idziemy, to znaczy, że idziemy. Czy ja mówię niewyraźnie?

Jasiek nic nie odpowiedział. Patrzył z przerażeniem na czarną broń.

– Głuchy jesteś! Odpowiedz! – krzyknął tak głośno, że matka upuściła porcelanowy kubek.

Schyliła się szybko i zaczęła delikatnie zbierać rozłuczone białe kawałki.

– Nie chcę. Nie chcę patrzeć jak strzelasz. Jak je zabijasz – wyszeptał drżącym głosem.

– Ale będziesz, bo musisz się nauczyć.

– Nie będę tego robić.

Próbował się uwolnić z objęć ojca lecz zbyt mocno go krępowały.

– Mówię po raz ostatni. Ubieraj się! I nie dyskutuj ze mną dłużej!

Puścił Jaśka, który podbiegł do matki.

– Mamo... ja nie chcę.

Podniosła głowę i spojrzała na twarz ojca, na której była zarysowana odpowiedź.

– Weź kurtkę i idź z tatą. Szybciutko.

Opuścił głowę i wpatrując się w drewnianą podłogę udał się w kierunku dużej szafy. W jego ślicznych, malutkich oczach nie tylko było przerażenie, ale także smutek. Miał cztery lata. Nie powinien być świadkiem scen zabijania zwierząt. Nie był wystarczająco dojrzały do tego. Zrobiło mi się jego żal.

Kiedy ubierał kurtkę, ojciec wyszedł na zewnątrz i zaczął mierzyć ze strzelby w kierunku psa, który był na ulicy.

– Chodź, pójdziemy razem – odrzekłam, podnosząc się z kanapy.

Jasiek bez zastanowienia, rzucił się w moim kierunku i mocno mnie przytulił.

– Dziękuję – wyszeptał.

Jego oczy zaszkliły się, a moje serce zaczęło mocniej bić.

W domu rozległ się głośny huk. Ojciec zaczął uderzać bronią w drzwi, dając do zrozumienia, że musimy się pośpieszyć. Zarzuciłam starą, puchową kurtkę na siebie. Tymczasem matka przewiązywała szalik wokół szyi Jaśka. To był dokładnie ten sam, który jeszcze kilka lat temu wiązała na mojej. Szary, brzydki. Dziergany na drutach. Dostałam go jako prezent świąteczny od babci. Nie podobał mi się lecz doceniłam pracę jaką włożyła w zrobienie jego. Dopiero się uczyła robić na drutach, a on był pierwszą ukończoną rzeczą przez nią. Kolejne prezenty – również ręcznie wykonane były już ładniejsze.

– Ruszać się matyły! – usłyszeliśmy zza drzwi.

– No, już idźcie – wyszeptała matka i dała całusa Jaśkowi.

Otworzył drzwi i buchnęło chłodem. Na zewnątrz straszyla ciemność.

Zrobiłam kilka kroków po zamrożonym śniegu i dostrzegłam lekko oświetlonego ojca. Stał tuż pod lampą, która wisiała przy wejściu do stodoły. Z nad jego ust unosiły się kłęby dymu papierosowego, które w obliczu światła były niczym poranna mgła nad pagórkami. Jasiek mocno chwycił mnie za rękę.

– To idziemy! Zobaczmy co upolujecie.

Mocno się zaciągnął i jednym, długim wydechem posłał wielką falę dymu, która zmieszała się ze skroploną wodą, tworząc duże, chwilowe dzieło. Twór, który jest jak bańka mydlana dla dzieci. Przybiera odpowiedni kształt, wzbudza chwilowy zachwyt. Przenosi do świata bajek, Księżniczek i Książąt, którzy są perfekcyjni. Mężczyzn, którzy są w wyobraźni wielu kobiet. Których każda kobieta pragnie, ale to rzeczywistość rewiduje nasze marzenia i ona jest panem naszego życia, naszych wyborów. Decyzji, które wydają się słuszne, ale stają się tylko pozorami. Drogami, którymi podążamy przez całe życia, niezliczonymi zakrętami oraz przeszkodami. Z wielkimi górami, na które ciężko wspiąć się a z których łatwo się spada. Niekoniecznie do basenu wypełnionego ciepłą i błękitną wodą. Częściej do sadzawki, w której fekalia próbują znaleźć rurę wylotową, a która jest porośnięta roślinnością, dla której pożywienie nie ma znaczenia.

W powietrzu rozległ się huk strzelby. Jasiek mocno ścisnął moją zmarzniętą rękę. Ojciec przyspieszył kroku.

– Szybciej, bo ominie nas najlepsza zabawa!

Szedł utartą ścieżką pomiędzy drzewami a my za nim. W milczeniu. W zadumie. I z wieloma pytaniami. Pytaniami na które nie mieliśmy odpowiedzi. Nikt nie miał na nie. Były zbyt dziecinny. A jednocześnie szczerymi i oczekującymi prostego wytłumaczenia lecz ono było za trudne dla kogoś, kto nie szanował rodziny.

– Chcę do domu – zaczął pojękiwać Jasiek.

- Niedługo wrócimy. I wiesz co...?
- Co? – zapytał ochotczo.
- Zrobię ci pyszną gorącą czekoladę, co ty na to?

Coś zaszeleściło.

- Zatkanąć się – syknął ojciec.

Jasiek jeszcze mocniej objął moją rękę. Ojciec wyłączył swoją niewielką latarkę, która oświetlała ścieżkę. Przyłożył strzelbę i zaczął poszukiwać celu.

- Boję się – wyszeptał Jasiek.
- Cicho! – wyszczał przez zęby.

Zatrzymaliśmy się. Cisza ogarnęła las. Na skórze pojawiła się gęsia skórka a serce zaczęło szybciej bić. Dopadła nas ciemność i w pewnej chwili nie wiedziałam gdzie jestem. Ojciec się oddalił, zostawiając z Jaśkiem, który mnie nie puszczał. Obróciłam się nerwowo, aby zobaczyć drogę powrotną lecz dostrzegłam obezwładniającą czern.

- Umrzemy... – wyszeptał Jasiek.

- Oszalałeś?!

- Jak trafimy do domu?

- Nie martw się coś wymyślimy – przytuliłam go mocniej.

Bałam się ruszyć, zrobić kilka kroków. Czułam jak zimno zaczyna paraliżować stopy. Zaczęłam dreptać w miejscu a po chwili brat. Próbowałam dostrzec kogoś, coś znajomego lecz to gałęzie smagały po plecach, a pod butami rozpościerał się skrzypiący śnieg. Nie wiedziałam w którą stronę mam pójść. Miałam wrażenie, że jestem na pustyni, z tym, że żar słoneczny zamienił się w piekielny mróz, który z coraz większą swobodą wdzierał się pod kurtkę. Zaczęłam wyobrażać, że dopiero rano nas ktoś znajdzie i, że będzie za późno na ratunek. Niewiele dzieliło nas od domu i od ludzi lecz w zagubieniu nawet jeden krok wydaje się milionem. Dystansem nie do pokonania, zwłaszcza w ciemności. I strachu, który próbuje nas ratować przed ucieczką.

Jasiek prawie podskoczy, wzdygnęłam się, gdy kolejne naboje opuściły strzelbę. Próbowałam zlokalizować pojękiwania zwierzyny lecz miałam wrażenie, że dźwięk bawi się ze mną. Odbija od drzew, zmieniając kierunek, tak, aby wprowadzić jeszcze większe zagubienie. Miałam wrażenie, że kręcę się dookoła, bo czern wydawała się jednakowa.

- Patrz! – krzyknął Jasiek, wskazując na niewielkie, ruchome światło latarki.

Podążaliśmy w jego kierunku, pokonując gałęzie, które czyhały na nas. ono też z nami bawiło się. Raz znikало, po to, aby za chwilę pokazać się kilka metrów dalej, wzbudzając strach. Uczucie, które zaczęło przysłać ból zmarzniętych palców. Nie wiem co było gorsze: strach czy ból. Czy może mieszanka obydwu, która powodowała, że nogi przemieszczały się z trudem. Zatrzymaliśmy się. Wyteżyłam wzrok, aby znaleźć źródło światła lecz ponownie, obraz był jednostajny.

- Zgubiliśmy się! – wyszczał Jasiek.
- Pamiętasz, co ci obiecałam?
- Czekoladę.
- No właśnie.

– Ale mi zimno – puścił moją rękę, i dostrzegłam jak mocno dmucha, pocierając obie dłonie. Chwyciłam drobne palce, i zaczęłam ogrzewać swoimi, których temperatura była zbliżona do wody w studni.

– Ja chcę do domu...

Schyliłam się, i z trudem dostrzegłam na policzku, spływającą łzę. Krople, która ma wiele znaczeń. Za którą kryje się wiele historii. Nasza nie należała do tych z rodzaju radosnego, lecz wręcz przeciwnie. Była aktem błagania, bezsilności. Słona, mała, ale jednocześnie z potężnym wydźwiękiem. Delikatnie otarłam, ale tuż po chwili pojawiła się kolejna. I kolejna. Jakby z jego beztroskich oczu, popłynęła rzeka. Powódź, której nie da się zatamować, która powinna przynieść ulgę. Oczyszczenie, ale nie w tej sytuacji. Jego chłopięcą twarz zalewały coraz większe łzy. Miałam gulę w gardle i sama potrzebowałam pocieszenia, kilku słów, drogowskazów. Ścieżki, którą podążać, a miałam jeszcze jego przy sobie. Małego, niewinnego człowieka, który był w moim życiu wszystkim. Wszystkim dobrym, co mnie spotkało.

– Zmęczony jestem – wyszeptał i objął za szyję.

Poczułam ciepło, które rozlało się po ciele. Ciepło bliskości, mimo iż odgradzała nas kilku warstwowa odzież. Mur, który powinien być barierą stał się kluczem do serca.

Wstałam, ponownie próbując dostrzec światła latarek, głosów i szelestów lecz byłam w otchłani. Nabrałam dużo powietrza. Przyłożyłam, złożone ręce do twarzy i zaczęłam krzyczeć.

– Tato! Tato! Tato!

Słowa prawie utknęły w gardle. Ich ścieżka nigdy nie była przetarta, a wręcz utarta kolczastym drutem, o który struny głosowe ocierały się, tworząc ból. Wewnętrzny, który był moją tajemnicą. Przez kolejne sekundy słyszałam jak głos podąża, zmieniając natężenie oraz kierunek. Wędrował od drzewa do drzewa. Z panującej ciszy zamienił las w wybieg dla zwierząt. Był aktem desperacji, który z każdą chwilą malał, aż w końcu ucichł wytężając szelesty. Odgłosy zwierzyny powodowały palpitacje serca. Wciąż czekałam na ten jeden – ten, który znam od kilku lat. Ten, którego nienawidzę a który jest światłem w ogromnym tunelu.

– Nie ma go...

– Przyjdzie.

– Spać mi się chce.

– Co powiesz na małą zabawę? Pajacyki?

– Nie mam siły.

Szturchnęłam go.

– No dawaj młody! Raz, dwa, trzy!

Zaczęłam z trudem wymachiwać nogami i rękami, po to tylko, aby go nie stracić. Nogi odmawiały posłuszeństwa, ledwo podnosiłam do góry ciężkie, zimowe buty, po to, aby po sekundzie opuścić na lodowaty śnieg. Słyszałam swoje sapanie, i widziałam obrazy namalowane przez skroploną wodę. Jasek stał z trudem i ze zrezygnowaniem. Patrzył się na mnie tymi swoimi, dużymi oczami lecz nic nie mówił. Był obecny ciałem, a jego duch powoli odpływał. Zaczynał się poddawać. Bez walki. W obliczu srogiego mrozu, i ciemności.

– Zimno mi, przytul mnie.

Przycisnęłam niewielkie ciało. Objęłam mocno i nie pamiętam co było dalej. Czarna, wielka dziura. Obudziłam się w domu następnego dnia, okryta kilkoma kocami, w tym jednym ciężkim, wzorzystym, na którym były dzikie zwierzęta. Jego ciężar przypominał stary, wiejski dywan, który miał białe frędzle po bokach. Chciałam się ruszyć, sprawdzić gdzie jest Jasiek, dowiedzieć co się stało, ale nogi wciąż były ciężkimi, zimnymi kłodami.

Kilka dni później poszłam do szkoły. Ten dzień wyjątkowo pamiętam. To było kilka godzin męczarni, bycia poniżanym. Kiedy szłam korytarzem słyszałam tylko szepty.

– Ej, to ona. To ją znalazł ten rolnik.

– Podobno ojciec ich porzucił w lesie.

– Ej, przybłędo to prawda?!

Podeszłam do piegowatego, którego wzrost sięgał do ramion. Spojrzałam z góry na jego nierówne piegi, który pokrywały jego twarz. Chciałam pchnąć go w kierunku ściany, tak, aby mocno poczuł zderzenie z twardym przedmiotem lecz powstrzymałam się. Spoglądałam z pogardą i odeszłam z wysoko uniesioną głową. Dumnie, mimo iż w sercu czułam ogromny ból. Ból wywołany krzywdzącymi słowami. Czynami, które na długo malują się w pamięci, które już przez całe życie były ze mną. I, które powracały ze zdwojoną siłą w chwilach słabości oraz zwątpienia a jego twarz przemyka przez moje życie, niczym sylwestrowe fajerwerki. Pojawia się nagle i równie szybko znika. Zostawiając ślad na kolejne minuty.

W tym wszystkim byłam sama. Miałam kilka lat, i słowa innych odcisnęły pięto na mojej podróży życiowej. Żaden nauczyciel nie zareagował na zachowanie uczniów, a wręcz miałam wrażenie, że oni również dobrze bawili się. Zostałam nieoczekiwaną gwiazdą szkolną i całej wsi. Oczy wszystkich były zwrócone na mnie. Nie mogłam przejść korytarzem bez wzbudzania zainteresowania, a niektórzy wręcz nie kryli się ze swoim zachowaniem. Wskazywali na mnie palcem, i bez zażenowania komentowali.

Nie chciałam tego słuchać, więc schowałam się w jednej, pustej klasie. Usiadłam w kącie i zaczęłam płakać. Szlochać z bezsilności i bólu, który mnie zżerał od wewnątrz. Przeplakałam całą długą przerwę, po to, aby kilka minut później znaleźć się w swojej klasie. Siedziałam w pierwszej ławce i uwagi dotyczące mojej osoby nie cichły nawet w ostatnim rzędzie. Zaciskałam zęby, próbując zatrzymać napływające łzy, bo nie chciałam pokazać swojej słabości. Nie w towarzystwie dzieciaków, rówieśników, którzy potrafili być wyjątkowo złośliwi. Lekcję dłużyły się więc z niecierpliwością patrzyłam na zegar. Chciałam być daleko, na egzotycznej wyspie. Pośród bujnej roślinności i przyjaznych zwierząt. W chatce na drzewie, do której wdzierały się niewielkie małpy a w której obok mnie siedzi uśmiechnięty Jasiek lecz to była iluzja życia. Ironiczna gra moich marzeń. Głośny gong oddał mnie rzeczywistości.

Zaczęłam pakować książki i przybory. Poczułam mocne pchnięcie i nieświeży oddech na twarzy.

– Dzisiaj też będziesz spać w lesie? – usłyszałam i zobaczyłam wielki uśmiech a po kilku sekundach wybuch głośnego śmiechu, który roznosił się po korytarzu.

Chciałam uciec z tego piekła. Schować się daleko, w bezpiecznej przystani. Z dala od wszystkich, którzy potrafią mówić, którzy posiadają język w buzi. Znalazłam się przed szkołą. W niewielkim lesie, który z nią graniczył. Dziura, w siatce była drogą ucieczki. Ucieczki do

lepszego świata. Siadałam na jednym z drzew i patrzyłam. Patrzyłam na poruszające wiatrem gałęzie i na ptaki, które szukały pożywienia. Wszystko było pokryte pięknym, bajecznym i miękkim puchem. Czystą bielą w której odbite były ślady. Zarysowana ścieżka, droga powrotna albo ta, z której już nie było odwrotu. Z minuty na minutę pokrywa śnieżna stawiała się jednakowa, słońce chowało się, a las opanowywała ciemność. Potrafiłam się wydostać sama, bo byłam blisko i odpowiedzialna za swoje zachowanie. Mimo coraz większego mrozu nie chciałam opuszczać tego miejsca. To była dla mnie ta egzotyczna wyspa. Brakowało promieni słonecznych i bujnej roślinności. Spokój i życie lasu, jest rajem, który nie jest dostępny dla każdego. To drzewa i zwierzyzna zabierały mnie w podróż przemyśleń i towarzyszyły w chwilach smutku. Leczyły mnie szelestami i odgłosami. Pozwalały zapomnieć o wszystkich złych momentach życia a zapach, który głęboko wdychałam był jak syrop na gorączkę. Delikatnie rozlewał się po zainfekowanych miejscach, po to, aby pobudzić do wyzdrowienia. Zmusić do regeneracji zaklejając podziurawioną duszę.

Powrót pod drzewo

Nie dotarłam do szkoły. Wspomnienia i tęsknota za Jaśkiem całkowicie mnie pochłonęły. Oddałam się przeszłości, a także wpadłam w wir marzeń. Zmian. Wizji lepszego życia. W którym przez kilka godzin byłam kimś innym. Osobą z bagażem niemiłych wydarzeń, oraz zaklejonym sercem, które wypatrywało lepszej przyszłości. Emocje mną nie targały a jednocześnie byłam spokojna i patrzyłam jak w pośpiechu, kolejne zwierzę przemknęło przed moimi oczami. Usłyszałam stukot i poczułam mocny powiew na twarzy. Ślad ponownie się zarysował, tworząc labirynt bez wyjścia. Było mi tak dobrze, jak dawniej w lesie przy szkole. Z tym, że nie marzłam bo promienie słoneczne padały na moje ciało, lekko ogrzewając mnie. To prawie idealne chwile. Tylko stary zegarek zabierał mnie do rzeczywistości, która na mnie czekała. A którą chciałam przesunąć w czasie. Sięgnęłam po wysłużony plecak i ruszyłam w kierunku domu. Wciąż widoczne były mojej wydeptane ślady. Z łatwością przedarłam się przez wysokie trawy i znalazłam się na szutrowej drodze. Szłam w zamyśleniu. Tym razem bez muzyki. Dźwięki przyrody kołysały moje serce i duszę. A świeży powiew wiatru przynosił w głębi własnych uczuć. Był to tak piękny spacer, że spostrzegłam iż znalazłam się blisko domu. Na horyzoncie pojawiły się domy, a wokół wypasały się krowy. Z niewielkich kamieni wkroczyłam na nieco lepszy asfalt.

Ledwo otworzyłam drzwi.

– Przebierz się babcia przychodzi – usłyszałam i dostrzegłam lśniąco biały obrus na stole.

Mama miała na sobie czarną, delikatną sukienkę. Tą, którą wkłada na wyjątkowe okazje. Z salonu wyszedł ojciec – w koszuli elegancko wyprasowanej, i z ogoloną brodą.

– Ruszaj się! – huknął.

Pobiegłam w stronę schodów i bez wytchnienia biegłam w górę. Trzasnęłam drzwiami i rzuciłam daleko plecakiem. Otarł się o ścianę i upadł niedaleko biurka. Otworzyłam niewielką brązową szafę i przez chwilę gapiłam się do środka. Ciuchy były albo za małe, albo za duże. Znoszone, kupione na straganie z odzieżą używaną. Wygrzebałam różowy paskudny sweter a do tego

czarne spodnie, które były lekko przykrótkie. Zwinnym ruchem założyłam na siebie i po chwili stałam i przeglądałam się w okrągłym łazienkowym lustrze. Widziałam się od pasa w górę. To nie był mój kolor. Wyglądałam jak śmierć. Bładość pokrywała moje kości policzkowe, a róż jeszcze bardziej eksponował nieodpowiedni wygląd. Rozpuściłam włosy i kilkakrotnie mocno potrząsnęłam głową, wyglądałam nieco lepiej, ale wciąż można było dostrzec śmierć w moich oczach. I smutek, którego ciężko było ukryć. Nawet nie starałam się tego robić. Wpatrywałam się w lustro i nie mogłam uwierzyć w to co widzę. Nie czułam się nastolatką. Miałam wrażenie, że jestem siedemdziesięcio letnią kobietą, która niedługo pożegna się ze swoimi życiem a przecież przede mną malowało się całe życie. Radość, miłość, ten pierwszy prawdziwy raz. I wszystko to co było niedostępne dla mnie. Byłam zmęczona życiem, patologią rodzinną. Tajemnicami, które mi towarzyszyły. I krzywdami, które mnie spotkały. Miałam kilka minut, aby na mojej twarzy pojawił się uśmiech. W dodatku taki, który przypomina szczere emocje. Każdy wysiłek włożony w to, aby kącik ust podniosły się był ogromną pracą, którą musiałam włożyć. To nie był naturalny odruch dla moich ust.

– Joasiu kochanie, babcia przyjechała – usłyszałam delikatnie i kojąco.

– Szopka się zaczyna – rzekłam pod nosem.

Wzięłam głęboki wdech. Zrobiłam kilka grymasów na twarzy i entuzjastycznie pobiegłam na dół.

Babcia, ubrana w elegancką zieloną sukienkę rzuciła mi się w ramion.

– Asiu, kotku. Jak się czujesz?

Jej usta powędrowały kilkakrotnie po mojej twarzy. Szeroko uśmiechnęłam się, jak nigdy, a jednocześnie tak jak zawsze to robię.

– Witaj wnuczko! – siwiejący dziadek podszedł do mnie z lekkim dystansem. Wciąż nie wiedział jak się ma zachować w moim towarzystwie. Jego wzrok błędził po całym pomieszczeniu.

– Zapraszam do stołu – rzekła moja matka.

Dziadek, który miał piękny ciemno szary garnitur usiadł tuż obok mnie a naprzeciw niego siadła z gracją jego żona. Oboje byli po siedemdziesiątce lecz wyglądali na znacznie młodszych. Dziadek był łysiejący a babcia wciąż farbowała włosy na czarno. Lubiłam ich, byli dla mnie zawsze bardzo mili. Ale nie mogłam sobie wyobrazić jak mogli wychować takiego potwora, który dla nich był najlepszym synem na świecie.

Wszyscy siedzieli w ciszy i zjadali się rosołem. Nie była to niedziela, ale przysmak iście arystokracki.

– Jest może pieprz? – zapytał nieśmiało dziadek.

Mama poderwała się z krzesła.

– Siedź kochanie, ja przyniosę – ochoczo odrzekł mój ociec i porwał się niczym do biegu na sto metrów.

Perfekcyjne popołudnie. I idealna, kochająca się rodzina. Tylko szkoda, że na kilkadziesiąt minut. Albo przez kilka godzin. Nieszczerość wisiała w powietrzu, ale szarmanckie zachowanie mojego taty przesłaniały nasze życiowe dramaty.

– Jak w szkole? – szepnął dziadek.

Wstrząsnęłam ramionami. Po czym poczułam jak jego ręka spoczywa na moim barku.

– Nic się nie martw. Będzie dobrze – dodał i energicznie zanurzył łyżkę w rosole.

– Proszę tato – rzekł ojciec, podając niewielki słoik z przyprawą.

– Dziękuję ci synu!

Zawsze się zastanawiałam skąd się wziął fenomen tych spotkań. Odkąd sięga moja pamięć, udajemy szczęśliwą rodzinę podczas obecności rodziców ojca. Dziadkowie ze strony mojej mamy już nie żyją. Tata zawsze pokazywał, gdzie jest ich miejsce, może dlatego tak rzadko ich widywałam. Gardził nimi co wychodziło mu najlepiej.

– Jak się biznes kręci? – spytał dziadek.

– Całkiem nieźle – odrzekł mój tata.

Babcia i mama milczały. Jadły w zadumie, co jakiś czas wymieniając spojrzenie.

Nie lubiłam tych rodzinnych, udawanych zjazdów. Słodycz ociekała z każdego miejsca, i była w każdym słowie. Do znudzenia i zazwyczaj tak samo.

Dźwięk łyżek ucichł, a na stole pojawiły się schabowe.

– Bardzo dobrze gotujesz Lucyno – rzekła babcia.

– Dziękuję mamó – przytknęła.

– To mój skarb – dodał ojciec i pocałował matkę w czoło.

Na jej twarzy pojawił się grymas skrępowania, który zatuszowała szybkim i sztucznym uśmiechem.

Cisza kłębiła się nad stołem a oczy wszystkich były zatopione na chrupiącej panierce. Tylko moja porcja patrzyła na mnie.

Zjadłam kilka kęsów ziemniaków, po czym odniosłam talerz do kuchni.

– Chodzi dalej na terapię? – usłyszałam zza ściany.

– Nie, mamó.

– Jak wam smakuje schab?

– Bardzo dobry. Palce lizać, synu.

– To, co pora na coś mocniejszego?

– A jakże by inaczej.

Usłyszałam skrzypiący dźwięk przesuwanych krzeseł i w kuchni pojawiła się matka. Zmierzyła mnie oczami.

– Piwo chcą – odburknęła.

Otworzyła lodówkę, w której na dolnej półce stało kilkanaście ciemnych butelek. Bez wahania wzięła cztery i udała się w kierunku salonu.

Tym razem nie zastanawiałam się. Wyjrzałam zza ściany i dostrzegłam, że nikogo nie ma w jadalni, więc sięgnęłam po jedną butelkę. Zawinęłam pod bluzkę i udałam się niepostrzeżenie do pokoju. W salonie zaczęła się impreza lecz to zachowanie ojca przykuło uwagę. Mocno przytulał matkę. Uśmiechał się i żartował.

Butelka lekko ochłodziła mój brzuch, a mimo to czułam pot na rękach. Usiadłam na łóżku a piwo schowałam pod kołdrę. Miałam na nie straszną ochotę, ale bałam się konsekwencji.

Przyłożyłam krzesło pod drzwi, a butelkę postawiłam na podłodze koło nogi. Skapywały z niej krople rześkiej wody.

Wzięłam ją do ręki i zaczęłam obracać, czytając napisy na etykiecie. Byłam nieletnia a jednak formuła, która tam była nie odstraszyła mnie.

Spojrzałam w kierunku biurka. Widziałam jak koledzy w taki sposób otwierali piwo. Zajęło mi dobre kilka minut zanim kapsel znalazł się na podłodze i usłyszałam pyknięcie. Na drewnianym blacie pojawiły się lekkie zadrapania, które były oznaką mojej niefrasobliwości.

Wzięłam jednego dużego łyka i od razu skrzywiłam się z powodu goryczy, która rozlała się w ustach. Szybko przełknęłam po czym mocno się skrzywiłam. Było obleśne. To był pierwszy raz, kiedy spróbowałam piwa. Na samą myśl o nim robiło mi się nie dobrze lecz tym razem zachęcona poczuciem humoru, które pojawia się po wypiciu – nie wahałam się. Skończyło się na jednym łyku, który zabrał mnie do koszmaru. Miałam może jedenaście lat.

PIWO

Weszłam do domu a butelki oraz puszki leżały wszędzie. Ojciec darł się na matkę. Nie było mnie zaledwie kilka godzin, a dom zamienił się w pijalnię alkoholu. Idąc do pokoju dostrzegłam potwora w sypialni. Wyrzucał z szafki ubrania matki.

– Wynoś się dziwko! No już!

– Ale ja nic nie zrobiłam... – szlochała, siedząc skulona.

– Nic? A z Marianem to, kto gadał? Pod sklepem.

Matka spuściła głowę, wpatrywała się w podłogę.

– Kurwa gadaj! No gadaj!

– Rozmawialiśmy tylko... – odrzekła drżącym głosem.

– Dziwką jesteś. I tyle! A teraz spierdalaj stąd.

Matka nawet nie drgnęła. Łzy kapały na dywan a ona siedziała rozdygotana.

Ojciec mocno tupnął, aż się podłoga zatrzęsała. Uciekłam.

– No już! Nie ma ciebie tutaj!

Poderwała się z krzesła i uciekła. Usłyszałam huk trzaskających drzwi, a w oknie dostrzegłam jak biegła przez podwórze, w ręce mocno ściskając torebkę. Po kilku sekundach zniknęła za płotem.

– To jest dziwka!

Przyprawiał mnie o palpitację serca, które się wzmogło podczas ogromnego huku, który był wynikiem przewracanych mebli.

Bałam się oddychać, nie mówiąc już o jakimkolwiek ruchu. Schowałam się za łóżkiem, w niewielkim kącie pomiędzy drewnianą ramą a zniszczoną ścianą. Podkuliłam nogi i mocno objęłam je rękami. Przez kilka minut tłumiłam łzy, starając się cicho łkać. Z trudem zatrzymywałam powietrze w płucach. Jedyne czego chciałam to się przytulić do kogoś. Poczuć bezpieczeństwo w ramionach innej osoby. Zaczęłam się trząść, a łzy polały się strumieniem. Nie potrafiłam ich opanować. Nie przynosiły mi żadnej ulgi bo wylałam ich już tyle, że mogłabym zappełnić całą wannę wody. Co chwilę spoglądałam na zegar, mając nadzieję, że mijają godziny,

że niedługo wróci matka. Zastanawiałam się czy w ogóle wróci. Może znajdzie sobie lepsze miejsce i lepszą rodzinę?

Każda minuta dłużyła się. Wydawało mi się, że wskazówki zatrzymały się w miejscu. Próbowałam się na nich skupić, próbując nie słyszeć hałasu dochodzącego z sypialni. Nie miałam pojęcia co ojciec tam wyprawia. Po kilkudziesięciu minutach nastała cisza, która trwała dobre kilka minut. Obawiałam się, że nie będzie ona zwiastować niczego dobrego. Skuliłam się jeszcze bardziej, na wypadek, gdyby wszedł do mojego pokoju. Nasłuchiwałam skrzypiących schodów i podłogi. Z każdym krokiem wiedziałam, że zbliża się. Schyliłam głowę między nogi, aby mnie nie dostrzegł. Drzwi się otwały. Woń alkoholu poraziła mnie. Zatrzymałam oddech, nie ze smrodu, ale po to, aby mnie nie usłyszał. Chowałam się przed nim jak mysz przed kotem. Z tym, że to on w większości wygrywał. Łowił swoją ofiarę, wtedy kiedy miał na to ochotę. Stał nieopodal drzwi i się rozglądał po moim pokoju. Zwrócił uwagę na zamkniętą szafę, podszedł do niej.

– Tutaj pewnie jesteś!

Otworzył z impetem i zaczął wywalać wszystkie rzeczy z niej. Miałam kilka sekund na reakcję. Nawet nie zastanawiałam się, poderwałam nogi i ile sił w nich, biegłam w stronę drzwi. Poczułam mocne szarpnięcie włosów i upadłam do tyłu.

– A ty kurwa co wyprawiasz?

Ciągnął mnie za włosy po podłodze, próbowałam dosięgnąć futryny, aby się przytrzymać. Bezskutecznie. Opierałam się, kopałam nogami.

– Puść mnie! Puść mnie!

Im więcej siły wkładałam w to, aby się uwolnić. Tym mocniej ciągnął mnie za włosy. Słabłam a on się stawał silniejszy i bardziej zmotywowany po to, aby po raz kolejny pokazać, że to on rządzi.

Podciągnął mnie do góry, kiedy jego ręka była w zasięgu moich oczu – wgryzłam się mocno w jego skórę. Włosy opadły swobodnie na ramiona, a ja się nie poddałam. Resztkami sił biegłam w kierunku klatki schodowej.

– Ty dziwko!

Nie obracałam się, lecz czułam jego oddech na moich plecach. Przeskakiwałam kilka schodów, po to, aby jak najszybciej uciec z domu. Uciec od tego potwora. Kiedy dosięgłam drzwi wyjściowych zauważyłam jak leży poniżej schodów. Jęczał z bólu, wił się po podłodze jak czyhający wąż.

Z lekkim już spokojem zamknęłam drzwi od zewnętrznej strony i udałam się w kierunku stodoły. Nie interesowało mnie to, czy on tam umrze czy będzie przez wiele godzin cierpiał. Chciałam być jak najdalej od niego, od tego koszmaru który dotyczył mnie tak często, że przestałam liczyć i mieć nadzieję na lepsze chwile.

Schowałam się w stodole, pomiędzy kolejnymi belami siana a po chwili dołączyła do mnie matka.

– Mamo? – wyszeptałam

Zapłakana matka nie odezwała się tylko mocno mnie przytuliła. Po jej twarzy spływały kolejne krople łez, a serce biło jak szalone. Czułam, że jest rozdygotana. Widziałam jak jej ręce trzęsły się mimo iż mocno mnie trzymała. Tak bardzo chciałam jej pomóc, ale nie wiedziałam jak. Ogrom bezsilności był straszniejszy niż ten koszmar, który rozgrywał się w naszym domu. Uczucie, którego nie da się opisać. Chce się uciec z miejsca w którym krzywdą definiuje sens życia, a jednocześnie siła niemocy jest tak ogromna, że bierność zostaje zwycięzcą.

Często chowałyśmy się w stodole, która jest dla nas prowizorycznym wentylem bezpieczeństwa. Innym światem. Jest ciepło, czuć obłądny zapach, a dodatkowo odgłosy zwierząt. Tętni życie. Zupełnie inne życie, które niby jest blisko nas a jednocześnie daleko. Przemieszczanie z jednego miejsca do drugiego w poszukiwaniu chwilowej ulgi jest jak bieg chomika na kołowrotku. Biegnie, biegnie. I czasami tak przez godzinę, albo i dłużej. Będąc na kołowrotku, nic dla niego się nie liczy. Przebiera swoimi małymi nogami i wciąż widzi ten sam widok, żyje w tym samym miejscu, i jest odgradzony tą samą klatką lecz jednak coś go zmusza do wejścia na kołowrotek. Czy to chęć ucieczki, zmiany? A może świetna rozrywka?

Dobrze było mi w objęciach mamy, zwłaszcza, że takie sytuacje należały do rzadkości. Tuliła mnie zazwyczaj w stodole, kiedy obie bałyśmy się wrócić do ojca. Taki paradoks. Wspieranie siebie i okazywanie czułości w sytuacjach zagrożenia, a przecież to jest taki niewielki gest, który można z łatwością i spontanicznością wykonać a jednocześnie wymagający miłości oraz empatii. Podobno miłość matki do dziecka jest miłością bezgraniczną, przejawiającą się w każdej możliwej sytuacji. Tylko, czy to zwalnia z obowiązku okazywania uczuć?

W pokoju

Opiłam się jednym piwem, i już wiedziałam o co chodzi w byciu „na fазie”. Było mi błogo, beztrosko. Nastąpiło oderwanie od szarego świata na poczet wirowania w głowie i poczucia humoru. Kilkadziesiąt łyków, które w tak łatwy sposób mogą zmienić postrzeganie rzeczywistości. Nagle żadne problemy oraz kłopoty nie istnieją. Jest się wolnym, można dosłownie wszystko. Chce się trwać, i trwać w tym stanie nieważkości, który przenosi do wymarzonego raju – hamaków, na których ciało swobodnie się unosi. Wdycha się świeże powietrze, a szum fal delikatnie wdziera się do uszu, kojąc duszę i ciało. Chce się kolejnego łyka, butelki, a następnie skrzynki po to, aby cały czas trwać w tych beztroskich momentach. Wpada się w alkoholizm, który niszczy rodzinę. Najpierw każdy jest wyrozumiały a piwo towarzyszy przy uroczystościach rodzinnych, później każdego dnia. Aż do momentu, w którym brak pieniędzy przekłada się na zakup płynu do spryskiwaczy samochodowych. Upada rodzina a ciało alkoholika rozkłada się. Przez wiele miesięcy, lata – wątroba dzielnie znosi kolejne porcje alkoholu. Trzustka równie się trzyma, a żołądek potrafi przyjmować stałe pokarmy. Po latach alkoholowej znajomości zostaje marskość wątroby, rak żołądka a szczęśliwcy cierpią z powodu ostrego zapalenia trzustki które potrafi ich spionizować. Wielu upada nisko, tracąc rodzinę, pracę. Tracą wszystko na co ciężko pracowali. Garstka potrafi spaść nad dno, po to, aby odbić się ze wzmożoną siłą, i odbudować wszystko, to co zniszczył alkohol. Niewątpliwie do tych

osób nie należał mój ojciec, który pił ile widział. I pił, wszędzie tam gdzie był alkohol. I pewnie będzie pił, wszystko to co w składzie zawiera etanol.

Niewiele łyków potrzeba, aby rozpaść wielgachną machinę jaką jest uzależnienie. Wpaść w jej wir jest łatwo, i wydaje się, że można z tego koła wyjść równie szybko lecz to tylko iluzja, która staje się życiową traumą. I krótką drogą do krętego oraz niebezpiecznego życia, które niekoniecznie będzie miało szczęśliwe zakończenie. Zaczyna się niewinnie i we wczesnych latach, a kończy się winą w późniejszym dorosłym życiu.

Alkohol u ojca stał się wszystkim. Substytutem miłości i najlepszym przyjacielem życia, po którym stawał się nieokiełznanym ludzkim potworem, dla którego nie było rzeczy niemożliwych. Był jak King Kong, który z wieżowca patrzył jak się świat burzy za pomocą jednego uderzenia ręki. Jak ludzie stają się mali i słabi i można ich zgnieść jednym palcem. Jeden człowiek i dwie skrajne osobowości. Jakby demon z niego wychodził pod wpływem alkoholu. Meble i inne przedmioty stały się narzędziami zbrodni wymierzonymi w bliskie osoby. Zostaje ucieczka, po której następuje próba zrozumienia agresywnego zachowania i znalezienia winy w sobie tłumacząc, że ojciec miał zły dzień i musiał się napić, po to, aby odreagować smutki. Pojawia się też współczucie, które potrafi wyjaśnić nieodpowiednie czyny. I tak powstaje błędne koło, w którym matka obwinia się za zachowanie ojca, a on pod wpływem byle pretekstu pije, a później wyżywa się na nas – nie pamiętając z tego ani jednego momentu.

Trzymam pustą butelkę, która wygląda tak niewinnie a zielony kolor i ciekawe logo zachęcają do wypicia kolejnej. Sięgnęłabym po, to aby upić się jeszcze bardziej aby chociaż raz zasnąć bez trudu i przespać spokojnie całą noc. To wiązałoby się ze zejściem na dół, do pijanego towarzystwa, które jeszcze bawiło się całkiem wesoło. Dziadek na zmianę z ojcem śmiali się do rozpuku, a matki i babki nie było słychać. Zapewne to potrwa jeszcze kilkadziesiąt minut, ojciec wleje więcej w gardło i zacznie się od podnoszenia głosu, żwawej gestykulacji i skończy na szklance, która polecą w stronę matki. Dziadkowie wyjdą zapomną o całej sytuacji a matka w najlepszej sytuacji będzie siedziała skulona w salonie i nasłuchiwała żądań swojego męża, które w trosce o siebie zaczęła wypełniać.

Wesoły humor spowodował, że zalogowałam się na czat internetowy. Była w pokoju Ona. Nie zareagowała na mnie. Prowadziła ciekawą dyskusję o depresji u młodzieży. Jej zielone literki co chwilę pojawiały się, przypominając o chwilach spędzonych na czacie prywatnym. Momentach, które potrafiły dostarczyć ogrom emocji, a poczucie humoru często porażało mnie. Znałyśmy się dwa lata. I dopiero teraz uzmysłowiłam sobie, że Ona jest dla mnie zupełnie obcym człowiekiem. Zaprogramowanym robotem, który nie potrafi się liczyć z uczuciami oraz emocjami innych. Na pozór miła i uprzejma, a w duszy wredna manipulantka, która mnie wykorzystała. Brzydzę się jej zachowaniem i tym jak postępuje z ofiarami.

Ona

Zbliżał się koniec roku szkolnego w szóstej klasie. Miałam kolejną awanturę w domu. Chciałam z kimś porozmawiać. Telefon milczał, a lista kontaktów praktycznie była pusta. W szkole stroniłam od wszelkiego towarzystwa. Zawsze trzymałam się na uboczu, bo uważałam, że nie

pasuję do moich kolegów i koleżanek. Na każdej przerwie czułam się jak przybysz z obcej planety, dla którego nie ma miejsca w świecie szkolnych korytarzy. Było mi z tym dobrze. Często siedziałam na podłodze, podpierając ścianę i obserwowałam to co działo się obok mnie. To, jak dziewczyny obgadują inne, albo naśmiewają się nauczycieli. Z politowaniem patrzyłam na rozmowy, które ich bawiły. Już wtedy wydawało mi się, że jestem bardziej dojrzała od rówieśników. Po lekcjach, zamiast spędzać czas na włóczeniu się po mieście, siedziałam w miejskiej bibliotece i czytałam kolejnej książki związane z psychologią. Niesamowicie mnie pochłaniały, a zachwyt nad ludzkim mózgiem był niewyobrażalny. Bibliotekarki często się dziwiły, że jestem taka młoda i, że wybieram coś bardziej ambitnego niż młodzieżowe trendy książkowe. Moja fascynacja psychologią nie ma końca i nawet myślałam o tym, aby pójść na studia o profilu psychologicznym. Nie tylko po to, aby sobie pomóc, ale także innym, którzy są w podobnej sytuacji jak ja. To właśnie ona zaprowadziła mnie na czat internetowy. Najpierw pod pretekstem sprawdzenia o czym rozmawia się w pokojach tematycznych o zdrowiu psychicznym, a później wpadłam w wir uzależnienia od nowej rodziny, którą byli wszyscy użytkownicy czata. Zwłaszcza Ona. Ta, która mnie zniszczyła i która spowodowała, że straciłam wiarę w ludzi i ich dobre zamiary.

Była bardzo tajemnicza, empatyczna i miła. Zawsze pierwsza wyciągała rękę w kierunku potrzebujących. Z kilkudziesięcio osobowej rodziny, niewiele wiedziało jak ma na imię. Pilnowała swojej prywatności na tyle, że zgrabnie unikała odpowiedzi na drażliwe pytania. Robiła to z szacunkiem a jednocześnie z lekką ripostą. Przez pierwsze kilka dni patrzyłam się na rozmowy, które toczyły się pomiędzy użytkownikami. Wiele osób cierpiało na depresję, byli po próbach samobójczych, albo w leczeniu psychiatrycznym. Ideą tego pokoju było wsparcie w postaci rozmowy z drugą osobą. Zawsze padało pytanie o samopoczucie, i często odpowiadałam, że wszystko u mnie dobrze, mimo iż niejednokrotnie beczałam przed ekranem. Udawałam silną bo nie chciałam się przyznać, że sytuacja w domu bardzo mnie przytłacza. Mijały dni a ja zaczęłam coraz bardziej wsiąkać w świat internetu. Poświęcałam sporą ilość czasu, i zaczęłam się udzielać na czacie ogólnym. Zadawałam pytania, starałam się być wspierająca. Przez łyzy pisałam kolejne wiadomości, odpisywałam z internetowym uśmiechem na twarzy, a w duszy płakałam. Miałam wrażenie, że pomagając innym, pomagam sobie. Oddalałam swoje kłopoty na rzecz innych osób. Widziałam, że wiele osób przeżywa jeszcze większe dramaty, to mnie scalało i pozwalało przeżyć kolejny dzień w domu. Zarywałam noce, aby posłuchać innych. Nie być samą podczas ciemności. Zataczało to obłędne koło. W szkole nie mogłam się skupić bo myślami byłam w sieci. Przestałam odrabiać zadania domowe bo potrzeby innych były ważniejsze. Nawet nie spostrzegłam, a wpadłam w sidła uzależniania od internetu, a właściwie czata. Kolejne godziny w sieci, i nagle dostałam zaproszenie do rozmowy prywatnej od Niej. Ręka mi zadrżała bo uważałam, że Ona nie jest dostępna dla mnie. Pragnęłam rozmowy z nią, a jednocześnie się bałam. Zaakceptowałam zaproszenie i przez kolejne kilka godzin byłam tylko z Nią. Od pierwszej litery poczułam ogromną więź i zrozumienie mimo iż rozmawialiśmy o życiu, o chorobach, a także wymieniliśmy nasze poczucie humoru. Nawet nie wiem ile kilometrów dalej była ode mnie, a jednocześnie poczułam, że jest bardzo blisko mnie. Często

dopytywała czy wszystko u mnie w porządku. Szłam w zaparte bo nie chciałam pokazać swojej słabości, wołałam udawać, że żyję w szczęśliwej rodzinie, że jestem kochana i moje podstawowe potrzeby są zaspokojone. Tak było do czasu, kiedy zaczęłam coraz więcej milczeć. Ona to zauważyła a ja pęłam jak słabeusz. Dawkowałam informację bo moja sytuacja była dla mnie krępująca. Z pomagającej osoby, nagle stałam się potrzebującą. Z czasem zaczęłam zdradzać coraz więcej szczegółów ze swojego życia, a jej postawa powodowała, że czułam się po raz pierwszy rozumiana. Była dla mnie zupełnie obcą osobą, która nagle zbliżyła się do mojego serca. Nie byłam już samotna. Miałam ją, a Ona miała mnie.

W pokoju

Kiedy zobaczyłam Jej kolejne wypowiedzi to zamknęłam czat bo nie byłam w stanie na nią patrzeć. Nawet mój stan upojenia nie przysłonił, krzywdy którą mi wyrządziła. Mam wrażenie, że jest ona większa od tej, którą dostaje w pakiecie z rodziną.

Zbliżała się już północ. Kłótnie rodziców ustąpiły, więc mogłam się w spokoju położyć. Alkohol dodał mi takich sił, że nie miałam ochoty zamykać oczu. Leżałam oraz patrzyłam w biały sufit. Jak na białą – pustą kartkę. Zastanawiałam się co mnie czeka. Jaka krzywda może mnie jeszcze spotkać. Moje życie nie było białe, a przyszłość owszem. Tak bardzo chciałam, aby na tej bieli pojawiły się wskazówki, drogowskazy. Żeby ktoś mi pomógł, powiedział co mogę zrobić. Jak zmienić swoje życie. Jak wymazać traumę, która mnie dotykała. Żeby poczuła dotyk pomocnej osoby, na moich dłoniach. Bezinteresowne objęcie, przytulenie, czy szept do ucha. Żyje w kilkumilionowym społeczeństwie, a czuję się jakbym była jedną osobą na świecie, która w dodatku jest krzywdzona. Poczucie osamotnienia dotykało mnie każdej nocy i towarzyszyło każdego ranka, kiedy spoglądałam w kierunku telefonu. Nie chciało mi się wstawać z łóżka, bo nie miałam dla kogo i nie miałam po co. Jedynym moim celem było osiągnięcie pełnoletności, które otwierało mi świat wolności i na który musiałam jeszcze poczekać kilka lat. Było to dla mnie długowiecznością, bo każdy jeden dzień dłużył się jak tydzień czy miesiąc. Codziennie te same zajęcia. Szkoła, zadania domowe, kłótnie i wreszcie noc, w której nachodziły mnie wszystkie demony życia. Zero życiowej satysfakcji czy radości, która pojawiała się sporadycznie i trwała tylko przez krótką chwilę.

Obudziłam się z potwornym bólem głowy i pragnieniem. Po raz pierwszy w życiu miałam kaca i nie wiedziałam co mam zrobić ze sobą. Chciało mnie rozsadzić od środka a za półtorej godziny powinnam być w szkole.

W łazience odkręciłam prysznic. Nie czekałam, aż pojawi się ciepła woda. Moje ciało pokrył strumień lodowatej wody. Ciarki mnie przeszły a na skórze pojawiła się gęsia skórka. Trzęsłam się z zimna, a jednocześnie czułam orzeźwienie i świeżość życia. Jakby ktoś zmył ze mnie ten ciężar życiowej egzystencji. Nie trwało to długo bo po chwili pojawił się ciepły strumień, który mnie rozczulił. Pojawiły się łzy bezsilności i cierpienia, które dopadały mnie każdego ranka. Z jednej strony było mi błogo, bo ciepło przyjemnie rozlewało się po moim ciele a z drugiej strony to tylko chwila, która trwała kilkanaście minut, po której następował powrót do życia.

Stałam w rozkroku, a przyjemna woda opadała na moje plecy a następnie na nogi. Po czym znikala w odpływie, który pochłaniał wszystkie brudy. Był jak śmieciarka, która raz w tygodniu przyjeżdża i zabiera wszystkie odpady. Produkty uboczne naszego życia, a jednocześnie rzeczy, które kiedyś były przydatne, a które postanowiliśmy wyrzucić.

Nie wszystko wpadło przez małą dziurę, bo moje długie włosy zawsze zwijały się obok, tworząc obleśny kłak, który przyprawiał mnie o nudności. Nie było sitka, a mimo to, pozostawały w brodziku, jakby wiedziały, że potrzebują ludzkiej pomocy, aby je zutylizować. Z każdą minutą było ich więcej pod nogami i mniej na głowie. Zależność o której wie większość kobieta. Każde mycie włosów, to pozbawianie życia kilkudziesięciu z nich. Jedne umierały, po to, aby za kilka dni pojawiły się nowonarodzone. Życie podobnie wygląda. Ktoś umiera, i za kilka sekund rodzi się noworodek. Pojawia się płacz ze smutku i z radości. Ten po odejściu kogoś jest niewyobrażalnym ciosem oraz bólem. Tak było w przypadku Jaśka, kiedy zabił go ojciec.

Kiedy patrzę na drewnianą klatkę schodową to rozlewa się po ciele fala goryczy, rozpacz i ogromnego cierpienia. Dopada mnie pustka, tak duża jak dziura ozonowa, z której nie ma wyjścia i w której jesteś sam na sam. Żadne słowa, żadne łzy nie oddadzą tego, co się klębi w człowieku po utracie ukochanej osoby. Nic nie jest w stanie załagodzić stanu, który może trwać latami. Ani drugi człowiek, ani zwierzę. Ludzi nie da się zamienić czy wymienić. Strata wartościowej, bliskiej osoby zawiesza nasze myśli w przyszłości. W tym, co jest niewiadome a jednocześnie nieuniknione. Robi się rachunek sumienia, zastanawia się nad własnym postępowaniem i rozmyśla się nad bytem. W jednej sekundzie można stracić wszystko to co było sensem naszego życia i samemu można wziąć jeden oddech, który będzie tym ostatnim. Linia oddzielającą życie od śmierci. Bycie od niebycia.

To był wieczór, który zabrał mi miłość mojego życia. Zabrał mojego małego braciszka. I to na moich oczach. Trauma jakiej nie da się wyrazić żadnymi słowami czy czynami. Ona zostanie ze mną już na zawsze.

Schody

Jest sobota, ojciec pił od samego rana. Matka prosiła nas, abyśmy siedzieli cicho w swoich pokojach. Jasek miał pięć lat i nudziło mu się. Przyszedł do mnie, żeby się ze mną pobawić, a konkretnie pograć w karty. Graliśmy przez kilkadziesiąt minut, aż do czasu kiedy huk przewracanych mebli i krzyki matki wyrwały nas z zabawy. Jasek wskoczył na moje kolana i mocno się wtulił. Był rozdygotany i przerażony. Ta sytuacja nie była pierwszą lecz do takich nie można się przyzwyczaić. Zawsze jest strach i niepewność.

Siedzieliśmy wtuleni przeszło godzinę. Opowiadałam kolejne bajki a słowa były zagłuszane przez wyzwiska ojca. Nawet zaczarowany świat nie był w stanie uspokoić Jaśka.

Był bardzo dojrzałym i silnym małym mężczyzną. Nie wiem skąd czerpał swoją ciekawość świata, i pytania dotyczące życia. Nie wyglądał na pięciolatka, a jednak w chwilach w których rodzice się kłócili – zawsze przychodził do mnie. Miał nawet swoje ulubione miejsce na łóżku, w którym kład się, zwijał w kłębek i potrafił zasnąć. Wiele razy patrzyłam jak beztrudnie śpi, jak

jego klatka piersiowa równomiernie się porusza. Potrafił się też lekko uśmiechać, jakby śnił mu się jakiś przyjemny sen. Te chwile już nigdy nie powrócą a wspomnienia nie są tym samym, co obecność drugiego człowieka. One potrafią bardziej dobijać i pokazywać, że życie jest ulotne i czeka nas wiele przykrych momentów, z którymi trzeba się nauczyć żyć.

Jaśkowi zachciało się siku. Prosiłam, aby jeszcze chwile wytrzymał – dopóki ojciec się nie uspokoi.

– Mam się zlać na twoje spodnie?

– No, nie. Idź, ale cicho.

Podszedł do drzwi, i wiedział, że ojciec jest jeszcze na dole. Ukradkiem wszedł do łazienki. Był może tam z minutę, kiedy usłyszałam jak skrzypi klatka schodowa. Uchyliłam delikatnie drzwi i zauważyłam jak ojciec chwiejnie wychodzi po niej. Moje spojrzenie przemierzało z drzwi od łazienki na klatkę schodową.

– Nie wychodź jeszcze. Jeszcze nie teraz. – szeptałam w myślach.

Kiedy ojciec pojawił się na górze, Jasiek wprost otworzył drzwi i wpadł na niego.

– A ty co kurwa robisz?!

Opuścił wzrok w kierunku podłogi.

– Byłem się wysikać.

Zamknął delikatnie drzwi i chciał wyminąć ojca. Zrobił krok w kierunku schodów.

– Spierdalaj i nie pokazuj mi się tutaj więcej!

Ojciec się zamachnął i mocno przyłożył w twarz. Jasiek z impetem spadał.

– Nie! Nie!

Zaczęłam krzyczeć i biec w kierunku schodów. Z pośpiechu, sama z nich spadałam. Zjechałam na sam dół, i ujrzałam Jaśka. Nie ruszał się. Nie reagował na żadne polecenie. Przerażona matka podbiegła. Wzięła go na ręce. Leżał bezwiednie, a z uszu i nosa zaczęła wypływać krew.

– Synuś, synuś!

Matka nim potrząsała, krzyczała oraz potrząsała. Przerażający widok, który pokazuje bezsilność. Po kilku minutach do mieszkania wbiegło trzech panów w pomarańczowych ubraniach. Jeden z nich miał plakietkę z napisem „Lekarz”.

– Proszę go położyć i powiedzieć co się stało.

Pomógł matce i zaczął sprawdzać oddech.

– Nie oddycha. Reanimujemy.

Jeden z ratowników zaczął uciskać energicznie klatkę piersiową, a drugi przypinał kable do klatki piersiowej.

– Rurka. – rzekł

Po chwili powietrze do płuc Jaśka było tłoczone za pomocą worka a klatka opadała i unosiła się w rytm ucisków ratownika.

– Czy choruje na coś? – spytał lekarz.

Matka nie była w stanie nic powiedzieć. Klęczała i patrzyła na Jaśka. Była nieobecna. Zachowywała się jakby była oderwana od rzeczywistości.

– Czy na coś choruje. – ponowił zapytanie.

Tym razem spojrzała na niego i kiwnęła przecząco głową.

– Co się stało?

Matka patrzyła na mnie i nie mogła wydusić słowa.

– Spadł ze schodów. Z samej góry. – odrzekłam, zalana łzami.

Nie wiedziałam gdzie mam patrzeć. Czy na ratownika który podaje leki, tego co masuje czy może na lekarza, który wtlaczał powietrze.

– Zabierz ją.

– Nigdzie nie idę!

Poczułam delikatną męską rękę na swoim przedramieniu.

– Chodź, opowiesz mi co się dokładnie stało.

– Nie! Puść mnie! Nie zostawię go!

Wyrwałam się z objęć i rzuciłam się na kolana przed Jaśkiem. Trzymałam mocno jego rękę. Była delikatna i ciepła. Jakby było w nim jeszcze życie. Świat przestał dla mnie istnieć. Był w nim tylko Jasiek i moje prośby, aby otworzył te małe isierki, aby ponownie wygrał w karty.

To było kilkadziesiąt obezwładniających minut. Ogarniająca bezsilność. Pustka, która paraliżowała. Jego bezwładne ciało poruszało się w rytm uciśnień ratowników, a klatka piersiowa unosiła kiedy lekarz ścisnął worek. Na przedramieniu krople krwi zgromadzone były wokół wkłucia, do którego co kilka minut podawane były leki. On pośrodku i wokół kilka osób, które ratowały go.

Lekarz skinął głową. Ratownicy zaprzestali pracy.

– Bardzo mi przykro – rzekł szklącymi się oczami.

– Nie, błagam. Błagam panów! Róbcie coś. To moje dziecko. To mój synuś. Błagam was.

Rzucała się na personel medyczny, który ją mocno obejmował.

Usiadłam na dolnym schodzie i nie dowierzałam. Nie potrafiłam przyjąć słów, które wypowiedział lekarz. Pobiegłam do swojego pokoju. Zakopałam się w łóżku i ryczałam. Godzinami. Słyszałam tylko gwar, który był na dole. Nowe głosy, męskie i żeńskie a także szlochanie matki, która co chwilę wypowiadała imię Jaśka.

Nie potrafiłam sobie wyobrazić życia bez mojego młodszego brata. Spojrzałam na karty, które leżały na podłodze. Podświadomie czekałam na niego, że wróci i dokończymy grę. Odrzucałam informację o śmierci. Czekałam na niego z coraz większym niepokojem. A jednocześnie przed oczami miałam widok, który kilka godzin temu utkwił w mojej pamięci. I zostanie w niej już na zawsze. Widok zmarłego brata, i heroiczna walka o to, aby przywrócić mu bicie serca. Walka o życie, którą nie zawsze da się wygrać. Tylko gdzie jest sprawiedliwość? Jedni samookaleczają się bo chcą zniknąć ze świata, a inni chcą żyć a nie mają takiej możliwości.

Na drugi dzień trwały przygotowania do pogrzebu. Matka nie rozmawiała z ojcem a on zachowywał się jakby się nic nie stało. Nie akceptował i nie tolerował Jaśka, mimo iż był jego synem. Traktował go z pogardą, a czasami wręcz jakby był trefnym dzieckiem.

Kiedy Jasiek był młodszy to wiele razy chciał się przytulić do niego, ale bezskutecznie. Ojciec odganiał się od niego jakby pozbywał się latających komarów. Nie zaznał żadnej miłości z jego strony, a ten przecież powinien być autorytetem dla niego. Błąkał się pomiędzy ciepłem które

mu dostarczałam a uczuciem ze strony matki. Był dla mnie idealnym dzieckiem, a także bratem. Taki mały beztroski skrzacik, który swoim uśmiechem potrafił mnie rozweselić, a jednocześnie rozpalić do czerwoności moje serce albo czasami doprowadzić do szaleństwa, kiedy po raz dwudziesty chciał grać w karty.

Ludzie zaczęli się gromadzić w naszym domu. Nie byłam w stanie na to patrzeć. Przychodzili osoby, których nie znałam. Większość to były kobiety ubrane na czarno. Przytulały matkę, pytały jak się czuje. Jak znosi stratę i wyrażali swoje kondolencje.

Siedziałam w pokoju, zaryczana i przez okno patrzyłam jak wygląda rzeczywistość – już bez niego. Wszystko było inne. Chmury brzydkie a słońce jakby przestało świecić. Żywo zielona trawa stała się nieco jaśniejsza, a cisza wokół stodoły była nadzwyczajna.

Przez dwa dni nic nie jadłam, a pomimo tego nie czułam głodu. Każdy łyk wody mineralnej z trudem dostawał się do żołądka, powodując odruch wymiotny. Organizm nie był przygotowany na taki szok, a ja nie potrafiłam sobie z nim poradzić. Zostałam sama z problemem. Tak bardzo potrzebowałam bliskości, przytulenia się, wypłakania się a pozostało szlochanie na niewygodnym krześle i błagalne prośby, aby dzień pogrzebu nie nadszedł szybko. Nie byłam gotowa na ostatnie pożegnanie mojego ukochanego braciszka.

Całą noc patrzyłam na wskazówki zegara. Odmierzały do najgorszego dnia w moim życiu. Chciałam zatrzymać czas i tkwić w tym momencie przez kolejny tydzień czy miesiąc, byle nie zobaczyć jego białej – małej trumny, której widok przypominał o kruchości bytu.

Nadszedł ten moment w którym musiałam ubrać czarną bluzkę oraz spodnie. Kolor, który kojarzy się z końcem życia, ostatnim pożegnaniem. Wzbudza szacunek i respekt, a jednocześnie towarzyszy w chwilach bezradności, bezgranicznego płaczu i ogromnej straty.

Siedziałam w pierwszym rzędzie w niewielkiej kaplicy cmentarnej. Obok mnie matka, a dalej ojciec. Nie obracam się do tyłu bo nie chciałam wiedzieć tego tłumy, który szedł przez wieś. Wszyscy w czarnych ubraniach, z powagą na twarzach. Nawet dzieci zachowywały się grzecznie. Bałam się, że jak się obejrzę za siebie i zobaczę te wszystkie zapłakane twarze, to zemdleje.

Omijałam wzorkiem widok trumny, bo niewyobrażalne cierpienie przechodziło przez moje ciało. Oczy nie potrafiły spoglądać. Zawiesiłam wzrok na młodym księdzu, ale nie wiedziałam o czym mówił. Robiłam to co wszyscy wierni, mając wciąż zawieszone myśli. Pragnęłam śmierci - tak bardzo chciałam być obok niego, móc go przytulić i powiedzieć jak bardzo go kocham.

Rzadko mu mówiłam te słowa, bo nikt nie nauczył mnie okazywania miłości a teraz żałuję, że nie mogę tego zrobić. Pokazać mu jak bardzo był ważny w moim życiu. I jak bardzo go kochałam mając nadzieję, że kiedyś mi to wybaczy.

Nastąpiła cisza, a po chwili dwóch elegancko ubranych mężczyzn podniosło trumnę i środkiem skierowali się w stronę wyjścia. Podążałam kilka kroków za nimi, a matka za mną. Ogromne łzy spływały po jej zmęczonych policzkach. Nawet ich nie wycierała, opadały swobodnie na czarną sukienkę. Obok niej szedł ojciec. Na jego twarzy trudno było dostrzec emocje. Miałam wrażenie, że śmierć Jaśka była dla niego życiową ulgą, że czekał na taki moment. Nie wiem jakim potworem trzeba być, aby śmierć swojego dziecka potraktować z obojętnością.

Po krótkim, podniosłym spacerze pomiędzy nagrobkami dotarliśmy do niewielkiego wykopanego dołu. Ksiądz stanął obok, a ja wciąż patrzyłam na trumnę. Na brata, który tam leżał. W ciemności i samotności wiedząc, że nie dotknę już jego delikatnych włosów, ani nie przytulę. Nie usłyszę jego radosnego śmiechu i nie zobaczę jego pięknych oczu.

Rozległ się dźwięk trąbki, łzy popłynęły potokiem, a mężczyźni delikatnie włożyli trumnę, na którą zaczęły opadać białe róże. Nogi nie potrafiły utrzymać ciała. Przechylałam się z jednej na drugą aby to wszystko przetrwać. Ludzie podchodzili, niektórzy się schylali aby dotknąć trumnę, a niektórzy z dalsza wrzucili kwiatka – modląc się przy tym. Wciąż stałam, i wciąż wydawało mi się, że to co się dzieje nie jest prawdą, bo nie może być prawdą. Jak tak niewinne osoby, mogą znikać z tego świata?

Zastanawiałam się czy Bóg istnieje i dlaczego każe nam tak cierpieć. Skoro kocha wszystkich, to przecież nie powinien zabierać ukochanej osoby bo to jest sprzeczne z miłością.

Nie byłam w stanie opanować łez i bardzo chciałam krzyczeć. Wykrzyczeć wszystko to co było w moim wnętrzu, duszy. Nawet tego nie potrafiłam wykonać. Stałam się delikatną zapalką, której główka odpada podczas próby zapalenia.

Mama podeszła, uklękła i pocałowała trumnę. Położyła jednego z pluszaków na pokrywie po czym kiwnęła głową na dwóch mężczyzn, którzy stali z łopatami. Po kilku ich ruchach, białego już nie było widać. Robiła się hałda ziemi, przypominająca kretowisko. Poczułam jak zlewa mnie pot. Zrobiło mi się duszno, a nogi ugięły się pod mnie. Zemdlałam.

Oprzytomniałam dopiero w domu. Nie pamiętam co było pomiędzy widokiem sztychówek, a pokojem. Nawet nie wiem jak się znalazłam w łóżku. Czułam się jakby w moim ciele nie było krwi, a płuca nie dostarczały tlenu. Usiadłam ze skrzyżowanymi nogami, i wbijałam wzrok w karty, które od kilku dni leżały na podłodze. Nie chciałam ich dotykać, ruszać. Przypominały mi o tym, że Jasiek za chwilę wróci. Odruchowo skierowałam wzrok w stronę drzwi i czekałam. Mijały kolejne minuty, godziny a ja wciąż wpatrywałam się. Tak bardzo chciałam, aby pojawił się w nich, wskoczył do mnie na łóżko lecz tym razem za drzwiami była pustka, której nie da się już nigdy zappełnić.

Kolejne dni spędziłam w domu bo nie miała ochoty uczęszczać na zajęcia lekcyjne. Bałam się wszystkich pytań ze strony nauczycieli i reakcji koleżanek. Nie byłam gotowa, aby powiedzieć, że jego już nie ma na świecie, i że bardzo za nim tęsknię. Dusiałam wszystko w sobie, a jednocześnie chciałam porozmawiać z mamą. Nie wiedziałam jak to zrobić. Patrzyłam codziennie na jej zapłakaną twarz i smutek a jednocześnie na ojca i jego swobodne zachowanie. Upijał się i awanturował a matka była znikającą duszą. Szwędała się po domu, albo dłużej wypatrywała przez okno.

Jednego dnia zapomniała i przygotowała miskę z owsianką dla Jaśka. Jedliśmy w ciszy, a miska która była obok mnie – straszyla mnie. Patrzenie na nią sprawiało mi ból i przypominało o stracie. Nie potrafiłam dokończyć swojej porcji. Wstałam i odniosłam dodatkową porcję do kuchni. Cisnęłam porcelanowym naczyniem w kierunku zmywaka. Roztrzaskała się, a ja się zalałam łzami.

W komorze zostały większe kawałki, a pozostałe odłamki osiadły na meblach. Z całości zrobiło się milion cząstek, które były niemożliwe do sklejania. Tak jak moja dusza.

Do kuchni wbiegła matka. Spojrzała na mnie i na bałagan, który zrobiłam. Nic nie powiedziała, schyliła się i zaczęła w pośpiechu zbierać wszystkie odłamki. Tak bardzo potrzebowałam się przytulić. Stałam i czekałam.

Chodziła na kolonach i delikatnie wszystko zbierała. Kawałek do kawałka, jakby próbowała znaleźć odpowiedni fragment. Ułożyć puzzle. Robiła to z taką delikatnością i ostrożnością jakby chciała skleić, uleczyć oraz przywrócić Jaśka do życia. To był dla niej tylko przedmiot, a jednocześnie część jej zmarłego syna. Być może czuła jego obecność.

Moja twarz była mokra od łez, które samoczynnie spływały. Nie dawały żadnego ukojenia, ani nadziei. Przyzwyczaiałam się do nich tak, że czasami nie reagowałam na ich gwałtowny napływ. Czułam jak oczy robiły się wilgotne, a dopiero później spoglądałam jak na bluzce powiększa się plama.

Najbardziej brakowało mi go wieczorami, kiedy to mieliśmy zwyczaj bawić się razem. W pokoju nagle była cisza odmierzana tykającą wskazówką zegara. Te piękne wieczory już nigdy do mnie nie wrócą.

W łazience

Minęło kilka lat, które wciąż nie zagoiło serca. Nie wiem czy kiedykolwiek to się stanie. Łzy nadal napływały do oczu, ale nie z taką częstotliwością jak dawniej. Pojawiały się na krótko, przypominając, że był dla mnie wyjątkową osobą. Człowiek nie jest produktem, nie da się go zastąpić innym – lepszym modelem. Każdy jest unikalny i wnosi różne wartości do naszego życia. I taki był Jasek. Nie wiem czy potrafiłabym pokochać drugiego brata, taką miłością jaką obdarzałam jego.

Prysznic trochę mnie orzeźwił, a przede wszystkim był lekiem na ból głowy, który się zmniejszył. Szybko wtarłam wszystkie krople wody w ręcznik i nałożyłam czyste ubrania. Spoglądałam w lustro i nie zobaczyłam siebie. Ujrzałam dziewczynę, której nikt nie rozumie, a którą większość próbuje wyleczyć. Nie dostrzegają we mnie normalności, wrażliwości i empatii a wręcz przeciwnie. Słowo „nienormalność” stało się moim drugim imieniem a chłód bijący ode mnie podobno potrafił zamrozić chleb na słońcu.

Nie godzę się na takie postrzeganie lecz też nie neguję. Każdy ma prawo być kim chce i mówić to na co ma ochotę. I ja tak robię. Być może za jakiś czas stanę się zupełnie innym człowiekiem, który bardziej będzie pasować do otaczającego świata i ludzi.

Zabrałam szybko plecak z pokoju i zbiegłam ze schodów. Widziałam, że na stole czeka na mnie śniadanie. Kac spowodował, że nie byłam w stanie niczego przełknąć, więc wyszłam z domu. Wyjątkowo miałam trochę więcej czasu, więc postanowiłam się przespacerować do szkoły. Popatrzeć jak wioska budzi się do życia. Słońce już wstało, rozświetlając pola oraz tworząc piękne obrazy z padających cieni. I ten zapach, który chciało się wdychać, który przypominał o tym, że żyję. To były magiczne chwile, horyzont i słońce a także odgłosy zwierząt. Szczekające psy, chrupkające świny czy odgłosy wydawane przez wypasające się krowy.

O tej godzinie często pasły się trzy. Właściciel był naszym sąsiadem i zachowywał się jak zegarmistrz. Szósta rano, prowadził krowy na łąkę. I tak od kilku lat. Gdy nie chodziłam do szkoły, to mogłam zobaczyć niskiego oraz przygarbionego staruszka. W jedną rękę trzymał długi łańcuch, a w drugiej drewniany niewielki konar, który przypominał laskę. Co kilka kroków podpierał się o niego. Zaprowadził jedną, po czym wracał po kolejne dwie. Był samotnikiem i izolował się od społeczeństwa. Bił od niego spokój, ciepło oraz uprzejmość. Widywałam go codziennie, natomiast rzadko z nim rozmawiałam. Pamiętam, że raz wypadł mi zeszyt z plecaka.

Na drodze

Biegłam w kierunku przystanku bo byłam spóźniona. Czułam jak wszystkie rzeczy podskakują w nim. Będąc już w środku zauważyłam, że suwak plecaka jest nie zasunięty. Szybko przeglądałam książki oraz zeszyty, mając nadzieję, że niczego nie zgubiłam. Odetchnęłam z ulgą, która długo nie trwała. W szkole okazało się, że nie mam zeszytu do matematyki. Byłam pewna, że go spakowałam bo jeszcze rano dokończałam pracę domową. Czekala mnie wizja przepisania kilkudziesięciu stron notatek, co nie napawało mnie entuzjazmem.

Kiedy wracałam do domu, zaczepił mnie i powiedział, że znalazł go na drodze. W ten dzień rozmawiałam z nim kilkadziesiąt minut i miałam ochotę dłużej. Nie wyglądał na takiego, ale płynęła od niego inteligencja oraz ciekawa wizja postrzegania świata. Mimo iż był zdany sam na siebie, to nie żałował tego co posiadał. Był wręcz wdzięczny, a swoje krowy traktował jak trójkę dzieci, należycie się nimi opiekując. Wzbudził u mnie respekt oraz szacunek.

– Matematyka, lubisz ten przedmiot?

– Nie lubię.

– A dlaczego?

– Bo nie potrafię zrozumieć niektórych równań.

Lekko uśmiechnął się, poklepując po ramieniu.

– Z nią nie jest łatwo. Można znać zasady, definicje, a jednak zupełnie nie rozumieć i nie wiedzieć jak rozwiązać zadania.

– Dokładnie.

– Wiesz... mnie matematyka przypomina podejmowanie decyzji w życiu.

Zaczął opowiadać o tym, że liczby mają wiele wspólnego z normalnym funkcjonowaniem. Twierdził, że każde równanie jest związane z dokonaniem wyboru. Czy postawić znak plus, minusa a może znak dzielenie. I każde z nich może mieć różny wynik. W zależności od tego, czy rozwiąże przymus w sposób prawidłowy, czy osoba, która ma matematyczne problemy i postawi niewłaściwy znak, który zaburzy cały wynik. To jak w życiu. Codziennie dokonujemy wyborów, i to różnych. Wybieramy albo plusa albo minusa, i to od symbolu będzie zależała przyszłość. Jedna sytuacja, dwie osoby i dwie zupełnie inne decyzje niosące różne konsekwencje.

– To skąd wiedzieć, która jest prawidłowa? – dociekałam.

– Każda.

Zmarszczyłam brwi, a on kontynuował swoje spostrzeżenia. Powiedział mi, że nie ma niewłaściwych decyzji. Każda, którą podejmujemy oznacza, że jest tą właściwą w danej sytuacji. Dopytałam o przestępców.

– Oni też uważają, że postępują dobrze. Kradną leki dla bliskich, oszukują bo nie mają pieniędzy. Dopiero w późniejszym czasie uświadamiają sobie, że są inne rozwiązania. Ale to wtedy, kiedy ktoś potrafi pokazać im inne symbole matematyczne.

– A zabójstwo? Zabicie kogoś też jest prawidłową decyzją?

– Tak.

– Jak to?! To ja już nic nie rozumiem.

– Chodź, przejdziemy się.

Zaszurał nogami o kamienie i swoim spokojnym krokiem, ruszyliśmy w stronę mojego domu. Próbowałam zrozumieć jego dziwne teorie. Najpierw wytłumaczył mi na podstawie krowy, że rzeźnik musi ją zabić po to, aby inni mogli jeść mięso czyli podejmuje dobrą decyzję, o ile jest to zgodne z jego sumieniem. To akurat było logicznym wytłumaczeniem, a mnie najbardziej interesowało zabójstwo drugiego człowieka.

– Wiesz... z tym trochę trudniej.

– Nikt nie powinien mieć prawa pozbawiania życia innych.

– Zgadza się z tobą. Ale ten czyn też był związany z podjęciem rzekomo słusznej decyzji.

– Czyli terroryści mogą zabijać?

– Nie mogą, ale uważają, że postępują dobrze. W imię religii, obrony narodu, obrony bliskich. Nie wyciągają broni spod łóżka i nie jadą do centrum miasta zastrzelić spacerowiczów bo im się nudzi. Bo jest to dla nich gra. Postępują w imię kogoś lub czegoś.

Westchnęłam, bo nie potrafiłam tego jeszcze zrozumieć.

– Podejmujemy pewne działania ponieważ tego potrzebujemy. Uważamy, że w danym momencie jest to najlepsza decyzja. Często nie myśląc o konsekwencjach.

Ta rozmowa była jedną z dziwniejszych i nie do końca potrafiłam zrozumieć jej sens lecz chciałam przekazać mój sąsiad. Zaintrygował mnie swoją osobowością.

Nie miałam wielu szans, aby z nim porozmawiać gdyż ojciec bardzo mnie pilnował. Bał się, że mogę komuś powiedzieć o tym co się dzieje w naszym domu. Nawet nie mogłam wychodzić po południu, aby się z kimś spotkać. Czułam się jak odludek, który kroczy jedną drogą: dom i szkoła. Z nieczęstymi wizytami w parku, które realizowałam, gdy odwołano ostatnie lekcje.

Ojciec dokładnie znał rozkład planu lekcji, wiedział o której mam ostatnią lekcję i autobus. Czasami zdarzało się, że nauczyciel chciał ze mną porozmawiać i nie zdążyłam na wyznaczony autobus, co wiązało się z przykrymi konsekwencjami. Potrafiłam biec skrótem, aby wsiąść na kolejnym przystanku i być punktualnie w domu. Myślę, że mogłabym uprawiać maraton a nawet biegi krótkodystansowe. Kiedy biegłam byłam zupełnie innym człowiekiem. Czułam wolność i swobodę. Lekkość życia. Niejednokrotnie brakowało mi tchu, nogi odrywałam ociężale a jednak ten stan sprawiał mi radość. Chciało się żyć, zatrzymać ulotne chwile i cieszyć się. Po prostu cieszyć z każdej błahostki z każdego kamienia o który się potykałam czy o leżącą na drodze gałąź. To był niezwykle czas, jakbym biegła do dorosłości. Do swoich marzeń, które

wielokrotnie się oddalały. Po moim ciele rozlewał się ogromny przypływ pozytywnej energii. Takiej, dla której nie ma żadnych przeszkód, a masywne szczyty wydają się niewielkimi górkami na które można z łatwością wbiec. Przemierzałam kolejne metry, dążąc do pierwotnego celu jakim był dom a w rzeczywistości uciekałam od niego a kiedy zbliżałam się to pozorna wolność zamieniała się w strach i więzienie.

Czerpałam z każdej minuty bycia na zewnątrz, z dala od domu a jednocześnie byłam bliżej drugiego więzienia jakim była szkoła. Miejsca te różniły się diametralnie lecz miały jedną wspólną cechę: sprawowanie kontroli.

Przechodziłam z jednego miejsca, w którym dyktator rządził, do drugiego w którym było ich kilku i każdy uważał, że jest tym najważniejszym. Pośrodku nastolatka, która próbuje znaleźć swoje miejsce na ziemi i przetrwać burzę hormonów z jak najmniejszymi skutkami. Wystarczyło wejść do toalety, i spojrzeć na zakrwawioną ścianę, która była pośrednikiem w wołaniu o pomoc.

Język polski był ostatnią lekcją, która niesamowicie się dłużyła. Każdy w klasie kręcił się na krzesłach, albo spoglądał co chwilę na zegarek. Myślamy byliśmy już na wakacjach. Zostało jakieś dwadzieścia minut do końca lekcji. Nie mogłam już dłużej wdychać klasowego smrodu, więc wyszłam do toalety byle zaczerpnąć innego powietrza.

Weszłam do niewielkiego białego pomieszczenia. Były trzy toalety oraz dwie umywalki. Odkręciłam kran, zmoczyłam ręce i delikatnie przetarłam swoją twarz. Od razu poczułam się lepiej a dla zabicia czasu czynność wykonałam jeszcze trzy razy. Miałam już wychodzić kiedy usłyszałam dziwny odgłos. Schyliłam się i zobaczyłam, że w środkowej toalecie ktoś jest.

– Wszystko w porządku?

– Tak, odejdz!

Schyliłam się ponownie i na podłodze dostrzegłam kilka kropel świeżej krwi. Pchnęłam drzwi.

– Co ty kurwa robisz?!

Na klapie od toalety siedziała Jadźka. Trzymała w prawej ręce jednorazową żyłkę, a na lewym przedramieniu było kilka świeżych ran. Nie wiedziałam jak się zachować w tej sytuacji.

– Wynoś się!

– Nie powiem nikomu.

Dwie minuty później byłam już w klasie. Mój wzrok ciągle odtwarzał scenę z toalety. Jadźka nie była jedyną, która się cięła. U mnie w klasie co najmniej trzy osoby – dwie dziewczyny i jeden chłopak. Zawsze w lecie chodzili w bluzkach z długim rękawem, aby nie było widać ran. Tłumaczyli, że jest im zimo, że lubią daną bluzkę a kiedy ktoś o to pytał, to z nieśmiałością ciągnęli rękaw, żeby dokładnie zakryć wszystkie blizny. Mieli zwolnienia lekarskie z wychowania fizycznego, bo to im gwarantowało, że nie będą musieli się przebierać w strój do ćwiczeń.

Nie wiem czy ich rodzice, nauczyciele wiedzieli o tym. Mnie namawiała do tego Jadźka, twierdziła, że samookaleczenie przynosi ogromną ulgę. Była tak od tego uzależniona, że jej lewa ręka była pokryta dużymi ranami. Potrafiła też okaleczyć prawą rękę. Mówiła, że już nie potrafi bez tego żyć, a zaczęło się po tym, jak jej ojciec odszedł od matki. Wyszedł z domu i już nigdy

nie wrócił. Nawet nie wiedzieli czy żyje czy zmarł. Ślad po nim zaginął. Matka z dnia na dzień została bez pieniędzy bo ojciec dobrze zarabiał a banku a ona nie pracowała. Mieszkańcy razem z policjantami przez kilka dni przeczesywali okolice. Nie znaleźli żadnych śladów a po kilku dniach w telewizji pojawił się komunikat i zdjęcie ojca Jadźka.

Jadźka opowiadała, że nie potrafiła sobie poradzić ze zniknięciem ojca. Z dnia na dzień gasła w niej nadzieja, że ktoś go znajdzie a jednocześnie cały czas tliła się iskierka, że jednak sam przyjdzie do domu. Przez wiele nocy nie spała, bo nasłuchiwała czy ktoś nie puka do drzwi. Kiedy tylko pies sąsiadów zaszczekał, to wyglądała przez okno w celu zobaczenia kto idzie. Wierzyła, że ojciec wróci, a zarazem żyła codziennie w strachu i poczuciu lęku. Nie potrafiła poradzić sobie z emocjami i zaczęła się ciąć. Za pierwszym razem bardzo się bała bólu oraz reakcji organizmu. Okazało się, że niespodziewanie poczuła ulgę.

Zaczęła ciąć się coraz częściej bo twierdziła, że tylko to jej pomaga i że to jest jedyny sposób na poprawę samopoczucia.

W szkolnych toaletach było pełno śladów krwi na ścianie. Nie robili tego na przerwach, a podczas lekcji, kiedy przebywali sami w pomieszczeniu. Sprzątaczkę codziennie szorowały ściany, aby chociaż trochę zmyć czerwony kolor, pozostawiając wyblakłe plamy od mocnego szorowania szczotkami.

Na drodze

Zbliżałam się już szkoły mając piętnaście minut do pierwszej lekcji. Z powodu kaca nie do końca dobrze się czułam. Zaczęło mnie bardziej mdlić. Weszłam do przydrożnego sklepiku, w którym większość uczniów zaopatrywała się w słodczy czy drugie śniadanie.

Od lat w nim sprzedawała pani Miecia. Znała wiele dzieciaków. Wiedziała gdzie mieszkają i kto jest rodzicem. Okoliczne plotki również znała.

W portfelu miałam dwa złote. Miałam do wyboru albo drożdżówkę, albo butelkę wody mineralnej plus cukierki. Wzrok przez chwilę podążał między półką z pieczywem, a niewielką lodówką z napojami. Musiałam dokonać wyboru na kolejne kilka godzin.

– A co dla ciebie?

Wzięłam wodę niegazowaną i skierowałam ręce po trzy cukierki musujące.

– Złoty dziewięćdziesiąt.

Otworzyłam portfel i zaczęłam odliczać. Miałam tylko dziesięć i dwadzieścia groszówki.

– Co, nie masz więcej? – usłyszałam z tyłu głowy.

Wzdrygnęłam się i upuściłam portfel na podłogę. Pieniądze, które miałam w ręce upadły pod ladę.

– Ha! Ha! Jaka z ciebie niezdara. Weź się przesun bo tutaj się prawdziwe zakupy robi.

Zostałam pchnięta a na ladzie pojawiły się trzy batoniki i dwie paczki chipsów.

– Będzie dziewięć złotych i czterdzieści groszy.

Jacek wyciągnął dziesiątkę z portfela. Pomachał przed oczami.

– To są prawdziwe pieniądze. A nie takie śmieci.

Skierował wzrok na podłogę, i kopnął sprzed buta monetę. Poleciała pod stojak, na którym były poukładane chipsy.

Gdy wyszedł ze sklepu, schyliłam się i zaczęłam zbierać pieniądze.

– Nie martw się.

Jej brązowe – pogodne oczy dodały otuchy.

Zebrałam wszystkie pieniądze, które zobaczyłam i zaczęłam liczyć. Brakowało czterdziestu groszy do wyznaczonej kwoty. Odłożyłam jednego cukierka i podałam wyliczoną kwotę.

Zabrałam zakupy, po czym skierowałam się do wyjścia.

– Zaczekaj.

Obróciłam się i ujrzałam wyciągniętą rękę w której był woreczek z drożdżówką.

– To dla ciebie.

Uśmiechnęłam się szeroko i z nieśmiałością zabrałam prezent.

– Dziękuję – wyszeptalam.

Po raz kolejny zostałam upokorzona przez rówieśnika ze względu na status ekonomiczny. Jedna sytuacja i dwie zupełnie różne osoby. Jacek pokazał mi gdzie jest moje miejsce na świecie – machając banknotem, a pani Miecia udowodniła, że to nie pieniądze są wartością człowieka.

Było kilkadziesiąt snobów w szkole. Chodzili w markowych ubraniach, plecakach. Chwalili się, gdzie wyjeżdżali na wakacje czy na ferie zimowe. Pokazywali zdjęcia na swoich nowych telefonach. Często się zastanawiałam dlaczego ich rodzice nie zapisali do prywatnej szkoły, czy do innej miejscowości. Byli między nami pokazując, gdzie jest nasze miejsce w szeregu. Mieli z tego dużą radość i satysfakcję. Posiadali pieniądze, bogatych rodziców, a jednak musieli przebywać w środowisku wieśniaków, których nawet nauczyciele spisywali na straty. Panoszyli się na przerwach i wyśmiewali ze skromnych ubrań rówieśników. Karmili swoje ego krzywdą innych.

Za pięć ósma byłam w szkole. Skierowałam się w stronę sali gimnastycznej dlatego, że dzień zaczynałam od dwóch godzin wychowania fizycznego. Przeszłam kilkoma korytarzami, na których panował harmider. To był idealny moment na szybką wymianę szkolnych plotek czy skomentowanie wyglądu wchodzących nauczycieli a dla readerów, chwila na odpisanie zadania od kolegi czy koleżanki. Ukradkiem, na kolanach. I bez zastanowienia się, czy odpowiedź z matmy jest poprawna czy może ktoś się pomylił. Kwitł handel pracami domowymi. Nie można było odpisać za darmo. Trzeba było zaoferować coś w zamian. Jedni oferowali słodkie, a inni możliwość odpisania zadania domowego z innego przedmiotu. To był biznes na którym korzystały obie strony transakcji. Kujoni cenili się najwyżej bo była pewność, że zadania jest prawidłowo rozwiązane. Za możliwość odpisania zadania z historii, które miało pół strony, oczekiwali batona a z matmy to nawet jeden nie wystarczał. Niektórzy po jednym dniu, potrafili zgromadzić niezły zapas słodkiego. Przez jakiś czas rozkwitały transakcje pieniężne lecz to się nie opłacało ponieważ większość dzieciaków dostawała tanie słodkości od rodziców. Niewiele było stać, aby zapłacić kilka złotych za możliwość ściągnięcia zadania.

Kiedy otwierałam skrzypiące drzwi od sali gimnastycznej – buchnęła na mnie fala nieswieżego powietrza. Drażniący zapach potu, unosił się w powietrzu nawet na zajęciach, które odbywały

się rano. W sali były okna lecz bez możliwości ich otworzenia. Popołudniowe zajęcia były najgorsze. Smród był praktycznie nie wytrzymań. Nawet otwarte drzwi wejściowe nie robiły żadnej różnicy. Nie wspominając już o szatniach. Były dwie. Jedna dla dziewczyn oraz druga dla chłopaków. W damskiej zapach był nieco lepszy mimo iż pomieszczenie musiało pomieścić piętnaście osób. Było jedno małe okno do którego większość z nas próbowała się przytulić w czasie przerwy i zero prywatności, która często mnie krępowała. Nie lubiłam się przebierać więc zaczynałam od zmiany podkoszulki. Obracałam się w stronę ściany i przy użyciu kilku szybkich ruchów założyłam inną. Była zawsze dłuższa, po to, aby z większą intymnością mogłam zmienić spodnie na krótkie spodenki. Opracowałam szybką technikę, która powodowała, że często byłam pierwszą, która jest gotowa do zajęć. Niektóre dziewczyny nie miały takich problemów. Przechadzały się swobodnie po całym pomieszczeniu w samej bieliźnie i nie przeszkadzało im to, że pozostałe na nie patrzą.

Moim ulubionym miejscem był skraj drewnianej ławki, tuż przy ścianie – w rogu. Czułam, że idealnie pasuję do tego miejsca. Wszystkich dokładnie z niego widziałam, i miałam najbliżej do okna. Te kilka minut w szatni to był moment zwierzeń. Dziewczyny opowiadały o swoich chłopakach, snuły plany kiedy to zrobią i w jakiej scenerii a także żartowały i przytaczały dowcipy, których nie potrafiłam zrozumieć. Nie czułam się zbyt komfortowo wśród nich. Nawet wtedy, kiedy z nimi rozmawiałam. Staralam się utrzymywać dystans, a teraz traktowały mnie jak powietrze. Wiedziały, że i tak nie nawiąże nici porozumienia, więc przestały zagadywać do mnie.

Rozległ się gwizdek, wszyscy wyszli na boisko w celu sprawdzenia obecności. Po jednej stronie chłopacy a my po drugiej. Prawie trzydzieści osób, równo w rzędzie który się rozciągał przez większą część boiska. Gdy wszyscy stanęli, skrzypiący parkiet ucichł i rozległ się męski głos na przemian z żeńskim. My mieliśmy zajęcia z Chrobakową, a drugim nauczycielem był Nowak. Nasza miała okropne nazwisko przez co doczekała się wielu pseudonimów. Najpopularniejszym był: „Chrzaszczowa”. Podobno brzmi ładniej i pasuje do jej młodego wieku. Była przed trzydziestką, z blond długimi włosami. Lubiałam z nią zajęcia bo nie była wymagająca i większość czasu poświęcałyśmy na gry zespołowe.

– Gramy w nogę. My zaczynamy – odrzekła, po czym zabrzmiały dwa gwiazdki.

Chłopaki zeszli z boiska, oparli się o chwiejące się bandy oddzielające boisko od korytarza i zaczęli się przekomarzać.

– Macie dziesięć sekund na stworzenie grup i wybranie bramkarza.

Stałyśmy praktycznie już w podgrupach. Takich jak zawsze – były dwie paczki. Jedna z nich to gwiazdy, czyli wszystkie dziewczyny, które podobały się chłopakom i miały wzięcie, a druga – sieroty czyli te brzydsze i mniej przebojowe.

– Kto idzie na bramkę?! – krzyknęła nauczycielka

– Borek! – odezwało się kilka głosów

– Jaskulska!

– To do dzieła!

Piłkę wylądowała na środku boiska. Szybki rzut monetą, i moja drużyna jest przy piłce. Zająłam pozycję na bramce i bacznie obserwowałam jak koleżanki próbują biegać za piłką. To

nie była gra, piłka co chwilę lądowała w innej części hali sportowej a widok przypominał bieg małą za koszem bananów.

– Do mnie! Do mnie!

Rozlegało się co chwile, lecz piłka obierała zupełnie inny tor niżby chciała zawodniczka. Chłopaki wyśmiewali to, jak graliśmy. Twierdzili, że nawet w cyrku nie jest tak zabawnie, jak u nas na boisku. Momentami rozgrywały się prawdziwe dramaty. To piłka uderzyła w głowę. To któraś złamała paznokieć, albo bramkarka się potknęła o własne nogi i upadła bez gracji.

Rozgrywki trwały dziesięć minut, po czym następowała zmiana.

Lubiłam swoją pozycję, nie musiałam dużo biegać a przede wszystkim byłam skuteczna. Rzadko kiedy piłka przekraczała linię bramki. Bacznie obserwowałam jej tor lotu i rzucałam się w odpowiednim kierunku. Kilka sekund adrenaliny i potem widok uśmiechniętych koleżanek z powodu obronienia strzału. Czerpałam z tego satysfakcję i byłam duma, bo to jedyna sytuacja w której nie byłam postrzegana inaczej. One wiedziały, że zrobię wszystko, aby nie wpuścić piłki do bramki. Byłam dla nich ważna – jako człowiek i jako koleżanka. Jakby moje zaburzenie poszło w niepamięć, jakby ślad po nim zagał. Byłam taka sama jak one a jednak zupełnie inna. Nastął koniec meczu, z wynikiem zero do zera.

– Koniec!

– Brawo Borek – rzekła do mnie nauczycielka, gdy przekraczałam linię końcową.

Spragniona, udałam się od razu do szatni. Usiadłam w swoim miejscu i zrobiłam kilka łyków wody. Dziewczyny nie miały w zwyczaju przebywać w tym pomieszczeniu. Zabierały butelki z napojami i szły oglądać rozgrywki chłopaków. Często lubiły komentować ich wystającą bieliznę – zwłaszcza bokserki Michała. Większość z nich kochało się w nim. Był przystojny, zadziorny i z poczuciem humoru, a do tego jeden z lepszych sportowców. Z innymi przedmiotami szło mu gorzej lecz zdobyte medale oraz puchary szkolne robiły wrażenie na wielu. Nie miał dziewczyny aczkolwiek sporo czasu spędzał z Kingą. Też była jedną z najlepszych sportswomenek w naszej szkole. Często można było ich zobaczyć jak ćwiczą razem na zajęciach dodatkowych. To właśnie ona, zawsze się zachwycała jego bielizną, i szeroko komentowała, kiedy sportowe spodenki lekko się osuwały. Gdy się na nich patrzyło to było widać, że iskrzy pomiędzy nimi. Nie wiem czy byli świadomi rodzącego się uczucia. Zresztą kto może być w wieku czternastu lat gdy iężko odróżnić miłość od zauroczenia. Pojawiają się motyle w brzuchu, jest pierwsze trzymanie za rękę czy pierwszy pocałunek. Często w ukryciu, tak, żeby przypadkiem inne koleżanki nie zobaczyły. To wiek tajemnic i niepewności uczuciowej. Buzujące hormony nie sprzyjają rozwojowi sytuacji a młodzięcza miłość jest piękna ale także specyficzna. To burzliwa miłość, która zostawia w pamięci wspaniałe wspomnienia, do których wraca się w podeszłym wieku. Tylko ta najmocniejsza więź powoduje, że można przetrwać wszystkie zawirowania i cieszyć się prawdziwą – dojrzałą miłością przez większość swojego życia. Barwne i kolorowe uczucie, dwojga ludzi, którzy nie poznali świata jest cudowną i beztrudną chwilą w której chce się bezgranicznie trwać. To uczucie, którego nie warto przegapić. W późniejszym wieku, jest już bardziej przemyślane, skomplikowane i z nutką szaleństwa ale nie takiego młodzięczego, które jest odmierzane dzwonkami szkolnymi czy nagminnie wibrującym telefonem. Myśli są obezwładnione, jest w nich tylko jedna osoba. Zadania szkolne nie mają racji bytu, a popołudnia w domu są przeżytkiem bo każdą minutę chce się spędzać ze swoim chłopakiem. Tańczyć w deszczu, jeździć na rowerze w zimie czy wygłupiać się na przerwach szkolnych. Klótnie też są na innym poziomie – małe nieporozumienie potrafi doprowadzić do awantury i zerwania związku. To poszukiwanie siebie, badanie gruntu i przecieranie szklaków,

które prowadzą do dorosłości i życiowej niezależności. To czas pięknego uczucia w zagubionym ciele oraz duszy.

Nie doświadczyłam tych emocji. Mam wrażenie, że przespałam szanse będąc bardzo oziębłą i zaborczą. Broniałam się zakochania. Bałam się, że skoro rodzice mnie nie kochają, to ja nie potrafię też pokochać. To uczucie jest dla mnie zupełnie obce. Nie wiem jak to jest otrzymywać ciepło, mieć stałe poczucie bezpieczeństwa i bezinteresowne wsparcie. Bałam się tych wszystkich nieodkrytych lądów, których wizja mnie przytłaczała. Przyjęłam linię obrony, która nie pozwoliła aby moje serce rozpało się dla innego człowieka a mogłam mieć chociaż kawałek tego co jest sensem życia. Wybrałam siebie i troskę o poranione serce, która wciąż bije, i wciąż czeka na niewielki plaster.

Usłyszałam, że mecz chłopaków dobiegł końca.

– Co teraz chcecie robić?

– Iść do domu.

– Już macie dosyć, w trakcie pierwszej lekcji? A przed wami jeszcze kilka lekcji.

– Zwiejemy – rzuciła jedna z koleżanek.

– Brawo, brawo. I mówisz to tak.. przed nauczycielem?

– Pani to chyba nie podkabluję? – spytała Kinga.

– A ty droga... to masz jeszcze dzisiaj dodatkowy trening. Pamiętasz?

Kinga zadziornie zaprzeczyła głową.

– Macie do wyboru zostanie tutaj albo mała salka i kozioł?

– Tutaj! – zgodnie wszystkie odrzekły.

– Czyli idziemy zaprzyjaźnić się z kozłem.

– Nie, proszę pani. Tylko nie to – marudziła Maja.

– Chodź, chodź. On nie jest straszny.

Ruszyliśmy ciasnym korytarzem. Salka była naprzeciwko wejścia do hali sportowej.

– Dołączę do was za chwilę. Asiu trzymaj klucze.

Otrzymałam duży pęk. Każdy z nich był zupełnie inny i nie podpisany. Kształty miały przedziwne. Najmniejszy i najbardziej normalny służył do pokoju wuefistów. Ten z dużym oczkiem był do starych drewnianych drzwi od hali, był największy. Najcieńszy był od kłódki, która była w kratkach przy drzwiach.

Wszystkie były różne, a jednocześnie spełniały taką samą funkcję. Były przepustką do innego pomieszczenia, a nawet świata. Do zupełnie innych miejsc, które wywoływało przeróżne emocje. Na hali była adrenalina i chęć walki o zwycięstwo. W pokoju nauczycielskim powiewało świeżością oraz poczuciem humoru, a w powietrzu roznosił się zapach świeżo parzonej kawy. Natomiast salka była miejscem w którym pokonywało się swoje bariery i walczyło z lękiem ale też miejscem, w którym powstawało wiele kontuzji. Czasami zajęcia kończyły się złamaną nogą albo ręką.

Dziewczyny zgromadziły się przed żeliwną kratą, na której wisiała masywna kłódka. Stałam na końcu, więc przepuściły mnie. Przecisnęłam się i po chwili pewną ręką włożyłam cienki kluczyk. Przekręciłam dwa razy i mocno pociągnęłam. Zamek się zwolnił, a kłódkę wzięłam do ręki. Odsunęłam się na bok. Dziewczyny szturmem weszły do niewielkiego pomieszczenia bo każda chciała zająć najlepszą miejscówkę czyli na materacu a były tylko dwa, wysłużone i z wieloma dziurami.

Nie lubiłam skakać przez kozła, ale uwielbiałam na nim siedzieć. Zwłaszcza jeżeli był w najwyższej pozycji. Ciężko było się na niego wspiąć bo sięgał mi do ramion. Z pomocą zawsze przychodził parapet, który służył za krzesło.

Zajęliśmy miejsca i nie obyło się bez przepychanki w strefie materacowej. Kłótnie i argumenty były niepodważalne. Wygrywały te, które powiedziały, że są pierwsze i fizycznie zaklepały powierzchnie materaca. Obok niego stała niewielka, chwiejąca się ławka, na której pozostałe osoby siedziały w ścisku. Do wyboru była jeszcze brudna podłoga oraz marmurowe – zimne parapety. Każda z nas się gdzieś rozproszyła i wyczekiwała na Chrzęszczową, mając nadzieję, że ta się w ogóle nie pojawi. Zdarzało się kilka razy, zawsze tłumacząc, że musiała z kimś pilnie ustalić terminarz rozgrywek międzyszkolnych. Cieszyliśmy się z tego powodu, bo spędzałyśmy czterdzieści pięć minut na totalnym luzie. Klan materacowy słynął z niewybrednego poczucia humoru, więc momentami było słychać nas na drugim piętrze. Pozostałe dziewczyny często zawieszały się w swoim świecie.

Lubiłam patrzeć na te przeciwne bieguny. Na to, jak każdy z nas jest inny. Mamy wiele wspólnego a jednocześnie panuje tak ogromna różnorodność. Na materacu był śmiech, ogromna radość. Na ławce dyskretne rozmowy, często półsłówkami a na parapetach i koźle była samotność. Świat jednej osoby i wielu myśli. To były fajne chwile. Każda z nas miała swoją przestrzeń, odpowiednie towarzystwo a równocześnie byliśmy zwariowaną całością. Z wieloma charakterami, osobowościami czy humorami. Była agresja, kłótnie a także miłość oraz czułość. Cała gama, która definiuje życie i zachęca do refleksji oraz przemyśleń na temat życia i roli związków międzyludzkich, które odgrywają pierwsze skrzypce. Niezliczona liczba członków orkiestry symfonicznej, a tylko jednej dyrygent, którym jest życiowy los. Coś nieznanego, wzbudzającego zaciekawienia, a także przerażenia i strach. Częstka albo siła na którą nie zawsze mamy wpływ, a która steruje naszym życiem jak kapitan okrętem.

Na parapecie siedziała Lucja, która była do mnie trochę podobna. Stroniła od towarzystwa i była nad wyraz dojrzała. Nie interesowały ją szkolne plotki, czy miłosne opowieści. Żyła w trochę innym świecie – oderwanym od tego szkolnego. Nie mówiła o sobie lecz bardzo dobrze się uczyła ale nigdy nie chciała pokazać swojej pracy domowej. Podczas sprawdzianów, była z reguły tą pierwszą, która kończyła wszystkie zdania i to z dużą skutecznością. Jej ubiór był skromny i nigdy nie miała drugiego śniadania czy słodkości. Mieszkała we wsi obok, a do szkoły chodziła pieszo. Podobno była pod opieką ojca.

Widziałam w niej – siebie. Siadałyśmy z podkulonymi nogami i przez czterdzieści pięć minut potrafiłyśmy się gapić w jeden punkt, jakby inne osoby w pomieszczeniu nie istniały lub była niewidzialna granica, która oddzielała dwie odrębne strefy. Świat własnego ja, i świat innych.

Po korytarzu zaczęli się szwędąć uczniowie. Lubiłam takie zajęcia bo można było zaczerpnąć trochę oddechu, przed kolejnymi lekcjami, które już wymagały większego skupienia i obecności nie tylko ciała ale także umysłu.

Następna nie napawała mnie optymizmem, a to ze względu na bliższe spotkanie z Woźniakiem. Był dla mnie najgorszym nauczycielem w całej szkole. Młody, a miałam wrażenie, że postradał wszelkie umysły. Uwziął się na mnie i robił wszystko, aby móc postawić ocenę niedostateczną. Stresowały mnie lekcje w jego towarzystwie. Geografia była dwa razy w tygodniu lecz nawet to nie zmniejszało poziomu stresu. Nie wiem czy mogłabym przetrwać kolejne godziny w jednym pomieszczeniu z nim. Był mężem nauczycielki od muzyki. Dwa kompletnie inne charaktery. Ona uprzejma, empatyczna i można było z nią porozmawiać na każdy temat, a od niego należało uciekać. Podobno przeciwieństwa się przyciągają, więc być może tak było w ich sytuacji albo w domu był innym człowiekiem. Dwie osobowości w jednym ciele. Może każdy z nas zakłada maskę w ramach szerokiego wachlarza ukrytych osobowości. W zależności od danej sytuacji, wybieramy numer jeden, albo dwa i być może kolejne, które znajdują się w naszym prywatnym

zbiorze. Są do naszej dyspozycji, a łatwiej zonglować mimiką twarzy niż odkryć swoje prawdziwe wnętrze, którego możemy się wstydzić. I tak było z Nią.

Ten dzień

Znałam się z Nią już jakiś czas. Jako jedyna z czata wiedziałam jak się nazywa, wiedziałam jak wygląda i gdzie mieszka. Była dla mnie przyjaciółką. Rozmawialiśmy codziennie, wspierałyśmy się. Była dla mnie starszą siostrą o której marzyłam i której pragnęłam. Czat pomógł mi w otwarciu siebie. Pochłaniał każdą moją chwilę po szkole. Nie istniał dla mnie inny świat. Z czasem zaczęłam poruszać prywatne kwestie. Po raz pierwszy mogłam z kimś rozmawiać swobodnie, i otrzymałam zrozumienie. To był dla mnie najlepszy czas. Zaczęłyśmy dzwonić do siebie. Rozmawialiśmy prawie codziennie, po kilka godzin. Była dla mnie bratnią duszą, i miałam wrażenie, że rozumiemy się bez słów. Wiedziała, kiedy miała zły dzień. Nie musiała nic mówić, było to słychać w jej głosie. Ta sielanka trwała kilkanaście miesięcy i pomogła mi przetrwać wiele ciężkich chwil z którymi się zmagalam każdego dnia. Wiedziała, że jak do niej zadzwonię to usłyszę kilka ciepłych słów, które pokażą mi światło w tunelu. Kiedy Ją spotkałam, wiedziałam, że wygrałam los na loterii o którym tak bardzo marzyłam. W końcu miałam swoją przyjaciółkę, a w telefonie pojawiały się powiadomienia.

W dniu moich urodzin, zrobiła mi niespodziankę. Przysłała prezent. Był to długopis marki Parker. Od tamtej pory zawsze towarzyszy mi w szkole. Jest dla mnie talizmanem a jednocześnie przekleństwem, które nie potrafię wyrzucić z życia.

Zerwała ze mną kontakt z dnia na dzień. Próbowałam się dowiedzieć co się stało. Czy powiedziałam coś źle, czy zrobiłam coś nieodpowiedniego. Błagałam ją – o krótką odpowiedź. Bezskutecznie. Lekceważyła wiadomości, połączenia telefoniczne a na czacie zablokowała. Nie potrafiłam tego rozumieć. Nie potrafiłam wyjaśnić dlaczego tak się stało. Darzyłyśmy się sympatią, rozumiałyśmy i nagle poczułam, że moja pępowina została odcięta. Mijały tygodnie, wciąż poszukiwałam odpowiedzi na jedno nurtujące pytanie: „dlaczego?”. Różnymi sposobami, lecz najwyraźniej nie zasłużyłam na kilka zdań wyjaśnienia. To był dla mnie ogromny szok. Nie wiedziałam co zrobić ze swoim życiem. Wróciłam do czasu, w którym nie miałam z kim porozmawiać, nie mogłam popłakać przez telefon. Poczułam, że cały świat nagle zniknął i , e wpadłam do głębokiej studni. Topiłam się we własnych łzach, próbując się wspiąć po śliskich kręgach. I tak każdego dnia.

Była dla mnie osobą, której zaufałam. Której powierzyłam największe sekrety mojego życia. Obnażyłam się, że wszystkiego co miałam. I zostałam zgnieciona jak śmieć oraz zdradzona zdradą niewybaczalną. Myślałam, że wiem co to jest przyjaźń a otrzymałam wyobrażenia dotyczące pseudo przyjaźni. Wydawało mi się, że z Nią jest tak jak z miłością. Trzeba znaleźć odpowiednią osobę, dać część siebie i cieszyć się każdą chwilą spędzoną z drugą osobą a okazuje się, że sytuację można porównać do jednostronnej miłości, w której zostałam wykorzystana.

W salce

To właśnie przez Nią przestałam rozmawiać. Po tym co mi zrobiła, nie potrafiłam wskrzesić żadnego słowa od siebie. I z dnia na dzień zauważyłam, że jest mi coraz lepiej w świecie cisy. Nie wiem czy kiedykolwiek komuś zaufam. Być może za kilka lat to się zmieni. Może znajdę te właściwe osoby, które będą dojrzałe i będę potrafić porozmawiać. Ucieczka nie jest rozwiązaniem problemów. To tchórzostwo, które rani innych. To nic innego jak dbanie o własne

ego, i udawanie, że problem nie istnieje. Podświadome oszukiwanie siebie, że to najlepsza metoda rozwiązywania problemu. Dosadne pokazanie, że drugi człowiek nie jest warty poznania prawdy. Szybkie wymazanie z pamięci, które definitywnie zmienia życie osoby, która darzyła nas sympatią. To zgaszenie dużego ogniska, kubłem zimnej wody. Wbrew woli biesiadników, którzy czerpią radość z wysokich płomieni. Którzy doceniają ich piękno, zachwycają się swoimi śpiewami czy okazując sobie miłość poprzez objęcia. Jedno wiadro i jedna osoba, która może zniszczyć to co mogło być wyjątkowe i trwać przez długie chwile. Życie to nieustanna ucieczka przed krzywdą i pogoń za szczęściem, które bywa przytłoczone splotem negatywnych sytuacji.

Tym razem nie było gwizdka oznaczającego koniec zajęć, był szkolny gong. Dziewczyny się zerwały i pobiegly w kierunku szatni. Nie spieszyło mi się, bo musiałam poczekać, aż wszystkie opuszczą pomieszczenie. Przede mną wyszła Łucja, więc miałam pewność, że jestem ostatnia. Zamknęłam kratę, która przypominała zabezpieczenia więzienne a która miała za zadanie chronić sprzęt, który się znajdował w środku. Gdyby ktoś z zewnątrz spojrzął na nią, to pomyślałby, że w środku jest kilkadziesiąt komputerów. Ona była po to, bo drzwi się nie zamykały. Klamka była zepsuta, więc ktoś wpadł na pomysł, aby zamontować kratę niż wymienić to co się zepsuło. Taki paradoks, nad którym czasami się potrafiłam zastanawiać godzinami. Taniej i łatwiej byłoby wymienić starą klamkę niż spawać zawiasy do metalowych uchwyty. Może ten ktoś, najprawdopodobniej woźny nie chciał użyć nowych części ze względu na sentyment do nich. W końcu niektórzy zbierają przeróżne rzeczy, począwszy od gazet, a kończąc na kapslach od butelek. Nie mają miejsca, a nadal gromadzą. Twierdzą, że każda jedna rzecz jest dla nich ważna, i że nie potrafią ich wyrzucić czy wymienić. Przywiązujemy się nie tylko do koleżanek, kolegów ale też do rzeczy materialnych, które na swój sposób wprowadzają coś do naszego życia albo nam coś dają, lub wynagradzają.

Może też tak było w tym przypadku. Zamek pozostał sobą, w nawet tak mało okazałej formule. Natomiast to żeliwne pręty otrzymał nowe życie, stojąc na straży.

Zastanawiałam się skąd u mnie taki dziwny tok myślenia, i refleksje dotyczące różnych przedmiotów oraz sytuacji. Jasiek często powtarzał, że urwałam się z kosmosu, kiedy opowiadałam o swoich przemyśleniach. Być może bo każdy z nas ma swój początek. W brzuchu u matki biologicznej jest bijące serce, tworzą się nowe narządy oraz cząstki DNA. Prawdziwy początek to ten niemiłosierny krzyk, kiedy ujrzymy po raz pierwszy świat. Rzeczywistość, w której zostaje nam spędzić kolejne kilkadziesiąt lat a także matczyzna bliskość, która zaczyna nas kształtować. Uczyć to co jest złe, niemoralne, czy pokazywać to na co warto zwrócić uwagę. Uczenie zatrzymywania się i oddawania się chwili.

Każdy ma swój mały kosmos w którym lubi przebywać, w którym tworzy nowe drogi i który sprawia, że jest się niepowtarzalną jednostką. Taka mała bańka z której czerpię się radość, satysfakcję, a w której są przechowywane wszystkie nasze wartości, idee oraz cele. Sami jej nie zdmuchniemy. Nie przeniesiemy się do czyjegoś kosmosu ale łatwo możemy zniszczyć ten świat innym. Pozbawić tych kolorowych baniek mydlanych, które napędzają do życia, bo wierzymy, że w jednym kosmosie mogą żyć dwie osoby. W miłości możemy je tylko przybliżyć. Spowodować, że będą na wyciągnięcie ręki. Delikatnie czerpać z drugiej, uchylając okna do naszej. To wzajemna wymiana, tego co jest najcenniejsze, i co warto wymienić.

Kiedy wchodziłam do hali z pękiem kluczy, dziewczyny popychały mnie – wychodząc. Nie czekały aż swobodnie przejdę korytarzem, tylko tłumnie biegły w kierunku szkolnego korytarza. Przytuliłam się do drewnianej bandy, bo nie czułam się komfortowo w takiej formie bliskości. Biegły jak chmara szarańczy, która widzi człowieka i obiera go za swój cel. Nic innego się nie liczyło, tylko widok chłopaków, którzy wyszli kilka chwila przed nimi.

– Coś się stało? – usłyszałam damskim głosem.

Musiałam zastygnąć i wpatrzeć się w to co się działo za drzwiami, bo dopiero po chwili zauważyłam, że Chrobakowa stała tuż obok.

– Wszystko dobrze?

Kiwnęłam głową i wyciągnęłam pęk kluczy.

Odkleiliśmy spocone ręce od poręczy i chciałam się udać w kierunku przebieralni. Poczułam delikatny i trwający kilka sekund uścisk.

– Gdybyś chciała porozmawiać to wiesz, że możesz mnie tutaj znaleźć.

Mówiła to z taką troską i przejęciem, że aż się jej oczy rozbiły. Kiwnęłam jeszcze raz, i udałam się zmienić strój sportowy.

Nie wiem czego potrzebowałam. Czy miałyby to być troska, współczucie czy jakaś ostra – dyscyplinująca rozmowa. Z jednej strony pragnęłam zrozumienia, wsparcia i bliskości a z drugiej, na samą myśl o tym, że miałabym komuś zaufać – serce szybciej biło.

Moment życiowej pustki, w której są dwie drogi i nie można się zdecydować na którą wkroczyć. Chciałoby się przejść kilkaset metrów jedną i ewentualnie skrótem dotrzeć do równoległej. W lesie czy na ulicy to działa. Czasami nawet były wydeptane ślady, które sugerowały, że jednak wiele osób zbacza z trasy, po to, aby przejść się inną.

Stanie na rozdrożu nie jest miłym uczuciem. Sprzeczne emocje buzuja w całym ciele, a w myślach kłębią się setki różnych scenariuszy. Poszukujemy tego jednego – właściwego, tylko jak go znaleźć skoro nie wiadomo, który jest tym najbardziej odpowiednim. Wpadamy w wirnik, który się kręci. I kręci, i z którego ciężko się wydostać. Jak na kole młyńskim. Wsiadamy bo mamy ochotę zobaczyć krajobraz miast z lotu ptaka. Atrakcja się kręci, a my nie możemy z niej bezpiecznie wysiąść dopóki ktoś w pomieszczeniu kontrolnym nie naciśnie przycisku stop. Tak kłębią się myśli, z tym, że to my musimy nacisnąć klawisz zatrzymania i wybrać jedyne wyjście, które wydaje nam się słuszne. Nie potrafię tego zrobić, i mam wrażenie, że cały czas kręcę się w tym wirniku a każdy moment, w którym wychylam nogę do statecznego świata – powoduje uraz stopy. Gwałtownie zabieram, i nadal się kręcę. Pojawia się zmęczenie i nudności od ciągłego wirowania. Lekceważę skutki uboczne i rzekomo próbuję przerwać chaos myśli. Bezskutecznie. Po burzy nadchodzi tornado.

I właśnie takie nadeszło, kiedy do klasy wszedł Woźniak. Rzucił srogim spojrzeniem w kierunku kilku uczniów.

– Wyciągamy karteczki.

– Nie, proszę pana – zaczęły się pojękiwania.

– Dopiero wczoraj była kartkówka.

– Nie dyskutujcie!

Kiedy kolejne słowa opuszczały jego usta – wręcz szczytował. Mówił to z taką radością a jednocześnie złośliwością, że było widać, iż sprawia mu to ogromną przyjemność. Znęcanie się nad słabszym nie jest czymś trudnym, wręcz piekielnie łatwą czynnością, której może się dopuścić każdy żyjący osobnik. Zjawisko powszechnie znane w środowisku zwierząt, w którym dochodzi do naturalnej selekcji. Prawo do życia mają tylko najsilniejsi.

Rozdał krzywo przycięte kartki, na których było pięć pytań dotyczących polskich jezior. W tylnych ławkach zaczęły się szepty.

– Kto chce niedostateczny?! – huknął.

Trzasnął rękami w biurko, kilka kartek przesunęło się na sąsiednie ławki, lub upadło na podłogę. Swoją zdołałam złapać w porę, tuż na skraju. Nastąpiła cisza a w powietrzu unosił się zapach intensywnych myśli.

Pisałam szybko, minuta po minucie wypełniając kolejne kratki. Kilka chwil na przeczytanie pytania i po kilku sekundach długopis przesunął się po białej powierzchni. Byłam w transie pisania. Nie było koleżanek, ani nawet Woźniaka, było pytanie i odpowiedź do niego. Stworzyłam własne studio muzyczne, które skutecznie zagłuszało wszelkie bodźce. Uszy wyłączyły się, po to, aby skupić się na myślach i poszukiwaniu trafnych słów. Byłam tak pochłonięta, że nie usłyszałam swojego nazwiska.

Woźniak podszedł do mnie, i wyrwał wręcz kartkę spod długopisu.

Posłałam mu pytają spojrzenie.

– Borek, i po co ściągałaś? Pała dla ciebie – rzekł z wielkim uśmiechem.

– Przecież... – odezwał się głos z boku.

– Cisza!

Gotowało mnie w środku. Po raz kolejny udowodniono mi, że życie to ciągle pasma niepowodzeń spowodowane brakiem sprawiedliwości. On był już na mecie, a ja praktycznie nie zaczęłam swojego biegu. Podcięto mi nogi, i jaka długa prosta, tak zaliczyłam szczupaka.

Zmiał kartkę i cisnął nią w kierunku plastikowego kosza na śmieci, który stał tuż obok wejścia. Nie trafił.

– Borek podnieś!

Przez chwilę mój wzrok wędrował od nauczyciela w kierunku kartki. I na odwrót. Dźwięk piszących długopisów ucichł. Wszystkie oczy zwróciły się w moim kierunku.

– No rusz się! Na co czekasz?

Odsunęłam gwałtownie krzesło. W uszach pojawił się piskliwy dźwięk a na podłodze, czarne ślady.

Udałam się kierunku pomiętej kartki Podniosłam i ostentacyjnie opuściłam klasę.

– Borek, gdzie ty idziesz? Wracaj natychmiast do klasy. – rozległo się na korytarzu.

Nie zwracałam uwagi. Szłam przed siebie. Kiedy dotarłam do ostatnich drzwi po lewej, zapukałam i weszłam. Kłęby dymu mnie przywitały.

– Siadaj. Nie przejmuj się nim.

Drzwi otworzyły się żywiłowo.

– Ona...

– Nie widzisz, że jestem zajęta. Pozwoliłam ci wejść?

Woźniakowi zgasł uśmiech.

– Ona powinna stąd wylecieć!

– To samo mogę powiedzieć o tobie.

Giżycka wstała, podeszła do niego.

– A teraz wyjdź bo jestem zajęta.

Sięgnęła w kierunku klamki i wskazała młodemu nauczycielowi drogę powrotną.

– Nie zostawię tak tego – odgryzł się odchodząc.

Stara stanęła tuż przy oknie, wciskając się pomiędzy krzesło, a ścianę.

– Nie wiem co się z nimi dzieje. Nie wiem skąd oni się biorą. Nie wiem dlaczego oni uczą. To pokolenie kompletnie nie rozumie idei nauczania. Bycia nauczycielem. Nie wiem czy oni rozumieją sens życia, bycia człowiekiem. Dawniej tak nie było. Trzeba było zasłużyć na pracę w szkole. Reprezentować sobą swoje wartości. Być kimś.

Słuchałam długiego monologu bo nie była głupią kobietą. Poświęciła wiele lat z życia na nauczanie innych. Była panną, i choć nie musiała to większość dnia spędzała w swoim gabinecie. Wychodziła z pracy praktycznie jako ostatnia. Razem z woźnym zamykali budynek i kolejno wolnym krokiem przemierzała ulice. Miała kamienną twarz, a w prawej ręce trzymała

torebkę. Zawsze miała uniesioną głowę, jakby szła z radością przez życie. Momentami mogła straszyć mniejsze dzieci, bo przemieszczała się jak robot. Zawsze tą samą trasą, tym samym tempem, i z tym samym wyrazem twarzy. Wyjątek stanowiły dni deszczowe, w których to przekładała torebkę do lewej ręki, a w prawej trzymała duży czarny parasol. Kiedy tak szła to wydawała się człowiekiem niedostępnym, wzbudzającym respekt oraz szacunek a jej postawa mogła świadczyć o dużej pewności siebie i odwadze.

Lubiłam patrzeć jak spaceruje. Czasami spotykałyśmy się w parku, i przez kilkaset metrów widziałam jak podąża kolejnymi alejkami w kierunku domu. Mieszkała niedaleko szkoły, może z dwadzieścia minut piechotą. Była takim trochę człowiekiem zagadką.

Wyszłam kilka minut przed przerwą i udałam się na zewnątrz. Siadałam na betonowych schodach – obejmując metalową poręcz. Miałam dosyć tego dnia. Chciałam, żeby była już piątnasta a przede mną były jeszcze cztery lekcje.

Woźniak pozbawiał mnie resztek godności a także ochoty na uczęszczanie do szkoły. Jeden człowiek z tak ogromnym wpływem może zniszczyć wszystko to na co się pracowało przez wiele miesięcy. Poczucie sensu w życiu nagle się ulatania a marzenia przestają być realne, oddalają się z prędkością startującego myśliwca. Te, które są dla innych celem – mogą oznaczać dla nas początek końca.

Przerwa trwała, a z racji ładnej pogody, większość zaczęła wychodzić na zewnątrz.

– Masz iść do dyrektora – padło z ust Grzeska, który w ferworze spadł z dwóch ostatnich schodów.

Kilka osób parsknęło śmiechem, po czym rzuciło niewybredne komentarze w jego kierunku. Grzesiek zaczął parodiować swój upadek, co powodowało jeszcze głośniejsze śmiechy. Był naszym śmieszkim klasowym. Potrafił rozbawić wszystkich i obrócić w żart nawet żenujące sytuacje. Wiecznie uśmiechnięty i z ciętą ripostą za co był karany. Myślę, że bywał u pedagoga równie często co ja. Nauczyciele nie darzyli go sympatią, ze względu na jego barwną osobowość. Szedł przez życie z żartem i totalnym luzem. Był bardzo podobny do swojego ojca. Nie tylko z wyglądu lecz także odziedziczył po nim poczucie humoru.

Nie przejmował się kolejnymi ocenami niedostatecznymi, wręcz potrafił się chwalić ile już uzbierał a i tak zawsze otrzymywał promocję do kolejnej klasy. Z Grzeskiem znałam się od szkoły podstawowej, i być może już poznaliśmy się w zerówce. Wydaje mi się, że chodziliśmy do tej samej grupy ale on zaprzecza.

Z niechęcią podniosłam się i weszłam do budynku. Tuż po lewej stronie był gabinet dyrektora. Drzwi były uchylone i widziałam jak Woźniak żwawo dyskutuje z wychowawczynią.

– Chodź, czekają na ciebie – zawołała niska sekretarka.

Weszłam nieśmiało do niewielkiego pomieszczenia w którym było biurko, a z niego przeszłam do przestronnego wnętrza.

– Podobno nieodpowiednio zachowałeś się na lekcji u pana Woźniaka. Czy to prawda? – spytała wychowawczyni.

– Opuściłam klasę.

– A dlaczego? – dopytywała.

Wzruszyłam ramionami spoglądając na wprost. Za biurkiem siedziała dyrektorka Mucha. Słuchała ze swoją wrodzoną powagą, co chwilę przytakując. Była otyłą osobą z bujnymi czarnymi lokami, które opadały na okrągłe okulary. Zazwyczaj była powściągliwa w decydowaniu i ewidentnie nie miała umiejętności, aby zarządzać szkołą.

Berezikowa stała tuż obok mnie. Zaciekle mnie broniła, bo wiedziała, że Woźniak nie traktuje uczniów z należytyym szacunkiem. Była drobną kobietą, po pięćdziesiątce. Tuż przed moim

przyjściem do gimnazjum, przeniosła się z innej szkoły. Uchodziła za tajemniczą osobę. Była bardzo empatyczna i asertywna jeżeli chodzi o kwestie związane z uczniami. Potrafiła bronić, ale także przekazać reprimendę. Należała do grona tych nauczycieli, których się wspomina będąc już absolwentem.

Dyskusja trwała kilkanaście minut. Było już po dzwonku, a my wciąż byliśmy w gabinecie. Woźniak nie dawał za wygraną. Tym razem chciał, abym spędziła dwadzieścia godzin na zajęciach dodatkowych. Na co Berezikowa stanowczo się nie zgodziła, twierdząc, że to on powinien nauczyć się manier.

– Borek, możesz już iść. – wtrąciła dyrektorka.

Wyszłam, lecz nadal słyszałam jak nauczyciele przytaczali różne argumenty dotyczące zasad prowadzenia lekcji.

Korytarz był opustoszały. Kiedy mijałam kolejne sale lekcyjne – było słychać urywki zdań, po których można było wywnioskować przedmiot nauczania.

Dzień się dłużył, jakby minutnik stanął w miejscu, albo przesuwiał się z tempem wskazówki godzinowej. Może dlatego, że wciąż odczuwałam niedyspozycję poalkoholową. Byłam niewyraźna, i nie wiedziałam czego potrzebuję a najchętniej położyłabym się spać.

To było jakieś zawieszenie pomiędzy trzeźwym myśleniem, a fikcją wręcz literacką. Jakby ktoś zabrał część wnętrza, albo duszę ode mnie – i postawił obok, mówiąc abym ją dogoniła i włożyła na miejsce. Czułam, że jakaś część jest w zupełnie innym miejscu, niż powinna być. Wrażenie, które ciężko opisać, a które napawa strachem z każdą kolejną minutą lub krokiem. Wewnętrzny niepokój, że naoliwiony sprzęt nie działa tak jak powinien. Że jakaś część się zepsuła lub przeszła w fazę pauzowania.

Nie wiem czy to było spowodowane spożyciem piwa, czy to odczucie było związane z zupełnie inną sytuacją, albo stanem psychiki. Dziwnie się czułam i nie pamiętałam abym kiedykolwiek odczuwała podobne wrażenia. Gonił mnie lęk, który chciałam złapać i zapytać dlaczego to robi.

Przez kolejne dwie lekcje skupiałam się na tym co się działo w ciele. Niepostrzeżenie zadzwonił ostatni dzwonek, a w powietrzu unosiła się wolność. Na korytarzach było już czuć zapach środków chemicznych, które były wcierane w lastryko. Miejskami były widoczne mokre ślady i odbicia podeszw, które tyczyły drogę wyjścia.

– Borek, porozmawiam z tobą jutro – rzuciła Berezikowa, gdy mijałam naszą klasę.

Zapewne to będzie kolejna rozmowa o tym, że powinnam wyrażać siebie w trochę inny sposób. Zwłaszcza na lekcjach, które prowadzi Woźniak. Natomiast doceniałam czas spędzony w milczeniu z Berezikową.

Wycieczka

Nie przepadałam za wycieczkami szkolnymi. Starłam się ich unikać co było łatwą czynnością ponieważ ojciec nie chciał dawać pieniędzy. Twierdził, że nie będzie finansował szkoły bo nie ma z niej żadnego pożytku. Matka stwierdziła, że wyjazd na wycieczkę krajoobrazową będzie idealnym sposobem, abym mogła się zintegrować z rówieśnikami. Nie byłam zachwycona tym pomysłem. Zmieniłam zdanie gdy dowiedziałam się, że matka oszczędzała przez kilka tygodni a także podkradała pieniądze, po to, abym mogła spędzić wyjątkowy czas w gronie kolegów i koleżanek. Nie chciałam robić jej przykrości, więc zgodziłam się.

To był jeden z wiosennych dni. Za oknem piękna pogoda. Bezchmurne niebo i uśmiechające się słońce. Idealna pora na wyjazd do jednego z parków narodowych. Stałam przez chwilę przy oknie i wdychałam rześkie zimowo – wiosenne powietrze, które napędzało do życia. Pachniało niesamowicie, wręcz nie chciało opuszczać płuc. Lekki chłód orzeźwiał zaspane oczy i

motywował do ubrania czegoś z długim rękawem. To moja ulubiona pora roku. Nie ma nic piękniejszego niż świat, który się budzi po zimowej stagnacji. Trawa zaczyna się zielenić, zmieniając krajobraz łąk. Z ponurych widoków wyłania się początek nowego życia. Symboliczny nowy początek. Kwiaty zaczynają kwitnąć, pojawiają się krokusy, które zapierają dech w piersiach. Coraz częstszy rechot silników w traktorach i większy gwar na wiejskich drogach. Gospodynie wychodzą na zewnątrz, szurając miotłami przed gospodarstwem. Każdy wychodzi z zimowego snu, z marazmu który towarzyszyły przez ostatnie kilka miesięcy a widok wschodzącego słońca o szóstej rano jest pięknym prezentem, który można otrzymać bez większego wysiłku. Wystarczy spojrzeć w górę, albo przed siebie. Dostrzec te żywo pomarańczowy, wpadający w czerwień kolor. Cieszyć się przez kilka minut tą nienamacalną materią, która wskrzesza do życia nie tylko siebie, ale też innych. Budzi się, dając przyzwolenie na kolejny dzień. Napawa optymizmem, który wystarczy dostrzec w promieniach oraz obrazach, które się malowane na niebie. Poranna chwila zadumy, która pozwala czerpać radość z obecnej chwili, bez wspomnień dnia poprzedniego i bez zamartwień związanych z nadchodzącymi godzinami. Zamrożona część dnia, która rozbudza organizm i zachęca do pójścia przed siebie. Uwielbiałam koncelebrować wschody i zachody. Mogłabym o nich opowiadać godzinami. Występują codziennie, a każdy jest zupełnie inny. Nawet patrząc z różnej perspektywy można dostrzec odmienne piękno oraz przekaz. Fenomen, którego chce się dotknąć, poczuć na dłoni, zbliżyć się do niego a pozostaje tylko bijące ciepło z niego, i zimowy chłód.

– Śniadanie – usłyszałam.

– Już idę!

Z szafy szybko wciągnęłam przewiewną bluzę, czarne jeansy i białe skarpety. Kilkoma zwinnymi ruchami, założyłam ubranie i zbiegłam po schodach.

Przez uchylone okno było słychać jak ojciec odpala traktor. Na stole był dla mnie przygotowany talerz.

– Jedz bo się spóźnisz.

– Nie spóźnię się.

Zostawiłam kilka łyków zimnego mleka bo powodowało u mnie obrzydzenie. Wychowywałam się na wsi, ale nigdy nie piłam chłodnego czy tuż po wydojeniu krowy.

Kiedy wstawałam, zaczęła mnie matka.

– Wiem, że będziecie mieć przerwę na jedzenie.

– Podobno.

Spoglądnęła przez okno i dostrzegła, że ojciec wyjechał traktorem.

– Chodź ze mną.

Skierowała się w stronę kuchni. Tuż obok – po lewej stronie były niewielkie drzwiczki, a za nimi kilka wielkich półek, na których były poukładane różne przetwory. Jej ręce sięgnęły w kierunku słoików z napisem „dżem”. Zaczęła przekładać z miejsca na miejsce, jakby chciała znaleźć ten z krótszą datą ważności. Na każdym z nich była niewielka adnotacja, z miesiącem oraz rokiem.

– Chcesz mi dżem dać?

– Nie widzisz, że czegoś szukam?

– Widzę, że przekładasz słoiki. Wciąż nie wiedząc czego szukasz.

– Tego!

Z uśmiechem na twarzy pomachała przed moimi oczami banknotem o nominale dwudziestu złotych. Cieszyła się jakby znalazła diament.

– Na wycieczkę. Tylko się nie wygadaj ojcu.

Byłam zaskoczona sytuacją. Nie oczekiwałam pieniędzy na fast fooda, a tym bardziej takiej kwoty.

– Jesteś pewna?

– Bierz i uciekaj.

Zrobiłam tak jak powiedziała. Zwinęłam banknot i włożyłam go do jednej z kieszeni w spodniach. Wychodząc z ciasnego pomieszczenia, spojrzałam jeszcze raz na nią i dostrzegłam jak układała równo słoiki, zakrywając swoją skrytkę. Chowała pieniądze przed swoim mężem, które ukradkiem mu podbierała. Dopuszczała się kradzieży, bo jako niepracująca była pozbawiona jakichkolwiek dochodów. Ojciec przeznaczał środki na wyżywienie, ale nie interesowało go to, że potrzebuje książki do szkoły czy jakieś ubrania. Był w tej kwestii bezlitosny. Nawet nie wiem kiedy matka była u fryzjera, nie wspominając o wizycie w salonie kosmetycznym. Usługi wręcz abstrakcyjne. Dostawała wyliczoną kwotę na jedzenie i zazwyczaj musiała jeszcze okazać paragon oraz oddać resztę.

Przywykłam do tego, że miałam używane ubrania oraz książki. Niektóre ciuchy były całkiem fajne, a i zdarzały się z oryginalnymi metkami sklepowymi. Matka często kupowała na targu. Z książkami było gorzej, bo często dostawałam od innych. Przez wiele godzin wymazywałam gumką wszystkie definicje czy zadania. Gorzej było w podstawówce, gdy w zeszytach ćwiczeń, wszystkie zadania były rozwiązane za pośrednictwem długopisu. Wtedy musiałam wyciąć odpowiedni kształt z białej karki i nakleić w miejscu, gdzie należy wpisać odpowiedź. Było to czasochłonne i denerwowało mnie.

Wycinając kolejne kształty, czułam się jakbym była osobą drugiego sortu. Nie mogłam poczuć jaki ma zapach nowa książka bo często były one poplamione napojami czy resztami jedzenia a niektóre strony przyprawały o mdłości. Kiedy zaczynał się kolejny rok szkolny – marzyłam o chociaż jednej pachnącej nowości książce. Nigdy się tego nie doczekałam. Stare były w cenie, nie wspominając już o zakupach w księgarni. W młodszych klasach było mi przykro, że zawsze mam podręczniki, które były używane przez inne dziecko. Czułam się przez to gorsza. Nie tylko dlatego, że byłam wytykana palcem przez rówieśników, ale temu, że chciałam mieć coś swojego. Coś co jest i będzie tylko moje. Plecak, piórn timer, przybory szkolne – często matka dostawała od sąsiadów.

Nie wiem jak to jest poczuć się, gdy otrzymuje się prezent, na który się tak bardzo czeka. Nawet z jakąś drobnostką, ale taką na którą się czeka cały rok. O której się myśli, i w końcu ona jest nasza. Tylko nasza, a zachwyt nad nią jest nie do opisania. Od dziadków dostawałam ubrania dziergane przez babcię ale to nie jest to samo, co wymarzona paczka. Tym bardziej byłam zdziwiona banknotem jaki otrzymałam. Nigdy nie dostałam tak wysokiej kwoty.

Wbiegłam po schodach, umyłam szybko zęby, zabrałam plecak i udałam się w kierunku przystanku autobusowego. Był on prowizoryczny. Na poboczu postawiono znak świadczącym o tym, że jest to miejsce przeznaczone dla użytkowników transportu publicznego. Stałam kilka minut bo wiedziałam, że może być lekkie opóźnienie bo bus, którym mieliśmy jechać na wycieczkę zabierał uczniów z wyznaczonych miejsc.

W słuchawkach leciała ulubiona muzyka, a wzrok co jakiś czas podążał za mijającymi samochodami. Było ich raptem cztery sztuki. Poruszały się z przekroczoną prędkością. Obowiązywał znak terenu zabudowanego lecz długa i prosta droga powodowała, że kierowcy mocniej wciskali pedał gazu. Po każdym z nich, moje włosy zmieniały kierunek a wokół butów gromadziły się niewielkie kamienie, które pod wpływem prędkości samochodu – przemieszczały się.

Stojąc tak na poboczu, bałam się, że któryś z nich potrąci mnie. Zrobiłam kilka kroków w tył i poczułam grząski grunt. Widząc mnie, żaden z samochodów nie zmniejszył prędkości wręcz jakbym była niewidzialna. Nie wiem jak to jest, gdy kieruje się pojazd. Może zaciera się drugi plan, a skupienie jest tylko na tym co jest przed przednią maską. A może samochód daje przyzwolenie na wybiórczą ostrożność?

W oddali zauważyłam zielonego busa, z każdą sekundą przybliżał się. Jego kształt robił się coraz większy, aż dostrzegłam łysego kierowcę. Zaczął wytrącać prędkość, po czym włączył prawy kierunkowskaz i zatrzymał się. Przez okno dostrzegłam wychowawczynię, która siedziała na pierwszym siedzeniu, obok czyjejś matki.

Otworzyłam masywne drzwi.

– Dzień dobry.

– Zapraszamy – usłyszałam przyjaznym męskim głosem.

Weszłam na kilka niewielkich i stromych schodków. Rozglądnęłam się i dostrzegłam jedno wolne miejsce – obok Łucji.

– Wszyscy, możemy jechać – odrzekła Berezikowa, po tym jak spoglądnęła na sporządzone notatki.

Przecisnęłam się pomiędzy siedzeniami. Było ich koło dwudziestu, a wewnątrz wyglądało na zadbane i ekskluzywne.

Usiadłam na wolnym fotelu, a plecak wcisnęłam pod nogi. Zgłosiłam muzykę, i zamknęłam oczy. Otwierałam wtedy, kiedy jedno koło wpadało do dziury.

Przez parę minut drogi, w słuchawkach rozbrzmiewały kolejne takty. Z coraz większą częstotliwością były one zagłuszane przez głośnie rozmowy i gwałtowne śmiechy. Denerwowało mnie, że nie mogłam się skupić na muzyce a miałam jeden komplet słuchawek, które miały mocno ograniczony poziom głośności. W pewnym momencie nie wiedziałam co jest lepsze. Słuchanie zagłuszanej muzyki, czy fragmenty dziwnych rozmów. Spojrzałam pytająco na Łucję. Spała, mając opartą głowę o szybę. Nie reagowała na to co się dzieje dookoła. Zazdrościłam jej, bo nie potrafiłam wyłączyć swojej nadwrażliwości, a kolejne docierające bodźce jeszcze bardziej przeszkadzały. Najchętniej wysiadłabym i wróciłabym do domu a przede mną była co najmniej godzinna podróż, w tych samych lub nawet gorszych warunkach. Nie potrafiłam zrozumieć tego, że pewne zjawiska odbierałam bardziej niż inni. Łucji zupełnie nie przeszkadzał hałas, który trwał, mnie doprowadzał do szaleństwa. Wybierałam kolejne utwory, mając nadzieję, że następny okaże się głośniejszy, a ja będę mogła powrócić do tego świata, w którym jest mi najlepiej. Kilkukrotnie przewinęłam wszystkie piosenki, i żadna z nich nie okazała się tą właściwą. Czułam się nieswojo i zaczynał mnie dopadać jakiś dziwny lęk. Jakbym byłam zamknięta w klatce z kilkoma małpami. One mają frajdę, bawią się ze sobą, porozumiewają się. Cieszą się, i dokuczają sobie wzajemnie a po środku człowiek, który próbuje zrozumieć ich język i robi wszystko, aby nie zwariować w świecie nieznanym dla siebie. W oddali widzi kraty, które są przesłonięte przez futrzaste zwierzęta. Furtka do innego świata. Potrzeba bycia wolnym jest tak silna, że bez względu na bezpieczeństwo, człowiek przeciska się pomiędzy małpami, byle być bliżej metalowych prętów. Nie zważa na czyhające przeszkody, widzi tylko jeden cel do którego pragnie się dostać. Zrealizować. Po kilku próbach, i startach z pozycji startowej – podjęte działania skutkują. Dłoń dotyka zimnych prętów, a cel wydaje się być blisko. Tylko się wydaje bo okazuje się, że pręty są ciasno utkane i nie da się przez nie przecisnąć. Pojawia się panika i popłoch. Z tyłu małpy urządzają sobie kolejne zabawy, a oczy są w poszukiwaniu wyjścia ewakuacyjnego. Nagle, pojawia się wizja niewielkiej kłódki, która swobodnie wisi. Przepustka do innego świata. Ręce delikatnie przesuwają się po kolejnych prętach, z każdym

ruchem widok kłódki daje większą nadzieję. Po kilkudziesięciu sekundach jest ona namacalna. Ale tylko namacalna. Brak klucza, a tym samym przegrana walka o wolność. O bycie sobą. Nogi się uginają, wzrok podąża za małpami, a wyobraźnia kreuje nową osobowość.

Okazuje się, że każdy z nas jest uzależniony od innej jednostki. Jesteśmy jak koralki na sznurku. Gdy ten się przerwie, to najpierw spada jeden, po chwili kolejny. I po kilkudziesięciu sekundach wszystkie już leżą na podłodze. Niektóre koło siebie, a jeszcze inne z dala od wszelkich przeszkód. Pozostaje sam przerwany łańcuszek, który jest bezużyteczny.

Na takich dziwnych przemyśleniach minęła podróż. Bus się zatrzymał a w środku zaczęły się przepychanki, kto ma pierwszy wyjść.

– Siadać! – krzyknęła nauczycielka.

– Ale proszę pani...

– Teraz ja mówię.

Kierowca spojrzął z podziwem na wychowawczynię bo w ciągu kilku sekund nastąpiła cisza.

– Za chwilę wejdziemy do parku narodowego. Żadnego śmiecenia, głośnych rozmów oraz oddalania się od grupy. Idziemy wzdłuż szlaku, a na końcu grupy będę ja oraz mama Łucji. Zrozumiano?

– Tak – rozbrzmiało chórem.

– To się bardzo cieszymy – rzekła matka.

Łucja nie była do niej podobna. Miała zupełnie odmienne wyobrażenia na temat wyglądu oraz osobowości mamy Łucji, która się wydawała totalnym przeciwieństwem córki. Wyglądała na młodą, przebojową kobietę. Miała obcisłe jeansy, sportową kurtkę oraz kolorowe adidasy. Stylizację uzupełniał niewielki różnokolorowy plecak. Przypominała uczennice w liceum.

Bus szybko opustoszał, a Łucja wciąż spała.

– Wstawaj – szturchnęłam ją.

Wzdrygnęła się gwałtownie.

– Co się dzieje?

– Jesteśmy na miejscu.

Poprawiła się na siedzeniu, przecierając zaspane oczy.

– Idziecie? – doleciało z przodu.

– Tak mamó.

Wyszłam zostawiając ją w środku.

Na ogromnym parkingu było zaparkowanych kilka autobusów oraz busów. A nieopodal wisiały tabliczki z oznaczeniami szlaków.

– Kto chce iść do toalety? – spytała młoda kobieta.

– Ja.

– Ja też potrzebuje.

– Pani Agata z wami pójdzie, a my zaczekamy tutaj.

Mama Łucji ruszyła przodem w kierunku niewielkiego betonowego budynku. Za nią podążało kilka dziewczyn i dwóch chłopaków. Pozostali wyglądali się obok Berezikowej.

– Proszę pani, a co się stanie gdy nas zaatakuje niedźwiedź?

– Tutaj ich nie ma.

– A skąd ta pewność. – dopytywał inny.

– Pewności nie ma. Natomiast nie zarejestrowano tutaj obecności niedźwiedzi.

– A szkoda!

– Złał byś się w gacie!

– Michał jak ty się wyrażasz?

- No właśnie, jak? – zripostował Grzesiek.
- Wiecie, że mogę wam obniżyć ocenę za zachowanie?
- Ups... – padło z ust jednej z dziewczyn, po czym cała grupa zaczęła się śmiać.
- A wy co tak zmiłkłyście? – spytała Berezikowa patrząc na mnie i Łucję.

Wzruszyłam ramionami, i spojrzałam sasiadkę.

- Fajnie mi się spało.
- Czyli chcesz wrócić do busa i się przespać?
- Nie wypada – skwitowała.
- Słuszna uwaga.

Pojedyncze osoby wychodziły z toalety a opiekunki nie było widać. Nieopodal dostrzegłam drewnianą ławkę. Usiadłam na niej na chwilę, a przed oczami rysował się ciekawy widok. Kilkanaście kolorowych autobusów, które były zaparkowane prostopadle a za nimi ogromne drzewa a pomiędzy wytyczona ścieżka. Cywilizacja i kilka metrów dalej – jej brak. Pełna naturalność. To co z każdym dniem jest zabijane i niszczone przez człowieka.

- Chodź Asiu, idziemy już.

Poderwałam się z ławki i ruszyłam za grupą. Na parkingu stworzyły się grupki, które podążały tuż obok, za nimi Łucja a następnie opiekunki.

- Asiu chodź przed nami.

Przyspieszyłam kroku, i po chwili byłam kilka metrów przed nimi. Weszliśmy na ścieżkę, która była oznaczona zielonym szlakiem. Był najłatwiejszy, ale też najdłuższy. Zapach lasu był intensywniejszy z każdym przebytym metrem. Horyzont zniknął, pojawiły się drzewa rysujące piękny krajobraz. Kręta ścieżka dodawała uroku, bo nie było widać końca. To drzewa rządziły, a wtórowały im odgłosy zwierząt, zwłaszcza ptaków. Swoistego rodzaju oaza lub raj, w którym zatrzymywał się czas. To był mój świat, w którym mogłabym przebywać przez cały dzień i noc. Uspakajał oraz dodawał otuchy. Ogromny teren z wieloma nieznanym ale powodujący poczucie bezpieczeństwa. Lubiłam się odrywać od rzeczywistości w takich miejscach. I to była ta dzikość, której nikt nie mógł zrozumieć.

- Nad czym tak myślisz Asiu – spytała Berezikowa.

Zatrzymałam się, i chwilę czekałam aż dołączyły do mnie.

- Pięknie prawda? – dodała pani Agata.

- Tak, dokładnie.

Ruszyłyśmy wolnym krokiem, patrząc jak przed nami grupa przyspiesza.

- Zaczekajcie – powiedziała głośnie.

Echo odbiło się kilkukrotnie, po czym pierwsza grupka zatrzymała się, a opiekunki ucięły sobie pogawędkę.

- Spiesz im się.
- Na hamburgera.
- I frytki.
- A wiesz, że Łucja stwierdziła, że będzie wegetarianką?
- No, co ty?

Czułam lekkie skrępowanie gdy ich rozmowa się rozkręcała. Przyspieszyłam i wręcz dogoniłam Łucję.

- Rozmawiają o tobie.
- I...?

Zamilkłam, a ona ruszyła szybciej przed siebie. Zamykałam wyścig, który się rozgrywał na leśnych ścieżkach. Delektowałam się chwilą, a w głowie pojawiały się kolejne refleksje życiowe.

– Zaczekajcie – padło zza pleców.

Grupka zaczynała zwalniać, a pani Agata wyprzedziła mnie oraz pozostałe osoby. Teraz ona prowadziła peleton. Trzymałam się z tyłu, bo nie interesowały mnie rozmowy toczące się w kręgach wzajemnej adoracji. Przez dłuższą chwilę szłam sama, aż dołączyła do mnie Berezikowa. Wymieniłyśmy sympatyczne spojrzenia i wbiłyśmy wzrok na krajobraz, który był przed nami. Szłyśmy w milczeniu. Była na wyciągnięcie dłoni. Nawet usłyszałyby mój szept. Nasze stopy przemieszczały się w tym samym tempie, a cisza była zupełnie inna niż zazwyczaj. Nie było niezręczności, uciekania wzrokiem. Był wzajemny szacunek, nie tylko dla przyrody ale także drugiego człowieka. Była pierwszą osobą przy której czułam się swobodnie, mimo iż znałam ją zaledwie od kilku miesięcy. Zaczęłam zastanawiać się nad ideologią rozmów i milczenia. O tym, jak towarzystwo innych może na nas wpływać. Jak pod naciskiem, presją potrafimy się zmienić albo założyć maskę.

Praktycznie cały spacer wśród leśnej roślinności przeszłyśmy bez wymiany zdań. Dwie godziny leśnego powietrza, który zatrzymuje się w nozdrzach a następnie rozchodzi po całym ciele. Momentami powodując dreszcze z wrażenia a świergot ptaków na długo zostaje w uszach.

To była magiczna chwila, która prysła w fast foodzie.

– Pewnie kasy nie ma.

– Kanapki nie wyciągniesz?

– Bo nie ma!

Z ust kolegów padały krzywdzące słowa. Zjadali się frytkami, hamburgerami i popijali colą, a na deser zamówili dużą porcję lodów. Za tę kwotę mogłam kupić dwie pary spodni, albo trzy bluzki. Nie chciałam słuchać komentarzy, więc wyszłam. Usiadłam przy stoliku na zewnątrz i dostrzegłam rozpustnie toczące się życie. Jedzenie spadało na podłogę, napoje wylewały się z przepełnionych kubków. Reagowała sprzątaczką, która przechodząc od stolika do stolika, zamiatała upuszczone resztki, na które nikt inny nie reagował. Oprócz naszej grupy w restauracji byli rodzice z dziećmi. Najmniejsi cieszyli się na widok plastikowej zabawek. Oglądali z każdej strony, patrzyli jak działa a po chwili pół tacki jedzenia było wyrzucane do dużego kosza na śmieci.

Z szacunku do pieniędzy, których zazwyczaj nie miałam, nie chciałam nic do jedzenia. W pewnej chwili miałam ochotę udowodnić, że mogę być taka jak oni.

– Częstuj się.

Przed oczami pojawiła się tacka z dwoma porcjami dużych frytek, a krzesło obok zajęła pani Agata.

– Dziękuję, nie jestem głodna.

– Na pewno? Jadłaś coś?

– Tak.

Wzięła kilka smażonych ziemniaków do ust.

– Masz świetny widok.

– Szklany.

– Co masz na myśli?

– Wszystko widać – odpowiedziałam po dłuższej przerwie.

Gruba szyba oddzielała nas. W środku większość się świetnie bawiła. Co poniektórzy rzucali kawałkami jedzenia w kierunku sąsiada albo dokuczali. Wszystkie stoliki były zajęte a na zewnątrz, oprócz nas była starsza pani, która siedziała trzy stoliki dalej. Miała ogromne – brązowe okulary przeciwsłoneczne. Jadła porcje lodów – delektując się nią. Co jakiś czas przechylała głowę w kierunku promieni słonecznych. Wyglądała na elegancką kobietę, między

sześćdziesiątką a siedemdziesiątką. Miała popielatą garsonkę, a spod kapelusza wystawały siwe włosy.

Nie zwracała uwagi na dochodzące głosy z wewnątrz. Subtelными ruchami nabierała na plastikową łyżeczkę a następnie flegmatycznie wkładała do ust. Patrzyłam na nią ukradkiem i miałam wrażenie, że chce spowolnić płynący czas. Zachwyty wzbudzał kontrastujący świat. Młodzi i starsi. Radość i smutek. Żywiołowość i spokój. A zaledwie dzieliło nas kilka metrów. Była ta sama godzina, ten sam dzień i miesiąc. I to samo miejsce a jednak dojrzałość kontra dojrzwianie. Życiowe doświadczenie mieszało się z beztroskim dzieciństwem.

Fascynowały mnie starsze osoby. Było w nich coś wyjątkowego, czego nie da się określić. Nie wiem czy to był ich wiek, ich opowieść. To co przeżyli, czy nauki jakie dawali. Nie miałam dobrego kontaktu z dziadkami bo widywałam ich bardzo rzadko, natomiast będąc na zewnątrz mój wzrok często podążał w kierunku starszych. Lekko przygarbiona pozycja, nieczęsto laska albo kij w jednej ręce. Powolny chód który był spowodowany ciężarem życia i doświadczonych traum. Na drugim biegunie niesamowita otwartość i empatia. Ciepło, które potrafiło bić z kilku metrów. I to od zupełnie obcych ludzi. Lekkim uśmiechem wzbudzali zaufanie a dotykiem wrażliwość. Potrafiłam beczelnie patrzeć nawet przez kilka minut. Nie miało znaczenia czy ten ktoś spacerował w parku, robił zakupy w sklepie, czy jechał autobusem. Wszyscy wydawali się bardzo podobni do siebie. Podobne ruchy, zmęczenie na twarzy i pomarszczona skóra. Każdy z nas się starzeje, a oni byli tego wzorem. Zachwycalam i podziwiałam ich, gdy moi koledzy potrafili się z nich wyśmiewać. Wiedząc, że za kilkadziesiąt lat będą wiernymi kopiami.

– Ale się zamyśliłaś.

Spojrzałam na puste opakowania..

– Przepraszam.

Odsunęłam krzesło i odeszłam w kierunku busa.

– Wszystko w porządku?

– Tak.

Założyłam słuchawki i wsiałam do busa w którym kierowca czytał gazetę. Zajął miejsce, na którym poprzednio siedziałam. Szyby były przyciemniane, więc słońce delikatnie wpadło, rzucając cień na zielone siedzenia.

Po kilkunastu minutach bus zaczął się zapełniać. Było przed piętnastą kiedy Berezikowa sprawdziła obecność, po której kierowca wyruszył z parkingu. W drodze powrotnej było jeszcze weselej. Opiekunki co po chwilę upominały zbyt głośnych uczniów. Miałam dosyć tej podróży. Głowa zaczęła mnie okropnie boleć. Chciało mi ją rozsadzić od środka a pulsujący ból czułam nawet w klatce piersiowej.

Mimo iż pobytu w busie nie wspominam pozytywnie to chwile w lesie były tym czego potrzebowałam.

Kiedy wieczorem wróciłam do domu, matka siedziała na sofie w salonie. Zakrywała twarz rękoma. Okno było przysłonięte ciemną zasłoną, więc było widać kontury. Podeszłam bliżej.

– Jak było? – spytała drżącym głosem.

– Dobrze.

Kiedy ujrzałam jej oczy to zrozumiałam co się stało pod moją nieobecność.

– Idź na górę – rzekła i obróciła głowę.

Kolor fioletowy był dominujący na jej twarzy. Zastanawiałam się jak długo będzie pozwalać na takie traktowanie. Jej uległość powodowała, że ciągle żyła w kieracie którym rządził potwór.

W parku

To był ten dzień w którym kompletnie nie miałam ochoty wracać do domu. Bez względu na konsekwencje moich decyzji. Jak zwykle, udałam się w kierunku przystanku autobusowego. Dostrzegłam znajomy kolor i tablicę z nazwą kursu. Miałam pięć minut na zdecydowanie co chcę zrobić.

Stałam jak wmurowana i gapiłam się w duże wybrudzone koła.

– Cześć Asiu.

Spojrzałam w prawo i dostrzegłam Agatę. Bezradnie westchnęłam i wiedziałam co zrobić. Obróciłam się i udałam się wzdłuż betonowych płyt, które tworzyły ścieżkę dla pieszych.

– Zaczekaj.

Nie reagowałam.

– Nie pamiętasz mnie, prawda?

Zatrzymałam się. Nie obracałam się. Próbowałam szybko znaleźć odpowiedź na pytanie lecz nie potrafiłam. Milion twarzy, wspomnień i żaden puzzle nie pasuje.

Stanęła przede mną.

– Jestem mamą Łucji.

Wbiłam wzrok w jej twarz, próbując znaleźć podobieństwo. Faktycznie to była ona. W zeszłym roku miała długie włosy, które opadały na twarz i okulary. A przede mną stała kobieta w krótkich i z ładnymi oczami. Nasunęło się mnóstwo pytań.

– Pewnie się zastanawiasz jak to możliwe?

Trafiła w pytanie, które mnie bardzo nurtowało. Udałam, że nie interesuje mnie to. Ruszyłam przed siebie.

– Kilka lat temu wzięłam rozwód. Łucja została z tatą. Tutaj na wsi. Wyjechałam do Krakowa, gdzie otworzyłam gabinet psychologiczny. Tęsknie za nią... uszanowałam jej decyzję.

Nie wiedziałam, że Łucja znalazła się w takiej sytuacji. Jej matka wydawała się całkiem fajnym rodzicem. Nie wiem jak to się stało, że nie poznałam jej. W gabinecie stres mnie sparaliżował, a na wycieczce nie przyglądałam się jej.

Towarzyszyła mi aż do parku, gdzie zaproponowała żebyśmy usiadły. Wybrałam najbliższą ławkę, która była tuż przy wejściu.

– Każdy z nas popełnia błędy. Bywa skrzywdzony. Życie to ciągła walka. O rodzinę, cele czy marzenia. To walka, która zależy tylko od nas. Tylko. To nasza podróż i wybory, nie rodziców, dziadków czy męża. To nasza odpowiedzialność i konsekwencje podjętych decyzji... Myślę, że jesteś wyjątkowa. I nie pozwól, aby ktoś zniszczył twoją wyjątkowość. Widzisz, i wiesz więcej niż inni. Nie pozwól, aby tobie to zabrano. I pamiętaj... na końcu podróży jest dom. Miejsce, które sama stworzysz, a które będzie twoją oazą i energią życiową. On istnieje, tylko trzeba chcieć do niego dotrzeć.

Wyciągnęła niewielką kremową wizytówkę.

– Tutaj jest mój numer telefonu. Możesz zadzwonić, napisać o każdej porze.

Przysunęła rękę bliżej mojej. Rzuciłam spojrzeniem.

– Rozumiem. Pomyśl o tym o czym powiedziałam.

Położyła na drewnianych belkach i odeszła.

Nie potrafiłam powstrzymać łez. Mimowolnie napłynęły jak porywista rzeka. Sięgnęłam po wizytówkę i mocno ją ścisnęłam. Skuliłam się w kłębek i ryczałam, myśląc o tym domu, który na mnie czeka w przyszłości.

Poczułam ciepło dłoni na moich kolanach. Otworzyłam oczy i ujrzałam Agatę. Opuściłam nogi, a ona mnie mocno przytuliła. Płacz nie ustał. Kolejne łzy spływały na jej koszulę. Serce mocno waliło. Nie potrafiłam jej objąć rękoma, trzymałam swobodnie wzdłuż ciała. Natomiast to ona

mnie tuliła. Z każdą sekundą zamiast się uspakajać, to się rozczulałam coraz bardziej. To głęboko siedziało we mnie. Było mi dobrze, a nie potrafiłam tego odwzajemnić. Nie mogłam dać nic w zamian, a brałam całą powierzchnię ciała. Zapomniałam jak to jest być przytulonym. Jakie to uczucie, poczucie bezpieczeństwa które z tego płynie. Zrozumienie i wsparcie, które jest wyrażone gestami. Nie trzeba słów, aby dać część siebie. Dać coś czego nie można kupić i czego nie można zdobyć w żadnym sklepie.

– Już dobrze. Wszystko będzie dobrze – szeptała na ucho.

Nie wierzyłam, że świat, może być lepszy. To był dzień w którym wszystko było czarne. Ludzie chodzili w czarnych ubraniach i kapeluszach. Trawa i niebo także. Tylko on była różowa. Dawała poczucie nadziei i wewnętrznej siły. Wyróżniała się na tle czarnych barw, które mnie otaczały. Była takim rozświetlającym promyczkiem za którym chce się podążać. Który chce się złapać, schować w dłoni a następnie włożyć do słoika szczęścia. I móc patrzeć na ten błysk w każdej chwili zwątpienia czy zawahania.

Po długim uścisku, stanęła przede mną. Chwyciła za obie dłonie i głęboko spojrzała w oczy.

– Dasz sobie radę. Jesteś silna. I ja w ciebie wierzę.

Łzy nadal płynęły. Otarłam jedną ręką i nie mogłam oderwać wzroku od jej pogodnej twarzy. Po raz pierwszy dostrzegłam jej silne a zarazem wrażliwe wnętrze. Stała się dla mnie autorytetem. Przewodnikiem życia.

Puściła moją drugą dłoń.

– Muszę już iść.

Skinęłam głową i mój wzrok odprowadził ją do najbliższego skrzyżowania. Zniknęła za rozłożystymi drzewami. Stałam wpatrzona w jeden punkt. W szczelinę między gałęziami w której utknał obraz jej plecaka. Jakby ona tam wciąż była. Szła w dół, a plecak tam został. Zamroziłam klatkę, która przywołała wiarę w dobroć. W bezinteresowną pomoc o której się zapomina bo łatwiej jest przejść obok krzywdy. Albo udać, że się jej nie dostrzega.

Wzdrygnęłam się bo pies zaczął głośno szczekać.

– Cicho Yorki. Cicho!

Niewielki pies rasy Yorkshire Terrier rwał się na smyczy. Szczekał na mnie, i ciągnął w moją stronę. Nie dawał za wygraną. Siłował się z silną ręką młodej dziewczyny, która próbowała go odciągnąć od mojej nogawki.

– Bardzo przepraszam. Nie wiem co w niego dzisiaj wstąpiło.

Posłałam ciepłe spojrzenie i ruszyłam przed siebie.

– Siad! – warknęła.

Jego szczekanie było jeszcze głośniejsze. Obróciłam się a on nadal walczył ze smyczą. Zapewne musiał iść tam, gdzie jego właścicielka chciała. I w takim rytmie w jakim ona chciała. Był żyjącym stworzeniem. Potrzebował kogoś, kto położy jedzenie na miskę, czy wleje świeżej wody. Wymagała też systematycznych spacerów, na których nie mógł pozwolić sobie na bycie sobą. Szereg zasad, które były wytyczone przez właścicielkę powodowały frustrację i złość. Był znacznie mniejszy ode mnie, a jednak trochę podobny. Z tym, że wciąż byłam na tej smyczy i nie miałam odwagi głośno zaszczekać. Wszystko tliło się we mnie jak niewielkie iskry po zgaszeniu ogniska. Widać je z dala, delikatnie rozświetlają, a jednocześnie powoli umierają lub wskrzeszają ognisko a to wszystko w zależności od sprzyjających warunków. Czy to będzie ulewny deszcz czy porwisty podmuch wiatru. I znowu ta zależność, która króluje na świecie.

Błąkałam się po parku przez kolejne dwie godziny. Kompletnie bez celu, byle być w wolnej przestrzeni. Pośród zielonej trawy i bujnej roślinności. Być częścią natury, która daje życie i w

zamian nic nie oczekuje. Zupełnie inaczej niż w domowym ognisku, które jest wypadkową różnych zdarzeń i ludzi.

W parku pojawiało się coraz więcej młodzieży. Przechadzali się w parach, lub grupkach. Często zachowując się głośno i zwracając na siebie uwagę. A to ekstrawaganckim strojem, albo niecenzuralnymi słowami, które było słyszeć z dala. Minęłam kilka starszych kobiet, które szły w swojej zadumie. Potrafiły się lekko uśmiechnąć, kiedy je mijałam. Tak, jakby był to bezwarunkowy odruch. Empatia płynąca z głębi serca. Dostrzegały drugą osobę, sens w niewielkim geście, który zanikał wraz z młodszym wiekiem. Odwzajemniałam, chociaż był to wymuszony uśmiech. Nie czułam radości i zadowolenia a wręcz ogromne przygnębienie, które się powiększało kiedy na horyzoncie pojawił się plac zabaw. To był cel moich przechadzek po dużym terenie. Tam była moja ławka z którą rozmawiałam, która była moją przyjaciółką w niedoli.

Zboczyłam dwa kroki z brukowanej kostki, po to aby się wychylić i dostrzec czy moje miejsce jest wolne. Moim oczom pokazała się stara, drewniana ławka. Na jej oparcie opadał jeden konar rozłożystego drzewa. Ucieszyłam się na ten widok.

Wróciłam na wytyczoną ścieżkę i zaczęłam się wpatrywać w huśtawki, które z każdym krokiem przybliżały się do mnie. Najpierw rysował się ich kwadratowy kryształ – było to siodełko a dopiero kilka metrów dalej, pojawiły się metalowe łańcuchy, które podtrzymywały ciężar drewna. Kojarzyły mi się z szubienicą i katem. Oczyma wyobraźni widziałam tam śmierć. Podobna konstrukcja i różne zastosowanie. Siodełko lekko było wprawiane przez rucha powietrza. Było jak wahadło: przód i tył.

Na placu było troje dzieciaków w wieku przedszkolnym. Dwie dziewczynki i jeden chłopiec.

Usiadałam lekko wilgotnej ławce, plecak położyłam obok. Wbiłam wzrok w czerwoną zjeżdżalnię do której była niewielka kolejna. Trzy kobiety – matki, stały nieopodal i plotkowały. Co chwilę jedna z nich upominała swoje dziecko, mówiąc aby uważało.

Odpaliłam muzykę i mogłam siedzieć tak do zmierzchu. W tym miejscu niczego nie potrzebowałam. Doceniałam, że w nim mogę być, i że przede mną biegają radosne istoty. Dzieciaki, które jeszcze nie wiedzą co ich czeka w życiu. Z jakimi trudnościami będą musiały się zmierzyć w życiu. I jakie krzywdy na nich czekają. Biegają wokół, co po chwila spoglądając czy matka jest w zasięgu wzroku. Miały azyl do którego mogły się zwrócić z razie problemu. Przytulić po upadku. Nie wiem czy byłam taka radosna w ich wieku bo Jasiek na pewno nie. Naszym placem zabaw było podwórko i stodoła a zabawkami narzędzia ojca i inne przedmioty domowego użytku. Zupełnie inny rodzaj placu zabaw. I miłości.

Różne emocje buszowały po ciele. Kipiałam z zazdrości, gdy matki posyłały im całusy. Bezsilność rozrywała moje wnętrza a nadzieja widziała mnie w roli kochającej oraz czulej żony. W ciągu kilkunastu minut doświadczyłam wizji pięknego domu, jak również spania w kartonie pod mostem. Gdy tak patrzyłam na otaczający świat, denerwowała mnie przyszłość. Nasuwało się wiele pytań bez odpowiedzi. Gdzie będę za kilka lat, jak będzie wyglądać moje życie. Czy wciąż będę mogła oddychać i poruszać się. Wszystkie te myśli napawały mnie jeszcze większym lękiem, poczuciem beznadziei. Marzyłam o osiemnastych urodzinach, ale strach przyszłości nie pozwalał się z tych marzeń cieszyć. Były takim katem, który przyczynia się do obcięcia głowy.

Robiło się coraz chłodniej i bałam się spojrzeć na zegarek. Zamykałam oczy, odpływałam. Otwierałam i patrzyłam na dziecięce uśmiechy. Chciałam się chociaż na chwilę zamienić rolami. Pobiegać a potem przytulić. Wyobrażałam sobie to ciepło płynące, ten delikatny a zarazem

mocny uścisk. Te przyjemne słowa, które są szeptane. I to poczucie bliskości, które jest siłą napędową do życia.

Spoglądałam jeszcze raz na zegarek i dostrzegłam, że mój ostatni autobus odjeżdża za dwadzieścia minut. Z niechęcią zabrałam plecak, rzuciłam wzrokiem na plac, na którym pojawiło się więcej dzieciaków i ruszyłam w stronę przystanku.

Szłam z wielką niewiadomą w głowie. Zastanawiałam się co mnie może spotkać w domu, i czy to będzie lanie czy może tylko histeryczne krzyki. Nie dawało mi to spokoju, i kiedy dotarłam na przystanek to w głowie miałam kilka scenariuszy filmów, które rozegrają się w czterech ścianach. Żaden z nich nie był pozytywny. Wzięłam głęboki wdech i wsiałam do opustoszałego autobusu. Przykleiłam twarz do okna i ze smutkiem w oczach żegnałam każde mijające drzewo. Wydawało mi się, że jadę na spotkanie z wyroczniom.

Nie wiem co było gorsze, śmierć z jego rąk, czy może kolejne domowe awantury. On pozbawia życia, wszystkie problemy znikają w ciągu kilku sekund a cierpienie i ból jest krótkotrwałe. Niewiadoma jest tylko jedna: co jest po śmierci? Domowy kat, nęka każdego dnia zabierając kawałek po kawałku, czerpiąc z tego radość. Zdziera powoli skórę odkrywając mięśnie i kości. Później dobiera się do tych ostatnich, które łamie jednym ściśnięciem. Następuje trzask. Bólu już dawno nie czuć. Organizm zdążył się przyzwyczaić. Jest on praktycznie niewyczuwalny w chwili znęcania się. Pojawia się kilka godzin później, razem z wyrzutami sumienia, że ponownie bierność wygrała. Godność została odebrana bez możliwości zwrotu i następuje przewlekłe cierpienie a przyszłość zamienia się w chęć ucieczki od niej.

– Panienko to twój przystanek.

Nie zauważyłam, że autobus zatrzymał w wyznaczonym miejscu. Wstałam pośpiesznie i wybiegłam z niego. Na trasie kursowało dwóch kierowców. Znali okolicznych miejscowych, stąd często można było się zdrzemnąć bez obawy, iż autobus zatrzyma się w niewłaściwym miejscu. Oboje nie byli mieszkańcami naszej wsi, lecz większość uważała, że należą do naszej wiejskiej społeczności. Moi rodzice nie podtrzymywali kontaktów z innymi, a życie toczyło się według zasad jednej osoby. Całkiem niedawno jedna pani z Koła Gospodyń Wiejskich prosiła matkę o pomoc. Gdy ojciec to usłyszał wpadł a furję, i rzucił w nią butelką po piwie. Matka mogła wychodzić raz w tygodniu z domu i był to wtorek ze względu na odbywający się targ, w miejscowości obok. Do Kościoła nie chodziliśmy bo ojciec uważał to za stratę czasu. Mimo, iż wzięli ślub kościelny. Jako jedyna z klasy nie zostałam ochrzczona.

Ojciec podobno był inny przed ślubem. Wszystko zmieniło się po tym magicznym dniu. Jego dyktatorskie oblicze ujrzało światło dzienne. Każdego dnia zabierał matce część wolności, i narzucał swoje reguły gry. Zmanipulował oraz uzależnił. Zapewne robił to stopniowo, badając na ile pozwoli sobie jego żona. Owładną ją, a potem zawładną nami. Został królem domowego królestwa.

Uchyliłam delikatnie drzwi, aby ich skrzypiący dźwięk nie zdradził mnie. Zrobiłam dwa niepewne kroki w głąb domu. Dostrzegłam, że drzwi do spiżarni są otwarte a z nich wydobywa się dziwny dźwięk. Położyłam plecak na ziemi, tuż obok schodów i po chwili zajrzałam przez szparę.

Serce mi przyspieszyło, a widok wstrząsnął. Na podłodze siedziała zapłakana matka, a wokół kilka rozbitych słoików. Twarz miała pokiereszowaną, a krwawiące ręce zawijała do podomki. Nie było słyhać ojca w domu, więc szybko pobiegłam na górę do łazienki.

Otworłam drewniane drzwiczki pod umywalką, i zaczęłam wytrząpywać wszystkie środki, szukając bandaża lub plastrów. Znalazłam dwa używane oraz wodę utlenioną. Wrzuciłam pozostałe rzeczy do szafki. Zabrałam czysty ręcznik i po minucie byłam już przy matce.

Dotknęłam jej trzęsących się i zalanych krwią rąk. Było to dziwne uczucie, bo nie wiem kiedy ją dotykałam w taki sposób. Pościeliłam ręcznik pod ręką i delikatnie polałam rany wodą utlenioną. Matka skrzywiła się z bólu, lekko pociągając rękę. Chwyciłam mocniej. Nachyliłam się i obejrzałam. Nie dostrzegłam żadnych odłamków. Delikatnie przyłożyłam ręcznik, aby osuszyć dłón.

– To przez ciebie, smarkulo!

Zesztywniałam. Jej dłón się osunęła, a ja wbijałam wzrok w jej twarz. Dopiero teraz dostrzegłam, że była przerażająca. Nie z powodu ran lecz wściekłości. Cisnęłam ręcznikiem i wybiegłam z domu. Za drzwiami skierowywałam się w prawo, w stronę stodoły.

Wyszłam po niewielkiej prowizorycznej drabinie na półkę. Usiadłam pomiędzy belami siana. Promienie zachodzącego słońca wdzierały się przez niewielki otwór. Nachyliłam się i w oddali ujrzałam traktor ojca. Wracał z pola. Jechał szybko, a traktor podskakiwał na nierównym terenie. Warkot silnika był coraz głośniejszy, aż w końcu ucichł na podwórku. Ojciec wyskoczył z kabiny i zniknął za drzwiami domu.

Oparłam się o kłujące bele a wzrok podążał po drewnianym suficie. Był zbity z nierównych desek, które kilka lat temu przybijał ojciec. Matka była w ciąży, kiedy ojciec zdecydował, że rozbuduje gospodarstwo. Dom oraz kilka hektarów pola dostał od swoich rodziców. Nie podobało im się mieszkanie na wsi, więc kiedy ojciec osiągnął pełnoletniość, oni się wyprowadzili do większego miasta. Dziadek dostał służbowe mieszkanie, w którym do tej pory mieszka razem z żoną. Natomiast ojciec jako jedynak został sam na gospodarstwie. Podobno tego chciał, i był bardzo zadowolony z prezentu. Kilka lat później spotkał moją matkę i po ślubie ona się wprowadziła się. Podobno miała opory, aby zamieszkać z nim bo marzyła o własnym domu, który razem wybudują.

Sąsiedzi nie lubili mojego ojca. Twierdzili, że jest egoistą, i nigdy nie chce pomóc. Z czasem przestali przychodzić i pytać o niego. Nie był skłonny aby pożyczyć narzędzia czy pomóc w drobnych pracach na innych gospodarstwach. Uważał, że skoro on potrafi wszystko zrobić, to nie ma obowiązku dzielenia się wiedzą i sprzętem. Te same idee przekazał matce, która unika towarzystwa sąsiadów. Bała się konsekwencji kilkuminutowej rozmowy z sąsiadką. Jeżeli coś potrzebuje, jak książki dla mnie to rozmawia podczas wtorkowych targów, na których są wszystkie gospodynie. To jej przepustka do rzeczywistości i wolnego życia. Ma dwie godziny między ósmą rano a dziesiątą na zrobienie wszystkich potrzebnych zakupów i powrót do domu. Pamiętam jak ojciec wpadł całkiem niedawno w furję z powodu spóźnienia.

Na targu

Są ferie zimowe. Potrzebowałam nowych butów, więc matka zaproponowała abym poszła z nią na targ. Nie zaprzeczałam bo wiedziałam, że za kilka dni będę musiała pójść do szkoły, a jedyne buty jakie miałam to gumofilce. W zimowych chodziłam przez kilka sezonów i Mimo kilkukrotnego użycia super glue, podeszwa całkowicie odpadła. Po kilku krokach przez podwórze, siarczasty mróz dosięgnął palców u stóp, które miałam wrażenie, że zamarzają. Podwójna warstwa skarpet nie pomogła. Autobus był punktualnie a kilkadziesiąt minut w cieple, spowodowało, że czułam jak powraca krążenie. Ciepłownicza sielanka nie trwała długo bo autobus zaparkował na dworcu. Nałożyłam ciepłą – puchatą czapkę oraz grube rękawice i byłam gotowa na zmierzenie się ze srogim wrogiem. Cieszyłam się, że mrozy nadeszły wtedy kiedy mieliśmy dni wolne od szkoły.

Targ był po drugiej stronie ulicy. Ogromny betonowy plac, który był przykryty śniegiem a na nim kilkadziesiąt osób sprzedających swój towar. Najwięcej było straganów z odzieżą używaną.

To nawet nie były typowe stoiska. Była rozłożona czarna gruba folia i na tym wysypane wszystkie rzeczy a wokół spora liczba klientów - głównie kobiet. Brały po jednej rzeczy do ręki, następnie skrupulatnie oglądały po czym odrzucały na bok, lub pakowały do toreb foliowych. Starsze kobiety miały wózek na kółkach, do których wkładały wszystkie zdobycze. Następnie z takim wózkiem udawały się w kierunku sprzedających, pokazywały co mają w środku i płaciły. Było kilka osób, które pilnowały, czy ktoś czegoś nie ukradł. Natomiast powierzchnia, która była zajęta przez odzież była ogromna, tak jak liczba osób, które w niej grzebały. Z łatwością można było coś ukraść. W dalszej części placu były z używanymi częściami czy sprzętem domowym. Tylko kilka było z nową odzieżą, i one głównie były zadaszone. Towar był schowany w prowizorycznych – materiałowych budkach o wymiarach dwa metry na dwa metry. Czasami jeden składany stół zajmował całą powierzchnię, w której ciężko było dostrzec właściciela budki. Co wtorek można było spotkać tych samych sprzedających, którzy mieli przydzielone miejsca na placu.

Matka mocno mnie szarpnęła i wskazała na stos butów, które były na końcu jednego ze nich. Było z dwieście sztuk, po jednym bucie z danej pary, i ich cały przekrój. Były klapki, japonki, baleriny, kozaki i inne. Najbardziej wyróżniały się te, które miały wyraziste kolory. Matka zaczęła grzebać z jednej strony, a ja z drugiej. Nie lubiłam tego ze względu na smród, który się unosił a także dlatego, że brzydziłam się dotykać używanych – brudnych przedmiotów, które stanowiły większość.

W zimie jest lepsza sytuacja, bo zapach jest nieco lepszy niż w lecie kiedy wszystko się gotuje w powietrzu a grube rękawiczki są barierą. Przerzucałam buty w poszukiwaniu zimowych. Znalazłam fajne markowe adidas. Były zielono białe, z grafiką dinozaura. Ciekawe wyglądały więc zajrzałam do środka, i zobaczyłam wielkie trzydzieści osiem. Uśmiechnęłam się na widok mojego numeru.

– Musisz odłożyć.

Kosztowały dziesięć złotych, a wyglądały jak nowe. Cisnęłam nimi ze złości. W takich chwilach nienawidziłam swojego życia. Tego, że dotykam ubrań, które ktoś wyrzucił. Tego, że nie mogłam mieć tego co mi się podobało. Nie mogłam być taka jak moi rówieśnicy, którzy chodzą w nowych ubraniach. Przy straganie byłam najmłodsza, większość to starsze kobiety, które miały niewielką emeryturę. Świat był dla mnie niesprawiedliwy. Jednym dawał dużo, ogrom pieniędzy a innym nawet nie pozwalał na zakup nowych butów. Nigdy tego nie mogłam zrozumieć, dlaczego tak się dzieje. Dlaczego niektórzy mają prywatne samoloty, a inni nawet nie mają łazienki w domu. Starałam się docenić to, że miałam laptopa i smartfona, bo niektórzy z moich sąsiadów nawet telewizora nie mieli. Oba gadzety dostałam używane od mojej ciotki – siostry mojej matki. Pracowała za granicą lecz nie za bardzo utrzymywała kontakt z moimi rodzicami. Nie akceptowała mojego ojca, bo chyba jako jedyna wiedziała przez co przechodzi jej siostra. Matka była od niej starsza, lecz nie wiem czy utrzymywały kontakt. Trzy lata temu dostałam od niej paczkę z akcesoriami, które wprowadziły mnie w inny świat. Gdyby nie ona, to na pewno nie miałabym własnego laptopa. Internet założył ojciec, po to, aby mieć więcej kanałów w telewizji, zwłaszcza tych sportowych. Potrafił zarywać noce, aby oglądać mecze czy jego powtórki.

– Aśka!

Spojrzałam w kierunku matki. Trzymała czarne, wyglądające na męskie trapery. Nie podobały mi się.

– Nie ma innych w twoim rozmiarze.

Rzuciłam wzrokiem w kierunku kolejnego straganu.

– Jak chcesz to idź tam grzebać.

Poprawiłam plecak na ramionach i udałam się w kierunku niższego sprzedawcy. Stałam pośrodku dwóch kobiet, które oglądały kurtki, po czym się schyliłam i zaczęłam przekładać buty z jednego miejsca na drugie. Po kilku minutach dostrzegłam na spodzie ładne damskie buty zimowe a w środku ujrzałam metkę z odpowiednim numerem.

Jednym ruchem ściągnęłam gumofilca i nałożyłam brązowego na nogę i wręcz zakochałam się w nim. Dostrzegłam, że matka podąża w moim kierunku. Zrobiłam kilka kroków, były bardzo wygodne, a przede wszystkim ciepłe. Poczułam zdecydowaną różnicę pomiędzy tymi, w których przyjechałam a tym, którego miałam na prawej nodze. Ściągnęłam i pokazałam matce.

– Kosztują dwadzieścia pięć złotych. Za drogie, mam tylko piętnaście.

Dostałam kolejny cios w twarz. Wszystko miało swoją niepodważalną cenę.

– Zaczekaj.

Zabrała buta i udała się w kierunku otyłego mężczyzny. Siedział w bagażniku dużego samochodu i pił piwo z puszki.

– Będzie za piętnaście?

Odłożył puszkę, wstał ociężale.

– Pokaż to paniusiu.

Zabrał go do ręki i zaczął szukać ceny.

– Dwadzieścia.

– Nie mam tyle. Córcie się bardzo podobają.

Zaśmiał się szyderczo.

– Paniusiu, każda to mówi. Nigdy nie macie, a później pazury robicie w salonie. Ja już znam takie ja ty. Nie będę przynętą. Bierzesz za dwadzieścia, albo wcale.

Odeszła spokojnym krokiem.

– Chodź wróćmy do poprzedniego.

Było mi cholernie zimno. Z trudem stawiałam kolejne kroki.

Podeszliśmy do największego straganu. Matka zaczęła grzebać.

– One muszą tutaj być – mówiła sama do siebie, przerzucając kolejnej buty.

Po kilku minutach stos butów był przemieszczony o kilkadziesiąt centymetrów a w poprzednim miejscu pojawił się widok czarnej folii.

– Nie ma ich. Widzisz, a mogłaś brać!

Porwała mnie za rękę i przez kilkadziesiąt metrów ciągnęła mnie w stronę rzeki. W pewnym momencie zgubiłam jednego buta. Mocno ją szarpnęłam, puściła mnie. Poszłam w kierunku zguby. Starsza pani zmierzyła mnie oczami, po czym pokiwała głową.

– Kup pani córcie buty, bo nogi zgubi!

Poczułam ogromne zażenowanie, ludzie się obrócili w moją stronę. Było mi cholernie zimno, a mimo to na twarzy poczułam rumień. Pot zlał moje plecy. Miałam ochotę uciec z tego cyrku, który zaczął się rozgrywać.

Matka się nie odezwała, poszła przed siebie, zostawiając mnie w tyle. Włożyłam zimnego buta, i otrzepało mnie. Nie wiedziałam czy to już z zimna, czy ze złości, która mi towarzyszyła. Czułam się poniżona oraz upokorzona. Myślę, że starsza pani nie chciała tego. Wyglądała na bardzo sympatyczną, być może chciała mi w ten sposób pomóc. Zrobiło mi się żal, bo to nie była jej wina zapewne poczuła się podobnie lecz to ona dźwigała większą odpowiedzialność. W mniemaniu społeczeństwa, spoczywa na niej obowiązek zapewniania podstawowych rzeczy a także zaspokojenie niezbędnych potrzeb swoich dzieci a w rzeczywistości, to nawet jej potrzeby nie były spełniane.

Matka nie wyglądała na taką, która by się przejęła takim komentarzem. Ze spokojem zaczęła szukać odpowiednich butów. Być może była przyzwyczajona do takich zachowań.

Z jednej strony podziwiałam ją, za taką oazę spokoju, dzielnego przyjmowania wszystkich słów i czynów a z drugiej zastanawiałam się jak bardzo jej psychika jest zniszczona.

Dołączyłam matki.

– Tutaj nic nie ma dla ciebie.

Rzuciłam wzrokiem na stare obuwie, które miałam na nogach.

– Chodź, pójdziemy w jeszcze jedno miejsce.

Szliśmy wzdłuż dwóch rzędów straganów. Głównie pomiędzy nową odzieżą oraz bielizną. Po przejściu całego placu, wyszliśmy z drugiej strony na przydrożny chodnik. Naprzeciwko był Kościół. Udaliśmy się w lewo. Ulica była ruchliwa, zrobił się niewielki zator. Część samochodów chciała wjechać na plac targowych, a kilka opuścić. Droga wyjazdowa była wąska, więc mógł przejechać tylko jeden. Korek ciągnął się przez około dwieście metrów, co po chwila znecierpliwieni kierowcy wyżywali się na klaksonie samochodowym. Nic im to nie dawało, bo samochody nie poruszały się a na chodniku nie było lepiej. Trzeba było ścisnąć brzuch i mieć szeroko otwarte oczy. Kobiety tłumnie poruszały się w stronę placu, i część już z dużymi siatkami wracała. Przypominało to chińskie miasteczko, w którym panował niemiłosierny ścisk.

Nie wiedziałam gdzie prowadzi mnie matka. Po kilkuminutowym spacerze, który nie należał do przyjemności ze względu na niską temperaturę, dostrzegłam niewielki plac.

Nie wiedziałam o jego istnieniu. Był to głównie duży warzywniak. Nie było stoisk, a handlujący mieli towar w naczepach samochodowych lub większych samochodach dostawczych.

Skręciliśmy w lewo, w stronę placu. Minęliśmy kilkanaście wozów z warzywami, a na końcu dostrzegłam jedno stoisko z odzieżą używaną. Ciuchy były rozłożone na niebieskiej folii. Tuż przy lesie, wystarczyło przekroczyć duże kopce z odzieżą, aby znaleźć się na ścieżce leśnej.

Matka od razu skierowała się w stronę sekcji z obuwiami. Spojrzałam na młodą kobietę, która była zatrudniona do pilnowania. Przechadzała się w dziurawych spodniach z jednego końca na drugi. W jednej ręce miała odpalonego papierosa, a w drugiej piwo. Miała może z dwadzieścia kilka lat, a końcówki fioletowych włosów wystawały spod zimowego kaptura.

– Nie rzucaj tego tam!

– Idź w cholerę! – cisnęła, starsza kobieta, po czym odeszła.

– Stara pruchwa!

Jej donośny i krzykliwy głos można było usłyszeć po przeciwnej stronie targu. Przeszłam kilka metrów, w kierunku matki. Koło niej były ułożone trzy zimowe buty. Rzuciłam na nie oczami. Żadna para nie podobała mi się bo wszystkie wyglądały jak męskie. Sięgnęłam po czarne i z trudem włożyłam lodowatą nogę do środka. Od razu poczułam jak coś dziwnego uciska w okolicach pięty. Po ściągnięciu, oglądnęłam i okazało się, że but był bardzo zużyty. Warstwa wewnętrzna była zdarta, i twardy materiał stykał się z moją nogą, powodując uraz.

Po kilku minutach przymierzania wybrałam jedną parę. Były w brzydkim brązowym kolorze i przypominały o defekacji. Nie miałam wyjścia bo były jedynymi, które były dobre na mnie i mieściły się w ustalonym budżecie. Kosztowały dwanaście, lecz udało się matce dobić skutecznego targu. Z zewnątrz źle wyglądały, natomiast w środku miały delikatny w dotyku kożuszek, który był w białym kolorze. Było mi tak zimno, że od razu je założyłam, a gumofilce wpakowałam do dużej torby zakupowej.

Kiedy w nich szłam, to czułam różnice pomiędzy butami gospodarczymi, a przystosowanymi do dłuższych spacerów. Były wygodne i lekkie.

Wracaliśmy tą samą trasą z tym, że ludzi było mniej, więc spacer był nieco swobodniejszy. Kiedy dotarliśmy do głównego placu, zatrzymałam się w bezruchu.

– Co się stało? – spytała ze zdziwieniem.

Nie odezwałam się, a matka spojrzała w tym samym kierunku co moje oczy. Dostrzegła zdenerwowanego ojca. Biegał jak opętany, czegoś poszukując. Rozbrzmiał się głos dzwonów kościelnych.

– O Chryste! Jesteśmy spóźnione! Musimy się schować.

Ta sztuczka się nie udała, kiedy matka ciągnęła mnie pomiędzy dwa budynki. Wzrok skrzyżował się z oczami ojca. Ruszy z impetem w naszą stronę.

Matka mnie ciągnęła w kierunku ustronnego miejsca. Mocno ją pociągnęłam, sygnalizując, że dalsze wysiłki nie mają żadnego sensu.

– Kurwa nie wiecie która godzina?!

Kilka osób zatrzymało się.

– Nie mogłyśmy butów znaleźć.

– Znowu się kurwa puszczałaś? Gadaj, z którym?

– Przecież z nią byłam – wyszeptała.

Ludzie dyskretnie patrzyli. Jedna kobieta bezczelnie zatrzymała się tuż obok.

– Idziemy! – pociągnął ją za rękę.

Biegła za nim przez cały plac.

– Kurwa szybciej!

Szarpnął mocniej. Z siatki wypadł jeden but.

Ludzie się obracali, krzyczeli coś do mojego ojca, a on posyłał cierpkie słowa. Po raz pierwszy zauważyłam, że zachowuje się tak w miejscu publicznym. Nie wiem co go doprowadziło do takiego zachowania. Wiedział, że matka idzie ze mną, więc nie mogła spotkać się z kimś innym. Miał obsesję na punkcie zazdrości. Zakrawało to na jakieś urojenia. Wszędzie dopatrywał się romansu a nie sądzę, aby jego żona była do tego zdolna. Była zbyt słaba i krucha, aby szukać odskoczni u boku innego mężczyzny. Nie dostawała miłości, lecz też nie szukała jej. Była pogodzona ze swoim losem, wręcz dawała mu przyzwolenie na takiej traktowanie. Była przedmiotem w jego rękach. Zachowywała się jak piłki żonglującego klauna. Leciały w tym kierunku, w którym on chciał. Specjalnie upuszczał po to, aby wzbudzić salwy śmiechu na widowni. Podnosił jedną po drugiej, strojąc dziwne miny, co też podobało się publiczności. Przez chwilę to nie piłki były głównym przedmiotem, lecz jego postać, która wzbudzała śmiech a jednocześnie była władcza.

To było prawdziwe przedstawienie cyrkowe lecz zamiast uśmiechu na twarzach pojawiał się smutek u kobiet, a u mężczyzn obojętność. Spektakl trwał kilka minut a podczas niego pojawiały się soczyste epitety. Nie tylko kierowane do matki lecz także do tych, którzy odważyli się skomentować zachowanie. Zabrakło tylko ukłonów. Pchnął ją do wnętrza samochodu i trzasnął mocno drzwiami, dając sam sobie głośne oklaski.

Miałam ochotę uciec. Daleko, i bez myśli powrotu. Nie byłam wystarczająco silna, aby to zrobić więc posłusznie wsiałam do środka.

Matka się nie odzywała, a ojciec agresywnie prowadził samochód. Kilkaset metrów przed naszym domem, samochód gwałtownie na coś najechał. Nawet nie spojrzał do lusterka wstecznego. Kiedy poczułam dziwne uderzenie, obejrzałam się za siebie. Niewielki czarny kot leżał na drodze. Nie ruszał się, a wokół było widać czerwone plamy.

Zabił go z zimną krwią, nawet nie próbował zahamować gdy ten pojawił się na ulicy. Nie skręcił kierownicą. Jechał przed siebie, przeszło sto na godzinę. Przez chwilę przeszło mi przez myśli,

że on nas chce zabić. Spowodować wypadek po to, aby pozbyć się kłopotu. Był porywczy, lecz w takim amoku to rzadko widywałam, zwłaszcza, że wyglądał na trzeźwego.

Jego twarz była zupełnie inna. Jakby samochodem kierował obcy człowiek. Cholernie bałam się takiego oblicza. Nie wiedziałam gdzie jest granica zachowania i o czego może być zdolny. Jedną śmierć miał już za sobą a podobno najgorszy jest pierwszy raz.

Miałam nadzieję, że nasza rodzina zwróci uwagę pomocy społecznej lub innej instytucji lecz tak się nie stało. Wszyscy uznali, że był to nieszczęśliwy wypadek. Nie było sekcji zwłok, ani oględzin. Prawda została zamknięta w czterech ścianach.

Wieczorem tego dnia, matka miała prawdziwy łomot. Po wypiciu kilku piw, był tak agresywny, że zrzucił stół nocy z pierwszego piętra. Spadł metr dalej od matki, która niczego świadoma, szła do kuchni.

Nie spałam przez całą noc wyczekując kolejnych dramatów. Każdy dziwny odgłos w domu, stawiał mnie do pionu. Byłam zmęczona lecz nie potrafiłam urosnąć. Niepokój był tak ogromny, że nie widziałam co mogę zrobić, aby się uspokoić. Nie byłam agresywna lecz czułam jak wszystko w środku się kotłuje. Nie wiedziałam jak długo mogę jeszcze wytrwać lub przetrwać w takiej sytuacji. Czułam, że zbliżam się do granic własnych wytrzymałości. Nie chciałam tego, a jednak wytrzymywałam więcej i więcej. Nie zdając sobie sprawy, że kiedyś tak wybuchnie, że nie będzie odwrotu.

W stodole

Myślałam i snułam plany. Oddawałam się marzeniom, bo one mnie kołysły. Wśród siana było przyjemnie. Żdźbła delikatnie kuły, pokazując, że wciąż żyję, że się nie poddałam lecz do walki nie byłam jeszcze gotowa. Oswajałam się sama ze sobą. Czasami swoje zachowanie traktowałam jako porażkę życia a czasami jako brak dojrzałości do podjęcia męskich decyzji. Myślę, że gdzieś we mnie mieszkał tchórz, który rządził większą częścią mojego życia. Wewnętrzny głos, który pokazywał, że nie jestem w stanie wyjść sama na szczyt. Że bezpieczniej jest się zatrzymać tuż przy ścieżce, która prowadzi w górę. Stałam tak miesiącami, inni mnie popychali chcąc się dostać na górę. Nie reagowałam, tuliłam się do poręczy bojąc się bolesnego i śmiertelnego upadku. Urazy, który były spowodowane przez innych, były niczym w porównaniu do tego co mnie mogło czeka. Czekać w moich myślach. Ten tchórz – myśliciel powodował, że codziennie wracałam do swojego pokoju i zastanawiałam się jak długo jeszcze to będę robiła. Czasami wkradała się desperacja, która dodawała trochę otuchy, lecz ona była gaszona jak wielki pożar. Kilka wozów strażackich, w tym beczka z wodą. Zimny i mocny strumień, który sprowadzał na ziemię, do pionu oraz posłuszeństwa. Przecież nikt o zdrowej psychice nie chce spalić własnego domu. Miejsca z którym ma się wiele wspomnień, i które kształtuje naszą osobowość a także jest rzekomo bezpieczną przystanią. Skrajność wpadała w skrajność a złoty środek zaginał w gąszczu burzliwych myśli. Został skutecznie przykryty przez apodyktycznego ojca, który potrafił budować kryjówki i zakopywać w nich wolność innych.

Głęboko zakopał wartości, którymi kieruje się większość społeczeństwa a na zewnątrz wyciągnął to co, inni skutecznie chowali.

Ściemniło się a na niebie pojawiły się gwiazdy. Wyszłam na zewnątrz. Skierowałam głowę ku górze i zaczęłam się kręcić wokół własnej osi. Oczy rejestrowały gwieździste niebo. A zachwyt dodawał siły. Widok małych – błyskających punktów zatrzymywał czas. Mijały minuty, a gwiazdy nadal świeciły. Udałam się w kierunku ogrodu. Kiedy minęłam dom, usiadłam na trawie i oczom ukazał się obłędny widok.

Gwiazdziste niebo nachylało się nad łąki. Było tak blisko, a jednocześnie tak daleko. Nie potrzebowałam teleskopu aby podziwiać piękno natury. Uwielbiałam takie momenty zadumy, zatrzymywania wzroku na widokach, obok których inny przechodzą obojętnie. Mogłabym przez kilka godzin tak siedzieć i po prostu patrzeć. Kiedy tak patrzyłam w górę to wydawało mi się, że niebo rysuje ciekawe rysunki. Przypominały się zeszyty ćwiczeń w których trzeba było połączyć wykropkowane punkty, po to, aby powstał obraz. I one powstawały najpierw w naszych myślach, a później na niebie. Wielki czy Mały Wóz były tylko dodatkiem do tego co mogłam wykreować. Wręcz powstawały chmury, deszcz a także zwierzęta. Wszystko tworzyło idealną całość. Każda gwiazda była inną częścią, i odpowiadała za inną potrzebę czy marzenie. Te większe, które się wyróżniały miały nadane imiona, czasami tylko one były widoczne.

Miałam ochotę z nimi rozmawiać, opowiedzieć jak przebiegł dzień lecz to zakrawałoby na całkowite szaleństwo, na które nie byłam gotowa. Nie uważałam się, za wariatkę bo lubiałam siebie i swoje wariactwa. Mam wrażenie, że one są znaczną częścią mojej osobowości. Fragmentem bez którego nie potrafiłabym żyć. Są takie moje. I tylko moje.

Dochodziła północ, a mnie czekał kolejny dzień w szkole. W salonie zagasło światło, więc zapewne matka poszła się położyć. Ojciec już dawno spał bo wstawał wcześniej rano. To matka ostatnia gasiła światło, i rano pierwsza zapalała. Spała pewnie po trzy, cztery godziny z przerwą na przyjemności, których życzył sobie ojciec.

Nie rozumiem jak ona potrafiła dzielić łóżko z takim potworem. Jego dotyk sprawiał ból, a ona trzymała te dłonie. Usta wyrzucały przykre słowa, a ona delikatnie je muskała. Jaki to jest rodzaj miłości? A może poświęcenie? Nie było obopólnej zgody na takie traktowanie a może bierność właśnie była taką zgodą?

Nurtowały mnie te pytania. Zadziwiał mechanizm życia. Nasza egzystencja, to jak każdy z nas jest inny. Mamy wiele tych samych podzespołów, posługujemy się tym samym językiem a jednak różnorodność ludzka jest bezgraniczna i jak w tym wszystkim odnaleźć wzorzec. Autorytet czy ideał. Jednostkę, która będzie perfekcyjna bo każdy popełnia błędy, zachowuje się nieodpowiednio w określonych sytuacjach i jak w tym wszystkim rozgraniczyć zło od dobra. Sympatię od złośliwości. Przecież jedno zachowanie może generować dwie zupełnie różne emocje u dwóch innych osób. Może ojciec był ideałem w oczach matki? Może ona nie zaznała innego traktowania? Nie poznała innych możliwości życia a obecne wydaje się jej jednym i słusznym, bo nie jest świadoma skali problemów, i tego, że wiele kobiet ma męża, których ich szanuje? Może to dla niej abstrakcja?

Była zapętłona w swoim życiu. Perfekcyjny automatyzm, w którym nie było miejsca na własną inwencję, czy odstępstwa od zaprogramowanego programu. Taka pralka automatyczna która ma jeden cel: wyprać brudną odzież. Kilka przycisków, każdy z innymi funkcjami, i jeden kręcący się bęben.

Nie chciałam wchodzić do domu, mimo iż przez okno też mogłam podziwiać podobny widok. Nogi mi zdrętwiały, więc dopiero po chwili mogłam wykonać krok. Nie spieszyło mi się. Nie wiem czy była kiedykolwiek sytuacja, w której nie mogłam się doczekać aż przejdę przez drzwi wejściowe. Może to się zdarzało kiedy byłam małą. Kiedy nie byłam świadoma tego co się dzieje w środku?

Chciałabym wrócić do przeszłości, do tego czasu kiedy miałam dwa lub trzy latka. Zobaczyć jak wtedy było, co się zmieniło, i czy coś się zmieniło. Sprawdzić czy siedziałam na kolanach u mamy, czy mówiła, że mnie kocha. Tyle niewiadomych, które niekoniecznie mogły coś wniesć do rzeczywistości. Podobno lepiej zaakceptować przeszłość i iść przed siebie. Bez patrzenia się

do tyłu, wracania do tego co było i na co już nie mamy wpływu boylko w terażniejszości coś możemy zmienić.

Dzień w szkole minął bez większych ekscesów. Miałam krótką pogadankę z Berezikową. W zasadzie to był monolog, który uważnie wysłuchałam. Nie za bardzo przejmowała się Woźniakiem i jego pretensjami. Nie był mile widziany w szkole, i podejrzewam, że jedyną osobą, która go lubiła była jego żona. Grono pedagogiczne raczej nie darzyło się sympatią, co było widać na przerwach czy w trakcie lekcji, kiedy pozwalali sobie na kąśliwe uwagi w kierunku innych nauczycieli.

Moja szkoła trochę przypominała więzienie do którego większość przychodzi z niechęcią. Uczniowie są zmuszani do uważnego słuchania, a nauczyciele stali na straży. Budynek był zaniedbany i gdzieś tam były zamontowane kraty w oknach. Podobno trzy lata temu, jeden z uczniów postanowił się zabić i wyskoczył z trzeciego piętra. Wprost na boisko szkolne. Zamiast śmierci otrzymał czterokończynowe złamanie, i przez kilka miesięcy jego ciało było pokryte gipsem. Nie wrócił do szkoły a jego osoba do dzisiaj jest postacią żartów i dowcipów. Jeden z uczniów stwierdził, że trzeba być głupcem, aby nie umieć się zabić. Że to każdy potrafi. Zapewne tak nie jest, a czyny w akcie desperacji miewają uciążliwe konsekwencje.

Miewałam czasami takie czarne myśli, zazwyczaj wtedy kiedy zawieszałam się w swoich myślach. Kiedy one były bardzo intensywne. Szalały w mojej głowie, rysując różne ścieżki bez drogowskazów. Nie sądzę, abym była do tego zdolna. Mimo trudnych chwil, dostrzegałam piękno życia. Zjawiskowa natura pokazywała drogę, którą powinnam podążać. Wskazywała na cenne sytuacje, które mogły mnie jeszcze czekać. Nikt nie wie co jest po drugiej stronie świata. Jak tam jest, czy jest zimo. Czy coś czujemy, czy może jest tam czarna pustka. Jedno jest pewne, nie ma tam drugiego człowieka który chwyci za rękę. Przytuli w chwilach słabości, lub uszczypnie z przekąsem. Nie ma tam sensu życia, który jest w terażniejszości. Nie w przeszłości, czy przyszłości. Jest tuż obok, codziennie się z nim budzimy, i chodzimy spać. Bez względu czy to jest tylko całodienne leżenie w łóżku, czy może mnóstwo prac w domu, w obecności dzieci. Sens jest w nas, i naszych działaniach. Sens to cząstka naszej osobowości, którą obdarzamy innych. To jest coś, czego nie można kupić na targu, wyżebrać litościwie. To głęboko zakorzenione walory, doświadczenia i cele ale też porażki, które kształtują, które pozwalają dostrzec prawdziwe wartości, i ukierunkować nasze działania. Sens to też poszukiwanie własnej osobowości, w gąszczu niezliczonej interakcji ze światem. To jest coś co każdy z nas posiada lecz niekoniecznie potrafi dostrzec, czy znaleźć do tego odpowiednią drogę.

Wiele rzeczy, kwestii wydawało mi się, że jest bez sensu. Po co ktoś wstaje o szóstej rano, skoro może to zrobić o dziesiątej rano? Albo pracuje w miejscu, którego nie znosi? Z punktu obserwatora wydaje się to kompletnie irracjonalne, ale jednak uczestnik życia robi to z jakiś powodów. Nawet nie zawsze potrafi je określić lecz nie przerywa swoich działań. Widzi sens tam gdzie inni nie potrafią go znaleźć. I na tym polega życie. Na odkrywaniu tego co jest fascynujące, zadziwiające a zarazem absurdałne. Historia każdego z nas jest ogromną kopalnią. Piękną jak kopalnia soli w Wieliczce i niedostępną jak kopalnia węgla brunatnego. Dostęp mają określone osoby, a chodnik może się zawalić w każdej chwili. Chodzimy, czasami po omacku, próbując znaleźć drogę do wyjścia. Wydaje nam się, że jesteśmy sto metrów pod ziemią, a w rzeczywistości winda znajduje się w zasięgu naszych oczu.

W ciągu kilku minut jesteśmy na górze lecz adrenalina i ekscytacja powoduje, że chcemy odkrywać nieznane. Zjeżdżamy w dół. Błąkamy się, szukając groty solnej. Chwili wytchnienia, życiowego restartu, albo zamrożonej klatki. Momentu w którym z naszego pola widzenia znikną

wszelkie ścieżki. Będziemy sami w niewielkim pomieszczeniu, w którym lekkość oddechu i smak powietrza będą zadziwiająco elektryzujące. Taka chwila to wskazówka
W kolejnych miesiącach moje życie wyglądało dosyć podobnie. Tak niewiele dzieliło mnie od upragnionego celu, jakim była pełnoletność.

LICEUM

Nawet nie wiem kiedy minęło to kilkanaście miesięcy. Byłam już w drugiej klasie liceum. Miałam wrażenie, że oprócz budynku szkoły oraz nowych znajomych i nauczycieli, nic się nie zmieniło. Ten sam ojciec, ta sama matka. I to samo gospodarstwo. Szara codzienność, do której wracałam z dużą niechęcią. Zdecydowanym plusem, była atmosfera w szkole. Nie wyśmiewali się ze mnie, nie przedrzeźniali mnie. Zaakceptowali to kim byłam, i jak się zachowywałam. Niektórzy próbowali nawet uprzejmie zagadać lecz mój uśmiech był jedyną odpowiedzią jaką otrzymywali. Raz nawet dostałam komplement, że jest on ładny. Uśmiechnęłam się jeszcze szerzej, i na zawsze zapamiętam tą chwilę. Myślałam, że nowe otoczenie przysporzy więcej kłopotów. Okazało się, że zmiany nie są takie straszne jak sobie wyobrażamy. Katastroficzne myślenie może zburzyć całą radość, która przypłynie w przyszłości. Jest jak sztorm, który zabiera piasek z plaży i posyła w nieznane. I niebezpieczne.

Był dopiero grudniowy poranek i każdego dnia odliczałam do dwudziestego kwietnia, kiedy uzyskam swoją wolność i niezależność.

Dzisiaj szczególny dzień bo Mikołajki. Dzień na który czeka tak wiele dzieci. Od tygodni wpatrują się w kalendarz, i z niecierpliwością czekają na wszystkie prezenty. U nas w szkole też świętowaliśmy, lecz nasza klasa zdecydowała, że nie będzie brała udziału w zabawie mikołajkowej. Było w niej zbyt dużo indywidualistów, każdy stwierdził, że lepiej wymienić się prezentami prywatnie niż w ramach loterii. Ten pomysł mnie ucieszył bo nie miałam zbyt wiele oszczędności.

W szkole dzień przebiegł na totalnym luzie. Podczas lekcji rozmawialiśmy z nauczycielami, nie było żadnych nowych treści i co chwilę z korytarza dobiegał okrzyk radości.

Było zupełnie inaczej niż w gimnazjum, mimo iż szkoła była oddzielona kilkaset metrów dalej niż budynek poprzedniej szkoły. Nauczyciele traktowali nas z szacunkiem. Pozwalali wyrażać siebie. Mieli wpływ na naszą osobowości, przybliżali nas do rozpoczęcia prawdziwego dorosłego życia.

Moje osamotnienie było mniejsze. Nie wiem czy to za sprawą normalizacji poziomu hormonów, czy po prostu była to magia ludzi, którymi się otaczałam.

Ostatnia lekcja dobiegała końca. Zostało dwadzieścia minut. Nasza wychowawczyni spojrzała na nas.

– Szóstek z zachowania wam nie dam.... Możecie iść już do domu.

– Serio?

– Janek, język.

– Przepraszam. Moje podekscytowanie jest na wysokim poziomie.

– Filozof się znalazł – padło z sąsiedniej ławki.

Rozejrzała się po niewielkiej sali, w której nie było żadnych plakatów ani wiszących materiałów edukacyjnych na ścianie. Były lekko odrapane i w kolorze brzoskwiniowym.

– Czekacie na coś? Powiedziałam, że możecie iść.

Krzesła mocno zgrzytnęły, dwa się przewróciły a gwar pewnie było słychać na boisko szkolne.

– Ciszej proszę.

Zabrała niebieski dziennik, i spokojnym krokiem wyszła z sali, a ja tuż za nią. Była najmłodszą nauczycielką w naszym liceum i naszą drugą wychowawczynią. Rok temu poznaliśmy panią Kościelniak, lecz kilka miesięcy temu okazało się, że ona jak również kilka innych nauczycieli zdecydowali się odejść z pracy na emeryturę. Wiśniewska była kilka lat starsza od nas. Była to jej pierwsza praca w szkole. Uczyła historii w ciekawy sposób a wiedzę poznawaliśmy głównie poprzez rozmowę. Trochę jak na języku polskim podczas interpretacji wiersza. Należała do sympatycznych osób, i była najwyższa z grona pedagogicznego. Miała przeszło sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu i długie nogi, które eksponowała obcisłymi jeansami. Ubierała się w sposób młodzieżowy, a czarne włosy często upinała w kucyka.

Miałam godzinę czasu do autobusu. Chciałam się udać w kierunku parku, lecz coś podświadomie podpowiadało, żebym poszła do domu. Czułam dziwny niepokój. Nigdy nie odczuwałam takiego uczucia. Coś dziwnego do określenia. Porównałabym to do prześladowcy, który idzie za mną wieczorną porą a w rzeczywistości to twór wyobraźni, który spowodował, że przyspieszyłam kroku bo wyczuwałam zbliżające się niebezpieczeństwo. Co kilkadziesiąt metrów obracałam się gwałtownie. Oczy rejestrowały każdy centymetr lecz nie dostrzegałam niczego niepokojącego. Siedziało to w moim wnętrzu. Przez chwilę miałam wrażenie, że staje się obłąkana. Nie potrafiłam zrozumieć tego co się dzieje i jak się zachowuje ciało. Serce przyspieszyło, szybciej oddychałam, i praktycznie biegłam mimo iż przyroda przejawiała totalny spokój.

Weszłam na szutrową drogę. Byłam kilkaset metrów od domu. Nagle zamarłam. Usłyszałam dźwięk pogotowia ratunkowego. Obróciłam się kilkakrotnie. Widziałam piękny zimowy krajobraz a jednocześnie przeraźliwe granatowe chmury. Wyglądały jakby nadchodził koniec świata, albo trąba powietrzna. Pobladałam a w uszach miałam coraz głośniejszy dźwięk. Obróciłam głowę w drugą stronę i zauważyłam jak karetka zbliża się. Jechała szybko, dźwięk klaksonu ostrzegał a niebieskie światła mrugały się. Stałam na środku drogi. Widziałam jak śmierć się do mnie zbliżała. Szła z kosą w ręku, i szyderczo się śmiała. Była przeraźliwie wychudzona, z pomarszczoną twarzą.

– Po ciebie jadą. Tacy jak ty są w wariatkowie!

Ktoś mnie chwycił i mocno pociągnął. Ocknęłam się po upadku.

– Chciałaś się rzucić pod karetkę? – spytał starzec.

– Nie... – ledwie wybełkotałam.

Usiadłam na śniegu. Wzięłam dwa głębokie wdechy i próbowałam zrozumieć co się stało przed kilkoma minutami.

– Wszystko dobrze?

Spoglądnęłam na jego zatroskaną twarz i zrozumiałam sygnały ciała. Wstałam z impetem, porwałam plecak z ziemi i szybkim biegiem ruszyłam w kierunku domu. Biegłam sprint mimo iż miejscami było ślisko ale nawet to nie miało znaczenia. Zimowe buty stabilnie trzymały się podłoża, nawet jak wbiegłam na kałuże przykrytą niewielką taflą lodu. Pomagały w biegu o nieokreślonym celu.

Całą energię przekładałam na szybkość. Nie miałam żadnych scenariuszy. Nie chciałam się domyślać co się mogło stać. I czy to dotyczyło mojej rodziny. Może wszystko wypierałam?

Wbiegłam na betonowy schodek, mocno pociągnęłam za klamkę i osunęłam się na podłogę. Nie było zaschniętej krwi. Nie było wywróconych mebli. Była walka. I to w tym samym miejscu, co kilka lat wcześniej. Na podłodze było rozrzucone kilka par niebieskich rękawiczek i białe opakowania.

– Matkę zabrali do Krakowa.

Oczy dosięgły ojca, który siedział rozłożony na kanapie. Ciągnął wódkę z gwinta. Wyglądał na zrelaksowanego.

– Jutro do niej pojedziemy.

Obojętności kipiała z każdego jego słowa. Nie chciałam czekać lecz wiedziałam, że ostatni autobus do Krakowa odjechał godzinę temu. Siedziałam tak przez kilkadziesiąt minut i próbowałam znaleźć rozwiązanie. Matka nie przelewała miłości, lecz wciąż była to moja matka. Pomimo krzywdy jaką mi zadawała, nie potrafiłam przestać myśleć o niej.

Ojciec włączył telewizor i szukał rozgrywek meczowych. W domu panowała dziwna cisza. Nawet po śmierci Janka nie było czegoś takiego. Uczucia bliżej nieokreślone. Pomieszanie strachu z lękiem oraz bezsilnością. Wstałam i zbliżyłam się do miejsca, w którym najprawdopodobniej leżała matka. Dotknęłam ręką drewnianej podłogi, jakbym poszukiwała ciepła płynącego z ciała. Sięgnęłam po jedną rękawiczkę. Była wilgotna, zapewne pokryta potem ratowników medycznych. Wzięłam kolejną, i kolejną. Było ich sześć, wszystkie ściągnięte i zawinięte w podobny sposób. Dosięgłam jeszcze kilku przeźroczystych foli oraz niewielkich białych opakowań. Zwinęłam wszystko gwałtownie i udałam się w kierunku kosza na śmieci.

Co się mogło wydarzyć? To pytanie towarzyszyło mi przez kolejne kilka godzin. Nie było śladów krwi, więc matka najpewniej nie została zraniona. Zawał serca? A może ojciec uszkodził śledzionę?

Nie przypominam sobie, aby chorowała na coś. Rzadko odwiedzała lekarza, nie uskarżała się na zdrowie. Była przed czterdziestką, i wydawało mi się, że jej narządy wewnętrzne są w odpowiedniej formie. O czym nie można było powiedzieć w kwestii stanu psychicznego. Starła się nie pokazywać wewnętrznego cierpienia lecz twarz potrafi być pięknym, a zarazem intrygującym obrazem. Dzieło sztuki, które tworzy się samodzielnie. Z przekazem tego, czego nie można ukryć ani schować pod makijażem. Twarz jest duszą wnętrza.

Zaciągnęłam plecak do pokoju i padłam na łóżko. Nie byłam zmęczona fizycznie, a czułam się osłabiona. Nie wiem czy to miało związek z przytłoczeniem jakie mi towarzyszyło czy może organizm próbował zasygnalizować inne problemy. Oczy mi się przymykały, lecz nie potrafiłam zasnąć. Pogłębiająca się cisza, szybki zmierzch powodowało, że wyczuwałam dziwne osaczenie przez ciemność. Wszystko było takie nijakie, nieosobowe, trudne do określenia. Jakbym wisiała pomiędzy niebem a ziemią. Było mi lekko, przyjemnie, a jednak z nutą złych przeczuc. Zjawiska, które dopiero nastąpi i które diametralnie zmieni moje życie. Być może to z powodu braku informacji, i wielu pytań bez odpowiedzi albo kobieca intuicja, na temat której krąży wiele żartów. Próbowałam rozgryźć zagadkowe zachowanie ciała, i tego co się działo w środku a z pozoru wszystko wydawało się w porządku.

Otworłam lekko okno. Szybko wdarło się zimne powietrze. Odruchowo chwyciłam za niewielki kaloryfer. Był lekko ciepły co sugerowało, że należy pójść i dołożyć węgla do pieca a to zadanie należało do matki.

Gdy wychyliłam głowę przez okno, zderzyły się dwa świat. Ciepły z lodowatym. Skrajne jak śmierć i życie. Zimno lekko mnie otrzepało, pchnęłam metalowy uchwyt a powietrze kończyło już swoje wirowanie i szukało właściwego miejsca dla siebie. Usiadłam ponownie na łóżku. Przemawiał przeze mnie zewnętrzny spokój. Chciałam zacząć płakać a nie potrafiłam. Jakby łzy nie były odpowiednim mechanizmem obronnym.

Żółtawe światło wiszącej żarówki, delikatnie oświeślało pokój. Kiedy spojrzałam na zegarek, uświadomiłam sobie, że od śniadania niczego nie jadłam, a dochodziła dwudziesta. Nie czułam głodu, lecz lekkie pragnienie.

Zeszłam na dół. Telewizor był włączony, a ojciec chrapał w towarzystwie butelki, która leżała na kanapie. Udałam się do kuchni. Wygląda jak miejsce, w którym kilka minut temu był przygotowany obiad. Rozpoczęte masło na meblach a na patelni surowe warzywa. Patrząc na rozgardiasz stwierdziłam, że matka musiała się nagle źle poczuć. W innym wypadku nie zostawiłaby tak wszystkiego bo ojciec nie pozwoliłby na to.

Zawinęłam masło i włożyłam do lodówki. Sięgnęłam po szklankę, po czym podsunęłam pod zmywak. Patrzyłam jak szklane naczynie szybko napęla się przezroczystym płynem. Woda wyglądała na krystaliczną, i smakowała całkiem nieźle. W domu piliśmy kranówkę. Dziadkowie twierdzili, że ona jest zdrowsza i za darmo.

Na skraju biurka położyłam szklankę, do połowy wypełnioną. Wyciągnęłam zeszyt do języka polskiego i zaczęłam czytać różne definicje i w tym momencie dotarła do mnie powaga sytuacji. Nie mogłam się skupić na tym co było napisane. Tekst był w języku polskim, a jednak wydawało się jakbym czytała chiński, lub inne hieroglify. To co było zrozumiałe nagle stało się zupełnie obce, inne. A może nawet abstrakcyjne lub irracjonalne. Wczytywałam się w jeden wers kilkakrotnie. Starłam się powtórzyć w myślach. Były to bezskuteczne zabiegi. Jakby mój mózg zdezerterował, zrobił przerwę na którą nie dałam przyzwolenia albo się odłączył, i był samodzielną częścią. Zamiast znajomych liter widziałam matkę leżącą w szpitalu. Na białej kartce pojawił się obrazek białych ścian oraz łóżko na środku z różnymi sprzętami medycznymi. Traciłam zeszyt bo wyobrażenia były zbyt emocjonalne.

Oparłam głowę o biurko. Spojrzałam na szklankę, której zawartość można było interpretować na dwa sposoby. Ten pozytywny w którym dostrzegamy życiodajny płyn, albo negatywny w której substancja cudownie znika, a zamiast niego widać ścianę i pustkę. Realista dostrzeże w niej trochę życia i produktu, który jest energią dla innych. Ale czy tylko?

Przybliżyłam oszczerbione naczynie. Woda zatoczyła niewielkie koło, i powróciła do swojej wcześniejszej pozycji. Zrobiłam łyka. Smakowała jak... woda. Niby bez smaku, a jednak specyficzna.

Trudno określić do czego zmierzam, myśląc tak o cząsteczkach, które są w naczyniu. Chyba dostrzegłam w niej trochę nadziei. Upiłam ponad połowę co zaspokoiło potrzebę, więc może warto zauważyć, że nadzieja tli się nawet w ostatniej kropki. W końcu z jednego może powstać kilka a nawet wiele. I może też tak będzie z matką. Może wszystko będzie dobrze, i jutro z będzie z nami w domu?

Nie starałam wyobrazić jak będzie wyglądać życie bez niej. Wydawało mi się to nieprawdopodobne, a tym bardziej uczucia jakie mną targły. Miałam wrażenie, że jesteśmy oddalone od siebie długim mostem. Stoimy po przeciwnych stronach szerokiej rzeki. A teraz okazuje się, że odczuwam pustkę.

Rzuciłam wzrokiem na szklankę, i wiem, że to nie jest moment na to, aby tworzyć dramatyczne scenariusze. Póki w niej jest woda, to jest i życie.

Nie byłam w stanie uczyć się. Przebrałam się do piżamy i weszłam pod ulubioną pierzynę, która koła mnie podczas snu. Okryłam się pod samą brodę, i zamknęłam oczy.

Po chwili gałki zaczęły szaleć z przerażenia. Rzuciłam wzrokiem na telefon. Milczał i nie było powiadomień. Nie wiem czy to był sen, czy moja wyobraźnia. Widziałam matkę w trumnie. Dosłownie przez chwilę, kilka sekund. To wystarczyło, abym gwałtownie usiadła na łóżku i poczuła jak serce mocno bije. Wzięłam kilka głębokich oddechów, mając nadzieję, że to sen.

Odchodziłam od zmysłów. Rzeczywistość zacierała się z wyobrażeniami, ze światem nierzeczywistym. Traciłam kontrolę, mimo iż powtarzałam, że wszystko zakończy się dobrze. Nie wiem skąd było we mnie tyle optymizmu. Siły, która starała się odganiać te wszystkie

negatywne myśli. Może dlatego, że bałam się zostać sam na sam z potworem? Może matka była dla mnie poduszką bezpieczeństwa?

Ze snu obudził mnie dźwięk telefonu. Przez chwilę nie wiedziałam co się działo, co to był za odgłos. Dopiero migający wyświetlacz postawił mnie do pionu. Nacisnęłam w pośpiechu symbol zielonej słuchawki. Z głośnika wydobył się damski głos.

– Dobry wieczór, czy to pani Joanna Borek?

Milczałam, i przeczuwałam co usłyszę.

– Halo, jest tam pani?

– Nie żyje, prawda?

W tle były słychać niewyraźne głosy, oraz dziwne dźwięki.

– Bardzo mi przykro. Pani mama zmarła.

Telefon wypadł z ręki. Kobieta wciąż coś mówiła. Nie byłam w stanie tego rejestrować. Docierały do mnie strzępy wyrazów, które tworzyły niezrozumiałą całość.

Dopiero po kilku minutach skierowałam wzrok na telefon, który leżał między nogami. Na wyświetlaczu widniała godzina. Było piętnaście minut przed czwartą.

Siedziałam skostniała, odrealniona. Gdyby nie automatyzm, to pewnie nawet nie oddychałabym. To było zbyt wielkim wysiłkiem. Oczy szybko wędrowały po ciemnym pokoju. Dostrzegałam z trudem kontury przedmiotów

Wyrwana jak z koszmaru sennego udałam się na dół. Szturchnęłam kilkukrotnie ojca. Jego chrapanie ustało lecz nadal twardo spał. Na stoliku leżała kartka a w szufladzie znalazłam długopis. Przysunęłam niewielki świstek, trzęsącą się ręką napisałam „Mama nie żyje”. Na kartkę położyłam pustą butelkę i ze stoickim spokojem udałam się do swojego pokoju.

Koszmar nadal trwał. Nie potrafiłam zaakceptować wiadomości. Tego, że już nigdy jej nie zobaczę. Tego, że zostałam zupełnie sama. Tego, że nie potrafiłam powiedzieć, że ją kocham. Ziemia zabrał drugą osobę.

Spokój mnie przerażał bo przecież człowiek tak nie reaguje. Niejednokrotnie słyszałam krzyk, potok łez. A ja? Czy ja nadal żyję, czy jestem jeszcze człowiekiem? A może zabrano mi serce? Wypatroszono mnie, jak kurę, zostawiając tylko otoczkę, która smacznie wygląda. Stała się przedmiotem, z wnętrznościami, które posłużą innym osobom. Jestem wrakiem człowieka, który trzyma się pionu dlatego, że skóra dokładnie pokrywa ciało. Rozleciałabym się jak obraz złożony z miliona kawałków, które trzymają się za pomocą pozłacanej ramy. To powłoka scala wszystkie połamane kawałki, a wewnętrzna machina działa dlatego, że nie mogę zatrzymać pracy serca i mózgu w bezpieczny sposób. Jest tylko jeden, na który się nie zdecyduje. Ta jedna kropla w szklance wciąż się tli, wciąż może z niej powstać rzeka, a nawet piękny wodosпад.

Dochodziła szósta rano. Nie zmrużyłam oczu. Ojciec powinien się już krzątać. Zaczęłam nasłuchiwać kroków. Życie w domu umarło. Nawet ze stodoły nie dochodziły żadne odgłosy, jakby świat zamarzał w ten zimowy dzień. Zmroził wszystko. Wyjrzałam przez okno. Ciemność była rozświetlana przez płaszczyznę śniegu a płatki radośnie wirowały po czym bezwładnie opadały, tworząc piękną zimową szatę. Nie uroniłam ani jednej łzy. Jakby dopływ do oczu był zamknięty zaworem.

Ciszę przerwał odgłos stłuczonego szkła. Ubrałam się szybko po czym zeszłam po schodach. Usiadłam na ostatnim, z którego miałam widok na większą część parteru. Ojciec siedział na kanapie. Trzymał w ręku kartkę. Wstałam, a podłoga zaskrzypiała. Obrócił się w moją stronę. Posłał spojrzenie.

– Chyba tam musimy pojechać.

Przytaknęłam.

Była to dla nas zupełnie nowa i nieoczekiwana sytuacja. Żadne z nas nie było na to przygotowane. Czy da się przygotować na śmierć? Siebie albo bliskich? A może lepiej umrzeć spontanicznie? Tyle pytań egzystencjalnych, a my wymienialiśmy nic nie znaczące spojrzenia. Chociaż jego oczy były trochę inne niż po śmierci Jaśka.

Żadne z nas nie było gotowe na usłyszenie tak szokujących informacji. Nawet nigdy nie myślałam co by było, gdy jej nie było. Jak będzie życie wyglądać, gdy zabranie gospodyni? Chyba cały czas postrzegłam matkę w kategoriach nieśmiertelności, podobnie jak inne osoby. Nie zastanawiałam się. Nie gdybałam. Nie snułam wyobrażeń o życiu bez bliskich osób. Wydawało mi się, że jest jeszcze czas na takie rozmyślanie.

Słońce już wstało. Mijaliśmy pola pokryte śnieżno białą warstwą puchu. Z drzew pod wpływem wiatru, spadały niewielkie płatki. Na horyzoncie radosne słońce. Niczym jak w krainie mroźnych bajek. Krajobraz był przepiękny, wręcz jak z pocztówki. Zachwyt na widoku nie trwał długo. Z każdym kilometrem zbliżaliśmy się do większych miast w których śnieg przypominał błoto. W Krakowie dominowała szarość a białego puchu nie można było dostrzec. Brązowa ciapa, którą były przykryte ulice przypominała widok lawiny błotnej. Zimowa magia prysła niczym mydlana bańka, a widok wysokich wieżowców wyrwał z krainy magii. Przypomnił o szarej stronie życia, z którą trzeba się zmagać. O przeszkodach na które natrafiają nasze nogi, i które powodują upadki, z których trudno się samemu podnieść. Kilkadziesiąt kilometrów różnicy a tak różny krajobraz.

Samochód zaparkował na dużym, szutrowym parkingu. Było kilka minut po ósmej, a ciężko było znaleźć wolne miejsce parkingowe. Nawet na rzekomym pasie zieleni stały ekskluzywne pojazdy. Jakby zakaz parkowania nie dotyczył drogich samochodów. Jakby byli ponad prawem, bo mają sporą ilość pieniędzy, a i pewnie prestiż wśród społeczeństwa, który upoważniał ich do nieprzestrzegania znaków drogowych. Karoseria lśniła, a koła były obtoczone świeżym błotem.

Ojciec trzasnął drzwiami, zrobił kilka kroków w kierunku wydeptanej ścieżki. Obok było kilka kilkupiętrowych budynków. Wyglądało bardzo podobnie. Były szare, i z odpadającym tynkiem. Drewniane białe okna, i drzwi przypominające wejście do sklepu w czasach PRL. Nad wejściem wisiały niewielkie niebieskie tabliczki.

Ruszył w kierunku największego budynku. Miał pięć pięter, i zapewne jeszcze piwnice. W niektórych oknach było widać kraty. Wyszliśmy z parkingu i po kilkudziesięciu metrach znaleźliśmy się przed kliniką neurochirurgii. Pokonałam kilka betonowych schodów i poczułam zapach szpitalach. Ojciec otworzył metalowe drzwi, a zapach stał się jeszcze ostrzejszy. Kolejne kilka marmurowych schodów, i naszym oczom ukazała się portiernia. W niewielkim pomieszczeniu, które było otoczone szklaną szybą, siedziała starsza kobieta. Była po sześćdziesiątce, przynajmniej tak można było wywnioskować na podstawie zmarszczek na twarzy oraz pomarszczonej i mało elastycznej skórze na dłoniach i szyi. Jej okazały biust był wciśnięty w czarną koszulę z napisem „Ochrona”. Swoją postawą nie przypominała typowego pracownika ochrony.

– Do kogo?

– Lekarz Anna Zawadzka.

– Drugie piętro, i na lewo od windy, albo na prawo od schodów.

Rozejrzałam się i widok był przytłaczający.

– Winda jest tam.

Wskazała na metalowe drzwi.

To miejsce było obrzydliwe. Nie wyglądało jak szpital z filmów czy seriali. Wąski korytarz. Odpadająca farba na ścianach w kilku kolorach. Pokruszone lastryko, i ten niezidentyfikowany

zapach, który podrażniał nozdrza. Czuć było niezliczoną ilość środków chemicznych, które przyprawiały o mdłości a ciemno zielony kolor, który dominował przypominał o kruchości losu. To nie była zieleń, która pobudza do życia i daje nadzieję. Wręcz przeciwnie. Śmierć się unosiła w każdym centymetrze tego budynku.

Rozsunęły się masywne drzwi. Ojciec wybrał odpowiedni guzik, a ja spojrzałam w kierunku wielkiego lustra. Nie rozumiałam jego przekazu. Trzy ściany były nim pokryte. Od połowy w górę. Można było sprawdzić czy ubranie odpowiednio leży, a także ułożenie fryzury. Tylko jaki jest cel tego przedmiotu w takim miejscu. Jak się czują chorzy, kiedy się w nim przeglądają? Czy ma im przypomnieć o trudach walki z chorobą? A może pokazać jak źle wyglądają? Czasami nie rozumiałam intencji oraz wizji innych osób.

Wyglądałam w nim normalnie. Nie było widać smutku, załamania czy żałoby. Twarz nie zdradzała tego co się działo w ciele oraz głowie. Myślę, że w tej sytuacji byłabym całkiem niezłym posągiem. Można by było mnie dotykać, gilgotać, szczypać, a ja nadal miałabym kamienną twarz.

Przejażdżka trwała kilka sekund. Drzwi się otworzyły i poraził mnie jasno zielony kolor. Był przyjemniejszy w odbiorze niż ten dwa piętra niżej. Korytarz wyglądał schudnie, a personel miał na sobie białe mundurki. Zgodnie z instrukcją skierowaliśmy się w lewo. Minęliśmy kilka sal chorych, do których drzwi były zamknięte. Na ścianach było kilka ciekawych plakatów z infografikami, a także jakieś rozporządzenia.

– Mogę w czymś pomóc? – spytała młoda dziewczyna. Ciężko było określić czy była lekarzem czy pielęgniarką.

– Szukam Anny Zawadzkiej.

– Pana godność?

– Borek.

– Ah – westchnęła, po czym kontynuowała: – Proszę usiąść, zaraz zawołam panią doktor.

Wskazała na trzy plastikowe krzesła, które były na końcu korytarzu, a sama zniknęła za jednymi z drzwi. Ojciec usiadł na trzecim krześle, tuż przy styku dwóch ścian, a ja wybrałam to z skraju.

Kątem oka widziałam, że się denerwował. Nogi mu drgały, bawił się palcami. Nie przypominam sobie, abym widziała go w takim stanie. Ewidentnie nie potrafił się odnaleźć w nowej sytuacji. Czas się dłużył, a drzwi wciąż były zamknięte. Obserwowałam personel, który się krzątał po oddziale i starszą kobietę, która za pomocą chodzika próbowała chodzić. Miała zabandażowaną głowę. Robiła dwa krok, zatrzymywała się na chwilę, po czym kolejne dwa. One nie były swobodne. Było widać, że wkłada w nie dużo energii oraz wysiłku. Z każdym, ciężiej oddychała, a przerwy były coraz dłuższe. Nie poddawała się, chociaż było widać, że doskwierał ból.

Miałam wrażenie, że minęła godzina, a gdy spojrzałam na zegarek, uświadomiłam sobie, że minęło dopiero pięć minut. Czas za każdym razem upływał w tym samym tempie. A sytuacja czy oczekiwanie na coś ważnego oszukiwało nas. Albo przyspieszając czas albo go zwalniając. Paradoksalnie tam gdzie się spieszyliśmy, oczekiwaliśmy najdłużej. Nie wiem czy to przez napływ intensywnych myśli, słów, zdań. Czy może to ma być chwila wyciszenia, znalezienia punktu zaczepienia. Albo może czas na docenienie tego co się posiada i co się przeżyło. To były dodatkowe minuty, które kiedyś się skończą.

Drzwi się szeroko otwarły, stanęłam na baczność. Podeszła do mnie drobna kobieta, około czterdziestki, z rudnymi włosami. Nie wygląda zbyt sympatycznie, a jej niewielkie oczy wpadały do oczodołów. Intensywny kolor włosów wyróżniał się na tle białej kitla. Zrobiła kilka kaczyczych kroków i stanęła naprzeciwko.

– Dzień dobry. Jestem Anna Zawadzka. Państwo Borek?

Ojciec skinął głową.

– Zapraszam. – wskazała na drzwi.

Kiedy weszliśmy do środka, kilka osób opuściła niewielkie pomieszczenie. Było w nim pięć krzeseł i trzy osobowa sofa. Przy ścianie dwa biurka z komputerami, i mnóstwo dokumentów. Nie tylko na stole lecz także na krzesłach.

– Proszę usiąść.

Drzwi się zamknęły. Zajęliśmy miejsce na wygodnej i lekko popielatej sofie.

– Bardzo mi przykro. Pani Lucyna zmarła z powodu pęknięcia tętniaka mózgu. Przyjechała do nas w bardzo poważnym stanie. Była nieprzytomna i krwawiła do mózgu. Zrobiliśmy wszystko co było w naszej mocy. Czy pani Lucyna wiedziała o istnieniu tętniaka?

– Nie wiem.

Jej przeszywający wzrok pokierował się w moją stronę. Wzruszyłam ramionami.

– Rozumiem. Zdarza się, że pacjenci nie wiedzą o istnieniu tętniaka. Przez długi czas może on nie dawać objawów. Czy mają państwo jakieś pytania?

– Nie.

– Chcą państwo zobaczyć panią Lucynę? Jest w specjalnym pomieszczeniu, w którym może się spotkać rodzina.

– Nie.

Jej oczy ponownie spotkały się z moimi. Tym razem pokiwałam twierdząco.

– Dobrze. Zatem zaprowadzę cię do mamy. Do pana za chwilę przyjdzie lekarz rezydent w celu dopełnienia wszelkich formalności.

Wyszliśmy na korytarz. Przy drzwiach stała młoda lekarka, która po chwili weszła do środka.

– Dzień dobry – doleciało na korytarz.

Szliśmy w ciszy. Mijałyśmy kolejnej sale chorych, w tym jedną sale zabiegową. Była pora śniadania a więc w powietrzu zapach środków dezynfekcyjnych mieszał się z podgrzanym mlekiem, tworząc jeszcze bardziej mdłą mieszankę. Skręciłyśmy w lewo, a na końcu dostrzegłam duże drzwi z napisem „Blok operacyjny”. Zatrzymałyśmy się przy drugich. Były białe, bez żadnych napisów, czy plaketek.

– Jesteś gotowa?

Zmrużyłam oczy.

Przekręciła klucz, drzwi zgrzytnęły. Stanęłam tuż przy framudze.

– Zostać z tobą?

Kiwnęłam przecząco.

– Możesz podejść bliżej, i zostać tyle ile potrzebujesz.

Jej ręka delikatnie spoczęła na moim ramieniu. Zrobiłam niepewnie dwa kroki. Miałam wrażenie, że one są z gumy, jak na pogrzebie Jaśka. Nieopodal było krzesło, usiadłam, aby nie opaść na podłogę.

Wyglądała na obcą osobę. Leżała spokojnie na dużym łóżku. Była blada, zupełnie inna. Miała zamknięte oczy, lekko przyklejone powieki. To nie był błogi sen, ani odpoczynek. To było ciało pozbawione życia, duszy. Była rzeczą, która czekała na trumnę i dalszą podróż.

Dotknęłam jej dłoni, była chłodna. Wszystko w niej było inne. Włosy opadnięte, usta bez żywo czerwonego koloru. Klatka się nie unosiła co wzbudzało największe przerażenie. To drugie ciało, które widziałam lecz Jaśka nie było tak straszne. Może dlatego, że był malutki, miał pogodną twarz a na matki rysował się obraz, kobiety która dużo doświadczyła. Zamiast spokoju, pojawiło się więcej zmarszczek. I ten kolor, który świadczyło o zakończeniu życia. Błado siny, zimny wręcz odrażający.

Chwyciłam ją mocno za dłoń. Wstałam.

– Kocham ciebie mamo – wyszeptałam.

Gwałtownie zabrałam rękę i wybiegłam z pomieszczenia, zostawiając otwarte drzwi. Biegłam tymi samymi korytarzami.

– Co się stało?

– Zatrzymaj się.

Ręce personelu próbowały mnie złapać. Uciekałam od ich dotyku patrząc przed siebie aby nie wpaść na pacjentów, którzy spacerowali. Uprawiałam slalom pomiędzy chodzikami. Dobiegłam do klatki schodowej, i skierowałam się w dół. Pokonywałam kilka schodów, nawet kogoś pchnęłam, byle być jak najszybciej na zewnątrz.

Nie wiem dlaczego tak się zachowywałam. Nie potrafiłam się rozplakać. Uzewnętrznic swoich uczuć, tego wszystko co się działo w ciele. Wybiegłam na zewnątrz, i przebiegłam przez ulicę, o mało co nie wpadając pod nadjeżdżającą karetkę.

– Uważaj!

Brakowało mi siły, tchu. Dusiałam się. Podbiegłam pod drzewo i padłam twarzą na ziemię. Byłam cała wybrudzona błotem.

– Ktoś zemdlął. Pomocy!

– Wszystko dobrze?

Ktoś dotknął moich pleców.

– Słyszysz mnie?

Lekko się obróciłam.

– Coś ciebie boli? Co się stało?

Młody mężczyzna przykucnął, spoglądając na moją twarz. Na bluzie miał napis „Ratownik medyczny”. Próbowałam wstać, bo czułam, że zimno wdzierają się w zakamarki ciała.

– Pomogę ci.

Chwycił mnie pod pachę, i pomógł spionizować. Wokół stało kilka osób. Patrzyli się na mnie, jak na wariatkę, która spadła z drzewa. Oparłam się o masywny pień.

– Wszystko dobrze?

Kiwnęłam głową.

– A może wejdiesz do środka?

– Co ty jej robisz?!

Podbiegł wściekły ojciec.

– Odsuń się od niej!

– Chciałem pomóc.

– Uciekaj już! No, już! A ty idziesz ze mną.

Ratownik zrobił kilka kroków wstecz, patrząc na ojca.

– Na pewno wszystko dobrze?

– Nie wtrącaj się. Ona jest ze mną.

Ojciec szarpnął mnie za rękę i skierowaliśmy się w kierunku samochodu.

– Co ci odpierdala, co?

To było silniejsze ode mnie. Ojciec wepchnął mnie na tylne siedzenie a po chwili z impetem ruszył z parkingu.

Po kilku kilometrach zapięłam pasy i spojrzałam na prawe kolano. Przede mną był pusty fotel, który pewnie nigdy nie będzie miał pasażera a od dzisiaj każda podróż będzie inna oraz bardziej pusta. Miękkie siedzenie będzie przywoływać wspomnienia, i przypominać o ciepłej dłoni, od której tak często uciekałam.

– Kurwa, i co ja mam z tobą zrobić?

Obrócił się, rzucił groźne spojrzenie. Uciekłam wzorkiem w kierunku okna, za którym rysował się widok wysokich wieżowców. Szybko przemijały, a na horyzoncie pojawiały się inne budynki. Robiło mi się niedobrze, od intensywnego wpatrywania się w przemijający świat. Sunął szybko niczym pociąg pośpieszny. Zostawiał w tyle przechodzących ludzi, różnorakie samochody, i budynki, które był twardo przyczepione do podłoża. Wszystko toczyło się wokół nich. Były nieruchomymi widzami a jednocześnie uczestnikami filmu pt. „życie”. Świadcami wielu przedstawień, czy to w czeluściach domowych czy też w miejscach pracy. Skrywały mroczne tajemnice spotkań po godzinach, czy igraszek nastolatków w pokojach. W różnych kolorach i w innych rozmiarach lecz zawsze z drzwiami, i często z oknami. Z małą szybą, która pozwalała wpuścić trochę słońca i powietrza do środka a jednocześnie dawała przyzwolenie na podglądanie. Zawieszanie wzroku, na sklepiu lub ciekawym kolorze samochodu. Była przepustką, do której ucieka się w trudnych i stresujących momentach.

Ojciec na skrzyżowaniu skręcił w prawo. Pojechał w innym kierunku niż zazwyczaj. Wjechaliśmy do jednego z sąsiednich miast. Auto zwolniło, a on rozglądał się. Mijaliśmy różne punkty usługowe oraz sklepy. Zjechał na przeciwległy pas, po czym wjechał na chodnik. Schyliłam lekko głowę i dostrzegłam duży szyld „Zakład pogrzebowy”, który wisiał na elewacji. Wyszedł, zamknął samochód a po chwili zniknął za oszklonymi drzwiami. Wszystkie cztery zamki były w pozycji zamkniętej. Wcisnęte do dołu. Więził mnie w klatce i zostawił klucze. Czy potrafię z niej wyjść, i czy chcę?

Byłam przyklejona do zimnej i zaparowanej szyby. Wyglądałam przez okno. Miasto wyglądało na opustoszałe. Śnieg intensywnie padał, i to były jedyny ruch jaki można było dostrzec na zewnątrz. Jakby nasze auto stało pośrodku burzy śnieżnej, wszyscy uciekli, a tylko my zostaliśmy na placu boju. Było rano, więc mieszkańcy powinni jechać do pracy, a w ciągu kilkudziesięciu minut nie dostrzegłam żadnego poruszającego się samochodu. Kilka było zaparkowanych na chodniku, i pokrytych znaczną pokrywą śniegu. Z powodu mojego oddechu, szyby parowały coraz bardziej, zasłaniając zimowy krajobraz. Wpatrując się w wirujący świat, wydawało mi się, że jestem jedyną osobą, która żyje. Która czuje, chodzi oraz oddycha. Miałam wrażenie, że jestem ruchomym puzzlem w tym pięknym świecie. Że mogę wstać, ruszyć nogami i przejść kilka kilometrów, albo przeskoczyć poukładane puzzle i znaleźć się w innym środowisku. Totalne oderwanie od rzeczywistości, z zachowaniem przeraźliwego spokoju, który nadszedł kilka minut temu. Wydawało mi się, że jeszcze godzinę temu byłam innym człowiekiem, agresywnym, który nie potrafi wyrazić swoich emocji i biegiem błaga o pomoc. Teraz przemawiał spokój, który zaczynał towarzyszyć coraz częściej. Chwiejność zachowania zastanawiała mnie i drażyła dziury w moich myślach. Nie potrafiłam panować nad pewnymi czynnościami. Momentami zachowywałam się dziwnie, czego nie potrafiłam określić, ani zdefiniować.

Zdenerwowany ojciec zaczął szarpać za klamkę. Próbował się dostać do środka. Kilukrotnie ciągnął, lecz ta nadal pozostawała w pozycji zamkniętej. Ze spodni wygrzebał pęk kluczy, i po chwili był w środku. Odpalił gwałtownie silnik, i ruszył z impetem przed siebie. Zjechał z chodnika. Rozległ się przeraźliwy dźwięk klaksonu, a autem mocno obróciło. Poczułam żołądek w gardle.

– Co za skurwysyn!

Obróciłam się i dostrzegłam, że ojciec wymusił pierwszeństwo. Wjechał wprost pod czarnego mercedesa, który zdążył zahamować a ojca wpadł w poślizg, zataczając półokrąg.

Uchylił okno.

– Nauczyć się jeździć idioto!

Młody kierowca nie zareagował słownie, wyminął nasz samochód i pojechał żółwym tempem. Auto było ustawione w tym kierunku, w którym ojciec chciał jechać. Wcisnął mocniej pedał gazu, koła miały problem aby ruszyć ze śliskiej nawierzchni. Dodał więcej gazu, i samochód poruszył się slalomem.

Nie odzywał się do mnie. Traktował jak powietrze z tym, że nie spoglądał na mnie, ani nie oddychał moim ciałem.

Po kilku minutach byliśmy na podwórku. Udałam się do swojego pokoju, a ojciec poszedł do stajni. W domu było przeraźliwie zimo. Szron było widać na nieszczelnych oknach, nawet szklanka z wodą, która stała na moim biurku, wyglądała jakby była wyjęta z lodówki. Byłam zmęczona, więc w ubraniu położyłam się do łóżka. Okryłam się pierzyną, i próbowałam zasnąć. Oczy mi się przemykały, a kiedy się domknęły to widziałam zmarłą matkę. Przypominało to widok z horroru, kiedy mała dziewczynka otwiera drzwi do sypialni, i widzi zamordowaną matkę, która spoczywa na łóżku. W mojej scenie, krwi nie było lecz myślę, że wzbudzała bardzo podobne uczucia. Śmierć jest śmiercią. Bez względu na mechanizm. Człowieka nie ma i już nigdy nie będzie. Bezwładne ciało, albo resztki, które pozostały świadczą o tym, że podróż dobiegła końca. Zostały wspomnienia, pamiątki i dorobek. Nie tylko materialny, ale też społeczny, który definiował przydatność człowieka w społeczeństwie.

Drzwi trzasnęły, przez chwilę była cisza, która została zagłuszona słowami ojca.

– Idź do pieca! Jest kurewsko zimno!

Nie zareagowałam, bo podświadomie wydawało mi się, że te słowa są skierowane do matki. Nigdy nie rozpałam w piecu. Nawet nie wiedziałam jak to się robi.

– Głucha jesteś!

Leżałam nadal. To nie był odpowiedni moment, na kolejne lekcje życiowe oraz nauka nowych doświadczeń. Potrzebowałam czasu, aby zaakceptować to co się wydarzyło, i to co zobaczyłam. Chciałam być sama, pod ciepłą kołdrą.

Schody zaczęły skrzypieć. Szedł szybko, bo dźwięk był intensywny. Wparował do mojego pokoju.

– Ruszaj się! Nie będę siedział w zimie.

Wymienił ze mną spojrzenie. Nie drgnęłam.

– Wstawaj!

Szarpnął moją kołdrę skuliłam się.

– No już, kurwa! Do roboty! Koniec lenistwa!

Pociągnął mnie za rękę. Wręcz zwlekl z łóżka. Spadłam na podłogę. Pomógł mi wstać, mocno ciągnąc za rękę ku górze. Złapałam pion, po czym mnie mocno pchnął w stronę drzwi.

– Do pieca!

Zbiegłam ze łzami w oczach. Przebiegłam przez jadalnię, a następnie przez kuchnię, w której były drzwi do kotłowni. Pchnęłam mocno okrągłą klamkę i znalazłam się otchłani ciemności. Przesunęłam lewą ręką po szorstkiej ścianie i natknęłam się na włącznik światła. Pomieszczenie lekko się rozjaśniło. Wisząca na kablu żarówka nie dawała wiele światła. W rogu stał zabrudzony piec, a nieopodal dwa wiadra węgla oraz kilka drewnienek. Podeszłam do olbrzyma, miał kilka podobnych drzwiczek. Górnych nie dało się otworzyć więc pociągnęłam za środkowe. Na ruszcie były resztki węgla. Nie wyglądało na urządzenie, które jest skomplikowane w obsłudze, lecz masywność i intensywna czerń nie napawały optymizmem. Wzięłam kilka drobnych drewnienek, które położyłam na ruszcie. Pomiędzy upchałam zwinięte

stare gazety. Podpaliłam zapalniczką w kilku miejscach. Ogień szybko zgasł a z gazet posypał się popiół.

Minęło kilkadziesiąt minut zanim próby okazały się skuteczne. Dorzuciłam dwa kruszki węgla i patrzyłam na płomień który robił się coraz większy. Z pieca biło niesamowite ciepło. Przeszły mnie dreszcze, tym razem nie były spowodowane zimnem lecz uczuciem przyjemności.

Usiadłam na niewielkim drewnianym krześle i wpatrywałam się przez niewielki prześwit na żarzące się węgielki. Rozpalona czerwień kojarzyła się z ogniskami, które uwielbiałam a na które nie mogłam chodzić. Iskry wirowały wśród kielbas, które smażyły się na długich patykach a z boku dochodził śpiew pieśni harcerskich.

Było mi błogo w kotłowni. Nawet nie wiedziałam, że to pomieszczenie może wywoływać pozytywne uczucia. Rzadko tutaj przychodziłam. Nie miałam potrzeby, i szczególnie nie zwracałam uwagi na drzwi, które prowadziły z kuchni, jakby ich tam nie było.

Dołożyłam dwa większe kawałki po czym wyszłam, domykając drzwi.

Ojciec leżał na sofie i pił piwo. W tle włączony był telewizor. Obraz przypominał turecki serial. Zatrzymałam się, aby spojrzeć jak rozegra się serialowa akcja. Ojciec wyglądał jakby był wyłączony z życia. Co chwilę pociągał kolejnego łyka piwa. Odkładał butelkę na brzuch, brał kilka wdechów i kolejny łyk. Spoglądał w moją stronę.

– Na coś się gapisz? Nie widzisz, że piwo pije.

Odeszłam nie patrząc w jego kierunku. Kiedy byłam na szczycie schodów, udałam się w lewo. Otworzyłam mały pokój i spojrzałam na wszystkie graty, które tam leżały. Był stary telewizor, niedziałający odkurzacz, jakieś kable, zasilacze oraz sprzęty użytku domowego. Wszystko było poukładane na podłodze, bo nie było mebli. Na białych ścianach był jeden niewielki napis. Przekroczyłam starą turystyczną lodówkę i usiadłam pod oknem, tuż obok napisu: „pokój Jasia”. Napisałam go niebieskim długopisem tuż przed śmiercią Jaśka. Chciał mieć tabliczkę na drzwiach z podobnym tekstem, lecz rodzice się nie zgodzili.

Po śmierci brata, nie lubiłam przychodzić do tego pokoju. Niczym bumerang wracały wszystkie momenty spędzone z nim. Ojciec spalił nawet szafę. Został mój napis, i miejsce w którym Jasiek codziennie zasypiał. Puste, straszące, powodujące smutek, przypominające o kruchości losu, i zmuszające do refleksji.

W tym momencie szczególnie mi go brakowało. Chciałabym się przytulić do tej ciepłej i niewielkiej rączki. Pogłaskać po głowie. Powiedzieć, że damy sobie radę. Że będzie lepiej, i wszystko wróci na właściwe tory. Pocieszyć kogoś, mimo własnego smutku i rozbicia. Przekazać komuś, to czego mi brakowało, a co potrafiło wrócić wraz z dotykiem innej osoby a otaczałam się przedmiotami, które najprawdopodobniej są zepsute lub niepotrzebne, i które na swój sposób zakończyły żywot.

– Obiad! Gotuj obiad!

Słowa były zagłuszone przez moje myśli.

– Zrób mi obiad!

Doleciało do mnie wyrażnie.

Po chwili znalazłam się w kuchni. Rozglądałam się. Wszystko wyglądało tak jak wczoraj.

– Dołożyłaś do pieca?

Stał nieopodal i wpatrywał się we mnie.

– No na co czekasz? Idź!

Miał rację, że to jest pora, aby dołożyć kilka kawałków węgla. W środku żarzył się jeden, a z pozostałych pozostał popiół w dolnej części pieca.

Umyłam ręce i patrzyłam się na składniki, które były w garnkach i patelni. Bez wahania wyrzuciłam wszystko, a następnie umyłam naczynia.

Nie wiedziałam od czego zacząć. Co mogę ugotować i jak to zrobić. Wkraczałam w rzeczywistość, której nie znałam. Odkrywałam nowe, chociaż nie chciałam w takich okolicznościach.

Wyciągnęłam z kieszeni telefon i zaczęłam szukać w sieci prostych przepisów na obiad. Przeważały potrawy z warzyw, albo niektóre zawierały nazwy składników, których nie potrafiłam poprawnie wymówić aż moim oczom ukazał się przepis na schabowe.

Udałam się do zamrażalnika, który stał w spiżarni. Otworłam prostokątną pokrywę i nie dowierzałam co jest w środku. Kawałki mięsa były ładnie poukładane. W każdym foliowym woreczku była kartka z krótką informacją, co jest w środku i kiedy zostało zapakowane. Nie sądziłam, że matka jest, aż tak pedantyczna. Przełożyłam kilka worków i odnalazłam ten z napisem „schab, 2019”. W środku były cztery porcje i wyciągnęłam dwie, a pozostałe schowałam.

Widziałam, że często mięso się moczyło w garnku lecz nie wiedziałam w jakim celu. Internet ponownie przyszedł z pomocą. Nalałam zimnej wody i zanurzyłam dwa kawałki. Międzyczasie udałam się po ziemniaki. Leżały w drewnianej skrzyni, tuż obok zamrażarki. Wzięłam kilka do ręki. Gdy wychodziłam uderzył mnie widok przetworów. Zatrzymałam wzrok na jednej z półek. W tyle dostrzegłam coś kolorowego. Włożyłam rękę, i próbowałam znaleźć coś co ewidentnie nie było słoikiem. Przez chwilę ręką błądziła po pokrywach, aż poczułam coś papierowego. Pociągnęłam do góry i okazało się, że były to krzyżówki. Przeciągnęłam nad słoikami. Odłożyłam ziemniaki i zaczęłam przeglądać niewielką książeczkę.

Usiadłam, opierając się o półki. Powoli kartkowałam. Większość haseł była odgadniona, a niektóre nie miały żadnego wolnego pola. Kolorowe kartki zachęcały do tego, aby usiąść swobodnie w fotelu, wziąć długopis i oddać się intensywnemu myśleniu. Enigmatyczne dwa wyrazy, czasami jeden, a do tego kilka kwadratów, które należało wypełnić. Wydawałoby się, że banalnie proste. Kto tego nie potrafi?

Niezapełnione kratki odzwierciedlały niewiedzę. Braki z pewnej dziedziny życia. Być może z jakości nauczania, możliwości poznawania i dotykania świata, lub książek. Składowych było kilkadziesiąt, a mimo to można było napisać główne rozwiązanie. Zgadnąć litery, które nie pojawiły się w dużym prostokącie. To taka słowna układanka puzzli, w której jedna litera była częścią dwóch wyrazów. Wszystko było logiczne, poukładane i dlaczego tak nie ma w życiu?

Rozum nie zawsze zgadza się z sercem a serce niekoniecznie chce podążać za rozumem. I jak tutaj słuchać ciała? Tego co się dzieje we wnętrzu, skoro dwie rzekome całości mają dwa odmienne cele albo wizje rozwiązania danej sytuacji? A złoty środek? Nie istnieje, bo jest zagubiony w odmętach natrętnych myślach, które podświadomie kierujemy w jedną stronę. Tą, która jest wygodniejsza z punktu kierowcy, mającego do wyboru przejazd autostradą lub wiejskimi drogami. Większość wybierze prędkość i szybkość przejazdu. Czas wygra nad urokliwymi miejscami oraz ludźmi.

Czytałam po kolei hasła. Mając odpowiedź, wszystkie wydają się proste. Po godzinie zamknęłam ostatnią stronę, na której były reklamy innych krzyżówek. Śliski papier był przyjemny w dotyku. Zbliżyłam do klatki piersiowej i mocno przytuliłam. Łzy zaczęły napływać do moich oczu. Serce galopowało. Czułam obecność matki. Te kilkadziesiąt kartek papieru stało się dla mnie wyjątkowe. Były przedmiotem, który zawsze będzie przypominał o matce. Zbliżyłam nos do papieru, mocno wciągnęłam. Pachniało spiżarnią, starością oraz brakiem świeżego powietrza. To nie był zapach matki lecz niezagięte rogi były odzwierciedleniem jej

charakterku. Delikatność, której została pozbawiona przez męża – tyrana znalazła miejsce na papierowym przedmiocie. Zamiłowanie do porządku w spiżarni, a wrażliwość? Ulotniła się z każdym otrzymanym uderzeniem i gwałtem. Została pozbawiona jednej z ważniejszych cech po to, aby móc przeżyć. Krzywda stała się dla niej obojętna, a ciało i dusza przedmiotem, który można bezgranicznie wykorzystywać. Być może we wnętrzu była krucha jak lód, i ciepła jak słońce.

Nie dostanę odpowiedzi na wiele pytań. Nigdy nie usłyszę, nie zobaczę. Nie poczuję. Będą wracać wspomnienia, momenty, które wywrócą moje życie. Będą tworzyć mnie na nowo, odkrywać to co jest nieodkryte. Zachęcać albo zniechęcać do życia.

Targają mną sprzeczne uczucia. Nie wiem czy ją kochałam czy nienawidziłam. Jestem gdzieś po środku szarej skali, na której miłość miesza się z nienawiścią. Przenikają się w zależności od obrazów z przeszłości. Raz jestem z lewej, a raz z prawej. Przesuwam się w ciągu kilku sekund, nie mogąc się dłużej zatrzymać nad jedną sytuacją. Pozytywna zostaje zagłuszona przez krzywdę. A negatywna jest wypierana przez radość. Przypomina to szybki rachunek sumienia. Być może jest jeszcze za wcześnie, aby moje myśli ułożyły jeden szlak, którego powinnam się trzymać.

– Gdzie ten cholerny obiad?!

Szybko schowałam krzyżówki pod bluzkę, lekko wpuszczając do spodni, aby nie wypadły. Wzięłam ziemniaki i po chwili byłam już w kuchni. Mięso nie wyglądało na odmrożone. Zmieniłam wodę i przystąpiłam do obierania. Nerwowo otwierałam kolejne szuflady w poszukiwaniu obieraczki. Nigdzie nie znalazłam, więc sięgnęłam po nóż. Szło mi topornie, więcej ziemniaka zostawało przy łupinie niż w dłoni. Marnowałam jedzenie z powodu swojego niezdarstwa i braku umiejętności.

Sześć ziemniaków zanurzonych w wodzie, spoczywało w zielonym garnku. Czekwały na swoją kolej przygotowania. Spojrzałam na mięso, dotknęłam delikatnie. Było nadal lekko zamrożone.

Dochodziła czternasta, a więc miała jeszcze godzinę czasu, mając nadzieję, że zdąży wszystko przygotować. W kuchni było niewielkie okno, z którego widok wychodził na podwórkę. Był przesłonięty przez miniaturową koronkową firankę. Lekko odchyliłam, a wzrok zaczął podążać za śladami obuwia na śniegu. Odcisnięte gumofilce rysowały ścieżki po nieskazitelnie białym puchu. Wdeptywały płatki mocno w podłoże, rysując kropki i paski, które były na podeszwie. Na horyzoncie pojawił się ojciec, szedł w kierunku domu. Po chwili usłyszałam trzaśnięcie drzwiami, kilkanaście sekund i ponowne trzaśnięcie.

Wsiadł do samochodu i odjechał.

Usiadłam w jadalni, naprzeciw miejsca, które już zawsze pozostanie puste.

Na podwórku pojawił się inny samochód. Podbiegłam do okna, wyglądał obco. Dopiero za przednią szybą ujrzałam znajomą twarz. To była Wiśniewska.

Rozległo się pukanie. Nieśmiało otworzyłam.

– Dzień dobry. Nie wiem co powiedzieć. Chciałam sprawdzić jak się czujesz. Potrzebujesz czegoś?

Nerwowo wyglądałam w kierunku bramy. Pokiwałam głową i ostentacyjnie zamknęłam drzwi. Nie czułam się komfortowo z tego powodu. Spoglądałam przez judasza, i ona wciąż tam stała. Wręcz wymienialiśmy nasze spojrzenia, w sposób niewidoczny. Otworzyłam ponownie, co wprowadziło Wiśniewską w zakłopotanie.

– Przepraszam, już idę.

Obróciła się i udała się w kierunku czerwonej mazdy. Gdy patrzyłam jak odjeżdża, chłód wdzierała się do środka. Część zatrzymywała się na ciele, powodując gęsią skórę. Zza płotu ujrzałam kolor naszego samochodu po czym uciekłam do kuchni.

Wyciągnęłam mięso z wody, i zaczęłam mocno uderzać tłuczkiem. Na metalowy przyrząd przelewałam całą siłę i złość. Mięso robiło się coraz chudsze i większe. Nie mogłam się powstrzymać. Walłam bez opamiętania. Pierwszy kawałek przypominał strzępy. Odłożyłam go na bok, i z drugim zaczęłam robić to samo. Patrzyłam jak tłuczek opada i zostawia kraciasty ślad. Ruchy były wolniejsze i z mniejszą energią. Kawałek przypominał całkiem solidnego schaba.

Przekręciłam kurek gazu od palnika na którym stał garnek z ziemniakami, a następnie przystąpiłam do potrójnego rytuału tarzania schabowego w mące, bułce i jajku. W kuchni panował chaos i ogromny bałagan. Okruchy były w różnych miejscach na blacie oraz podłodze. Szło mi to niezdarnie i denerwował brud na rękach, klejąca się mazia frustrowała mnie.

Ziemniaki nie zdążyły się zagotować kiedy opanierowane kawałki mięsa były gotowe. Wyciągnęłam patelnię i stwierdziłam, że usmażę. Wlałam trochę oleju i najpierw wrzuciłam cieńszy kawałek. Kilukrotnie obróciłam, a gdy poczułam spaleniznę i ciemniejszą panierkę, zakręciłam kurek od gazu i wyciągnęłam mięso na talerz. Nie zachęcało do spożycia. Przypominało fragment węgla.

Po kilku minutach na talerzu był drugi, a w garnku nadal surowe ziemniaki. Zaczęło mnie to przerastać. Instrukcja w internecie wydawała się prosta, a życie jak zwykle pokazało swoje cienie.

Ojciec siedział przy stole, popijając piwo. Położyłam talerz, obok butelki. Przetarł usta wybrudzoną koszulą i wbił w niego wzrok.

– Co to kurwa ma być?

Zrobiłam krok w tył.

– Odezwij się! Co to jest?

Wstał gwałtownie, chwycił mnie mocno za włosy i zbliżył moją głowę do talerza.

– Jedz!

Czułam ogromny opór. Głowa walczyła z nim, aby nie zatonać w talerzu.

– Jebana suka! Tego nie da się zjeść! – trzasnął drugą ręką w talerz, który z hukiem spadł na podłogę.

Zabrał butelkę i poszedł w stronę salonu.

Ubrałam zimową kurtkę, buty i bez wahania wyszłam. Potrzebowałam dopływu powietrza i życia. Szłam przed siebie, mimo zimna, które mi dokuczało. Słońce szybko się schowało, a drogę oświetlały światła, które były z okien przydrożnych domów. Było przed szesnastą, a wyglądało jakby była północ. Wieś zimą była bajkowa. Ludzie krzatali się w domach, a dzieciaki hasały na sankach. Choinki w oknach przypominały o tym pięknym czasie. Spotkaniach rodzinnych, wspólnych posiłkach. O czasie, który powinno się poświęcić bliskim. Część gospodarstw była już wystrojona lampkami ozdobnymi. Kolory pięknie mieniły się, wręcz tańczyły na dachach czy na drzewach w ogrodach. Mogłabym tak spacerować bez końca. Ten widok wynagradzał mi wszystkie niedogodności.

Znalazłam swoje drzewo, lekko strzepałam śnieg z niskiego konaru. Pośladki szybko poczuły panującą temperaturę lecz to mi nie przeszkodziło, aby podziwiać ciemny krajobraz. Jego kontury, które były rozświetlone kolorowymi ozdobami. Ciemność w której gdzieś niegdzie paliły się niewielkie iskierki. Drzewo było usytuowane na pagórku, co wznosiło podniosłość miejsca. Robiłam głębokie wdechy po to, aby czuć jak rześkie powietrze wdziera się przez usta,

a następnie delikatnie drapie gardło. To było takie orzeźwiające. Szkoda, że w drodze powrotnej nie zabierało brudu życiowego, który się kotłował w moich żyłach. Odkładał się na cienkich ściankach powodując, że krew pokonywała slalom przeszkód. Dopływ czystości, powierzchownie zacierał ślady, tego czego chciałam się pozbyć lecz organizm nie potrafił tego zrobić. Jak w trakcie kąpieli pod prysznicem, czy w wannie. Mocno się szorujemy, zdzieramy naskórek, skóra rodzi się nowa z z głębokiej rany nie można wypłukać tego, co się tam nagromadziło. Potrzeba czasu i leków, które to mogą zrobić. Nawet ogromne chęci oraz motywacja czasami nie wyczyszczą tego, co jest zabrudzone. Potrzeba kogoś do pomocy, kto odklei opatrunek i przetrze środkiem dezynfekującym.

W drodze powrotnej szukałam tego plastra na ciele. W żadnym miejscu nie mogłam go zlokalizować, jakby się schował, przerażony bólem. I wizją tego, że ktoś może chcieć usunąć jego miejsce zamieszkania.

Wchodząc na podwórko, zauważyłam na płocie białą kartkę wielkości A4. Mocno się zbliżyłam, bo nie padało na nią światło. Przyświeciłam telefonem. Była to klepsydra z imieniem oraz nazwiskiem matki. Dowiedziałam się z niej, że pogrzeb jest za dwa dni, o czym powiadamia mąż. Miałam ochotę ją podrzeć.

Gdy weszłam do domu, ojciec nadal pił piwo. Podłoga w jadalni nadal nie była posprzątana.

– Dołóż do pieca – odburknął.

Miałam zmarzniete dłonie, oparłam je o kaloryfer, który był pod oknem. Stałam tak przez chwilę, energicznie ruszając palcami. We wnętrzu było ciepło i przyjemnie.

– Coś kurwa powiedziałem!

Wzdrygnęłam się i od razu ruszyłam w stronę kotłowni. Włożyłam dwa duże kawałki, po czym zaczęłam sprzątać jadalnię. Kiedy zbierałam jedzenie z podłogi, uświadomiłam sobie, że nic nie jadłam od wczoraj, a mimo tego nie odczuwałam głodu. Wręcz powiedziałabym, że ogarniał mnie wstręt, kiedy patrzyłam na ziemniaki.

Wysprzątałam też kuchnię, zgasłam wszędzie światło i chciałam się udać do pokoju, gdy ojciec się odezwał.

– A kolacja to co? Sama się zrobi?

Zawahałam się, czy postawić nogę na pierwszym schodzie, czy może obrócić się na pięcie i zrobić to czego on ode mnie oczekuje.

Po kilkudziesięciu minutach byłam już w swoim łóżku. Zapach konserwy w puszcze, który utrzymywał się na moich placach wprawiał mnie w obrzydzenie. Nawet kilkukrotne umycie ciepłą wodą z mydłem, nie potrafiło zmyć śladów przygotowanej kolacji. Mdliło mnie nawet na widok chleba.

Odpaliłam laptopa, i zaczęłam surfować bez celu. Przeglądałam różne portale, w tym te z plotkami ze świata celebrytów. Nie oglądałam ani filmów ani seriali, więc nie orientowałam się, która twarz jest powiązana z daną produkcją. Wpisałam w przeglądarkę znany adres pokoju na czacie. Wybrałam przypadkowy pseudonim, i po chwili na ekranie ujrzałam znajomą czcionkę. Kulturalnie się przywitałam, i zaczęłam czytać toczącą się rozmowę, która dotyczyła sensu życia, i ocierała się o tematykę samobójstwa. Tym razem, kiedy wydziałam jej wypowiedź – nie reagowałam. Stała się dla mnie już obojętną osobą, tak mi się wydawało, bo jednak coś mnie przyciągnęło do pokoju. Przypomniało mi się wiele momentów, które z nią spędziłam. Większość z nich nie powodowała u mnie skrajnych uczuć. Natomiast zaczęłam się zastanawiać dlaczego ona wciąż tutaj jest. Minęło kilka lat, od kiedy już nie rozmawiamy, a ona wciąż żyła i pomagała na czacie. Zastanawiałam się jak głębokie uzależnienie to musiało być, i dlaczego taka wielka ochota wsparcia innych. Po godzinie wpatrywania się i przypominania przeszłości,

rozmowa ucichła, a ja kliknęłam przycisk powodujący, że opuściłam czat. Wyjątkowo nie czułam potrzeby rozmowy, jakby moja dusza radziła sobie coraz lepiej. Nawet w tak patowej sytuacji, w jakiej byłam. Zapewnie do dnia pogrzebu, będę odtrącać myśl o śmierci, albo będzie ona niewyraźnie lawirować pomiędzy obrazami.

Ciało i zachowanie było dla mnie największą zagadką. Nie wiem czy kiedykolwiek spotkam się z większą. Im bardziej starałam się cokolwiek zrozumieć, tym bardziej czułam się pogubiona w tych wizjach, które próbowałam stworzyć. Nie mogłam znaleźć ukrytych przesłań ani wskazówek. Raz było mi dobrze, a po chwili kłębiłam się w natłoku negatywnych uczuć. Myślałam, że dojrzewanie miałam już za sobą, bo moje odczucia dokładnie przypominały ten nie fajny stan. Zrozumienie siebie i tego co przekazuje wewnątrz nie było łatwe. Wręcz wszędzie porozrzucane przeszkody i milion znaków, za którymi powinno się podążać, aby rozwikłać łamigłówkę. Błąkanie się pomiędzy kolejnymi ścieżkami, skróty, które się pojawiły w postaci uciętych myśli. Wszystko to przypominało ogromny kosz na śmieci niesegregowane, w których można znaleźć drogocenne perełki.

Brak zrozumienia, tak określiłabym tymczasowy stan psychiczny. Nic, co robiłam nie wydawało mi się logiczne, a jednak gdy przystępowałam do działania, to puzzle zaczynały się układać w nieznana układankę. Być może takie zachwiania kwalifikuje się do profesjonalnego leczenia lecz prośenie o pomoc nie jest łatwym zadaniem. Odzieramy się ze swojej wrażliwości a dzielenie się tajemnicami nie należy do łatwych chwil. Przecież każdy chce pozostać jednostką autonomiczną, nawet dziecko, które usilnie próbuje zawiązać sznurówki mimo iż nie nabyło takich umiejętności. Targamy swoje ciało i duszę przez życie, udając, że kłopoty i spadki nastroju nie przeszkadzają nam w wykonywaniu powierzonych zadań. Łudząc się, że ktoś niepostrzeżenie wyciągnie do nas rękę, a fala bezwiednie pchnie nas w jej kierunku.

Bałam się morza, jego głębokości, wolności a zarazem odpływu, który zabierał to co było własnością plaży. Pozbawiał kolejnych ziaren piasku, które układały się w delikatny i przyjemny letni dywan. Szum uspakajał i koił, a jednocześnie całość wzbudzała u mnie strach. Może stąd cały czas stałam na piasku, mając głęboko zakopane nogi, które z trudem wykonywały krok do przodu, albo na bok. Ziarenka masowały mnie jednocześnie lekko przytrzymując. To była Metaforyczność życia, która dla wielu była niezrozumiała.

Odpaliłam YouTube'a i zaczęłam przeglądać sugerowane klipy. Podłączyłam słuchawki, które dawały lepszy dźwięk. Otworzyłam kilka sugerowanych utworów. Wystarczyło kilkanaście pierwszych sekund, abym stwierdziła, że jest to nieodpowiedni utwór na dzisiejszy wieczór. Przesłuchałam wiele utworów i wciąż nie mogłam znaleźć tego, który wpisze się w klimat. Szukałam czegoś nostalgicznego z nutą radości. Najlepiej w wykonaniu pianisty. Dźwięk tego instrumentu potrafił elektryzować, zwłaszcza w coverach znanych popowych utworów. Wprowadzał piosenkę na inny poziom. Wyraziste brzmienie a przede wszystkim brak słów, które czasami potrafiły niszczyć piękną linię melodyczną.

Zamknęłam oczy, i zaczęłam się delikatnie kiwać w rytm wciskanych klawiszy. Dźwięki wyraźnie zatrzymywały się w uszach. Nie oglądałam klipa lecz wyobrażałam sobie ruchy jakie wykonuje pianista. Jego wrażliwość, mimikę twarzy, która oddawała głębię utworu i szybkość ruchu dłoni, które swobodnie sunęły po klawiszach a także śpiew palców, które to nadawały brzmienie. Łączyły nuty, tworząc niepowtarzalne dzieło.

Otworzyłam oczy i ujrzałam dokładnie to co było w moich wyobrażeniach. Elegancka sala koncertowa, a na scenie pianista w czarnym fraku, grający na białym fortepianie. Wyjątkowy koncert jednej osoby.

Przez kilka godzin zagłuszałam myśli, różnorodną muzyką. Dochodziła północ, a kaloryfery robiły się chłodne. Na dole ojciec spał w salonie. Chrapał tak, że było go słychać w kotłowni. Dołożyłam dwa największe kawałki, po czym kilka minut później leżałam już w łóżku. Byłam wycieńczona, oczy się zamknęły szybko, już bez wyraźnej gonitwy w głowie.

– Śniadanie! Śniadanie.

Zachrypnięty głos postawił mnie na nogi. Zarzuciłam wzorkiem w kierunku telefonu. Dochodziła ósma rano. Powinnam być w szkole, lecz to nie był dzień w którym miałam ochotę się tam pojawić.

– Złaż tutaj!

Ubrałam rozciągniętą bluzę z kapturem oraz szerokie spodnie i z lekkim niedobudzeniem udałam się w kierunku kuchni. Łupało mi głowie, a nudności towarzyszyły mi od pierwszego kroku.

– Ruszaj się!

Leżał na sofie jak właściciel i pan swojego królestwa.

Podgrzałam mleko i zrobiłam dokładnie takie śniadanie jak robiła matka. Na swój talerz nalałam niewielką chochelkę mleka. Gdy oba nosiłam, ojciec już siedział przy stole.

Przez chwilę wpatrywałam się w zawartość swojego.

– Jedz.

Byłam głodna, a jednocześnie czułam ogromną gulę w gardle. Ślina wręcz wracała do ust. Zbliżyłam usta do łyżki. Zapach mleka i jego smak natychmiast mnie zniechęcił do kontynuowania.

– Jedz!

Warknął, a jego krople śliny opadły na dłoń oraz twarz.

Zamknęłam oczy i szybko włożyłam łyżkę do ust. Zawartość połknęłam jak najszybciej, unikając dłuższego kontaktu z kubkami smakowymi. Z kolejnymi porcjami postąpiłam podobnie, czułam obrzydzenie w ustach, lecz nudności ustąpiły.

Posprzątałam, zapaliłam w piecu i zastanawiałam się jak długo będę miała czas dla siebie. To jest pierwszy dzień w nowej sytuacji. Zapewne czekało na mnie kilka niespodzianek.

Kiedy siedziałam w jadalni, zastanawiałam się czy jest wszystko przygotowane do pogrzebu. Gdzie jest matka? Jak wygląda? Jaką będzie miała trumnę? Nie miałam wpływu na te kwestie, co rodziło irytację i poczucie beznadziejności. Może powinnam ozdrowieć, móc przeżywać żalobę w taki sposób w jaki robi to większość społeczeństwa? Przyzwyczaiłam się do niemego świata z którego, nie wiem czy jest ktoś w stanie mnie wyciągnąć. To było głęboko, ciągnęło się przez tyle lat. Podkreślał indywidualizm, wręcz dziwactwo zakrawające na chorobę psychiczną lub nietypowy mechanizm obronny. Uciekanie do czegoś co się zna, nad czym mam kontrolę, i co daje rzekome poczucie bezpieczeństwa. Czasami chciałabym być normalna lecz nie wiem czy to potrafię. Mam wrażenie, że nie rozumiem ludzi. Jakby moje słowa odbijały się od ściany, dając niezrozumiałą odpowiedź, która ma być prawidłowym rozwiązaniem. Być może jest dla kogoś, lecz dla mnie to abstrakcyjne słowa, które unoszą się w powietrzu. Swobodnie fruując, a co poniektórzy łapali tylko te, które im odpowiadały, wyrwane z kontekstu a jednocześnie będące mocnym punktem zaczepienia.

Kiedy zauważyłam nadjeżdżający samochód ojca, uciekłam do pokoju. Podejrzewam, że dopełniał kolejnych formalności związanych z uroczystościami pogrzebowymi.

Z oddali usłyszałam damski głos. Podeszłam do okna, i spostrzegłam, że jedna z sąsiadek próbuje z nim porozmawiać. Nie był zbyt rozmowny, machnął kilka razy dłońmi i obcesowo wszedł do domu, zostawiając starszą kobietę bez odpowiedzi.

Usiadłam przy laptopie i zaczęłam przeglądać przepisy na dania obiadowe. Było ich mnóstwo. Wielka kopalnia, wciąż z nowo pojawiającymi się kruszcami. Ciężko było się zdecydować, i wybrać ten jeden, który miałby zostać przygotowany. Wczytywałam się dokładnie w instrukcję, bo nie miałam rozeznania w składnikach, i rodzajach mięsa. Zazwyczaj jadłam, to co przygotowała matka, nie zastanawiając się jak to jest przyrządzone.

Od wielu lat myślałam o samodzielności, lecz nigdy nie zastanawiałam się nad kwestią posiłków. Myślę, że mocno zaprzyjaźniłabym się z masłem oraz chlebem. Podejrzewam, że kanapki byłyby serwowane trzy razy dziennie bo nie odczuwałam silnej potrzeby, nabycia umiejętności statystycznej kucharki.

Gdzieś w tej całej czarnej otoczce, budziło się, we mnie niezidentyfikowane poczucie humoru. Zaczynały śmieszyć mnie sytuacje albo kwestie, które nie były śmieszne. Nie sądziłam, że kiedyś będę się śmiała sama z siebie i to w tak tragicznych okolicznościach.

Na obiad wybrałam zupę ogórkową. Przepis nie wydawał się skomplikowany. Wystarczyło trochę wody, pokrojonych warzyw i zupa była gotowa. Otworzyłam tą samą stronę internetową w telefonie, aby zrobić zrzut ekranu. Miałam kilkadziesiąt minut zanim będę musiała udać się do kuchni więc zaczęłam się wpatrywać w wyświetlacz na którym była czarna tapeta w kolorowe obręcze, które falowały.

Pływały po ekranie, zmieniając kolor, który tworzył tęczowe okręgi. Poruszały się swobodnie, w różnych kierunkach. Obręcze zahaczały się. Następnie mniejsza zostawała wchłonięta przez większą powodując jej zwiększenie. Przypominało to grę Snake'a, która królowała w starych telefonach marki nokia. Z każdym kęsem wąż rósł aż do takich rozmiarów, kiedy sam siebie gryzł. Był coraz większy, chciał coraz więcej, aż jego zachłanność powoli zabijała.

Nie wiem jakie uczucie towarzyszy, kiedy jest się posiadaczem drogich samochodów, nowoczesnych gadżetów i willi z kilkoma łazienkami. Zapewne tego nie doświadczę ale czy to jest wyznacznikiem wartościowego życia? Można sobie pozwolić na spełnienie wielu zachcianek a wciąż przejść obojętnie obok potrzebującego. Kolejny paradoks, który rozgrywa się w życiu. Jedni mają nadmiar, inni mają niewiele a podróż i tak zakończy się w tym samym miejscu. W ciemności i głębokości. W chłodzie w którym popiół będzie niewielkimi granulkami. Z kilkudziesięciu kilogramów w urnie zostanie niewiele. Byt przestaje być bytem.

Coraz częściej nachodziły mnie rozważania o śmierci. Dwa dni temu siedziałam obok matki. Nic nie zapowiadało tragedii. Nie było przesłanek. Była tą samą osobą, co zawsze. Jeszcze rano się z nią widziałam, a kilka godzin później była zimnym posągiem. Chciałabym wiedzieć kiedy umrę. Jak to będzie wyglądać bo to niewiadoma, która najbardziej ciekawi. Oddałabym wszystko aby dowiedzieć się kiedy nastąpi ten moment i mam wrażenie, że czasami strach przed śmiercią powoduje, że powstrzymuje się od działań. Staję się bardziej bierna, jakby podjęta decyzja przybliżała do tej ostatecznej chwili. Nieubłagalnego momentu, od którego nie da się uciec a jednocześnie trzeba oswoić życie z nim i zaakceptować kruchość losu.

Podobno istnieje życie po śmierci. Nie jestem praktykującą katoliczką, ani osobą wyznającą buddyzm. Ateista jest najtrafniejszym określeniem mojej przynależności do kultu religijnego. Wierzę, że żyjemy kiedy poruszamy się wśród innych. Widzimy ich, słyszymy ich. I możemy ich dotknąć. Życie to coś namacalnego. Powodującego, że nasz oddech przypomina o tym, iż mamy cele, marzenia i zobowiązania. Że wciąż jesteśmy w pociągu, który przemierza kolejne nieznane tereny. Czasami gubiąc jeden z wagonów, a czasami sunąc pospiesznie w kierunku wschodu słońca. To podróż do której potrzebujemy siebie i mocno wciągniętego powietrza do płuc. Na dworcu wsiadają lub wysiadają inni. Nasz wzrok bacznie obserwuje środowisko, powodując lekki uśmiech lub smutek lecz wciąż to jest nasza jednoosobowa przejażdżka.

Rozważania przerwał dźwięk włączonego telewizora. Z niechęcią udałam się do kuchni gdzie przystąpiłam do obierania warzyw. Pokrojone w kostkę, wrzucałam energetycznie do zimnej wody. W garnku zrobiło się kolorowo. Przekręciłam palnik gazu i przez chwilę spoglądałam do środka naczynia. Nie było żadnej reakcji. Zadawałam sobie jedno pytanie: tak teraz będzie wyglądać moje życie? Gotowanie, sprzątanie, palenie w piecu? Przejęcie wszystkich obowiązków po mamie?

Nie byłam na to gotowa. To jak wkroczenie w dorosłe i samodzielne życie bez wsparcia.

Mam siedemnaście lat i doświadczyłam śmierci dwóch osób. Nie wiem co będzie za kilka dni, czy miesięcy. Czy dam radę udźwignąć ciężar życia i losu, który został położony na moich ramionach. Czasami uginam się pod jego ciężarem, robią mniejsze kroki.

Woda zaczęła bulgotać. Zniżyłam płomień i odeszłam do jadali. Usiadłam, tak jak robiła to matka i wpatrywałam się okno. Nie było widać niczego nowego. Świat był taki jak zawsze. Śnieg delikatnie prószył, a słońce próbowało się przebić przez chmury. Zwyczajny zimowy dzień.

– Co się kurwa tak gapisz? – rzekł, otrzepując buty ze śniegu.

Posłałam srogie spojrzenie i odeszłam.

Przemieszałam kilkukrotnie zupę. Warzywa wciąż były surowe.

– Chodź tutaj!

Darł się z jadalni lecz zlekceważyłam jego głos.

Wparował wściekły. Mocno chwycił mnie za ramię. Najpierw jedno, a później drugie. Przyciągnął do siebie. Krzyczałam w milczeniu o pomoc.

– Masz mnie kurwa słuchać. Rozumiałaś?!

Kipiące złością oczy, świdrowały wnętrze. Twarz nie pokazała oznaki słabości. Zamarłam jak marmurowa rzeźba.

– Rozumiesz?!

Potrząsnął mną kilkukrotnie. Poczułam ruch wnętrzości. Byłam bezbronna w jego uścisku. Czułam się jak noworodek, który jest niezdolny do samodzielnej egzystencji i w pełni uzależniony od władzy rodzicielskiej.

Wymieniliśmy dłuższe spojrzenie. Jego prawa ręka oderwała się od ramienia i powędrowała w kierunku lewego policzka. Zamknęłam mocno oczy.

– Teraz już rozumiesz.

Puścił mnie i bez emocji wyszedł z kuchni. Stałam w tym miejscu do którego mnie przyciągnął. Nie mogłam się poruszyć. Przetwarzałam to co się stało. Ból był znośny. Byłam przyzwyczajona do lekkiego pieczenia.

Tym razem stało się coś więcej. Nie chciałam być jego służącą, workiem bokerskim. Rzeczą, którą można zgiąć i wyrzucić do kosza. Byłam pełnoprawną jednostką, zdolną do funkcjonowania w środowisku, która rozróżnia dobro od zła.

Wyłączyłam palnik gazu, i niespostrzeżenie wyszłam z domu. Schowałam się w stodole. Nie miałam pieniędzy, ani odwagi, aby pojechać gdzieś dalej wciąż byłam przywiązana życiową pępowiną.

Przez niewielkie okno wdzierał się chłód. Skuliłam się, okrywając się sianem.

Myśli kotłowały się w głowie. Byłam w kompletnej rozsypce. Życie rozleciało się jak porcelanowa filiżanka, która upada ze stołu. Wiele małych kawałków, które nie pasowały do siebie, albo nie chciały pasować. Układałam różne scenariusze. Te bardziej i mniej optymistyczne ale wciąż strach rządził całym układem sił. Był jak nowoczesny czołg na polu bitwy. Poruszała się szybko i taranował nie tylko przeciwników. Zderzał się też z sojusznikami.

Chciał być panem wojny i jedynym wygranym. Jedno niewielkie uczucie, a targało moimi myślami jak niszczycielski huragan.

Po kilku godzinach rozważań nie zdecydowałam się wejść do mieszkania. Potwornie chciało mi się do toalety. Wygrzebałam się spod siana i udałam na zewnątrz. Za stodołą znalazłam ustronne miejsce, aby móc opróżnić pęcherz moczowy. Poczułam wstyd i zażenowanie, że sikam na zewnątrz, nieopodal domu. Bałam się z nim być sam na sam. Zwłaszcza, że przez okno dostrzegłam jak się zataczał.

Podciągnęłam szybko spodnie i biegiem udałam się do drewnianego budynku. Co jakiś czas wyglądałam przez okno, sprawdzając czy ojciec nadal jest w domu. Nie wiedział o tej kryjówce ale to nie oznaczało, że jestem bezpieczna. Żadne miejsce nie gwarantuje ochrony przed tyranem.

Nastał ranek, słońce pięknie wschodziło. W nocy nie udało mi się usnąć. Odczuwałam ogromny niepokój, który wprowadzał organizm w stan czuwania. Na zewnątrz była cisza, zwierzęta nie hałasowały. Jakby wiedziały, że jestem nieopodal i potrzebuje chwili snu. Nawet ciepło i wygoda nie przyczyniły się do tego, abym zamknęła oczy na kilkadziesiąt minut. Nie odrywałam wzroku od nieba. Płoneło pięknymi kolorami. Na takim wpatrzeniu minęło kilka godzin. Byłam spragniona, a szorstkiemu językowi nie wystarczała już ślina. Na ustach namalowały się niewielkie rowy. Delikatne zwilżenie językiem powodowało ulgę na kilka sekund.

Pogrzeb był zaplanowany na dziesiątą rano w cmentarnej kaplicy. Miałam półtorej godziny na przygotowanie się do uroczystości. Zbiegłam po drewnianej drabinie, i po puszystym śniegu udałam się w kierunku domu. Na zewnątrz było bardzo przyjemnie, chłód był rześki, lecz nie było dużego mrozu. Stałam przed drzwiami, i przez chwilę się zastanawiałam. Serce przyspieszało, ręce zaczęły się pocić. Bałam się, że jak wejść to nigdy z niego nie wyjdę.

Nacisnęłam lekko klamkę i uchyliłam drzwi. Ojciec leżał w salonie. Zrobiłam niewielki krok, ściągnęłam buty i na palcach skierowałam się w kierunku schodów. Gdy się zbliżałam, fetor alkoholu uderzał coraz mocniej. Kilkanaście pustych puszek leżało koło sofy, i jedna butelka po wódce. Pomieszczenie wyglądało jak przydrożna speluna, z tym, że ławka została zastąpiona wygodną kanapą, a stolik barowy – stołem kawowym. Unoszący zapach przyprawiał o nudności, a widok zachlanego ojca był żałosny. Staczał się na dno coraz bardziej. Jedna puszka już mu nie wystarczała. Wlewał do siebie hektolitry procentów, nie przejmując się konsekwencjami takiego zachowania. Jego nową żoną i przyjacielem została butelka kiepskiej wódki.

Odkręciłam kran w łazience i zaczęłam duszkiem pić wodę. Ściekała po całej twarzy, mocząc bluzkę i spodnie. Otwierałam szeroko usta a zimno, które rozchodziło się po wnętrzu było tym czego potrzebowałam. Miała inny smak niż ta, która lała się z kuchennego smaku. Jakby łazienkowa woda miała większość zawartość chloru, mimo iż była z tego samego ujęcia.

Energicznie ochlapałam twarz, i spojrzałam w lustro. Krople wody osiadły na czole i policzkach. Były niewielkimi perełkami na piaszczystej plaży. Nie wyglądałam zbyt obiecująco. Bezsenne noce zostawiły ślad pod oczami.

Być może czekały mnie najtrudniejsze chwile życia. Coś z czym wiele dzieci musi się zmierzyć, a nie powinni. Nikt nie zastąpi obecności matki w życiu, bez względu na to czy jest biologiczną czy adopcyjną. Utrata jej, to jak opuszczenie szkoły podstawowej. W późniejszym życiu będzie ciężko nadrobić braki. Ona jest filarem, podstawą życia. To od niej powinniśmy dostać wzorce, albo antywzorce. Mieć punkt zaczepienia, który będzie wpływał na to kim jesteśmy i jak postępujemy. Byłam prawie dorosła i ciężko było zrozumieć dlaczego to się stało właśnie teraz. Co mają powiedzieć niemowlaki, czy starsze dzieci, które wychowały się bez obecności matki? Być może nie pamiętają nawet jej dotyku czy uśmiechu. Mają wyobrażenia na podstawie

opowieści członków rodziny czy zdjęć w albumie. Ale czy da się poznać kogoś kogo nie widzimy czy nigdy nie widzieliśmy?

Mocno szczotkowałam zęby. Jakbym chciała oczyścić swoją duszę, ciało. Robiłam energiczne ruchy, nie spuszczać wzroku ze swojego odbicia w lustrze. Nie podążał on za szczoteczką, był zatopiony we własnych oczach. Tych, których nie widzę na co dzień, a tylko lustro mi o nich przypomina. Codziennie przez nie patrzę, dotykam nimi świata. Ostrzegają przed niebezpieczeństwem przypominając o tym, aby się uśmiechać. Dostrzegają to co inni nie widzą i są otwartą bramą do lepszego życia.

Splunęłam kilkukrotnie do umywalki, wypłukałam pozostałości po paście i udałam się do pokoju.

Stałam tuż przed szafą. Wyciągnęłam czarną bluzę z kapturem oraz ciemne jeansy. Nie miałam zbyt wielu ubrań, tym bardziej odpowiednich na pogrzeb. Szybko zmieniłam ubranie, wsunęłam telefon do tylnej kieszeni i skierowałam się w stronę schodów.

Ojciec nadal spał. Rzuciłam wzrokiem na jego brzuch. Leżał w tej samej pozycji co kilkanaście minut temu.

Zabrałam kurtę i wyszłam z domu.

Do cmentarnej kaplicy miałam przeszło dwa kilometry. Udałam się spokojnym krokiem wzdłuż drogi. Szłam wolno bo miejscami, była pokryta śliską pokrywą lodową. Co chwilę obracałam się, sprawdzając czy sąsiedzi również idą. Wieś wyglądała na opustoszałą. Nawet psów przy budzie nie można było dostrzec.

Mijałam kolejnej budynki gospodarcze. Rozglądałam się w poszukiwaniu sąsiadów. Zatrzymałam się przy siatce ogrodowej. Spojrzałam w kierunku okna. Było ono umiejscowione w salonie, w którym starsza kobieta dziergała na drutach. Była wpatrzona w telewizor, i jednocześnie zwinnie ruszała rękami. Co kilkadziesiąt sekund spoglądała na pracę, którą wykonała, po czym wzrok kierowała przed siebie.

Zza ogrodzenia miałam namiastkę innego życia. Innej rodziny. Było na wyciągnięcie ręki, a zarazem zupełnie odległe.

Ruszyłam przed siebie, zastanawiając się jakie tajemnice skrywają kolejne budynki. Kierowałam myśli na wszystkie możliwe tory, aby odwlec chwilę, która nastąpi za kilkadziesiąt minut. Nie czułam tego, że idę na pogrzeb matki. Nadal wydawało się to mało realne. Nie potrafiłam uwierzyć, że już jej nie ma a przecież minęło kilka dni od jej śmierci. Mój orgazm bronił się w sposób, który ciężko mi określić. Pojawiały się pytania i ciekawość, której nie powinno być w takiej sytuacji. Kwestie nieistotne zaczęły mieć dziwne znaczenie, i absorbować spostrzegawczość.

Nie tak wyobrażałam sobie ostatnie pożegnanie z bliskimi osobami. Idąc zastanawiałam się, czy poszłabym na pogrzeb ojca. Czy chciałabym towarzyszyć w takim momencie, bo jest on szczególnie dla całej rodziny oraz znajomych. Często ma wymiar symboliczny. Zakopanie trumny, to jak zamknięcie jednego życiowego rozdziału. Bolesna chwila od której nie da się uciec, nawet nie będąc na cmentarzu. Po spojrzeniu w kalendarz, zawsze datę skojarzy się z odejściem bliskiej osoby ale czy ojciec był wystarczająco blisko, abym z żalem mogła spojrzeć na jego trumnę? Uronić łzy, w momencie świecenia znicza? Ten niewielki płomyk to oddanie szacunku i informacja o tym, że wciąż się pamięta. Ale czy da się oddać hołd potworowi? Komuś, kto wyrządza najbliższemu krzywdę? A przede wszystkim, czy zasługuje na nasz czas, naszą obecność? Czy rodzinna przynależność ma być jednoznacznym wyznacznikiem naszego zachowania? Nie wiem co bym zrobiła, gdyby umarł. Być może nie dojrzałam jeszcze do reprezentowania odpowiedniego zachowania.

Z oddali wyłaniała się niewielka wieżyczka. Kaplica była mała lecz na tle dużych łąk wyróżniała się swoim wyglądem. Przypominała przydrożną kapliczkę która może pomieścić dwie osoby, lecz w kilkukrotnym powiększeniu. Miała białe ściany, i drewniane drzwi w kształcie łuku. W nocy była przepięknie oświetlona. Dwie lampy, umieszczona na trawie rzucały światło na ściany, i oddawały klimat zadumy.

Przedemną szło kilka osób. Głównie starsze panie, wręcz wiejskie babcie. Na głowie zamiast czapek, miały przewiązane kolorowe chusteczki a czarne płaszcze sięgały kostek, na których miały kozaki na płaskiej podeszwie. Szły parami, podtrzymując się pod pachę. Ujmował mnie ten widok. Nie tylko wtedy, kiedy dotyczył dwóch kobiet, ale najbardziej wtedy, kiedy było to starsze małżeństwo. Czy może być coś piękniejszego niż dwoje zakochanych osób po osiemdziesiątym roku życia, którzy idą mocno trzymając się za dłonie? Czy miłość jest śmiertelna?

Dwoje zakochanych osób, z wieloletnim stażem małżeńskim jest idealnym dowodem miłości. Tego, że można przewyciężyć wiele kryzysów, przetrwać razem trudne chwile oraz być ze sobą przez wiele lat, ciągle pielęgnując uczucie.

Minęłam żeliwne ogrodzenie, które oddzielało cmentarz od przydrożnych łąk. Tuż przy wejściu, po prawej stronie stała tablica ogłoszeń, na której widniała klepsydra z nazwiskiem matki. Rzuciłam kątem okna i udałam się wzdłuż głównej drogi, która prowadziła do kaplicy. Zauważyłam, że osoby, które wchodziły, zatrzymywały się przy ogłoszeniach na dłużej. Zwolniłam kroku, i zaczęłam czytać imiona, które pojawiały się na kolejnych nagrobkach, a także szybko obliczałam wiek w jakim zmarli. Przeważały osoby po siedemdziesiątym roku życia, aczkolwiek pojawiła się tablica, z napisem: „Przeżył lat 28”. Powyżej było męskie imię i zdjęcie na którym młody chłopak był uśmiechnięty. Wyglądało jakby było z czasów liceum być może studiów. Jego oczy przyjacielsko patrzyły się na mnie, a lekki uśmiech zachęcał do odwzajemnienia się w ten sam sposób. Wyglądał na przystojnego mężczyznę.

Z oddali dochodziły szept. Gdy się zbliżałam, prawie wszyscy na mnie patrzyli. Nie uciekali wzrokiem, lecz dokładnie śledzili każdy krok. Mijałam kolejnej osoby, nikt mnie nie zaczepiał lecz na plecach czułam stado dzikich oczu. Poczułam się jakbym miała trąd. Co prawda ludzie nie uciekali na widok mojej osoby, lecz ich reakcja była równie niemiła. Przyspieszyłam, aby szybko się schować w kaplicy. Prawie do niej wbiegłam, i usiadłam na pierwszej ławce. Dopiero po chwili zauważyłam, że obok jest dębowa trumna, podparta na dwóch metalowych stojakach. Na pokrywie, spoczywał duży wieniec z czerwonych róż, a na złotej szarfie dostrzegłam napis „Rodzina”.

Godzina na telefonie przypomniła mi, że za pięć minut rozpocznie się uroczystość. Wyciszyłam dzwonek i wrzuciłam go do kieszeni w kurtce. Zrobiło mi się ciepło. Nie wiem czy to z emocji, czy może z szybkiego marszu. Rozpięłam zamek i wyprostowałam się, aby bardziej zaczerpnąć powietrza. Pachniało trupami. Zapachem, który unosił się nad cmentarzem i był połączeniem palących się zniczy i dziwnego odoru. Może to rozkładające się zwłoki powodują, że w tym miejscu pachnie tak specyficznie? Tyle ciał spoczywa na kwadratowym fragmencie ziemi. Grobowce są blisko siebie, można nawet dotknąć sąsiada, który leży obok. Są na podobnej głębokości przez wiele lat a wyróżnia ich tylko pokrywa nagrobka i kwiaty, które są na nich. Chciałabym zobaczyć wnętrza trumny po kilkudziesięciu latach od śmierci. Wymienić spojrzenie z ciałem, a być może z kościotrupem. Zobaczyć pająki, które chodzą po nim. I zjadają pozostałości życia. Wyobrażam sobie, że są takie małe, czarne i przypominają szczypawice. Ich widok w zakamarkach ciała zapewne przyprowadzi o młodości.

Ksiądz wszedł. Wstałam i subtelnie rozglądałam się. Ławka obok mnie była pusta, a za mną kilka starszych pań stało na baczność. Ich widok był piorunujący. Wciąż nie wierzyłam w to, że obok mnie jest nieżywa matka. Wzrok uciekał od dębowej pokrywy.

Nie pamiętam kiedy byłam w Kościele, i nawet nie wiem jak się ksiądz nazywał. Miał krótko ostrzyżone włosy i duże zakola na czole. Wyglądał jakby był po czterdziestce. Być może jego tusza dodawała kilka lat do jego metryki. Twarz miał pulchną lecz sympatyczną.

Po chwili usiedliśmy i z głośników rozległ się jego głos. Nie potrafiłam słuchać, słowa uciekały wręcz odbijały się od uszu. Byłam spokojna, aż za bardzo. Jakbym przebywała w odrealnionej przestrzeni, której nie da się opisać bo żeby zrozumieć trzeba tego doświadczyć. To nie był spokój ducha, który często pojawia się w życiu, lecz zupełnie inny jego poziom. Jakby ciało się uspakajało, zbierało energię, po to, aby za jakiś czas przystąpić do ostatecznej walki.

Pół godziny upłynęło niczym pięć minut. Wszyscy stali. Do trumny podeszło czterech mężczyzn w czarnych garniturach. Na znak jednego z nich, wszyscy podnieśli ciężar w górę. Po chwili ruszyli przed siebie, a za nimi ksiądz. Ludzie patrzyli się na mnie, a ja na trumnę, która była w oddali. Nieśmiało zaczęli opuszczać kaplicę. Rozległ się śpiew księdza, który się oddalał. Spojrzałam w prawo, i uderzyła mnie pustka pomieszczenia. Metalowe stojaki straszyły wyrzeźbionymi wzorami. Wzdrygnęłam się i dotarło do mnie, że powinnam podążać w tłumie.

Wybiegłam z kaplicy i szybkim marszem dołączyłam do kilkudziesięciu osób. Nie dostrzegłam ani ojca ani dziadków. Rozpoznałam kilku sąsiadów i sąsiadek lecz nikt z nich nie podszedł bliżej. Szłam na końcu pragnąc, aby ktoś dotknął dłoni. I jakby moje marzenie nagle się spełniło. Poczułam ciepło na zmarzniętej ręce. Obróciłam się w prawo i ujrzałam Wiśniewską. Jej dłoń lekko się zsunęła, a oczy mocno się zaszklily. Chwilę później nadciągnął potok łez, wciąż nie dający mi oczyszczenia i ulgi. Bezwiednie opadały z mojej twarzy.

Kondukt zatrzymał się przy ogrodzeniu, które było zakryte przez rząd wysokich świerków. Nieopodal był wykopany dół. Mężczyźni położyli trumnę na podstawkach, i zaczęli przywiązywać dwie liny. Głos księdza był zagłuszony przez szelesty dochodzące z tłumu. Po kilku minutach skinął głową i trumna zaczęła zjeżdżać do przygotowanego miejsca. Zajęło to kilkadziesiąt sekund, po czym liny zostały uwolnione, a mężczyźni oddalili się. Przez cały czas na ich twarzach była zarysowana powaga sytuacji. Zapewne wykonywali te czynności wielokrotnie i wciąż swoją postawą oddawali szacunek. Jeden z nich był młody, wyglądał jakby był uczniem liceum. Był najwyższym i najchudszy. Nie pasował do grona pozostałych, którzy byli przy kości i w średnim wieku.

Ksiądz podszedł do mnie. Mocno uściśnął dłonie i coś powiedział, po czym odszedł z pozostałymi osobami. Stałam kilkadziesiąt minut i patrzyłam w dziurę, która była zakopywana.

– Mogę jakoś pomóc? – spytała nauczycielka.

Wstrząsnęłam ramionami, nie odrywając oczu od sztychówek. Wyglądały podobnie do tych, które były używane na pogrzebie Jasia. Tamten obraz mam do dzisiaj przed oczami. Każdy jeden ruch, dopóki nie zemdlalam. Tym razem, czułam się inaczej. Nie uginały mi się nogi. Serce nie przybierało tempa. Łzy przestały napływać do oczu. Oczy śledziły ciężką pracę mężczyzn, a dół z każdą chwilą zaczynał wyrównywać poziom z trawnikiem.

– Chodź.

Poczułam ponowne dotknięcie.

Dotrzymywałam kroku nauczycielce. Słysmy w milczeniu, które było leczniczym. Rozumiała mnie, nie chciała mnie zmieniać. Przystosowała się do tego, jaka byłam, i jak się zachowywałam. Dawała przyzwolenie na bycie sobie, kroczenie obraną drogą.

Odprowadziła mnie do domu. Nie zamieniłyśmy ani jednego słowa na przeszło dwu kilometrowym spacerze. Kiedy zbliżaliśmy się do podwórka, zatrzymałam się i kiwnęłam przecząco głową.

– Rozumiem. Trzymaj się mocno. Gdybyś czegoś potrzebowała to zadzwoń do mnie. Bez względu na porę dnia.

Oddaliła się i po chwili obróciła głowę, posyłając ciepłe spojrzenie. Zawiesiłam oczy na białej kartce. Delikatnie zerwałam ją. Złożyłam na kilka części po czym schowałam do kieszeni. Nie wiem czy ktoś zachowuje się podobnie, lecz chciałam ją zachować. Jeszcze nie potrafiłam wyjaśnić dlaczego ona ma dla mnie znaczenie sentymentalne.

Udałam się w kierunku drzwi wejściowych. Zachwiałam się. Intuicja przypomniała o sobie. Zrobiłam krok w tył i poszłam do stodoły.

Położyłam się, a wzrok wbiłam w małe okno. Chmurzyło się, słońce się schowało za jedną z chmur. Niebo zrobiło się ciemno niebieskie, jakby miało się rozpętać tornado. W stodole nagle pociemniało. Kilka minut temu czułam promienie na swojej kurtce i wystarczyła niewielka chwila, aby pogoda się zmieniła. Czasami była nieobliczalna jak ludzkie zachowanie.

To był ten dzień w którym zaczęłam odczuwać zmęczenie psychiczne i fizyczne. Ostatnie kilka dni spowodowały dziwne zachowanie mojego ciała. Nieadekwatne do zaistniałej sytuacji. Łzy zaczęły napływać do moich oczu. Nie broniłam się przed nim a wręcz chciałam, aby wylało się jak najwięcej abym mogła poczuć ich gorzkość. Brzuch zaczął mnie boleć, a w żołądku mdliło. Nie protestowałam, wręcz akceptowałam walkę ciała ze smutkiem i stresem. Nie wiem, czy ktoś z nas jest przygotowany na śmierć bliskiej osoby. Nawet gdy, ta ciężko choruje. Ta myśl o odejściu potrafi pojawić się spontanicznie a następnie odejść nawet nie zmuszając do refleksji bo jest zagłuszana wyparciem. Dopiero później nadchodzi zderzenie z rzeczywistością. Z brutalnością świata. Pojawia się żal, mnóstwo pytań na które ciężko odpowiedzieć, i ogromna tęsknota, której nie da się zastąpić inną jednostką. Człowiek nie jest towarem. Nie da się pójść do salonu i wymienić na lepszy model.

Mimo zmęczenia nie potrafiłam usnąć. Zapowiadała się kolejna bezsenna noc. Kiedy zamykałam oczy, wracały do mnie obrazy, w których widziałam matkę. Wszystkie pozytywne chwile, które z nią spędziłam. Nie było ich wiele, ale te kilka, było bezcennych. Być może jej chłód był obroną przed wewnętrznym krzywdzeniem siebie. Była inna niż ojciec. Potrafiła się zmartwić czy zatroszczyć. Przeżywała, bo często widziałam jak ocierała łzy. Nie wyobrażam sobie skali krzywdy jaką otrzymała od męża. Nie widziałam wszystkich aktów przemocy, lecz te które wpadały do moich uszu czy oczu sprawiały ogromny ból. Samo patrzenie na siniaki, otarcia wzmagaly poczucie beznadziejności i cierpienia. To co otrzymałam od ojca, to była namiastka tego z czym borykała się matka. Dostawałam w twarz pomidorami, które mieściły się w skrzynkach a dla matki trzeba było dużej ciężarówki. Ich ilość była niezliczona, a ona z każdym sezonem robiła mniejsze uniki. Ale czy da się w pełni zaakceptować taką sytuację? Być non stop biernym? Workiem, którego można bić, kopać i spluwać na niego? Przecież ten worek ma serce, płuca, i inne narządy. Pokryty jest skórą, która potrafi odczuwać. Nie tylko zmianę temperatury, lecz przede wszystkim emocje.

Próbowałam zrozumieć zachowanie matki, ale czy obecnie to ma jakikolwiek sens?

W nocy poczułam głód i pragnienie. Dochodziła dwudziesta trzecia. Nie potrafiłam znaleźć odpowiedniej pozycji. Przekręcałam się z boku na boku. Siano zaczęło mnie uwierać. Usiadłam, poprawiłam żdźbła. Ponownie się położyłam, lecz problem nie był rozwiązany. Wstałam i przez chwilę stałam zgarbiona, gdyż skos dachu był tuż nad moją głową. Zrobiłam kilka kroków, a

następnie podeszłam bliżej okna. Wyjrzałam na zewnątrz. Nie było zbyt wiele widać, bo ciemność pokrywała wioskę.

W żołądku ssało mnie coraz bardziej. Zeszłam ostrożnie po drabinie i udałam się do domu. Zamek był otwarty. Światło telewizora rozświetlało pomieszczenie. Ojciec spał na kanapie, był w podobnej pozycji jak kilkanaście godzin temu. Z tym, że wokół nagromadziło się więcej puszek i kolejna butelka. Kroczyłam na palcach do kuchni. Nalałam trochę kranówki do szklanki i zabrałam dwie suche kromki. W domu było chłodno więc zajrzałam do kotłowni - piec był zimny.

Kilka minut później usiadłam na łóżku i zjadłam pierwszą kromkę, popijając wodą. Chleb nie smakował zbyt dobrze. Pomyślałam o osobach, które przebywały w obozach koncentracyjnych. To był dla nich standardowy posiłek a o kolejny kawałek chleba potrafili się bić. Ktoś walczył o to, co było podstawą w moim domu.

Po krótkich rozważaniach zjadłam drugą kromkę, po czym się położyłam. Żołądek się uspokoił, oczy zamknęły. Organizm spowalniał procesy metaboliczne i pozwolił zapaść w sen.

Przekręcając się na prawy bok usłyszałam dźwięk kroków. Spojrzałam na telefon, który był na biurku. Była pierwsza czterdzieści osiem. Chód był coraz bardziej słyszalny. Zmroziło mnie. Czułam się jak w więzieniu, nasłuchując kroków strażnika, który zamierza pokazać swoją siłę oraz męskość. Skierowałam wzrok na klamkę, bo wydawało mi się, że się poruszyła. Drzwi się uchyliły, odruchowo zamknęłam oczy, udając, że śpię. Woń alkoholu była coraz silniejsza, a sapanie bardziej słyszalne. Starłam się oddychać równomiernie lecz to nie było takie proste. Ciało przygotowywało się do walki i nie potrafiłam nad tym zapanować. Nie widziałam jak daleko był, ale czułam jego obecność tuż nad moim łóżkiem. Miałam wrażenie, że dokładnie wiem gdzie stoi. Wydawało mi się, że jego ręka kieruje się w moim kierunku. Nie wiedziałam czego chciał. Łudziłam się, że jak będę spała, to odejdzie. Tak się nie stało. Zdarł ze mnie koldrę, a ja gwałtownie otworzyłam oczy.

– Teraz się zabawimy – rzekł szyderczo.

Skuliłam się.

– Gdzie uciekasz? Chodź do mnie.

Zaczął odpinać pasek od spodni. Podkurczyłam nogi i przytuliłam się do ściany.

– Nic nie powiesz?

Opuścił spodnie do kolana i zbliżył się do mnie.

– No chodź do mnie. Chodź do tatusia.

Przyciągnął mnie mocno.

– Teraz mam ciebie od tego!

Jego głos rozbrzmiewał w moich uszach a jego ręce przytrzymywały mnie przy łóżku.

– Ściągaj spodnie!

Nie chciałam tego. Ale co mogłam zrobić? Byłam już zbyt słaba aby walczyć z potworem. Zsunęłam spodnie.

– Połóż się.

Jego ton głosu był nieco lżejszy. Do matki tak się nie odzywał. Wiedział, że jest jego kobietą i może z nią zrobić cokolwiek tylko będzie chciał. Położyłam się na wznak, lekko rozchylając nogi. Tak bardzo chciało mi się krzyczeć. Uciekać. Czułam, że nawet nie dobiegnę do drzwi, nie mówiąc o dalszej ucieczce.

Zrzucił spodnie i wszedł na moje łóżko. Jego twarz wisiała tuż nad moją. Ręce opierał o materac.

Poczułam jak jest w środku. Zagryzłam wargi z bólu i zamknęłam oczy. Odliczałam w myślach. Zastanawiałam się o tym jak długo może to trwać. Jego ruchy sprawiały mi ogromny ból. Ścisnęłam rękami prześcieradło, jakby miało mi to przynieść ulgę.

Pracował coraz szybciej. Dyszał bardziej. I bardziej. Aż w końcu opadł na moje ciało.

To było ohydne, wręcz obrzydzące. Jego tłuste włosy spoczywały na mojej klatce piersiowej. Ciężar jego ciała wbijał mnie w materac. Nie wiedziałam jak się mam zachować wręcz byłam sparaliżowana.

Podniósł głowę, spojrzał głęboko w moje oczy.

– Grzeczna dziewczynka.

Miałam ochotę splunąć na jego twarz. Odgryźć penisa, i odciąć jajka.

Ubrał spodnie i odszedł, zamykając drzwi.

Zrobił to z taką lekkością i bez emocji. Jakby po raz kolejny zgwałcił córkę. Szybko ubrałam spodnie, bo leżąc półnago czułam jakbym była obdarta ze swojej kobiecości, intymności. Przykryłam się kołdrą i położyłam się na wznak.

Zostałam zgwałcona przez ojca, i nadal spokojnie leżałam w łóżku. W tym samym domu, co potwór, który tego dokonał. Co jest ze mną nie tak? Może zasłużyłam na takie potraktowanie? Kara za coś?

Nie byłam w stanie ogarnąć tego co się działo w życiu. Pozwoliłam zabrać swoją autonomię. Wyrzuciłam aprobatę na gwałt.

Zgubiłam się w życiu. Totalnie zboczyłam, z drogi, którą się podąża. Nie wiem w jakim miejscu na ziemi byłam. Przytłoczenie było tak ogromne, że nie potrafiłam podjąć samodzielnej decyzji.

Przyciągnęłam laptopa z biurka i otworzyłam czat internetowy. Ona wciąż na nim była. Najechałam myszką na jej nicka i mocno dwa razy kliknęłam. Pojawił się komunikat, że zaproszenie do rozmowy prywatnej zostało wysłane. Wpatrywałam się w monitor i po chwili zobaczyłam: „cześć”.

Tak bardzo kogoś potrzebowałam. Kogoś, kto mi pokaże dalszą drogę. Pomoże przejść przez złe momenty, i pomoże odbudować moje wnętrze. Zaczęłam klikać w klawiaturę. Bijąc się w myślach, czy dobrze postępuję. Długo się wahałam czy nacisnąć przycisk enter. Zamiast wciśnięcia jego, nacisnęłam „X” i zamknęłam pokrywę laptopa. Chyba nie była właściwą osobą, z którą mogłabym teraz porozmawiać. Już raz zadała mi cios w plecy więc podejrzewam, że kolejnego mogłabym już nie udźwignąć.

Położyłam się, co chwilę zmieniając pozycje w łóżku. Czułam pieczenie i lekki ból w okolicach intymnych. Zimne dłonie spoczęła na brzuchu, dotykając ciała, które dygotało.

Nie tak wyobrażałam sobie ten moment. Miał być romantyczny nastrój. Świece w pomieszczeniu, róża wazonie. I ten jedyny – wyjątkowy, który powinien towarzyszyć w moim życiu. Wszystko poszło w odwrotnym kierunku. Zwłaszcza, że tego nie da się cofnąć, wymienić osoby. Ojciec już na zawsze pozostanie tym pierwszym, który zabrał ode mnie coś najcenniejszego. Zostawił ogromną szramę na ciele i w moim życiu.

Nie sądziłam, że tej nocy przyjdzie do mnie ponownie lecz ogólny niepokój powodował, że nie potrafiłam zasnąć. Nawet nie próbowałam tego zrobić. Jakby czuwanie miało mnie uchronić przed kolejnym niebezpieczeństwem, co było bzdurstwem. Oparłam się o ścianę a wzrok wbiłam w ciemność, która panowała w pokoju. Dokładnie znałam jego układ, więc wiedziałam na co spoglądałam. Znałam nawet kolejność książek poukładanych w biblioteczce i ubrań w szafie.

Mijały minuty, a ja siedziałam w beznadziejności, wyczerpaniu a jednocześnie złości i w ochocie zemsty. Skrajne emocje walczyły ze sobą niczym kowboj próbujący jak najdłużej utrzymać się na byku.

Zegarek wybił godzinę szóstą rano. Przesunęłam się na skraj łóżka. Siedziałam, i siedziałam. Mijały kolejne minuty na zastanawianiu się co mogę zrobić. Nie zawsze powinność jest możliwa do realizacji. Sięgnęłam po plecak. Wyciągnęłam wszystkie książki i zeszyty, które położyłam na biurku. Przez kilka dni do nich nie zaglądałam, i już nie pamiętam jakie było zadanie domowe lecz to nie było najważniejszym moim zmartwieniem. Co dalej? I jak żyć? Te pytania towarzyszyły mi przez kilka kolejnych minut.

Udałam się do łazienki z powodu potrzeby fizjologicznej. Kiedy usiadłam na toalecie, dostrzegłam zakrwawioną bieliznę. Kolejny skrawek, który będzie przypominać o tym co się stało kilka godzin temu. Zdjęłam matki, zwinęłam w kłębek i wrzuciłam do kosza na śmieci. Poczułam jak szwy na spodniach, podrażniają skórę. Stałam przed prysznicem. Odkręciłam kurek z wodą. I usłyszałam strumień lejącej się wody. Zdjęłam bluzkę, biustonosz, i chwyciłam za gumkę w spodniach.

Nie byłam w stanie stanąć nago. Poczuć się tak, jak czułam się w nocy. Znieść upokorzenia. Nie przed kimś, ale przed samą sobą. Przed widokiem nagiego ciała w lustrze. Poczuć spływającą wody po plecach, czy okolicach bikini. To było za wcześniej. Pragnęłam zmyć ten męski i obcy brud z siebie, lecz on był w środku w miejscu do którego nie mam dostępu.

Zakręciłam kran. Ubrałam rzeczy, które leżały na podłodze i poszłam do swojego pokoju. Kiedy weszłam było już jaśniej. Budzący się dzień, wpuszczał światło do pokoju. Podniosłam plecak z ziemi. Wpakowałam książki zgodnie z planem lekcji. Obróciłam się w stronę szafy i wyciągnęłam czystą bieliznę. Gdy spodnie opadły na ziemię, dostrzegłam niewielką prostokątną kartkę. Schyliłam się i zauważyłam, że była to wizytówka Agaty.

Siadłam po turecku, wpatrując się w nią. Napisy i kolory były wyblakłe, lecz nadal można było odczytać adres. Przypomniałam sobie chwilę, w której ją otrzymałam bo była tą którą będę pamiętać przez wiele lat. Nie da się zapomnieć o osobach, które świadczą bezinteresowną pomocą i pamiętają o innych, mimo własnych problemów.

Wypakowałam wszystkie zeszyty oraz podręczniki. Włożyłam kilka ubrań oraz laptopa. Dokładnie się rozejrzałam i opuściłam pokój.

Drzwi do sypialni były otwarte, a ojciec leżał w łóżku, jak pijak na trawie. Wyszłam z domu delikatnie zamykając drzwi. Na zewnątrz panował ziąb. Włożyłam słuchawki do uszu i poszłam przed siebie. Bolało mnie krocze co powodowało, że szłam wolno.

Kiedy na horyzoncie pojawił się znak przystanku, wyjęłam portfel i zajrzałam do środka. W małej kieszonce, przeznaczonej na drobne monety, było pięć złotych. Spojrzałam dokładnie do pozostałych i oprócz zdjęcia Jasia, legitymacji szkolnej oraz biletu, nie było tam nic innego.

Dźwięk silnika spowodował, że obróciłam się. Był to autobus, którym miałam się dostać na dworzec. Zaczęłam biec. Nogi ślizgały się a ból przypominał o swoim istnieniu. Sto metrów przed znakiem, autobus wyprzedził mnie. Zwolniłam wiedząc, że jestem na przegranej pozycji. Zatrzymałam się, aby zaczerpnąć powietrza. Schyliłam głowę, chowając usta do kurtki.

Rozległ się głośny klakson. Wzrok powędrował ku górze, i ze zdziwieniem dostrzegłam, że kierowca zatrzymał pojazd w wyznaczonym miejscu. Ruszyłam z impetem, jakbym starowała w zawodach sprinterskich. Ślady po zmęczeniu przykryła wdzięczność za drobny gest.

Z ulgą otwierałam ciężkie drzwi i posłałam duży uśmiech.

– Wsiadaj szybko, bo się spóźnię.

Z trudem pociągnęłam klamkę, i zrobiłam dwa kroki po wysokich schodach.

Zająłam pierwsze miejsce z prawej strony. Włożyłam do ucha jedną ze słuchawek, która wypadła podczas szybkiego biegu i zatopiłam wzrok w śnieżnym krajobrazie, który się roztaczał

przed przednią szybą. Widok na otaczający świat z podwyższenia był jeszcze lepszy niż z samochodu z szyberdachem.

Zapętliliłam jedną z świątecznych piosenek i oddałam się magii tego czasu. Było tak pięknie. Wszystko pokryte śnieżnym puchem a w górze błękitne niebo.

W mijanych domach, na zewnątrz stały przystrojone choinki, a w oknach powieszony ozdoby świąteczne. Do Bożego Narodzenia było jeszcze trzy tygodnie, lecz to nie miało znaczenia. Na wsi zaczynało się przygotowania znacznie wcześniej. Zimowe wieczory były najpiękniejsze. Spacer pomiędzy ozdobionymi gospodarstwami, trzeszczący śnieg pod butami, i mróz, który szczypał w nos. Ten kolorowy widok wynagradzał niedogodności spaceru. Przypominało to spacer pomiędzy gałązkami choinek, które były różnako przyozdobione. Jeden dom to była jedna piękna gałązka. Gdzieś w powietrzu unosił się zapach piernika oraz cynamonu, a w tle rozbrzmiewał dźwięk polskich kolęd. Pragnęłam takich wyjątkowych świąt. Śpiewania podczas wigilijnej kolacji i przystrajania domu w dekoracje świąteczne. Była tylko choinka. Niewielka, co roku ta sama. Brakowało zapachu lasu i igieł na podłodze.

Przejażdżka dobiegła końca. Wysiadłam na przystanku końcowym i udałam się pod prowizoryczną wiatę. Usiadłam na metalowej ławce i zastanawiałam się co powinnam zrobić. Rozglądałam się dokoła, czytałam wszystkie tablice pojazdów, które parkowały na dworcu. Na dwóch z nich był napisany „Kraków”. Bilet kosztował dziesięć złotych. Ściągnęłam z ramion plecak i zaczęłam przeszukiwać kolejne kieszenie. Były w nich zużyte chusteczki higieniczne i złośliwe liściki z czasów gimnazjum.

Obok usiadła starsza pani. Trzymała dwie torby zakupowe, wypchane warzywami oraz owocami. Zmierzyła mnie oczami, i zawiesiła wzrok na swoich dłoniach, które położyła na kolanach. Ich czerwień porażała.

Udałam się w kierunku jednego z zaparkowanych autobusów. Szłam niepewnym krokiem. Uchyliłam drzwi. Młody kierowca jadł bułkę.

– Odjazd za pół godziny – rzekł, przeżuając kęs.

Chwilę później otworzyłam drugie drzwi. Buchnęło przyjemnym powietrzem.

– Wsiadaj szybciej. Ciepło ucieka!

Trzasnęłam drzwiami ze złości. Nie miałam ochoty konfrontować się z niesympatycznym kierowcą. Jego siwa broda opadała na klatkę piersiową i wyglądała ohydnie. Szłam ze zrezygnowaniem w kierunku przeźroczystej wiaty. Starsza kobieta nadal siedziała, a jej ręce spoczywały w dwóch kieszeniach brązowego płaszcza.

Spoglądała na mnie co chwilę. Czułam się niezręcznie. Obserwowana albo oceniana. Jej wzrok nie wyglądał na złośliwy i problematyczny lecz wprowadzał mnie w zakłopotanie. Może miałam brudną twarz? Albo dziurawą kurtkę?

Spędziłyśmy ponad dwadzieścia minut w ciszy. Silnik autobusu uruchomił się a kobieta wstała. Zabrała zakupy z betonowych płytek i skierowała się w tym samym kierunku. Otworzyłam drzwi, i przepuściłam ją. Mimo swojego wieku, i bagaży, zwinnie pokonała kolejne stopnie.

– Dokąd? – spytał, nie odrywając wzorku od kasy fiskalnej.

– Kraków – wyszeptałam.

– Dziesięć złotych – zaczął mocno wciskać poniszczone klawisze.

Wyciągnęłam zmarzniętą dłoń, z monetą w środku.

– Przykro mi. Pracuję dopiero trzeci dzień.

Włożyłam pieniądze do kieszeni, po czym obróciłam się w stronę drzwi.

– Ja zapłacę – doleciało ze środka.

Starsza pani podeszła do niego i wręczyła papierowy banknot.

– Dziękuję – wyszeptałam i zajęłam miejsce w drugim rzędzie.
Kiedy przechodziła obok mnie. Zatrzymała się tuż przy siedzeniu.
– Ktoś kiedyś też mi pomógł.
Wyciągnęła rękę w moim kierunku, lecz zrobiłam niemiły unik.
– Wszystko będzie dobrze. Zobaczysz – rzuciła i odeszła w głąb, zajmując fotel przy oknie po lewej stronie.
Weszło jeszcze kilka osób. Każdy zajął podwójne miejsce a autobus po chwili ruszył.
Ze względu na pogarszające się warunki drogowe, jechaliśmy żółtym tempem. Nie przeszkadzało to, bo ciepło wydobywające się z dmuchaw, przyjemnie ogrzewało nogi. Co kilka kilometrów zatrzymywaliśmy się na wyznaczonych przystankach, lecz nikt nie wsiadał, ani nie wysiadał. Mijaliśmy kilka wsi, które wyglądały jakby były wymarłe. Żadnych samochodów ani pieszych. Wszystko pokryte śniegiem, a niektóre podjazdy do domów zakryte większymi zaspami. Czułam jak się jakbym zwiedzała nieznane tereny. Miejsca, które przestały być zamieszkiwane. Opustoszały z powodu epidemii.
W lecie krajobraz wygląda inaczej. Życie tętni nawet na ulicach. Biegające dzieci pomiędzy kolejnymi domami. Jeżdżące na rowerach po drodze. Psy swobodnie hasające po okolicy i starsze gospodynie, które plotkują, stojąc oparte o płot czy ogrodzenie. Świat się kręci wokół zniw a wschód i zachód słońca odmierzają długość dnia pracy.
Dwie pory roku, i tak diametralnie różnice się widoki. Wiejski urok i jego zimowa stagnacja, która dla wielu mieszczan jest abstrakcją.
Czułam wzrok na plecach. Gwałtownie obróciłam głowę. Nasze spojrzenia przecięły się na przejściu. Zaintrygowała mnie. Mocno trzymała siatki, jakby było w nich coś ważnego albo tajemniczego. Jedną z nich położyła na siedzeniu obok, i podtrzymywała prawą ręką, drugą miała opartą między nogami. Było tyle miejsca, że mogła odstawić do innego rzędu. Nie wyglądała na osobę, która mieszka na wsi. Płaszcz wyglądał na miastowy i modny. Zamiast chusty miała beżowy kapelusz, a pod szyją trójkolorowy szal.
Po dwóch i pół godzinie wysiadłam na Dworcu Głównym w Krakowie. Od razu poszłam do galerii, aby zastanowić się co zrobić dalej. Wyjechałam schodami na trzecie piętro, i usiadłam na drewnianej ławce. Na górnych piętrach nie było tak tłoczno jak na poziomie minus jeden, który był łącznikiem dworca z innymi częściami Krakowa. Sprzedawcy przygotowywali się do otwarcia rolet antywłamaniowych, które były opuszczone do połowy. Po kilku minutach rozległ się dźwięk i głos kobiety: „Zapraszamy do naszych sklepów”. Zaczęło dochodzić charakterystyczne skrzypienie z butików a metalowe płachty podnosić coraz wyżej. Po chwili w środku pojawili się pierwsi kupujący oraz oglądający.
Wyciągnęłam wizytówkę. Przepisałam adres do mapy w telefonie i otrzymałam informację, że dzieli mnie pół godzinny spacer.
Zastanawiałam się czy dobrze robię i czy powinnam tak postąpić. Nie była to sytuacja dla której miałam przygotowany scenariusz. Nie byłam też gotowa na tak radykalne i drastyczne zmiany.
Wzięłam głęboki wdech. I poszłam w kierunku schodów. Zjechałam na poziom zero, po czym udałam się zgodnie ze znakami w kierunku wyjścia. Szłam, rzucając spojrzenie na wystawy sklepy. Elegancko ubrane manekiny zachęcały do zakupów, lecz ceny potrafiły odstraszyć. Przeważały kobiety, które oblegały sklepy odzieżowe. Kilku mężczyzn siedziało niecierpliwie na ławkach, grając w gry na telefonie. Byłam w tym miejscu tylko raz, lecz nic się nie zmieniło. Wtedy było lato, a więc na suficie nie wisały ozdoby świąteczne ani nie było dużych choinek, które zapierały dech w piersiach. Zatrzymałam się przy zatłoczonym miejscu. Dzieci krzyczały, płakały a niektóre się cieszyły.

W niewielkim domu siedział Święty Mikołaj, a obok starsza pani, która była jego pomocnikiem. Dzieci ochoczo siadała u niego na kolanach. Chwila na zdjęcie wykonane przez mamę, i zeskakiwały z workiem prezentów. Mimo iż 6 grudnia był kilka dni temu, to wciąż na ulicach i w sklepach można było spotkać chodzących Mikołajów.

Domek wyglądał jakby był wykonany z piernika. Przyozdobiony kolorowymi cukierkami a w środku czerwone krzesło i mniejsze choinki. Obok niego, duża na której wisiały piernikowe ozdoby. Dekoracja wyglądała jakby była pożyczona z planu jednego z amerykańskiego filmu świątecznego. Dzieci wyrywały się matkom, które stały w kolejce po upragnione zdjęcie.

Było też niezadowolenie z otrzymanego prezentu, a wręcz histeria małego chłopczyka, który po wypakowaniu zawartości reklamówki, rzucił wszystkim na ziemię. Matka próbowała go bezskutecznie uciszyć, zbierając wszystkie słodkości, które leżały nieopodal.

Jedna z dziewczynek, mocno przytuliła worek z prezentami.

– Zajrzysz do środka? – spytała młoda matka.

– Nie!

Przycisnęła jeszcze mocniej do klatki piersiowej, i pewnym krokiem ruszyła wzdłuż korytarzu.

Zapewne nie było to miejsce, do którego rodzice radośnie szli ze względu na cenę usługi.

Zrobiło mi się ciepło, więc nie zastanawiając się, opuściłam budynek przez duże wahadłowe drzwi. Z zewnątrz, tłum ludzi napierał na nie.

Nie było już tak biało, jak na wsi. Śnieg prószył, lecz ulice były pokryte mazią błotną tylko w niektórych miejscach spoczywała niewielka ilość białego puchu.

Trzymałam telefon w dłoniach, a strzałka pokazywała kierunek. Podążałam dokładnie za jej wytycznymi. W tym procesie nie byłam odosobniona, gdyż minęło mnie kilku obcokrajowców, którzy korzystali z elektronicznej mapy.

Z każdym krokiem miałam coraz więcej wątpliwości. Praktycznie zapomniałam o tym co się stało w nocy, bo w głowie hałasowała wielka niewiadoma oraz niepewność. Byłam tak wgąpiona w telefon i pochłonięta stresem, że co chwilę wpadałam na innych pieszych oraz na przeszkody. Musiało to wyglądać nieco dziwne, a być może, ktoś pomyślał, że jestem pod wpływem alkoholu bo moja ścieżka przypominała zygzaka.

Zostało jeszcze piętnaście minut do celu. Cały czas jedną ulicą, i na jednym ze skrzyżowań w lewo. Schowałam na chwilę telefon oraz dłonie do kieszeni i z uniesioną głową szłam przed siebie. Jakbym dokładnie znała teren i wiedziała gdzie chcę dotrzeć. Nie było w tym ani grama pewności siebie. Strach, odrzucenie i upokorzenie towarzyszyło mi podczas robienia kolejnych kroków.

W świecie krakowskiego życia każda jednostka na chodniku była anonimowa. Przechodnie nie rzucali przeszywających spojrzeń. Byli wpatrzeni w telefony, albo zamyśleni. Nie zwracali uwagi, na osobę, która idzie obok. Jakby nikogo nie obchodził drugi człowiek. Lepiej się czułam w takim środowisku bo byłam taka jak pozostałe osoby. Kimś nieznanym a jednocześnie skrzywdzoną nastolatką jakich wiele.

W słuchawkach usłyszałam „skręć w lewo”. Stanęłam na krawędzi chodnika, i czekałam aż na przejściu dla pieszych zaświeci się zielone światło. Nie trwało to długo. Wkroczyłam na jezdnię, i po kilku sekundach byłam po drugiej stronie.

W oddali dostrzegłam znajomą kamienicę. Zwolniłam krok, jakbym podświadomie bała się spotkania. Momentu, na który bardzo czekam a jednocześnie chciałam od niego uciec jak najdalej.

Podeszłam do drzwi. Zamknęłam oczy. Obróciłam się w prawo, i ujrzałam tabliczkę. Drżącą ręką nacisnęłam numer na domofonie.

– Słucham? – dobiegł głos po kilku sekundach oczekiwania.

Nie wiem czy tego rzeczywiście chciałam. Nie wiem czy chciałam zebrać o pomoc. Być tą, która nie potrafi sobie sama poradzić z życiem. Przeskoczyć napotkane problemy. Być jeszcze gorszą i mniej wartościową osobą. Być nieużytkiem, który do egzystencji potrzebuje innej osoby. Dłoni, która pociągnie i zachęci do dalszego funkcjonowania.

Zrobiłam kilka kroków i oparłam się o poniszczonej ścianę. Przykucnęłam, bo zaczęło mi się kręcić w głowie. Rozpięłam kurtkę i zaczęłam szybko oddychać. Byłam całkowicie w odrealnionym świecie, w którym coś mnie mocno trzymało za szyję i przyduszało. Nic nie mogłam zrobić. Byłam bierna jak zawsze mimo, iż marzyłam o ucieczce do innej krainy. Do innego wcielenia. Innej osoby.

– Asia? – padło, ze zdziwieniem.

Przedemną jak grzyb wyrosła Agata. Nic się nie zmieniła od czasu, kiedy ją widziałam po raz ostatni. Krótkie włosy, koszula w kratę.

– Chodź bo się przeziębisz.

Wyciągnęła rękę w moim kierunku. Zignorowałam.

– Porozmawiamy w środku.

Jej dłoń wciąż była wyciągnięta. Wstałam, unikając jej spojrzenia. Zanim zrobiłam dwa kroki, usłyszałam dźwięk wbijanego kodu, po czym rozległ się odgłos blokady w drzwiach. Agata trzymała klamkę, zapraszając gestem dłoni do wnętrza.

Emocje we mnie buzowały. Cieszyłam się, że widzę jej twarz, a jednocześnie byłam przepełniona lękiem. Wszystko się mieszało ze wszystkim i nic nie było normalne.

Weszłam do ogrzewanego gabinetu.

– Usiądź – wskazała na fotel, na którym kilka lat temu siedziałam.

Wróciły wspomnienia. Odruchowo spojrzałam w lewo, lecz nie było obok mnie matki. Byłam już zupełnie sama. Opuszczona jak porzucony kuter na morzu.

Na stoliku pojawił się talerz z dwoma kanapkami oraz gorąca herbata.

– Proszę to dla ciebie.

Sięgnęłam niepewnie po kubek.

– Śmiało. Nie krępuj się.

Jej wzrok podążał za moimi dłońmi. Dokładnie patrzyła na mnie i ani na chwilę nie odrywała oczu.

– Powiesz co się stało?

Kiwnęłam przecząco głową a następnie wzięłam łyka. Smak imbiru rozgrzał mój przełyk.

– Rozumiem. Dawno się nie widziałyśmy.

Przytaknęłam.

Agata założyła nogę na nogę i rozsiadła się w fotelu.

– Kanapki też są dla ciebie.

Sięgnęłam ręką po jedną z nich, lecz gwałtownie cofnęłam.

– Nie lubisz pomidorów?

Patrzyła się na moją reakcję, lecz moja kamienna twarz niczego nie zdradzała.

– Jeżeli nie chcesz to możesz odłożyć na bok.

Warzywo nie było problemem, lecz mój brak zaufania i wewnętrzna chęć bycia samodzielną osobą.

Spojrzała wymijająco na sportowy zegarek.

– Za dziesięć minut mam sesję. Zaczekasz w kuchni?

Gwałtownie wstałam, trzymając kubek w dłoni.

Agata zabrała talerz z kanapkami i po wyjściu z gabinetu wskazała na pomieszczenie na końcu korytarzu w którym była niewielka lodówka, kilka szafek oraz dwu osobowa kanapa wypoczynkowa.

Położyła talerz na stoliku kawowym.

– To jest moja ostatnia klientka. Sesja będzie trwała godzinę.

Usiadłam bez słowa. Kanapa wyglądała elegancko, lecz była niewygodna. Twarde siedzisko powodowało, że co kilka minut zmieniałam pozycję.

Wpatrując się w kanapki, czułam głód. Sięgnęłam po jedną i wzięłam niewielkiego kęsa. Później kolejnego. I kolejnego. Chleb był przepyszny. Rozpływał się w ustach. Chrupiąca skórka lekko podrażniała usta, a masło miało smak jakiego jeszcze nie znałam. Nie było najtańsze – takie jakie używaliśmy w domu. Mimo iż kanapka była skromna, to składniki komponowały się idealnie. Nie zawsze potrzeba przepychu, aby stworzyć coś perfekcyjnego. Prostota też miewa swoje uroki oraz zalety.

Siedziałam beczynn timer w obcym miejscu i nie miałam ochoty nawet zajrzeć do szafek. Zapewne wiele osób przegląda meble pod nieobecność gospodarza. Jesteśmy urodzonymi ciekawskimi z mniejszym lub większym zapędem do poznawania oraz dowiadywania się.

Było czysto, a wszystkie kubki były umyte i schludnie powieszone na stojaku. Minimalizm i pedanteria przemawiały w tym pomieszczeniu. Ciemne meble komponowały się z lekko szarą ścianą a jasna podłoga kontrastowała z czarnymi szafkami.

– Do zobaczenia za tydzień – padło na korytarzu.

– Będę na pewno. Dziękuję.

Drzwi się zamknęły i po chwili Agata siedziała z podkulonymi nogami obok mnie.

– Nic mi nie powiesz?

Wymieniałyśmy spojrzenia. Jej łokieć był oparty o oparcie, a dłoń delikatnie podpierała głowę.

– No dobra. Zaczekaj, zaraz wrócę.

Poderwała się i prawie wybiegła z kuchni. Po minucie wróciła z białą kartką i długopisem.

– To może napiszesz?

Trzymała w wyciągniętej dłoni oba przedmioty.

Kiwnęłam przecząco głową.

– Widzę, że łatwo nie będzie – rzekła z lekkim uśmiechem. – Ech Asia, Asia – dodając po chwili.

Jeden z moich kącików ust, podniósł się.

– Wiesz, że dawno w tym pomieszczeniu nikogo nie było? Nie przyjmuję tutaj gości.

Byłam wpatrzona w obraz, który wisiał na ścianie. Kilka różnokolorowych kresek.

– Dostałam w prezencie od koleżanki. Te czerwone linie to symbol krwi. Żółte oznaczają słońce. A czarne śmierć... Spójrz jak są ułożone, jak się przecinają. Najpierw powstaje krew, która jest potrzebna do życia. Później jej energią są promienie słoneczne, czarne linie nad słońcem, oznaczają, że życie się skończyło, i energia już nie dociera. Jak się dokładnie wpatrzysz, to zobaczysz, że czerwone są jakby w ruchu, tańczą. Cieszą się, kiedy stykają się z żółtymi – przerwała, spojrzała na mnie. – Zanudzam ciebie?

Kiwnęłam głową.

– Wiesz... to równie dobrze może być kilka nic nie znaczących kresek. Albo... rysunek przedszkolaka, dla którego czarne to ojciec, a żółte matka... Każdy z nas zobaczyć coś innego. I coś co będzie miało dla niego sens.

Z jej wypowiedzi tryskała życiowa mądrość. Życie jest zbudowane na domysłach czy przypuszczeniach. Czarne i białe rzadko dominują a widok różowych okularów jest sporadyczny.

Spojrzała na plecak, z którego wystawała bluza.

– Widzę, że zapakowałeś dodatkowe ubrania. Masz gdzie się zatrzymać?

Wbiłam wzrok w ścianę.

– Domyślam się, że ktoś ciebie skrzywdził i dlatego przyszedłeś do mnie. Chcesz przenocować u mnie?

Sięgnęłam w kierunku plecaka i wstałam.

– Rozumiem. Zaczekaj, pójdę po kurtkę. Pojedziemy do mojego mieszkania.

Stałam trzymając plecak przy piersi. Jakby była w nim bezcenna zdobycz.

Po chwili drzwi po przeciwnej stronie otworzyły się.

– Chodź, idziemy.

Przeszłam szybkim marszem przez kilkumetrowy korytarz. Agata zamknęła zamek, upewniając się, czy na pewno dobrze to zrobiła.

Minęliśmy główne drzwi i poraziła mnie ciemność. Było po szesnastej, a na zewnątrz ulice były oświetlone miejskimi latarniami.

– Chodź, tam jest mój samochód.

Wskazała w prawo i ruszyłam za nią.

Ulica przypominała mroczną scenerię, rodem z horrorów. Wysokie kamienice straszyły swoją starością, a niewielkie światła, które były za oknami, przypominały tajemnicze pokoje.

– Wskakuj – otworzyła drzwi białego sportowego mercedesa i wrzuciła plecak na tylne siedzenie. – Podobają ci się? – dodała, widząc, że gapię się.

Jednym ruchem pociągnęłam za klamkę i kilka sekund później siedziałam na czarnym skórzanym fotelu. Wnętrze wyglądało zadziornie. Elegancka deska rozdzielcza, z niebieskim podświetleniem.

– Taka pora, że utkniemy w korkach.

Wrzuciła wsteczny, spojrzała w kierunku lusterek, i swobodnymi ruchami, zaczęła manewrować kierownicą. Rozległ się głos klaksonu. Zahamowała gwałtownie.

– Krakus!

Wyminęło nas czarne bmw.

– Wiedziałam. Oni zawsze się pchają. Nie wymusisz. Nie wyjedziesz.

Dokończyła manewr cofania i ruszyła w kierunku skrzyżowania, które było na zakończeniu ulicy. W radio leciała muzyka z popularnej stacji, którą po chwili przełączyła na utwory z utworzonej playlisty w telefonie.

– Ciągłe to samo odtwarzają.

Dojeżdżając do skrzyżowania, pojawiła się zielona strzałka w prawo. Nie zatrzymując się, wykonała manewr skrętu i parę metrów później samochód się zatrzymał.

– Prawie dwa kilometry w korku. Czyli jakieś półgodziny o tej porze.

Na długiej prostej, nie było widać wolnego pasa jezdni. Samochody wyróżniały się czerwonymi światłami stopu, które mocno jarzyły. Co kilka sekund auta ruszały się żółtym tempem.

Trzymała kierownicę jedną ręką. Na jej twarzy rysował się spokój pomimo sytuacji, która panowała na drodze. Nie wiem czy miałabym tyle cierpliwości w sobie, aby codziennie pokonywać taką trasę. Piesi szybciej pokonywali dystans, niż mercedes. Obróciłam się w prawo, bo tuż obok zatrzymał się miejski autobus. Na twarzach ludzi było widać grymas. Pasażerowie stali jak ubite sardynki w niewielkiej puszcze. Popychali się, szturchali się a młoda kobieta była

przyciskana do szyby. Nie było prywatnej przestrzeni, ani komfortu. Oczy mierzyły się z oczami a oddech wymieniał z innym. Z zewnątrz wyglądali jak mrówki, w mrowisku. Ktoś próbował się poruszyć, to automatycznie druga osoba musiała zrobić to samo, aby nie oberwać łokciem w twarz.

Samochód przejechał kilka metrów. Zatrzymał się na wysokości stanowiska kierowcy. Jako jedyny miał komfort podróży. Szklana szyba oddziela jego miejsce od części przeznaczonej dla pasażerów. W porównaniu do nich, miał obok siebie wiele miejsca. Co najmniej dwie osoby mogłyby się zmieścić do jego kabiny. Leżał oparty o dużą kierownicę i patrzył się przed siebie. Autobus nadal stał, gdy samochód Agaty zaczął się ruszać.

Tym razem przejechaliśmy kilkaset metrów bez żadnego postoju.

– Teraz będzie trochę lepiej.

Miasto wyglądało jakby budziło się do życia lub jakby trwała masowa impreza. Wszędzie było tłoczno. Na przystankach stało po kilkadziesiąt znecierpliwionych osób. W autobusach i tramwajach ludzie jechali jak śledzie a na przejściach dla pieszych, chmara osób czekała na zielone światło. Ilość różnorodnych dźwięków ostrzegawczych dochodzących z samochodów, przypominała o godzinach szczytu. Większość osób czekała, aż będzie mogła dotrzeć do domu. Być może po ciężkim dniu, czekali na pogodny uśmiech żony czy dzieci albo na całusa od partnera. Było widać ogólne zmęczenie i niecierpliwłość. Jeden z panów, otworzył okno i pokazał środkowego palca w kierunku innego samochodu.

Nagle, jakby z ogromnego terenu, ludzie przyjechali w jedno miejsce, z którego szybko chcą uciec. Taki widok nie zachęcał do tego, aby przeprowadzić się do miasta. Ono rządziło się innymi prawami niż wieś. Ludzie są mniej pomocni, zapatrzeni we własny portfel i w pogoni za pieniędzmi. Sukcesem dla nich jest mieszkanie w eleganckim bloku, i telefon najnowszej generacji.

– O czym tak myślisz? – spojrzała na mnie.

Jeszcze bardziej obróciłam głowę w stronę szyby.

– Wiesz, że czasami lepiej nie myśleć?

Delikatnie obróciłam się.

– Jednak mnie słuchasz.

Uśmiechnęła się, po czym wcisnęła więcej gazu.

Wsluchiwałam się we wszystkie słowa jakie wpadały do moich uszu. Życie bez komunikacji interpersonalnej praktycznie nie istnieje. Być może są jednostki, które żyją w totalnym odosobnieniu i w swojej jaskini a wszelkie potrzeby realizują przy użyciu świata internetu. Noworodki płaczą bo są głodne, niemowlęta sylabizują bo się uczą. Starsze dzieci używają pojedynczych wyrazów, aby zakomunikować potrzebę. Od pierwszego dnia życia, jest nadawca i odbiorca komunikatu a w dniu śmierci pojawia się wielu odbiorców. Wiotkie ciało staje się jednoznacznym dialogiem.

Muzyka umilała podróż, po kolejnych krakowskich ulicach. Im dalej od centrum, tym ruch był płynniejszy.

– Za dwie minuty będziemy w domu.

W ciemności trudno było coś dostrzec. Konstrukcje budynków z różnymi szyldami. Podświetlone neony z nazwą sklepów wyróżniały się na tle innych reklam. Pojedyncze osoby spacerowały chodnikiem, a na skrzyżowaniach stało kilka samochodów. Tłum w ciągu kilku minut rozpląnął się.

Agata wjechała na chodnik. Wcisnęła przycisk, który był przywieszony przy kluczykach, i automatyczna brama zaczęła się szeroko otwierać. Przejechała przez krótki pojazd, i wjechała do oświetlonego garażu.

– Jesteśmy.

Zgasila silnik i wyszła.

Siedziałam jeszcze przez chwilę, rozglądając się po wnętrzu. Panował porządek. Żadnych papierów, paragonów czy kubków jednorazowych. Czarna tapicerka lśniła i pachniała.

Drzwi z mojej strony otworzyły się.

– Chodź, nie będziesz tutaj siedzieć przez całą noc.

Podala mi rękę lecz uciekłam wzrokiem. Odpięłam pasy i samodzielnie wyszłam.

Przystanęłam na betonowym schodku. Agata wpisała czterocyfrowy kod a następnie nacisnęła metalową klamkę.

W pomieszczeniu było ciemno a w powietrzu unosił się piękny zapach cytrusów.

Po chwili światło rozświetliło pomieszczenia, a klucze wydały dźwięk uderzając o ceramiczną popielatą misą, w której było kilka breloków.

– No, wejść – rzekła, kiedy dostrzegła, że wciąż stoję obok drzwi.

Ściągnęłam buty i nieśmiało udałam się w głąb. W domu przeważał biały oraz popielaty, z akcentami czarnego. Mieszkanie było urządzone nowocześnie z dużym minimalizmem. Było ładne, lecz bił z niego chód. Przestronny salon, z ogromną sofą przypominał zdjęcie z katalogu jednej z firm meblowych. Panował pedantyczny porządek jakby pomieszczenie było opustoszałe przez dłuższy czas.

– Nie krępuj się. Siadaj.

Agata stała za czarną ladą barową. Nalewała wody do czajnika. W kuchennej zabudowie ciężko było dostrzec sprzęt użytku domowego. Uwagę przykuwał elektryczny czajnik. Był czarny, z elementami przezroczystymi, a w środku woda była podświetlana na niebiesko. Przypominało to deskę rozdzielczą w jej samochodzie.

– Napijesz się czegoś?

Wzruszyłam ramionami i podeszłam do dużego okna.

– Zaparzę herbaty.

Odsłoniłam delikatne tiulowe firanki, które sięgały aż do podłogi. Ujrzałam taras, z dwoma rattanowymi fotelami i szklanym stolikiem na którym zalegał śnieg. Z powodu ciemność, trudno było dostrzec jaki jest widok zza okna.

Agata położyła dwa kubki na dużej ławie, która była przed kanapą.

– Siadaj.

Zaczęłam nerwowo przemieszczać się. Spoglądałam w kierunku korytarza, w którym było troje drzwi. Agata niosła misę z chipsami.

– Stało się coś, że jesteś niespokojna?

Stanęłam mając nogi blisko siebie.

– Toaleta? – wymamrotałam.

– Ach tak. Przepraszam. – podeszła bliżej. – Drugie po prawej.

Stawiałam małe kroki, aby nie zsikać się na podłogę.

Kiedy weszłam do środka, zobaczyłam sobowtóra. Ogromne lustro było umieszczone naprzeciw drzwi. Prawie wystraszyłam się odbicia. Toaleta była po prawej stronie, w kącie w bardzo ustronnym miejscu. Z obydwu stron była odgródzona ścianami wyłożonymi ciemno szarymi płytkami. Kran w umywalce był lśniąco czarny jak również niewielki metalowy kosz na śmieci. Aranżacja nie była przypadkowa, wszystko idealnie współgrało.

Gdy ciepła woda obmywała ręce, oczy zatopiły się w lustrze, które były na wysokości twarzy. Policzki miałam zapadnię, przypominały wychudzonego szczura. Czułam się jak gryzoń, który nie ma swojego miejsca pobytu. Wędruje od domu do domu, kolejnymi podziemnymi korytarzami po to, aby wyrządzić krzywdę innym. Nie jadłam padliny i mam nadzieję, że nigdy nie będę musiała. Jałmużna, którą otrzymuje, była równie upokarzającym uczuciem.

Nie byłam przyzwyczajona do tego, aby brać za darmo aby korzystać z dobroci. Czułam, że nigdy nie będę w stanie wynagrodzić tego co robi dla mnie Agata. Była takim aniołem, który przylatuje wtedy kiedy nasze życie sypie się jak puzzle z woreczka.

– Asiu, wszystko dobrze?

Zakręciłam kran, osuszyłam ręce wycierając do czarnego bawełnianego ręcznika i zgasłam światło, którego barwa wprowadzała ciepło.

– Chodź. Zobaczysz gdzie będziesz spać.

Poszliśmy wzdłuż korytarza, którego ściany były ozdobione obrazami. Dotarliśmy do szklanej klatki schodowej, która prowadziła na wyższe piętro.

– Nie proponuje po nich biegać.

Po pokonaniu kilkunastu schodów, poczułam, że mam lęk wysokości. Byłam kilka metrów nad podłogą. Zawahałam się, aby zrobić ostateczny krok. Chwyciłam się mocno metalowej poręczy.

– Wszystko dobrze?

Oblał mnie zlewny pot. Szybko postawiałam prawą nogę na marmurowej posadzce. Poczułam się nieco pewniej, i swobodniej, mając pod stopami solidny i nieprzeźroczysty materiał.

– Tu jest moja sypialnia – wskazała w kierunku pierwszych drzwi po lewej stronie. Przeszliśmy kilka kroków.

– A to będzie twój pokój.

Otworzyła drewniane drzwi, a biel ścian rozciągała się po całym pokoju. Było w nim duże łóżko, jedna szafa oraz komoda. Nie było za wiele miejsca.

– Z telewizora możesz korzystać w salonie.

Weszłam głębiej. Położyłam plecak na łóżku.

– To chyba wszystko – spojrzała na mnie przeszywającym spojrzeniem. – Zapomniałabym. Łazienka jest po drugiej stronie korytarza.

Usiadłam na miękkim materacu, a Agata oparła się o futrynę.

– Mam do kogoś zadzwonić? Kogoś poinformować? Może ktoś się o ciebie martwi?

Kiwnęłam przecząco głową.

– A rodzice?

Odwróciłam gwałtownie wzrok w stronę ściany.

– Rozumiem. Odpocznij. Gdybyś czegoś potrzebowała to pytaj śmiało. Lodówka jest uzupełniona.

– Dziękuję – wyszeptałam.

Niepostrzeżenie zamknęła drzwi. Przesunęłam się w głąb łóżka, tak aby plecy spoczęły na drewnianej konstrukcji. Wyprostowałam nogi i spojrzałam w górę. Na suficie był zamontowany żyrandol w kształcie pnącego krzaka. Kilkanaście małych żarówek, było przymocowanych wokół czarnych liści. Niewątpliwie w tym miejscu znaczenie miał każdy detal. Każdy przedmiot miał swoje miejsce i odpowiedni wygląd. Wystrój domu był sprzeczny z wizerunkiem Agaty, która wyglądała na przebojową oraz nie zwracającą uwagi na wygląd. Być może dom jest jej przeciwieństwem. Odszkodnia od tego, kim jest na co dzień. Przypomina jej o porządku i organizacji świata. Atmosfera spowodowana wystrojem powodowała, że brakowało w tym

miejsu ciepła rodzinnego. Prawdziwego ogniska domowego, którego wyznacznikiem nie tylko są gospodarze ale także ściany oraz meble.

Adrenalina zaczynała opadać. Ciało powoli relaksowało się, a ból w kroczu wzrastał się. Ponownie przypominał mi o tym, co się wydarzyło minionej nocy.

Wstałam, i sięgnęłam po dwa ręczniki, które były położone na komodzie. Wychyliłam się z pokoju, i dostrzegłam drzwi o których wspominała Agata.

Zaświeciłam w niej światło, i odruchowo spojrzałam przed siebie, w obawie o to, że mój sobowtór będzie chciał się ze mną przywitać. Tym razem niewielkie lustro wisiało po lewej stronie. Pomieszczenie było wyłożone białymi flizami oraz jednym rzędem czarnych. W rogu stała duża kabina prysznicowa, z przeźroczystą rozsuwaną szybą. Położyłam ręczniki na niewielkiej półce i spojrzałam na własne ubranie. Ściągnęłam spodnie oraz bluzkę. Następnie skarpetki.

Stałam w bieliźnie. Mocno objęłam się rękami wokół piersi i osunęłam się na ziemię. Zaczęłam łkać. Dopiero teraz zaczęło do mnie dochodzić jak bardzo zostałam skrzywdzona. Własny dotyk ciała sprawiał cierpienie. Ścisnęłam mocniej skórę jakbym chciała ją oderwać. Zerwać i założyć nową lecz to powłoka, która ochrania to co najważniejsze. Jest pancerzem i schronieniem jak muszla ślimaka, którą niewybredni potrafią zjeść.

Gęsia skórka pokrywała całe ciało. Nie potrafiłam na nie spojrzeć. Brzydziłam się każdego jego fragmentu. Rysował się na nim widok ojca i jego posuwistych ruchów oraz jęczenia. Byłam jednym wielkim chodzącym koszmarem życia, który wydarzył się nastolatce i który już nigdy nie zostanie zdmuchnięty jak bańka mydlana.

Wstałam. Odpięłam biustonosz, opuszczając na podłogę. Zamknęłam oczy, ściągnęłam majtki i weszłam od kabiny, wciąż mając zamknięte.

Poczucie wstydu górowało nad wszystkimi innymi uczuciami. Otworzyłam oczy, podniosłam uchwyt kranu i oblała mnie lodowata woda. Chciałam krzyknąć lecz nie potrafiłam. Głos nie chciał się wydobywać z moich strun głosowych z ciała, które było pokiereszowane jak rozcięta ręka.

Lekko przekręciłam uchwyt kranu i coraz cieplejsza woda opadała na głowę i plecy. Opuszczała słuchawkę prysznicową niczym padający deszcz. Tak bardzo chciałam, aby to były lecznicze krople, które wszystko usunął. Pozostanie nieskazitelne czyste ciało: zewnątrz i wewnątrz. Nalałam na dłoń trochę różowego żelu i zaczęłam rozmasowywać po ciele. Wiśniowy zapach był intensywny lecz kojący. Najpierw nałożyłam na ramiona, później na klatkę piersiową a następnie na nogi, od kolan w kierunku stóp. Po chwili wsmarowałam w plecy. Rozcierałam kolistymi ruchami starając się nie pomijać żadnego miejsca. Skóra lekko się pieniała. Obmyłam ręce i zrobiłam kilka gwałtownych ruchów wokół własnej osi, aby woda dokładnie spłukała żel.

Rozejrzałam się po ciele. Nie było już białych plam. Spojrzałam w dół, w kierunku spójnienia łonowego. Było kilka siniaków. Skierowałam prawą dłoń niżej, lecz od razu oderwałam od uda. Sama myśl o dotyku w tym miejscu sprawiała wszechogarniający ból.

Nałożyłam trochę szamponu na włosy i zaczęłam gwałtownie wcierać, drapać oraz masować. Nie były winne, nie popełniły żadnego grzechu, a jednak miałam wrażenie, że są skażone jak całe ciało. Skażone okrutną czynnością na którą nie ma żadnej odtrutki.

Kilkukrotnie spłukiwałam pianę ze swojego ciała a następnie mocno tarłam ręcznikiem omijając okolice bikini. Przewiązałam go na wysokości biustu, zakrywając newralgiczne miejsca. Włosy schowałam pod improwizowanym turbanem i spojrzałam w kierunku lustra.

Czarny ręcznik na włosach dodawał elegancji i robił ze mnie damę ale tylko w lustrzanym odbiciu, które było zakrzywioną rzeczywistością. Inny obraz ten samej osoby, która nie potrafi zarządzać swoim życiem, dając się wykorzystywać.

To był najdłuższy rytualny prysznic z jakiego kiedykolwiek skorzystałam. Nie czułam powiewu świeżości czy lekkości. Wciąż stos kamieni było na moich plecach, przygniatając do podłogi i kilka w środku, które uniemożliwiały swobodne ruchy. Ta ciężkość przytłaczała mnie. Powodowała, że niewielkie problemy stawały się ogromnymi górami, na które nie można się w drapać, bo jest duże ryzyko odpadnięcia na półkę skalną. Sciana wręcz jest pionowa, bez możliwości asekuracji.

– Wszystko dobrze? – rozległo się pukanie do drzwi.

Uchyliłam delikatnie, podtrzymując ręcznik.

– Przepraszam, nie chciałam ci przeszkodzić... W pokoju zostawiłam piżamę.

Spoglądnęła w dół. Odruchowo schowałam się za drzwiami.

– Dobranoc.

Zamknęłam drzwi.

Pozbierałam ubrania, które leżały na podłodze. Zwinęłam w kulkę i opuściłam pomieszczenie. Idąc, mocno trzymałam ręcznik, aby nie zdołał się osunąć, i upokorzyć.

Na łóżku leżała popielata sportowa piżama. Wzięłam do ręki bluzkę przypominającą T-shirt. Zapach jaśminu zakręcił się wokół nosa. Bawełna była miękka i pięknie pachniała. Po chwili spodnie oraz bluzka pokrywały ciało. W okryciu czułam się lepiej jakby ono było moim pancerzem.

Weszłam pod puchatą, lekką kołdrę i przytuliłam głowę do równie miękkiego jaśka.

Przebywałam w obcym domu z obcą osobą, i czułam się swobodnie. Bezpiecznie. Nie było to normalnym zjawiskiem wiedząc, że zaufanie trudno się buduje. Jest cięższe oraz droższe od złota i nie bywa w powszechnej sprzedaży, wręcz jest rarytasem dla każdego.

Czułam jak siły opadają na bawełniane, czarne prześcieradło. Jak moje ciało robi się trochę lżejsze, a jednocześnie potwornie zmęczone. Ciężko opisać stan, który towarzyszy. Jest jak jazda na kolejce górskiej z której nie można wysiąść mimo ogromnych dolegliwości żołądkowych. Zamknęłam oczy.

– Asiu, Asiu.

Poczułam dotyk na ramieniu. Odruchowo skuliłam się i pociągnęłam pościel.

– Asiu.. Jest ósma. Muszę wyjść do pracy. Wróć po dwunastej.

Obróciłam się na lewy bok. Nieopodal stała Agata. Miała na sobie luźny sweter i czarne jeansy.

– Przepraszam, że ciebie obudziłam. Nie chciałam wychodzić bez słowa.

Kiwnęłam głową.

– Miłego dnia Asiu.

Nie pamiętam kiedy spałam tak dobrze i kiedy zasnęłam. Miałam kilkugodzinną czarną pustkę w głowie. Wiedziałam, że jestem wykończona. Nogi wczoraj ledwo trzymały pion a ciało z trudem poruszało się.

Było mi tak inaczej. Po raz kolejny dziwnie i nieswojo. Praktycznie nic nie było moją własnością. Cały dobytek znalazł się w niewielkim plecaku, który leżał na podłodze.

Wyspałam się, a jednak czułam niemoc, która opanowała ciało. Leżałam bezwiednie, wpatrując się w srebrne kulki, które były ozdobą komody. Przez kilka minut wzrok był w nich zatopiony, jakby były kluczem do pirackiego skarbu.

Przekręciłam się na lewy bok. Zwiwna firanka przysłaniała widok, który roztaczał się za oknem. Wzrok dosięgnął koron iglastych drzew. Niebo wyglądało na bezchmurne, pokryte jasno niebieskim płaszczem.

Przez kolejne godziny nie wychodziłam z pokoju. Czułam się jakby cała energia została wessana przez łóżko. Nie byłam zmęczona lecz wszystkie siły do życia gdzieś się ulotniły. Może to z powodu spadku adrenaliny? Nie musiałam się już bać jak przeżyć. Leżałam w ocieplonym pomieszczeniu, a piętro niżej były szafki wypełnione jedzeniem. Wciąż doskwierał mi nieznany stan, którego nie potrafiłam określić. Jakby wewnętrzna pustka, która jest pokryta ładnym okryciem, którego zadaniem jest zatuszowanie uszczerbków.

Usłyszałam kroki. Spojrzałam na telefon. Było kilka minut przed trzynastą. Zapewne z zgodnie z obietnicą Agata wróciła do domu. Zresztą kto inny mógłby wejść do tego domu? Lucja?

Rozległo się pukanie, po czym Agata lekko uchyliła drzwi.

– Mogę?

Skinęłam głową.

Agata usiadła na łóżku, tuż obok moich nóg.

– Jadłaś coś?

Pokiwałam przecząco.

– Zamówiłam pizzę. Może być?

Lekko się uśmiechnęłam.

– To teraz ubierz się i zejdź na dół.

Chwyciła mnie za nogę chcąc dodać otuchy, lecz reakcja była natychmiastowa. Skuliłam się w kulkę, a serce zaczęło szybciej bić.

– Kto cię skrzywdził?

Zagryzłam wargi i spojrzałam w kierunku podłogi.

– Ojciec?

Zastygłam bo wróciły negatywne obrazy

– Wiesz, że możesz mi zaufać?

Przytaknęłam.

– Pizza będzie za dziesięć minut.

Wyszła, zostawiając otwarte drzwi.

Usiadłam na łóżku, opuszczając nogi. Schowałam głowę między dłonie, które były oparte o kolana.

Zastanawiałam się czy dobrze postąpiłam uciekając z domu i opuszczając szkołę. Nie dowierzałam, że miała tyle siły i odwagi, aby znaleźć się w Krakowie.

– Pizza!

Wyciągnęłam bieliznę z plecaka, a następnie założyłam wczorajsze ubranie.

Zatrzymałam się tuż przed szklanymi schodami. Z góry wyglądały jak śnieżna zjeżdżalnia, lecz gdy spojrzałam w dół, to poczułam jak kręci mi się w głowie. Nie rozumiałam idei takich schodów. Wzbudzały we mnie strach.

Chwyciłam mocno poręcz i krok po kroku pokonywałam kolejnego schoda. Nie groziło mi niebezpieczeństwo, a czułam jak organizm przygotowuje się do walki z przeciwnikiem. Raptem kilka sekund, na niestabilnej i przezroczystej powierzchni wzbudzało u mnie przerażenie.

Kroczyłam po nich jak dziecko, które uczyło się chodzić. Na szczęście, kiedy nogi dotknęły posadzki – od razu przyspieszyłam kroku.

– Gdzie wolisz? Tutaj czy w salonie?

Nie było jadali a karton z pizzą stał na kuchennym barze. Podeszłam do niego, usiadałam na barowym krześle i zarzuciła spojrzenie w kierunku Agaty. Śledziłam każdy jej ruch. Widziałam, że ona postępuje podobnie.

– Źle wyglądam, że się tak przyglądasz?

Zlekceważyłam pytanie. Wyciągnęłam z pudełka, jeden trójkąt.

Wyglądała apetycznie, a grzyby były bardzo smaczne. Pikantność sosu spowodowała, że musiałam sięgnąć po szklankę z wodą.

– Nie lubisz pikantnego?

Widziałam, że łapczywie piłam, wypijając całą zawartość.

Agata usiadła obok mnie. Wzięła jeden z kawałków i zaczęła jeść ze smakiem. Po chwili wzięła kolejny.

Nie spoglądałam w jej kierunku, lecz czułam jak jej wzrok przeszywa moje ciało. Próbując mnie rozszyfrować, dowiedzieć się wszystkiego o mnie i o mojej przeszłości. Zobaczyć jakim jestem człowiekiem.

Nie lubiłam takich sytuacji. Doprowadzały mnie do szaleństwa. Miałam wrażenie, że ten wzrok jest jak szkło powiększające. Penetruje każdy fragment ciała, osobowości. Zatrzymując się i układając wszystkie puzzle. Obrazkiem jest skrzywdzona i beznadziejna Joanna. Osoba, która została pozbawiona resztek godności i która jest zagubiona w gąszczu wielkiego lasu, którym jest życie.

Agata wstała, wytarła ręce w jednorazowy ręcznik kuchenny. Rozłożyła je, opierając się o blat. Stała kilkanaście centymetrów ode mnie. Chciałam się lekko przesunąć do tyłu, lecz opór metalowego oparcia nie pozwolił. Lekko się przekręciłam, aby zachować trochę przestrzeni dla siebie.

– Chyba musimy pójść na zakupy. Kupić dla ciebie jakieś ubrania. Zgadza się?

Spojrzałam na przetarte spodnie.

– Wybierzesz to co będziesz chciała. Nie będę ingerowała.

Zeskoczyłam z krzesła. Agata zamknęła papierowe pudełko i wraz z zawartością schowała do lodówki.

– Jesteś gotowa?

Skierowałam się w stronę schodów. Ponownie musiałam się zmierzyć z moimi demonami. Na samą myśl o tym, że ponownie muszę na nie wejść - ręka się spociła. Ślizgała się po barierce. Zabrałam z pokoju telefon oraz kurtkę i zatrzymałam się przed pierwszym schodem.

Wzięłam głęboki wdech, i szybszym krokiem próbowałam zejść. Skarpety lekko się ślizgały po wypolerowanej powierzchni niczym łyżwy na lodowisku.

– Już możemy?

Spytała, gdy mnie dostrzegła.

Wciągnęłam buty, kurtkę i stanęłam przy drzwiach. Agata zabrała klucze z misy i otworzyła drzwi, po czym auto rozbłysnęło kilkoma światłami sugerując, że alarm został wyłączony.

Wyjechaliśmy z garażu i dopiero teraz mogłam spojrzeć na dom. Wyglądał jak białą szarą twierdzą. Niewiele było widać. Przeważał beton i nowoczesna konstrukcja. Przy masywnym płocie rosły tuje ab udynek robił wrażenie ekskluzywnej posiadłości.

Agata wycofała na jezdnię. Niewątpliwie była to bogata dzielnica Krakowa, gdyż większość budynków była podobna do siebie, i tworzyła nowoczesne osiedle.

Była piętnasta, kiedy skręciliśmy w ruchliwą drogę. Powoli ściemniało się, a ruch nasilał się. Większość samochodów podążała w przeciwnym kierunku niż my. Z każdym przejechanym kilometrem, było coraz więcej pieszych, a tramwaje bardziej zatłoczone.

Jechaliśmy w ciszy. Nawet radio było wyłączone.

Nie chciałam spoglądać w kierunku Agaty. Jej pytający wzrok onieśmiał mnie i wprawiał w zakłopotanie.

W oddali dostrzegłam szyld jednego z większych centrów handlowych. Agata wybrała pas do skrętu i po chwili byliśmy na pasie drogowym prowadzącym do parkingu podziemnego. Gdy wjeżdżaliśmy pojawiło się kilka znaków dotyczących prędkości oraz zakazu wjazdu samochodów z instalacją gazową.

Samochód płynnie poruszał się pomiędzy miejscami parkingowymi. Widać było, że dokładnie wie, w którym kierunku ma jechać.

W podziemiu były różnokolorowe słupy a litery miały za zadanie ułatwienie zlokalizowania zaparkowanego samochodu. Mercedes zatrzymał się w czarnej sekcji, a po lewej stronie świecił wielki neon: „wejście”.

Zabrała plecak z tylnego siedzenia i ruszyła przed siebie.

– Chodź.

Podążałam dwa kroki za nią, aby nasz wzrok nie krzyżował się.

Wjechaliśmy ruchomymi schodami i omal nie dostałam oczopląsu od ilości sklepów i szyldów reklamowych. Centrum wydawało się ogromne. Miało co najmniej trzy poziomy i było w kształcie owalu.

– Nie wiem w jakich sklepach robiłaś zakupy. Jak znajdziesz odpowiedni to po prostu wejdź do niego.

Tym razem to ona zwolniła kroku, dając możliwość prowadzenia. Gwałtownie obracałam głowę w lewo i prawo, dokładnie czytając nazwy sklepów i oglądając schludne wystawy. Na środku korytarza były niewielkie stoiska, głównie z biżuterią oraz innymi akcesoriami.

Gdy tak szłam, nie było widać końca butików. Wszystkie wydawały się eleganckimi i przeznaczonymi dla kobiet z miast.

Dostrzegłam jeden, w którym na wystawie były jeansy. Cena ich wynosiła 49 zł, więc stwierdziłam, że ten sklep będzie idealny dla mnie.

– Wchodzimy?

Przytaknęłam i minęłam zabezpieczenia sklepowe. Po lewej stronie był dział z ubraniami dla kobiet, więc udałam się w jego kierunku. Wybrałam szybko dwie tanie koszulki oraz jedną parę spodni i jeden sweter.

– W czymś pomóc? – spytała młoda ekspedientka.

– Tak, gdzie jest przymierzalnia? – rzekła Agata

– Do końca i po lewej stronie.

– Dziękujemy.

Ze sklepu wyszłam z dwoma zielonymi torbami foliowymi.

– Chcesz coś zjeść?

Zlekceważyłam pytanie.

– Czyli co, jedziemy do domu?

Przytaknęłam. Nie czułam się na siłach, aby kontynuować zakupy. Atmosfera w sklepach była zbyt wesoła, a moje krocze wciąż mnie bolało. Staralam się maskować uczucie bólu, tajemnicie. Jak można komuś powiedzieć, że zostało się zgwałconym przez ojca? Kto mi uwierzy?

Cały czas szliśmy w milczeniu. Zastanawiałam się o czym myśli Agata. Przede wszystkim, za jakiego dziwaka mnie ma? Jak bardzo chora jestem w jej mniemaniu?

Etykieta chorej psychicznie przerażała mnie najbardziej. To chyba gorsze niż gwałt, bo o nim wie tylko kilka osób. A o chorobie? O tym, że się jest wariatką? Może wiedzieć nawet cała wieś czy miasto. Ludzie są głodni takiej wiedzy, nie wiedząc, że dokładają kolejną cegiełkę krzywdy. Idąc w kierunku samochodu, minęliśmy kilka ładnych choinek oraz ozdób świąteczny. W sklepach było słychać świąteczne piosenki, a ludzie zaczęli szukać odpowiedni prezentów. Gdy spoglądałam na ornamenty nie wierzyłam, że zbliżają się święta. Nie czułam magii kolorowych lampek. Nie mogłam sobie wyobrazić zapachu cynamonu. Często potrafiłam przystanąć przy ciekawie przystrojonej choince i popatrzeć jak mienia się niewielkie żarówki. Jak na przemian pojawiają się inne kolory, co czyniło drzewko jeszcze bardziej wyjątkowym. A teraz? Czułam obojętność jakby święta bez mamy miały być gorszymi dniami. Być może miało to z nią związek. To czas w którym spędza się go z rodziną. A ja? Szłam obok obcej kobiety, i mieszkaliśmy razem z nią. Nawet nie dostrzegłam w wnętrzach ozdób świątecznych. Może nie celebrowe tak jak inni? Może tak samo, jest trochę dziwna jak ja?

W drodze powrotnej utknęliśmy w korkach. Naszą ciszę zagłuszało radio i kolędy, które z większą częstotliwością wydobywały się z głośników.

Weszłam bez słowa do domu i od razu skierowałam się w stronę klatki schodowej.

– Może chcesz coś obejrzeć? Zrobię popcorn.

Zatrzymałam się w połowie korytarza, po czym odwróciłam się w jej stronę.

– Zaczekaj w salonie. Umyję dłonie i dołączę do ciebie.

Agata skierowała się do kuchni, gdzie po chwili rozległ się szum opadającej wody. Zanim zaświeciłam światło w przerażającej łazience, wzrok skierowałam w lewo. Nie chciałam się zderzyć z widokiem, który zaczął mnie osaczać.

Kiedy wróciłam do salonu, w powietrzu unosił się zapach masła i karmelu. Popcorn w mikrofalach głośno trzeszczał i ulatniał coraz intensywniejszy zapach.

Usiadłam przy brzegu, tak abym mogła oprzeć ramię o wygodny podłokietnik. Przeszło sześćdziesięciu calowy telewizor stał na niskiej szafce, a obok niego dwa wysokie głośniki. Na ścianach wisiały dwa obrazy przedstawiające nagie kobiety. Brakowało kominka, który mogłoby wprowadzić cieplejszą atmosferę.

Na stoliku pojawiła się kryształowa misa, wypełniona popcornem.

– Proszę, częstuj się.

Agata rozsiadła się z podkulonymi nogami na sofie i zaczęła przerzucać kanały w telewizji. Na większości z nich były wiadomości. Dopiero po chwili pojawiło się czerwone logo firmy świadczącej usługi filmów i seriali na żądanie. W domu nie miałam takich rarytasów, więc z entuzjazmem spoglądałam na telewizor.

– O jest!

Odłożyła pilota na szklany stół i zabrała miskę, którą położyła pomiędzy nami.

– Śmiało. Jest dobry.

Zabrała garść, i zaczęła jeść wpatrując się w ekran.

– To mój ulubiony.

Film był o młodej policjantce, która musi wziąć udział w wyborach miss świata jako uczestniczka. Wyglądało to na lekką komedię z wątkiem policyjnym.

Ponownie odkrywałam to co było dla mnie nieznane. Czułam się szczęśliwa spoglądając na Agatę. Trochę niedorzeczne zważywszy na kontekst sytuacji. Jednak wyczuwałam w niej bratnią duszę. Kogoś, kto może zastąpić moją matkę i przyjaciółkę. Codziennie pokazywała coś, czego nie doświadczyłam nigdy.

Nie odrywała wzroku od telewizora, mimo iż co chwilę komentowała następną scenę.

– Dlaczego? – wyszeptałam.

Nie zareagowała. Uśmiechnęła się na widok upadku głównej bohaterki.

– Pytałaś o coś?

– Dlaczego?

Wbiłam wzrok w jej oczy a ona swój w moje. Żadna z nas nie mrugnęła.

– Zmęczona jestem. Pójdę się położyć.

Wstała i odeszła.

Nie spodziewałam się takiej reakcji. W jej oczach i na twarzy zarysował się smutek.

Akcja filmu rozkręcała się. Podjadając popcorn zastanawiałam się co się stało, że Agata mieszka sama. Dlaczego Łucja nie chciała z nią zamieszkać. Będąc na jej miejscu, skakałabym z radości, mając taką matkę i takie warunki.

W domu nie dostrzegłam żadnych fotografii ani rodzinnych pamiątek. Puzzle nie chciały się odpowiednio poukładać. Były zbyt duże przerwy pomiędzy nimi, aby dostrzec cały obrazek.

Pojawiły się napisy końcowe. Wyłączyłam telewizor i udałam się do pokoju. Schody przestawały być dla mnie straszne.

Zatrzymałam się przed sypialnią Agaty i uświadomiłam sobie, że krzywdzę kolejną osobę. Zadaję niewłaściwe pytania po to, aby zaspokoić swoją ciekawość.

Gdy usłyszałam ruch w jej pokoju, udałam się szybko do swojego. Położyłam się w ubraniu i czułam się opętana. Miałam wrażenie, że postępuję nieracjonalnie. Nie potrafiłam wyjaśnić swojego stanu. Zapominałam na chwilę o tym co się wydarzyło, a następnie wspomnienia powodowały, że brakowało mi tchu. Chciało mi się płakać i być przy kimś, a jednocześnie czułam wstręt do innych. Ciągłe rządziły mną skrajne emocje, jakbym wciąż nie potrafiła zaakceptować tego co się wydarzyło. Poddać się żałobie ze względu na śmierć matki, a także pozwolić myślą oswoić się z gwałtem. To co się działo to nawet nie był koszmar. To był horror.

Chciałabym, aby ktoś mnie szturchnął, czy uszczypnął i powiedział, że to tylko historia w książce. Że żadna z tych sytuacji nie miała miejsca a ja nadal byłam tą dziwną nie mówiącą nastolatką, która odlicza czas do osiemnastych urodzin. To było moje jedyne pragnienie, które okazywało się niemożliwą do realizacji fikcją. Zamiast walczyć z problemami odpływałam myślami do marzeń, których nie będę potrafiła zrealizować. Wszystko okazywało się lepsze od natrętnych myśli, które mnie nachodziły. I z którymi trudno było walczyć. Lepiej zatopić się w wykreowanym świecie, niż dotknąć bolesnej rzeczywistości.

Tej nocy nie mogłam spać. Niespokojnie przewracałam się z boku na bok, poszukując ukojenia to w poduszce to w jaśku. Brakowało mi czegoś. Tęskniłam za swoim starym łóżkiem. Pokojem, który przez wiele lat był moim światem. Dzielnie towarzyszył w mojej niedoli.

Krocze nadal przypominało o dramacie, który się rozegrał. Dziewictwo zabrał potwór, który mnie splodził. Dał mi życie i zabrał część kobiecości. Ważny aspekt życia nastolatki. Chwilę, którą utrzymuje się w tajemnicy i o której się marzy. O idealnym mężczyźnie, który w ten dzień będzie leżał obok. Swoim czynem udowodnił, że ideały nie istnieją. Są naszymi wyobrażeniami i pragnieniami. Kreujemy nieskazitelną osobę czy przedmiot a w rzeczywistości nie dostrzegamy wad i uszkodzeń.

Brutalność życia bywa okrutna a my jesteśmy jednym z pionków życia i przesuwamy się po planszy zgodnie z oczekiwaniami innych lub czasami własnymi. Lawirujemy pomiędzy naszymi pragnieniami a oczekiwaniami innych. Bojąc się asertywności nie dostrzegamy, że główka pionka to jest nasza siła oraz energia. To nasze dłonie, którymi potrafimy samodzielnie ruszać.

Noc dłużyła się. Czuwający wzrok kierował się w stronę drzwi a w szczególności klamki. Wpatrywałam się w nią, jakby kolejne zło miało nadejść. Klamka nawet nie drgnęła, a serce na

przemian przyspieszało i zwalniało. Nie wiedziałam co się dzieje, dlaczego ciało tak się zachowywało. Czy tak będzie wyglądać życie? Non stop w stanie czuwania i gotowości do walki? Tylko co się stało, że wtedy leżałam jak kłoda? Jak powalone drzewo w parku narodowym, którego nikt nie może ruszyć? A wszyscy się na niego patrzą i przekraczają. Dlaczego go nie ugryzłam? Nie uderzyłam? Może podświadomie byłam przygotowana na takie zdarzenie? Widok gwałconej matki nie był rzadkim widokiem. Jej nie było. Byłam ja i jego potrzeby. Kogo innego miałby zgwałcić? Butelkę wódkę, czy może zwierzęta? To wszystko było popieprzone i kurewsko niezrozumiałe.

Nie wkroczyłam w dorosłość, a problemy zdążyły urosnąć do niewyobrażalnych rozmiarów. Większość wyobrażeń roztrysnęła się jak upuszczony worek soli byli wszędzie w niewłaściwych miejscach. Dostają się tam, gdzie nie da się wysprzątać. Nie jestem w stanie uporządkować moich myśli, emocji. Tego co się we mnie dzieje. To jakaś chora karuzela, w której mam zamknięte oczy.

Kręcą się moje myśli. Kręcę się leżąc w łóżku a wszystko wydaje się paradoksem. Świat wiruje. Drzewa przemieszczają się, ludzie uciekają w popłochu. A ja? Jestem sama w środku huraganu. Podnoszę ręce w górę, aby powie wiatru zabrał mnie. Uwolnił od tego ciężaru. Pozwolił swobodnie fruwać, zapewniając miękkie lądowanie. Umożliwił poznawanie świata z widoku ptaka. Pokazała jak wygląda ich życie. Ich wolność. Ich codzienność. Jak się mijają bezkolizyjnie, i jak omijają drzewa czy przewody elektryczne. Wydają się nieskruszonymi istotami, których chce się naśladować. Dążyć ich ścieżkami. Mieć tak rozłożyste skrzydła, żeby schować potomstwo. I ostre dzioby, aby wygrać walkę z bestiami.

Dochodziła szósta rano i wciąż byłam w trybie czuwania. Wzbudzała się we mnie agresja, być może z powodu niewyspania, organizm reagował w taki sposób. Zaczęłam nerwowo chodzić po pokoju. Przystanęłam przy oknie. Świeciły się latarnie uliczne, a w powietrzu wirowały krople deszczu ze śniegiem. W taką pogodę nie chce się wychodzić na zewnątrz. Marzy się o ciepłym kocu, gorącej czekoladzie i kimś przy boku. Taki widok za oknem potrafił potęgować nastrój depresyjny.

Usiadłam na łóżku. Machałam nogami lecz wewnętrzne napięcie nie opuszczało ciała. Ubrałam stare ubrania i udałam się piętro niżej.

Zaparzyłam herbatę i spoczęłam na sofie. Wpatrywałam się to w czarny ekran telewizor to w okno, które było zasłonięte firanką i niewiele było widać. Podkuliłam nogi, a kubek ogrzewał dłonie.

Rozglądałam się bo podobał mi się minimalizm oraz ekstrawaganckie obrazy. Do kolekcji brakowało rzeźby, która mogłaby stanąć nieopodal telewizora.

Zastanawiałam się jak to jest mieszkać we własnym mieszkaniu. Być odpowiedzialnym za każdy przedmiot. Opłacać wszelkie rachunki. Jak to jest być osobą finansowo niezależną? W portfelu miałam pięć złotych, a za kilka dni skończy mi się karta w telefonie i stanie się on bezużyteczny. Zresztą nie traktuję tego przedmiotu jak rzeczy niezbędnej. Jest milczącym urządzeniem, które przypomina o samotności. Wpędza w jeszcze gorszy nastrój. Jest szeroką bramą do świata. Ludzi. A jednocześnie potrafi być kłódką w więzieniu, która jest rzadko otwierana. Jakby klucz leżał w miejscu, którego nie można odnaleźć i dostrzec.

– Spać nie możesz? – doleciało zza głowy.

Lekko się obróciłam. Agata miała roztrzepane włosy i była w czarnej piżamie. Idealnie pasowała do kolorystyki wnętrza. Robiąc kawę, przetarła oczy jakby wciąż była zasnana.

– Mogę dołączyć?

Stanęła obok z kubkiem.

Skinęłam głową i usiadła tuż obok mnie. Przez chwilę mocno się we mnie wpatrywała. Uciekałam wzorkiem, lecz miałam wrażenie, że on jest w sidłach jej oczu. Że moje ciało jest dokładnie skanowane w poszukiwaniu odpowiedzi na nurtujące pytania.

– Wiesz... – zamilkła. – Chcę ci pomóc, lecz nie wiem jak. Udowodniłaś, że potrafisz mówić, ale dlaczego tego nie robisz? Nie traktuje ciebie jako klientki. Nie stosuje metod psychologicznych. Jestem zwykłą kobietą – Agatą, która próbuje ciebie zrozumieć i stara się pomóc.

Wstrząsnęłam ramionami.

– Boisz się, że skrzywdzę ciebie?

Ponownie ruszyłam ramionami.

Wzięła łyka kawy.

– Myślę i nie wiem co powiedzieć. Widzisz... nawet niektóre sytuacje przerastają mnie.

Przygryzłam wargę.

– Życie – rzekłam cicho.

– Tak. Dokładnie tak. Życie, które czasami bywa świetne a czasami jak papier toaletowy. Do dupy.

Lekko się uśmiechnęłam.

– Zadałaś wczoraj pytanie... Kilka lat temu zdradziłam męża. Kilkukrotnie. Powiedziałam o tym jemu, a następnie Łucji. Mąż wyrzucił mnie z domu a Łucja stwierdziła, że nie chce mnie widzieć. Nadal nie mogę odbudować relacji z córką. Raz bywa lepiej a raz gorzej. Każdy z nas popełnia błędy, które potrafią całkowicie zmienić życie – westchnęła. – Wpadłam w pracoholizm. Założyłam dobrze prosperującą firmę. Kupiłam dom, fajny samochód i... nadal nie mam tego co jest najważniejsze. Widzisz, każdy się z czymś zmierza, boryka.

Spoglądnęła na zegarek. Dobiegała siódma.

– Muszę się powoli zbierać.

Odłożyła kubek na stół i poszła w głąb mieszkania. Odwróciła się, posyłając lekki uśmiech.

Zagryzłam wargi i myślałam o tym co powiedziała. Wydawała się nieskazitelną osobą. Miała opinię dobrego psychologa. Pomagała innym, i potrafiła skrzywdzić najbliższe osoby. Nie rozumiem tego dlaczego można się tak zachować? Mając wszystko, w jednej chwili można to stracić. Po wpływem jednej lub kilku decyzji. Czy to się dzieje dlatego, że chcemy więcej? I więcej. I przestajemy doceniać to co jest wartościowe? Odróżniać dobro od zła, byle osiągnąć cel?

To trochę tak jak ze mną. Przestałam rozmawiać, nie zważając na konsekwencję takiego czynu. Liczyły się moje potrzeby. To co było dla mnie łatwiejsze do wykonania aż się w tym zatraciłam. Zamiast wybawienia stało się to momentami hermetycznie zamkniętą klatką. Kiedy patrzę na te pięknie połączane kraty to wydaje mi się, że tkwiąc w swoim stanie jestem najszcześliwszą osobą na świecie. Z tym, że takich chwil jest coraz mniej. Złoto powoli staje się ciemniejsze.

Pojawiła się Agata w czarnych spodniach i flanelowej koszuli w kratę. Zabrała kubek termiczny z blatu i udała się w kierunku garażu.

– Będę koło południa.

Drzwi trzasnęły. Lekki powiew chłodu dotarł do salonu. Zmusił mnie do wstania i przygotowania śniadania.

Uczucie głodu zaczynało być obce. Jakby powietrze dostarczane do płuc, odżywiało mój organizm. Jedna wypita herbata dziennie, potrafiła zapłacić żołądek na cały dzień.

Otwarłam lodówkę i było w niej pełno warzyw oraz owoców. Oprócz masła, znalazłam kilka jogurtów. Nie było wędliny ani mięsa.

Sięgnęłam po niewielki kolorowy kubek.

Siedząc przy barze, zatopiłam łyżeczkę. Delikatnie oblizałam. Smak malin był całkiem przyjemny, a jogurt z lekkością muskał podniebienie. Jego chłód przypominał o tym, że jestem człowiekiem, i że wciąż potrafię odczuwać.

Zjadłam połowę, a pozostałą część cisnęłam do kosza.

Przez chwilę chodziłam w salonie, mając wrażenie, że zaczynam pamiętać każdą kropkę na posadzce i drobinę kurzu, która osiadła na meblach. Wpatrywałam się w meble jakby na nich były wyryte wskazówki. Dalsze etapy mojego życia. Tego co się będzie działo ze mną. Z moim wnętrzem. Głową. Nerwowo bawiłam się palcami. Siadałam na chwilę, po czym wstawałam. Czułam, że tracę kontrolę nad zachowaniem. Nad konkretnymi ruchami. Jakby wewnętrzna siła próbowała mną kierować. Sterować jak zaprogramowanego robota.

Wzdrygnęłam się dźwięk domofonu. Przyszedł po mnie? Jak mnie tutaj znalazł?

Podbiegłam do okna lecz betonowe ogrodzenie balkonu przesłaniało widok. Przesunęłam firankę w zamyśle znalezienia klamki.

Cisnęłam pięściami w szybę. Spocone palce zostawiły szramę. Podeszłam do kolejnych okien. Przekręciłam klamkę i wparowałam na balkon. Stopy dotknęły lodowatego śniegu, a zimno przeszło odkryte ramiona. Wychyliłam głowę zza murka i spojrzałam w prawo. Ulicą szedł młody listonosz.

Zaczerpnęłam kilka głębokich wdechów. Zimno sparaliżowało gardło, a stopy wręcz zaczęły parzyć. Wbiegłam do środka, mocno domykając popielate drzwi.

Dmuchiłam kilka razy w dłonie, aby się rozgrzać. Bezskutecznie. Z trudem doszłam do pokoju. Zanurzyłam nogi i całe ciało pod kołdrę, dodatkowo narzucając na nią ciepły koc. Dygotałam ze strachu.

Emocje kłębiły się we mnie. Narastały jak lawa w wulkanie. Rozgrzewały się do czerwoności, powodując, że zaczęłam się wierzczać na łóżku. Żadna pozycja nie była odpowiednia. Chciałam wykrzyczeć ból lecz powietrze w płucach nie chciało opuszczać ciała z takim natężeniem. Gotowało się uszkadzając wnętrze.

Nie pamiętam kiedy towarzyszyła mi taka pobudliwość. I dlaczego właśnie teraz, kiedy jestem w bezpiecznym miejscu? Dlaczego wszystko wydaje się takie skomplikowane i trudne do zrozumienia? Do rozłożenia na logiczne czynniki, z którym można się zmierzyć?

Miałam wrażenie, że niczego nie mogłam wytłumaczyć. Czy to z powodu nagromadzonych doświadczeń? Czy one zaczynają żyć swoim własnym życiem? Urządziły cyrk w moim ciele, w mojej duszy. I w mojej głowie? Tańczą w różnym tempie i porze dnia. Z marazmu do ADHD. Z apatii do agresywności. Gdzie jest moja osobowość? Gdzie się ulotniła? Kto mi zabrał tą nieśmiałą nastolatkę, która wydaje się skamieniałością? Czy to jest moje prawdziwe oblicze, czy może maska walki z żałobą?

Po kilku próbach uspokoiłam oddech. Podniosłam kołdrę ku górze, patrzyłam jak klatka piersiowa unosi się w rytm wdychanego powietrza. Jak zabiera cząstki tlenu i wodoru, po to, abym mogła patrzeć na świat. Być obecna wśród innych.

Wstałam i sięgnęłam po telefon, który był na komodzie. Wyświetlacz przypominał o braku powiadomień. Cisnęłam nim w przeciwnym kierunku. Potrzebowałam wyżyć się na czymś, albo kimś. Pozbyć się negatywnej energii, która wypełniała każdą wolną przestrzeń ciała.

Bałam się pokazać słabość. Pokazać przed sobą, że mogę być okrucieństwem chleba, który jest deptany przez przechodniów. Przez wiele lat starałam się być silna. Nauczyć się akceptować, i

nie dostrzegać tego czego nie chcę zobaczyć. Życ w odrębnym świecie, wykreowanym przez zachowanie. Bałam się własnego ciała. Tego co mogą zrobić emocje oraz uczucia. Tego jak mogą mnie zmienić i zranić. Oddalałam myśl o spojrzeniu w głąb siebie. Poznaniu tego kim jestem. Zobaczeniu prawdziwej siebie, która jest pozbawiona wszystkich zasłon dymnych. Odarta z masek. Jest tym człowiekiem, który każdej nocy leży w łóżku, w piżamie. I jest sobą. Leżałam gapiąc się na sufit. Nie było na nim nic szczególnego. Płaska powierzchnia, w jednym kolorze.

Rozległo się pukanie do drzwi.

Usiadłam, mając nogi przykryte kołdrą. Drzwi się uchyliły.

– Mogę?

Agata usiadła na łóżku. Dłonie spoczywały na kolanach.

– Rozmawiałam z twoją wychowawczynią – głos się jej załamał. – Bardzo mi przykro.

Jej ręka powędrowała w moją stronę. Odsunęłam się w głąb łóżka. Wbiłam spojrzenie w Agatę. Zobaczyłam w niej kogoś innego. Kogoś szukającego sensacyjnych historii i kogoś, kto za wszelką cenę pomaga innym w ramach odkupienia za własne błędy.

Bawiłam się kciukami. Jej wzrok na nich, wzbudził u mnie przerażenie.

– Wiesz. – poderwałam się, przerywając wypowiedź.

Zabrałam plecak, wpakowałam telefon do kieszeni i pobiegłam w stronę schodów.

– Asiu, co robisz? – biegła za mną.

Włożyłam szybko buty, zarzuciłam kurtkę.

– Asiu, porozmawiajmy.

Udałam się w kierunku drzwi frontowych. Jej dłoń mocno chwyciła moje ramię.

– Zaczekaj.

Odepchnęłam rękę, i wyszłam.

Trzasnęłam drzwiami przy bramie. Spojrzałam w biegu na ogromny dom, a następnie zatrzymałam się przy najbliższym skrzyżowaniu.

– Asia! Asia!

Głos wciąż do mnie dobiegał. Obróciłam się. Stała na krawężniku, i patrzyła jak się oddalam.

Przebiegłam przez jezdnie i jak szalona biegłam krawężnikiem. Nie wiedziałam gdzie jestem lecz biegłam. Uciekałam przed koszmarem. Przed sobą. I przed wszystkimi. Uciekałam bo chciałam przytulić matkę. Pragnęłam z nią porozmawiać. Pożegnać się. Powiedzieć, że była silną kobietą. Że była najważniejszą osobą w moim życiu. Wyszepać, że ją kocham choć nie potrafiłam tego okazywać.

To była ta chwila, w której chce się cofnąć czas. Wymazać podjęte decyzje. Stać się kimś innym. Kimś bardziej wartościowym.

W pobliżu były wielkie wieżowce, bez maszyny czas. Bez możliwości dotknięcia tego od czego uciekałam.

Usiadłam na pobliskim przystanku. Miejskie autobusy zatrzymywały się co kilka minut. Jedni wchodzili, inni wychodzili. Niektórzy się przepychali a jeszcze inni towarzyszyli podczas oczekiwania na przyjazd innej linii. Siedziałam oparta o szklanką wiatę, kurczowo trzymając plecak.

W nogi było mi chłodno. Energicznie ruszałam nimi, zauważając, że nie mam skarpetek. Zgięłam je, chowając stopy pod ławkę, aby nikt nie dostrzegł braków.

Wyjęłam z niewielkiej kieszonki portfel. Otworzyłam, i świeciła się jedna pięciozłotówka. Starczy na dwa przejazdy komunikacją miejską lecz co dalej? Będę spała na przystanku

autobusowym, postawię plastikowy kubek i będę zbierała na chleb? Upadnę na marginesie społeczeństwa, dołączę do grupy alkoholików na Plantach?

Schowałam portfel i otwierałam dużą kieszeń. Moim oczom ukazała się duża reklamówka foliowa. Ruszyłam przed siebie.

Szłam w dół ulicy, rozglądając się w poszukiwaniu wielkich neonów. Na skrzyżowaniu skręciłam w prawo i cały czas szłam prosto. Widok zasłaniały wysokie budynki lecz miałam wrażenie, że teren wydaje się znajomy. Szłam z wyprostowaną głową. Poczułam energiczny przypływ pozytywnych emocji. To ten moment nakręcenia, w którym wydaje się, że można pokonać wszelkie przeszkody. Być nieśmiertelnym. Podejmować ryzykowne decyzje. Że nic nie może stanąć na drodze do wyznaczonego celu. W nogi paliło mnie zimno, lecz one nie zwalniały, aż do momentu w którym ujrzałam duży budynek. Zatrzymałam się na ruchliwym skrzyżowaniu. Cierpliwie czekałam na zielone światło dla pieszych. Ludzie gromadzili się wokół mnie, samochody używały klaksonów. Po dużym rondzie nie każde auto potrafiło się poruszać. To zmieniali gwałtownie pasy ruchu. To wjeżdżali wprost pod nadjeżdżający samochód. Piski hamulców zwracały uwagę. Pochłaniały wzrok na kilkadziesiąt sekund pokazując jak pędzi życie. Jak czas nieubłaganie ucieka. Każdy krok staje się tym, którego nie można cofnąć. Każdy manewr tym, którego nie można naprawić. Życie biegnie jak niezatrzymujący się uczestnik maratonu lub triathlonu.

Usłyszałam pikanie a na sygnalizacji pojawił się zielony idący ludzik. Ruszyłam wraz z tłumem po paskowanej jezdni. Kierowcy niecierpliwie wpatrywali się w kolor czerwony. Kiedy przystanęłam na chodniku w oczekiwaniu na możliwość przejścia na drugą stronę jezdni spoglądałam przed siebie. Ludzie stojący naprzeciw byli pochłonięci myślami. Głowy nakryte puszystymi kapturami powodowały, że ciężko było dostrzec twarz na której dodatkowo znajdował się szal. Kilku mężczyzn, w długich płaszczach stało dumnie. Łysina jednego z nich przypisywała o ciarki. Było mroźno, a jego głowa była odsłonięta a on wyprostowany. Jakby przeszywający chłód omijał jego ciało. Pomiędzy osobami, które były opatulone wyglądał dziwnie, co najmniej śmiesznie. Wyróżniał się na tyle, że dwa damskie głosy zaczęły komentować jego ubiór.

Pojawiło się zielone. Tłum napierał z tyłu powodując, że potknęłam się schodząc z krawężnika. Sytuacja na środku jezdni wyglądała jakby tłum szerszeni zderzył się w powietrzu. Ludzie ocierali się ramionami, dotykali w sposób niekontrolowany. Nikt nie zwracał uwagi na to co się dzieje podczas tej krótkiej przechadzki. Każdy był wpatrzony albo w telefon, albo przed siebie. Nie zwracając uwagi na szturchnięcia. Mniej więcej, na środku doszło do największej liczby popchnięć, jakby spotkało się dwóch rywali. Niektórzy nie mogli się przecisnąć pomiędzy innymi, co wzbudziła falę złości, która odpuszczała dopiero na krawężniku.

Nieco wolniejszym krokiem zmierzałam w kierunku betonowego budynku. Szłam wzdłuż ruchliwej drogi, i tak było od przeszło godziny lecz tym razem nawet mróz nie był straszny. Kolorowe szyldy, z nazwami sklepów były coraz bliżej a mniejsze litery zaczynały tworzyć zdania.

Byłam jedyną osobą, która szła chodnikiem. Jakbym zmierzała w kierunku piekła, bo większość samochodów jechała w przeciwną stronę. To dziwne uczucie, kiedy wszyscy brną w kierunku jednego celu, a tylko jedna osoba wyrwa się z tłumu i idzie pod prąd. Do innego.

Miałam wrażenie, że moje życie było zdecydowanie inne od innych. Że nie doświadczyłam, tego czego doświadczali rówieśnicy. Że moim celem była ochrona siebie przed potworem a jednocześnie egzystowanie według jego wymagań. Pozbawił mnie autonomii powodując, że jestem zagubiona w gąszczu innych osób. Nie przystosowana do samodzielnego funkcjonowania

jakbym była uzależniona od niego. Od domu rodzinnego, i tego co się w nim działo. Przywiązana grubym łańcuchem do przeszłości, z którego nie potrafię się uwolnić. Zaciska mocno szyję, powodując, że z trudem biorę oddech, lecz nie zważając na ucisk, staram się napędnąć płuca po to, aby przeżyć. Siła życia, i siła przyszłości jest tą, która prowadzi moje zmarznęte nogi. Czuję się jakbym walczyła na pustyni o kubek zimnej wody. Pojawiają się omamy w postaci studni, ostatkami sił zmierzam do niej a ona nagle znika. Tak jest teraz z nadzieją. Na chwilę ona jest przy mnie. Pozwala marzyć o prawdziwej rodzinie, o dzieciach. O domu z ogródkiem i po chwili znika w gąszczu ciemności i szarych budynków. Ludzi, którzy nie potrafią dostrzec innych. I wszech obecnej obojętności.

Moim oczom ukazał się wjazd na parking podziemny. Nie wiedziałam, gdzie jest wejście główne, więc zeszałam z krawężnika, który kończył się w drodze i ostrożnie wkroczyłam na nią. Samochody mimo informacji o dopuszczalnej prędkości 20km/h, nie zwalniały. Z impetem wjeżdżały pod budynek.

Byłam w strefie zielonej, ale pamiętam, że odpowiednie wejście znajduje się przy czarnej. Mijałam kolejno zaparkowane samochody. Kierowcy poszukiwali wolnych miejsc, tuż obok wejść do centrum. Jakby zaparkowanie kilka rzędów dalej był sporym problemem.

Kiedy weszłam na ruchome schody, ogarnęła mnie panika. Nigdy nie byłam sama w tak dużym sklepie i mieście. Czułam jak paniczny lęk narasta, a nogi się uginają na widok dużej przestrzeni, wypełnionej ludźmi. Większość z nich swobodnie spacerowała co chwilę przystając przy witrynach sklepowych.

– Uważaj!

Usłyszałam, leżąc już na podłodze.

– Nic ci nie jest? – spytała starsza kobieta.

Wyciągnęła dłoń. Szybko się podniosłam próbując zrozumieć co się stało.

Przedemną rozciągała się czarna taśma a ludzie zbliżali się do mnie jak hieny. Ich wzrok chciał mnie pożreć. Oczy nerwowo szukały drogi ucieczki a nogi stawały się z gumy. Zrobiłam z trudem kilka kroków, mając wrażenie że z każdym następnym duszę się coraz bardziej. Nogi snuły się po posadzce, a wzrok intensywnie poszukiwał odpowiedniego sklepu. Skupiłam się na czytaniu napisów. Robiło mi się niedobrze, i wydawało się, że puszcę pawia na samym środku korytarza. Czułam się obłąkana w miejscu, w którym dzikie stado zwierząt poluje na mnie. Szałam nie wiedząc, co mnie napędza. Ciało było oderwane od procesów, które toczyły się mózgu a nogi bezwiednie poruszały się. Takie oderwanie od rzeczywistości jest czymś koszmarnym. Uczuciem, które paraliżuje wewnątrz. Jakby obcy zaatakował, przejął kontrolę nad wszystkimi procesami toczącymi się w organizmie.

Usiadłam na najbliższej ławce, tuż przy donicy z wielką paprocią. Spuściłam głowę pomiędzy nogami, próbując uspokoić ciało. Dotlenić mózg, i szybko powrócić do racjonalnego myślenia. Byłam w ustronnym miejscu pomiędzy dwoma wyspami na których sprzedawali portfele. Próbowałam skupić myśli nad czymś innym niż własne słabości oraz lęki. Na czymś co dogłębnie pochłonie umysł, powodując, że odzyskam poczucie bezpieczeństwa.

W niewielkiej witrynie był wyeksponowany pomarańczowy sportowy portfel. Był w najbardziej krzykliwym kolorze. Stał odważnie, na szklanej podstawie i krzyczał: „kup mnie”. Wyróżniał się na tle pozostałych, które były w stonowanych kolorach. Był niezwykły bo odważnie i na podwyższeniu reprezentował nową kolekcję. Skupiał wzrok, pozwalając przywołać wspomnienia z garderoby. Jego wygląd pochłonał myśli, a oddech samoczynnie zaczynał zwalniać. Świat przestawał wirować, a ludzie wydawać się zwierzętami. Odzyskiwałam siebie. Swoją własność. Zaczynałam sterować i mieć wpływ na tor oddechu.

Wstałam. Lekko zakręciło mi się w głowie. Podparłam się o betonową donicę. Wzięłam głęboki wdech i udałam się w kierunku sklepu. Nastąpiła rzeczywistość. Na twarzach ludzi dostrzegałam uśmiech, grymas a także smutek. Widziałam ich ubiór, i rozróżniałam kolory poszczególnych części garderoby. Żyłam tak jak oni. Poruszałam się podobnie. Byłam taka jak oni. Byłam człowiekiem, dla którego życie czasami miało sens. Łączyło mnie z nimi tak wiele, a jednocześnie byliśmy tak różni.

Usiadłam naprzeciw sklepu, który odwiedziłam dzień wcześniej. Ludzie tłumnie przechodzili obok mnie. Poszukiwałam wzorkiem bratniej duszy. Kogoś, kto wyzwoli szybsze tętno. Kogoś, kto umożliwi chociaż na chwilę odpłynąć w marzenia. Do kraju szczęśliwego życia.

Kilkadziesiąt osób przeszło obojętnie. Pograżonych w swoim świecie lub partnera. Nie obserwowali i nie dociekali lecz szli przez życie.

Ze sklepu wyszła młoda dziewczyna. Miała długie dredy, spodnie z dziurami i czarny nylonowy płaszcz, który sięgał do kostek. Rozmawiała przez telefon, jednocześnie się uśmiechając. Wychodząc ze sklepu trąciła starszego mężczyznę, nawet nie zareagowała lecz popędziła przed siebie. Jakby ktoś na nią czekał. Szła pewnym krokiem, wciąż trzymając telefon przy uchu. Ludzie komentowali jej włosy. Niektórzy się obracali, gdy ich ominęła a ona z pewnością siebie brnęła w kierunku wyjścia, nie zważając na negatywne komentarze. Chciałabym móc poczuć się przez chwilę nieustraszoną. Być taką silną jak ona. Iść przez życie pewnym i zdecydowanym krokiem. Nie reagować na zaczepki i uszczypliwości. Przyjąć wizerunek kobiety charakternej oraz walecznej ale czy moje kruche ciało kiedyś na to się zgodzi? Zmieni się w zgodzie z osobowością, czy może nałoży drugą twarz? Tą, która będzie wystawiona na spotkania z innymi i oceniana?

Przeszłam przez bramki zabezpieczające i do moich uszu dotarło mocne rockowe brzmienie. Przecisnęłam się pomiędzy wieszakami oraz klientami oglądającymi asortyment. Ocierałam się o wiszące ubrania, lub moje ciało dotykało się z ciałem nieznanym osobom. Było przeraźliwie ciasno. Jedna szczupła osoba, potrafiła zablokować przejście. Idąc okrężnymi ścieżkami dotarłam do kasy. Za czarną ladą stała dwudziestokilkuletnia blondynka.

– W czym mogę pomóc?

Położyłam plecak na blacie i wyciągnęłam foliową reklamówkę, podając ją.

– Ma pani paragon?

Pociągnęłam foliówkę i zaczęłam grzebać. Po chwili w moich rękach znalazł się niewielki papiererek. Blondynka wyciągnęła po niego rękę.

– Płatność była gotówką. Preferuje pani otrzymać gotówkę czy kartę podarunkową?

– Gotówkę.

– Dobrze. – wyciągnęła rzeczy z reklamówki: – Wszystko z nimi w porządku?

Skinęłam głową, a ona zaczęła skanować metki.

– Będzie 170 zł.

Wyciągnęła pieniądze z kasy.

– Proszę tutaj czytelnie podpisać – wskazała na wykropkowane miejsce, na kartce A4.

Przybiła pieczęć i przekazała banknoty wraz z kopią dokumenty. Chwyciłam nieśmiało, zmiełam w dłoni i razem z nią włożyłam do kieszeni, mocno zaciskając.

To była dla mnie ogromna suma. Nigdy nie trzymałam stu złotego banknotu w ręku.

Zmierzając w kierunku wyjścia, myślałam o zdobyczy, którą dłoń pilnowała. Kiedy dostrzegłam zielony znak, z informacją o tym, że poniżej niego znajduje się wyjście, skierowałam się w jego stronę. Przed wejściem na ruchomą taśmę, stał czerwono biały znak, reklamujący znaną sieć serwującą szybkie dania. Widok soczystego kurczaka, spowodował, że udałam się w

przeciwnym kierunku. Nogi nieco spokojnie, podążały w stronę ruchomych schodów. W tej części galerii nie było tak tłumnie jak w innych obszarach. Przestrzenny duży korytarz przypominający hol, powodował, że ludzie wydawali się małymi istotami przy rozłożystej oraz gigantycznej choince, niczym ludziki w klockach Lego. Takie małe, poruszające się istoty, które obojętnie przechodziły obok pięknego lecz sztucznego drzewa. Zatrzymałam się na chwilę.

Wzięłam haust klimatyzowanego lub ogrzewanego powietrza i zaczęłam się wpatrywać w duże okrągłe bombki. Były w kolorze złotego oraz niebieskiego. Idealnie komponowały się z czerwonymi, grubymi ozdobnymi łańcuchami. Trzy kolory i każdy z nich był główną postacią, która przypominała o zapachu cynamonu czy mandarynek. Niewielkie ledowe lampki, zmieniały kolory niczym kroki tancerek w rumbie. Każdy szczegół był dopracowany, tworząc świąteczną harmonię. Tworząc coś wyjątkowego. Coś co wzbudza pozytywne wspomnienia jak również te, które chce się głęboko zakopać.

Piękna, namacalna rzecz, która przypomina o ulotności czasu oraz życia. W naszym kraju kojarzy się z zimą, z chłodem. I z rodzinną atmosferą. Z uszkami w barszczu, wykonanymi przez babcię. Czy karpiu przygotowanym przez ojca. Każdy ma inne wspomnienia czy skojarzenia lecz choinka zawsze pozostanie ponadczasowa. Być może zmieni się jej forma i kształt, ale jej symbol nigdy nie zatrze się. Symbol życia oraz trwania. Zielone igły kują, pokazując, że wciąż czujemy lecz wciąż jesteśmy jednym z milionów.

Rozglądnęłam się dokoła. Choinka przykuwała uwagę małych dzieci, które radośnie biegły w jej kierunku, a następnie próbowały dosięgnąć jedną z ozdób. Ich małe ręce były zbyt krótkie, aby dotknąć iglastej ozdoby. Rozczulał mnie widok matki, mocno przytulającej swoje dziecko podczas wykonywania selfie. Jej uśmiech, który pojawiał się podczas nieoczekiwanego całusa. Czy błysk w oku na widok wyciągniętej małej dłoni. To wygląda na niepowtarzalną i wyjątkową więź. Coś czego nie da się wytłumaczyć, lecz trzeba poczuć. Trzeba dotknąć małej główki, czarnych włosów. Poczuć ciepło, i lekkie ruchy klatki piersiowej aby zrozumieć co to jest macierzyństwo i jaką niesie odpowiedzialność. Nie za siebie, lecz za niewinne oraz bezbronne dziecko, które nie rozróżnia dobra od zła. Złego dotyku od dobrego dotyku. Dla którego, rodzice są głównymi przewodnikami lecz niekoniecznie tymi odpowiednimi.

Na pierwszym piętrze moim oczom ukazało się kilkadziesiąt restauracji i jeszcze więcej kilkusobowych stolików, w większości zajętych przez młodzież oraz studentów. Zamówiłam colę i usiadłam z boku, tuż obok masywnego filara, który był podporą budynku.

Sącząc powoli zimny napój, zastanawiałam się nad relacjami i znajomościami. Większość osób przebywających na piętrze, była wgapiona w telefon. Kilka osób siedziało obok siebie, przy jednym stoliku i wszyscy byli wpatrzeni w kolorowy ekran. Odrywali wzrok po to, aby wziąć kęsa czy łyk napoju. Nie rozmawiali ze sobą. Nawet nie patrzyli na siebie.

Mój milczał. Był kawałkiem przypominającym cienką cegłę. Czasami był dla mnie balastem, którego chciałam się pozbyć. Zrzucić, krocząc po wysoko zawieszanej linii.

Nie wiem co mnie omijało w takich momentach. Momentach swobodnych rozmów, zapewne na bzdurne tematy. Nie wiem czy potrafiłabym tak siedzieć i rozmawiać. Odkrywać siebie. Swoją przeszłość. Wpuścić kogoś do swojego życia, jednocześnie patrząc na jego twarz. Dotykając jego ciała. Czy spożywając posiłek w ciszy. Wydawało mi się to takie nierealne, a jednocześnie o tym marzyłam.

I znowu moje paradoksy zawładnęły moją głową. Przenoszą mnie do świata w którym nie będę przystosowana do życia. Do rzeczywistości w której nie potrafię się odnaleźć. Nie potrafię się zmienić, bo rany są zbyt głębokie a dotyk pomocnej dłoni, jeszcze mnie parzy lub kłuje jak kolce róże. Sama w sobie jest piękna lecz ma zdradziecki charakter.

Ostatni łyk. Przerywany dźwięk, podczas sączenia przez słomkę. Opakowanie staje się lekkie i samoczynnie przewraca się. Zabieram plecak z oparcia i pojemniki po napoju. Idę slalomem pomiędzy drewnianymi krzesłami. Jednym ruchem, wrzucam śmieci do dużego zabudowanego kosza i z energią, którą dostarczył słodki napój ruszam w dół, marmurowymi schodami. Hałas dochodzący z galerii zostaje zagłuszony mocnym brzmieniem wydobywającym się ze słuchawek. Jestem totalnie odizolowana. Widzę poruszające się postacie. Kolorowe szyldy lecz nie jestem częścią tej całości, społeczności. Staje na czarnej taśmie, która przybliża mnie do wyjścia. W powietrzu zaczyna się unosić zapach benzyny oraz spalin. Mieszkanka, która kotłuje się nieopodal szklanych drzwi. Wejścia, które oddziela szare życie od chwili rozrywki czy zapomnienia. Przechodzę przez tę oddzielającą linię. Szybko się rozglądam i dostrzegam przebłyśki jasnego światła. Zmierzam w kierunku tunelu – wjazdu. Różnokolorowe samochody wjeżdżają, i miałam wrażenie, że znowu idę do prądu. W stronę niewłaściwych decyzji. Czuję się pobudzona. Jakby dawka kofeiny był niczym dopalacz. Spowodowała, że mimo zima moje nogi idą równym tempem a myśli są skupione na tym, aby dotrzeć na dworzec i móc się spotkać z matką. Muzyka zagrzewa do walki. Zachęca wewnętrzności do obudzenia się z letargu. Do wzięcia odpowiedzialności za swoje życie. Tylko na jak długo? Jak długo będę taka waleczna? Przez kilka minut, czy może kilkanaście?

Nie zmniejszam tempa. Czuję się nadal nakręcona, jak pozytywka, która się zacięła. Balerina się kręci i kręci. Muzyka gra, a małe dziecko wbija wzrok w jej białą spódnicę. Jej różowa twarz co kilkanaście sekund spogląda na dziecko. Na jego radość i zachwyt. Nie ma końca. Mijają minuty, pozytywka nadal działa. Z drugiego pokoju przychodzi matka. Chwyta za drewnianą podstawkę. Podnosi do góry i zmienia położenie włącznika. Muzyka ucicha. Twarz dziecka robi się smutna. Zastanawiam się kto, i kiedy mnie wyłączy?

Dotarłam do przystanku. Kilka osób czekało z niecierpliwością. Na jezdni tworzył się zator. Samochody trąbiły a kierowcy przejawiali złość.

Na horyzoncie niebieski autobus lecz nie wiem w którym kierunku jedzie.

Podchodzę do kilkunastu kartek. Wszystkie wyglądają podobnie. Małe i z przerażającą ilością cyfr. Kompletnie nic nie rozumie a w głowie zaczynają się mienić czarne cyfry na białym tle.

Autobus otwiera drzwi.

– Dworzec główny? – pytam nieśmiało chłopaka, który do niego wsiada.

– Czytać nie umiesz? – odburknął.

Zrobiłam krok w tył.

– Następy pojeździe w stronę dworca – odrzekł damski głos.

Obróciłam się. Za mną stała młoda dziewczyna. Wyglądała na studentkę. Na ramieniu miała przewieszoną dużą czarną teczkę. Podobną do tych, które można znaleźć w biurach architektonicznych.

Stałam w tej samej linii co ona. Patrzyła przed siebie, kurczowo ściskając pasek od teczki.

– Za godzinę mam rozmowę o pracę. Strasznie się stresuje.

Jej twarz wyglądała spokojnie.

– Wzięłam nawet tabletkę na uspokojenie – dodała po chwili.

Tak wygląda życie w mieście? Rozmowa o pracę? Stres, którego trzeba zabijać lekarami, po to, aby móc funkcjonować normalnie?

– To ten – lekko mnie szturchnęła.

Podeszłam do drzwi. Kilka osób wysiadło. Następnie wsiadła ona oraz starsza pani a na końcu prawa noga dotknęła podłogi, która była na równo z wysokością krawężnika.

Młoda dziewczyna precyzyjnie się do przodu, zajmując miejsce stojące nieopodal pierwszych drzwi. Opierała się o szybę, oddzielającą kierowcę od pasażera. Patrzyła się w głąb. Zapewne zatrzymywała wzrok na poszczególnych osobach. W środku było kilkadziesiąt osób, lecz każdy miał dla siebie niewielką przestrzeń, która z każdym przystankiem zaczęła się zmniejszać.

Stałam tuż obok drzwi. Mocno trzymałam się żółtej poręczy. Zwłaszcza wtedy kiedy, autobus gwałtownie zahamował przed skrzyżowaniem. Przechyliłam się do przodu, prawie wpadając na mężczyznę, który stał naprzeciw. Jego stabilna postawa spowodowała, że nie dostrzegłam zaniepokojenia na jego twarzy. Nie zwrócił uwagi na mnie. Był wgapiony w telefon a słuchawki skutecznie zagłuszyły niecenzuralne słowa wypowiedziane przez innych pasażerów. Wyglądał jak posąg. Ruchy dłoni i mruganie wskazywało, że nie jest eksponatem w muzeum.

Kiedy spojrzałam w kierunku przedniej szyby, dostrzegłam, że młodej pasażerki już nie było. Wpatrywałam się przez szybę, na każdym przystanku, lecz nie przypominam sobie, aby opuściła pojazd. Zapewne wmieszała się w tłum, który kroczył po chodnikach. Niektóre miejsca, wyglądały jakby nieopodal było mrowisko. Ludzie kotłowali się. Poruszali się automatycznie po wytyczonych trasach. Deszcz zaczął mżyć, zrobiło się iście jesiennie. Kalendarzowo wciąż była jesień, lecz to bajeczny krajobraz na wsi świadczył, że to zimowa pogoda przejęła stery. W mieście było brzydko, ciemno a widok przesłaniały wszechobecne krople deszczu. Trochę jak w filmach grozy.

Wysiadłam na ostatnim przystanku. I szybkim krokiem udałam się w kierunku białego czerwonego autobusu, który stał kilkadziesiąt metrów dalej. Bez wahania wyciągnęłam dziesięć złotych i wręczyłam kierowcy.

– Gdzie? – spytał mężczyzna w średnim wieku.

Pokonałam dwa stopnie, lekko się odwracając. W okrągłym lustrze zobaczyłam jak niebieskie oczy podążają za mną. Kiedy usiadłam w trzecim rzędzie, jego głowa przywitała skinięciem starszego mężczyznę. Wymienili uścisk dłoni, i elegancko ubrany pasażer usiadł dwa rzędy dalej.

Kierowca wyszedł z autokaru, po chwili było słychać odgłos zamykanego bagażnika, po czym wbiegł do środka. Energicznie zajął swoje miejsce. Drzwi się zamknęły, a on zaczął wykonywać manewr cofania.

Po kilkudziesięciominutowej przeprawie po kilku rondach i skrzyżowaniach, pojazd wyjechał na dwu jezdniową drogą. Nie minęła minuta, gdy utknęliśmy w korku. Z podwyższenia było widać cztery rzędy samochodów oraz ich grę świateł. Czerwień, raz mocno raz lżej się paląca, która przykuła wzrok starszego mężczyznę. Wychylił się w kierunku przejścia.

– Utknęliśmy.

– Panie to jest Kraków. Nie Biłgoraj! – doleciało zza pleców.

Podniosłam się lekko, próbując dostrzec kobiecą postać.

Na ostatnim miejscu – na kanapie, tuż przy przejściu siedziała kobieta w podeszłym wieku. Jej nogi były w rozkroku, a pomiędzy trzymała torbę z logiem popularnego sklepu meblowego. Mężczyzna nie zareagował na zaczepkę wręcz zajął miejsce obok okna.

Autokar powoli zbliżał się do jednego z skrzyżowań. Za nim nadal było widać rzędy samochodów. Oparłam głowę o szybę, pogłośliłam muzykę i zamknęłam oczy. Myślałam. Układałam obrazy. Wspominałam. Popularne kołysanki wprowadzały mnie w nastrój nostalgii. Po dwóch szalonych godzinach, przyszedł moment na założenie pancerza. Zamknięcie się we własnej skorupie, i duszenie wszystkiego w ciele. Gotowanie zupy, której nie da się zjeść, a która samoczynnie wlewa się chochlą do żołądka. Pali tak mocno, że żadne środki nie pomagają.

Wciąż miałam posmak coli w ustach i pustkę w sercu. Spojrzałam na wyświetlacz telefonu. Dwa nieodebrane połączenia i jedna wiadomość. Z wrażenia zatrzęsła mi się dłoń. W historii pojawił się nieznaný numer, i fragment smsa: „To ja Agata”. Dwukrotnie kliknęłam i pojawił się tekst: „To ja Agata. Zadzwoń. Martwię się.”

Przez chwilę się zastanawiałam czy powinnam się z nią skontaktować. Targały mną wyrzuty sumienia. Byłam wdzięczna za pomoc, którą mnie obdarzyła lecz stchórzyłam i uciekłam zachowując się jak rozemocjonowana nastolatka. Wstydziłam się tego jak postępuję. Potrzebowałam pomocy a jednocześnie szybko ją odrzucałam. Kto tak postępuje? Kto jest tak głupi, aby uciekać od osób, które darzą sympatią? Uciekać od tego czego się pragnie i potrzebuje?

Ciągle nie mogłam znaleźć odpowiedzi na pytanie „czego ja chcę?”. Błąkałam się bez opamiętania. Ona chyba ma prawo wiedzieć, że wszystko jest ze mną w porządku? Że wciąż żyję? Wielu się martwi o bliskich, czeka w niecierpliwości na wiadomość z drugiego końca Polski, albo innego kraju. Ktoś taki pojawił się w moim życiu. Ktoś, kto myśli o mnie, mimo iż jestem w innym miejscu. Daje poczucie bezpieczeństwa. Za pomocą telefonu, tworzy wirtualny dom, bezpieczną przestrzeń.

Wystukałam dwa wyrazy i gdy chciałam wysłać wiadomość, otrzymałam informację, że nie posiadam środków na koncie. Najwyraźniej los zdecydował za mnie. Wsunęłam telefon do kieszeni, a głowę przytuliłam do szyby. W ciemności ciężko było mi się zorientować w położeniu. Wyteżonym wzrokiem wypatrywałam znajomych obiektów. Poszukiwałam punktów zaczepienia. Wszystko wydawało się obce. Jakbym po raz pierwszy spoglądała na opustoszałe pola, czy niewielkie domki, które były z dala od głównej drogi. Wyobrażałam sobie sceny z horroru. Drewniany domek, w głębi lasu a w środku trup, który leży na podłodze od kilku dni. Takie chaty powodowały u mnie palpitację serca, mimo iż w świetle dziennym wyglądały niewinnie i wzbudzały zainteresowanie turystów. Po zmroku wszystko wygląda inaczej. Świat staje się poszarzały. Uspakają się życie. Życie domowe nabiera tempa. Rozgrzewają się dyskusje rodzinne. Dzieci szaleją, domagają się uwagi a na zewnątrz robi się mroczniej. Wyjście generuje lęk i włącza tryb czuwania. Zmysły poszukują niebezpieczeństwa, a w głowie piszą się straszne scenariusze. Gwiazdy stają się wyznacznikiem pięknego krajobrazu. Bezchmurnego nieba, i są świadkiem scen miłosnych. Droga Mleczna wzbudza podniecenie u młodszych dzieci i fanatyków gwiazdzbiorów. Niebo staje się obiektem westchnień. Pocztówką, którą zabiera się z dalekich podróży.

Odruchowo spojrzałam w górę. I zamiast gwiazd pojawiały się światła samolotów. Uporczywie migały, po to, aby po chwili schować się w pierzynie chmur. Zniknąć w przestworzach.

Chciałabym być taka jak one. Przeżyć kilkuminutowe turbulencje po to, aby móc się cieszyć spokojem. Prostoliniowym lotem, nad wierzchołkami gór, i koronami drzew. Sunąć przed siebie. Być nieograniczoną jednostką. Włączyć życiowego autopilota, i móc się cieszyć beztroską chwilą. Momentem w którym ktoś podejmie za mnie odpowiednie decyzje.

Spojrzałam przez okno. Prawie identyczne drzewa rosły nieopodal drogi. Obróciłam się w drugą stronę. Widok był bardzo podobny. Droga prowadziła przez las. Mocne światło reflektorów oświetlało jezdnię oraz pobocze a w powietrzu tańczyły płatki śniegu. Wycieraczki co kilka chwil, zmiatały z szyby nierówne płatki. Przesunęłam się na sąsiednie miejsce. Nie mogłam oderwać wzroku od widoku, który rozpościerał się przede mną. Teren wydawał się znajomy lecz inny. Zamiast zimowej atmosfery pojawiło się znajome uczucie. Przerazenie i lęk. Mocno zaciskałam dłonie, które zaczęły lekko drżeć. Oparłam mocno głowę o zagłówek i zamknęłam oczy.

Widziałam matkę jak mnie przytula. Siedziałam na jej kolanach. Lekko mnie bujała, a z jej twarzy nie schodził uśmiech. Miałam może pięć lat. Ojciec był obok, i delikatnie obejmował żonę. Wyglądaliśmy na szczęśliwą rodzinę. Czułam ciepło dłoni na moich kościstych palcach, które rozlewało się po całym ciele. Było takie realne. Bliskie.

– Obudź się.

Wzdrygnęłam się. Przez chwilę nerwowo wodziłam wzrokiem.

– Jesteśmy na miejscu – dodała, starsza kobieta.

Jej ręka oderwała się od mojej.

– Pomogę pani – rzekł kierowca.

– Dziękuję.

Zabrał torbę i wyszedł. Za nim podążyła kobieta.

Kiedy wysiadłam, staruszki nie było. Jakby się rozplynęła w powietrzu albo w ciemności. Dochodziła dziewiętnasta a dworzec wyglądał na opustoszały. W oddali świeciły się dwie latarnie, rzucając niewielkie cienie na betonowe płyty. Było chłodniej niż w Krakowie. Zasunęłam suwak pod szyję. Nałożyłam kaptur i ruszyłam przed siebie. Słuchawki zwinęłam w kłębek i schowałam do plecaka. Bałam się życia po zmroku. Każdy dźwięk wzbudzał we mnie strach. Szelest liści zabierał na plan horroru, a postacie w oddali powodowały, iż czułam się główną bohaterką. Osobą, którą trzeba zabić. Która boi się własnego cienia, mając świadomość, że ktoś poluje na nią.

Przejeżdżające samochody raz od czasu, dodawały otuchy w samotnym spacerze. Światła reflektorów samochodowych wylaniały się zza zakrętów niczym wściekłe antylopy. Poruszały się z dużą prędkością, powodując, że za każdym razem kaptur zsuwał się.

Szłam szybko, nerwowo oglądając się za siebie. Nie byłam przyzwyczajona do przemieszczania się po zmroku, wręcz unikałam takich sytuacji. Wszystko co złe, dzieje się wieczorem.

W oddali dostrzegłam palące się znicze. Ten widok, który zawsze zapadał w pamięć. Ciemność, rozświetlona tłącymi się płomykami. Żywy obraz przypominający o trupach leżących kilka metrów pod ziemią. Paliły się mniejsze bądź większe znicze. W powietrzu unosił się nieprzyjemny zapach parafiny, który powodowało mdłości i jest synonimem śmierci.

Krążyłam wokół grobowców, próbując odnaleźć właściwą ścieżkę. Były one rozmieszczone w nierównomierny sposób powodując, że co chwilę potykałam się o wystające płytki – uderzając kolanami o płyty nagrobne. Sprawiało to ból i wściekłość. Być może było to spotęgowane zmęczeniem i mieszaną emocjonalną, która ciągle buzowała.

Po kilku minutach i z obolami nogami stanęłam przed ostatnim rzędem grobowców. Kiedy spojrzałam przed siebie uderzył mnie znajomy widok tabliczki. Niewiele się zmieniło od czasu pogrzebu. Palił się jeden mały znicz i było kilka wiązanek przysypanych śniegiem. Kopiec w białej szacie nie był tak przygnębiający jak brunatna ziemia.

Na niewielkiej tabliczce, która była przybita do drewnianego krzyża, trudno było dostrzec litery. Podeszłam bliżej i ujrzałam dane matki. Przez chwilę stałam w bezruchu, mocno wbijając wzrok w biały napis. Przygryzłam wargę, zastanawiając się dlaczego istnieje śmierć.

Czułam jak palce u stóp zaczynają odmawiać posłuszeństwa, lecz nadal stałam, patrzyłam i myślałam. Próbowałam zrozumieć co czuję. Do siebie, i do matki. Określić uczucia na skali miłości i nienawiści. Suwak zmieniał położenie, lecz nadal nie potrafiłam zdefiniować relacji, która łączyła mnie z matką. Czy takowa istniała? Momentami tęskniłam za nią, po to, aby za chwilę ją nienawidzić. Uroniłam kilka łez na myśl, że zostałam zupełnie sama. Ona zawsze była w oddali.

Wykonałam kilka kroków w tył. Hałda ziemi przypominała leżącego hipopotama. Wyglądało to komicznie pomiędzy betonowymi płytami.

Wzdrygnęłam się, gdy usłyszałam szelest. Gwałtownie się obróciłam i dostrzegam dwie poruszające się postacie. Zdenerwowałam się, gdy zaczęły się zbliżać. Ciężko było dostrzec pleć, a okapturzone głowy przemieszczały się w moim kierunku. Nie zastanawiając się ruszyłam w prawo. Staralam się zachować spokój lecz serce galopowało. Poruszałam się mało zwinnie, bo co rusz, wpadałam na jakiegoś trupa. Gdy nogi dotknęły wybetonowanej dróżki, odwróciłam głowę. Oczy rejestrowały kolejne ujęcia niczym kamera, lecz nie dostrzegłam tego przed czym uciekałam. Zatrzymałam się, zastanawiając się czy wpadłam w paranoję. Skierowałam wzrok w stronę miejsca pochówku matki, i dokładnie obejrzałam teren wokół. Nie było nikogo. Czynność wykonałam kilka razy z podobnym efektem. Oszalałam?

Z lekkim niepokojem ruszyłam w kierunku wyjścia. Często wydawało mi się, że cmentarz był dziwnym miejscem i może się na nim dochodzić do bliżej nieokreślonych zjawisk.

Z myślą, że zwariowałam – opuściłam teren cmentarza i wtedy moje wariactwo miało rozwiązanie. Przede mną poruszały się dwie osoby, trzymające się za ręce.

U podnóża wzgórza musiałam dokonać wyboru. Przystanęłam na rozwidleniu trzech dróg. Byłam blisko rodzinnego domu, i bez perspektywy na możliwość przenocowania w innym miejscu. Mróz przypominał o sobie znacznie. Nie chciałam wracać wspomnieniami do tego co się wydarzyło w pokoju i w domu. Nie chciałam wdychać skażonego powietrza, lecz przenikliwe zimno zdecydowało za mnie.

Wybrałam drogę po której jeszcze nie tak dawno uciekałam. Kroki stawiałam niepewnie, próbując zatrzymać lub zwolnić uciekający czas. Pojawiło się lekkie drżenie, lecz nie wiedziałam czy to z powodu nasilającego się strachu czy zimna, które przedzierało się przez kurtkę.

Stawiałam niewielkie kroki, jakby umysł próbował skierować na inną drogą. Zmusić do zmienienia decyzji.

Idąc, rozglądałam się. Kolorowe światełka migały przy oknach a gdzieś niegdzie za oknem rysował się widok przystrojonej choinki. Przystanęłam przy jednym z domów. Nie było firanki. Salon wyglądał okazale. Naprzeciw świątecznego drzewka był bujany fotel, na którym zapewne siedział senior rodu. Trzymał w ręku książkę a wokół biegała dwójka kilkuletnich dzieci. Radość malowała się w powietrzu. Uśmiech nie schodził z twarzy najmłodszych. Lampki świąteczne zmieniały kolor. Brakowało muzyki, która pewnie została zamknięta w pomieszczeniu.

Na zewnątrz panowała cisza. Świat się zatrzymał. Słyszałam bicie serca. Spojrzałam ku górze. Gwiazdy na niebie układały własne rysunki. Niektóre z mocniejszymi punktami. Ich wyrazistość powodowała, że przykuwały uwagę. Zmuszały do zatrzymania wzroku przez dłuższą chwilę, po to, aby oderwać się od rzeczywistości. Od brutalności życia. Od nagromadzonych problemów i odpłynąć w świat kosmosu. Przestrzeni oraz wolności. Te małe, błyszczące punkty są jak kropla wody w szklance.

Nadjeżdżał samochód. Zeszłam z drogi, wpadając w zaspę śnieżną. Po chwili, czerwone światła zaczęły się oddalać, aż zniknęły za zakrętem, miejscem, które było celem podróży.

Weszłam na jezdnię. Schyliłam się i próbowałam wydłubać palcami śnieg, który wpadł do butów. Nogi były lodowate. Miałam wrażenie, że ich czerwień pali. Trudno było wydobyć płatki śniegu, zeszytywniałymi palcami. Karkołomne czyny nie przyniosły efektu. Z każdym krokiem czułam mocniejsze zimno w różnych częściach buta. Płatki przemieszczały się jakby swobodnie tańczyły. Kolejne metry pokonywałam czując się jakby przede mną stała kostucha. Chwila, która jest nieunikniona i przed którą próbuję włączyć wsteczny bieg.

Nogi ociężałe wlokły się po śliskiej i ośnieżonej drodze. Przemykające się powieki przestawały rozróżniać ciemność. W myślach był tylko jeden widok: siano.

Cel był coraz bliżej, a ciało czuło się coraz gorzej. Zmęczenie miało przewagę nad rozsądkiem i innymi emocjami. Potrzebowałam ciepła i ono było priorytetem.

Drogę pokonywałam prawie automatycznie. Podejrzewam, że gdyby ktoś szedł za mną, to stwierdziłby, że jestem małą, straszną dziewczynką, która lunatykuje. Miałam wrażenie, że mózg doświadcza resetu i z chłonnej gąbki, zrobiło się twarde mydło.

Gdy dotarłam do domu, na podwórzu nie było samochodu. Zbliżyłam się do okna, które było przy drzwiach. W środku panowała ciemność, a drzwi były zamknięte.

Ostatkami sił, udałam się do stodoły. Od razu poczułam się lepiej. Unoszący się zapach siana, był tym czego potrzebowałam. Wdrapałam się na drabinę i usiadłam na ulubionym miejscu. Wciąż drżałam z zimna. Pocierałam dłońmi, próbując wskrzesić płynącą krew. Skuliłam się w kłębek, i okryłam sianem. Z każdą minutą czułam jak napływa ciepło. Fale gorąca krążyły wewnątrz lecz nadal miałam problem z poruszaniem stóp.

Leżałam przez dłuższą chwilę, zanim zdecydowałam się ściągnąć buty. Bałam się, że nie zniosę widoku nóg. Krzywdy jaką przysporzyła zima. I śnieg, który może być zdrajcą.

Łydki były lodowate a palce z trudem poruszały się. Ściągnęłam kurtę, i owinęłam stopy. Podkuliłam nogi i mocno objęłam rękami. Kiwałam się w przód i tył niczym lamentująca starsza kobieta. Łkałam cicho a świat zatrzymał się w kilkumetrowej przestrzeni uniesionej nad ziemią.

Widok księżycy przypominał o chwilach spędzonych pomiędzy sianem. Momentach, w których to kłujące żdźbła były moim ochroniarzem.

Warkot silnika spowodował, że zaczęły drżeć ręce. Zbliżyłam głowę do okna. Na zewnątrz zaparkował samochód. Schyliłam się, abym nie została dostrzeżona.

Ojciec opuścił samochód chwiejnym krokiem. Kiedy myślałam, że uda się w kierunku domu, podszedł z drugiej strony i otworzył drzwi. Nachylił się do środka, i wyszarpał z wnętrza kobietę w puchowej kurtce. Ciężko było dostrzec rysy twarzy.

– Zostaw mnie! Puść!

Opierała się.

– Zatkaj się!

Ciągnął mocno rękę, zmuszając aby stawiała kolejne kroki.

– Pomocy! Proszę mi pomóc!

Kobieta ugryzła go.

– O ty kurwo!

Złapał ją i wziął na ręce. Wierzgała się.

– Ratujcie mnie!

Jego masywna dłoń przykryła jej usta.

Kiedy dotarł do drzwi wejściowych, mocno w nie kopnął.

– Kurwa!

Przyparł kobietę do ściany, i jedną ręką próbował wygrzebać klucze z kieszeni. Kobieta wyślizgnęła się, i upadła na ziemię. Kiedy chciała się niesfornie podnieść, jego ręka wciągnęła ją do środka. Drzwi się zatrzęsnęły, a w oknie rozbłysnęło.

Byłam przerażona tym co zobaczyłam. Nie wiedziałam kim ona była lecz domyślałam się jaki repertuar był rozgrywany w domu. Przez dłużą chwilę wpatrywałam się przez okno, dobiegały dziwne stłumione dźwięki.

Zarzuciłam kurtkę, włożyłam buty i ze zdeterminowaniem wyszłam. Obeszłam dom, i ukradkiem spójrzałam przez okno. Widok mnie sparaliżował. Zamroził płynącą krew. Zrobiło mi

się słabo, o mało co się nie osunęłam. Mocno chwyciłam się parapetu, a głowę schowałam poniżej. Nie chciałam tego widzieć. Gwałcił ją od tyłu. Jego ręka zatykała usta, a ciało i ręce walczyły z nim. Staniała się na nogach, czym doprowadzała go do większego szaleństwa i obłądu.

Osunęłam się, nie mogąc oddychać. Klęczałam, mając głowę opartą o ścianę. Wszystko we mnie buzowało. Wzięłam głęboki wdech. Podniosłam się z trudem, odczekałam kilka sekund po to, aby przestało mi się kręcić w głowie i ruszyłam biegiem.

Nie pamiętam kiedy tak szybko biegłam. Wiedziałam, że muszę zneutralizować potwora, który bezkarnie zaspakajał własne pobudki. Stosował przemoc, dla której nie ma wytłumaczenia.

Wbiegłam do domu. Był tak pochłonięty aktem seksualnym, że nie dostrzegł, iż wleciało zimne powietrze. Sapał wykonując agresywne ruchy, a kobieta próbowała wydawać dźwięki. Wołała o pomoc, lecz głos był tłumiony przez jego rękę, która szczelnie obejmowała usta. Porwałam strzelbę, która wisiała koło drzwi. Energicznie przeładowałam, i zrobiłam kilka kroków w stronę ojca.

– Zostaw ją! – krzyknęłam i wymierzyłam.

Kobieta zamarła a on przestał się ruszać. Oboje przypominali piękną rzeźbę. Wbił we mnie wzrok.

– Niemowa wróciła!

Rozległ się szyderczy i przenikliwy śmiech.

Nie wahałam się. Nacisnęłam spust, trafiłam w klatkę piersiową. Zajęknął się i dotknął rany.

– Ty kurwo!

Chciał się ruszyć lecz kolejne dwa pociski spowodowały, że jego ciało upadło z impetem na stół. Kobieta z krzykiem odskoczyła i stanęła nieopodal. Pospieszenie wciągnęła spodnie i spojrzała na jego przyrodzenie, które było wyeksponowane.

– Coś ty zrobiła?! Zabiłaś go?

Opuściłam strzelbę. Jego klatka piersiowa lekko się unosiła. Podeszłam do niego. Jego źrenice powoli przesunęły się w moją stronę. Próbował coś powiedzieć, lecz z trudem nabierał powietrza. Patrzyłam jak umiera. Jak ból przenikliwie paraliżuje jego ciało, a krew wypływała z otworów.

– Trzeba zadzwonić po pomoc!

Nerwowo szukała kurtki, biegając po pomieszczeniu.

Cofnęłam się i oparłam o ścianę. Śmierć przyszła po niego. Zsunął się na ziemię i próbował przyjąć embrionalną pozycję. Wyglądał jak bezbronny człowiek, proszący o pomoc. W moich oczach był pokonanym potworem. Dostał odpowiednią nagrodę za swoje zachowanie.

Upuściłam strzelbę. Czułam niewyobrażalną ulgę oraz spokój, jakby wymieniono wnętrze. Cały czas patrzyłam na niego. Na jego goliznę i to w jaki sposób został upokorzony. Zabiłam go z zimną krwią.

Leżał przede mną ojciec, ten który nauczył mnie strzelania i zmuszał do polowań. I zapolowałam, pomagając innym. Wyzwalając od oprawcy, który powinien przebywać w więzieniu.

Rozległo się pukanie do drzwi.

– Wejść! – krzyknęła.

Weszło dwóch policjantów, przedstawili się nie patrząc na miejsce zbrodni. Nie dostrzegli mnie.

– Dostaliśmy wezwanie – rzekł starszy.

Roztrzęsiona kobieta wskazała sofę.

– Proszę pani...?

Młody nie czekając na odpowiedź, ruszył w kierunku mebla.
– Matko! Dzwon po pogotowie!
Starszy mężczyzna szybko podbiegł.
– Zabiłam go. Zabiłam go. Zabiłam go.
Oczy wszystkich zwróciły się w moją stronę.

WIĘZIENIE

Samotnie siedziałam w pomieszczeniu odwiedzin. Ręce trzymałam na drewnianym, zniszczonym stoliku. W rogu stał strażnik, bacznie się przyglądając. Wyglądał groźnie, lecz był jednym z tych, którzy odpowiednio traktują więźniów. Nie wyżywał się i nie przezywał.

Kiedy do pomieszczenia weszła Agata, strażnik opuścił je bezszelestnie.

– Cześć – rzekła i usiadła naprzeciw.

Chciała mnie dotknąć, lecz cofnęłam dłonie, i schowałam pod stolikiem. Przez dłużą chwilę siedziałyśmy w ciszy. Wymieniałyśmy spojrzenia. W jej oczach było widać bezsilność, a zarazem ogromną chęć pomocy.

– Dlaczego im nie powiesz?

Nie reagowałam, i mierzyłam czas mrugnięć Agaty. Pobyt w więzieniu robił ze mnie mistrza w utrzymywaniu kontaktu wzrokowego.

Trzymała coś mocno w jednej z dłoni.

– Domyślam co się stało. Oni też powinni wiedzieć. Jeżeli tego nie chcesz zrobić dla siebie to zrób to dla niej.

Przysunęła niewielkie zdjęcie na którym była uśmiechnięta dziewczynka, która leżała w łóżeczku. Obok niej, był różowy prosiak. Jej promienny uśmiech rozjaśniał całą salę.

– Możesz zatrzymać.

Wyciągnęłam drżącą dłoń i chwyciłam zdjęcie. Łzy popłynęły, ścisnęło mnie w gardle. Wstałam i odeszłam.

– Napisz, proszę.

Jej głos był błagający.

Przy drzwiach stał strażnik, który odprowadził mnie do celi.

Usiadłam na metalowym łóżku i zaczęłam się wpatrywać w zdjęcie.

– Co tam trzymasz?

Młoda dziewczyna podeszła do mnie.

– Pokaż.

Wzięła zdjęcie do ręki.

– Jaka śliczna. Podobna do ciebie. Kto to jest?

– Zosia.

– Zosia. To imię do niej pasuje. Z rodziny?

– Cóрка – wyszeptalam.

– Ej! Ty masz córkę?

Wyrwałam zdjęcie po czym obróciłam się w stronę ściany.

– Nie fochaj się. Nie wiedziałam.

Oparłam fotografię i nie mogłam oderwać od niej wzroku. Ostatnia pamiątka, którą zostawił ojciec, a która była motywującą istotą. Wiedziałam, że będzie miała wymarzony dom, że dostanie to czego nie potrafiłam dać lecz tęsknota za ciepłym, małym ciałem była niczym kornik tworzący tunele pokryte cierniami.

Spod poduszki wyciągnęłam kartkę, ołówek i zaczęłam pisać.

„ Nazywam się Joanna Borek i od dwóch lat przebywam w więzieniu. Zabiłam ojca ponieważ krzywdził mnie oraz moją matkę. Zgwałcił też przygodnie spotkaną kobietę. Nie mogłam żyć ze świadomością, iż mój ojciec nadal będzie wyrządzał krzywdę innym osobom.

W sądzie przyznałam się do winy, lecz inne słowa nie padły z moich ust. Kilka lat temu zdecydowałam, że nie będę się komunikować z otoczeniem. Badało mnie wielu psychiatrów oraz psychologów. Zostałam także umieszczona na obserwacji w szpitalu psychiatrycznym. Na każdej z sesji milczałam. Bałam się kolejnych krzywdzących słów. Zostałam skazana na dwadzieścia pięć lat pozbawienia wolności. Byłam sądzona jako osoba dorosła mimo iż nie osiągnęłam pełnoletniości.

Pragnę odzyskać swoją córkę. Chcę być dla niej idealną matką. Spacerować po parku, pokazywać pływające kaczki. Jeść lody przy kawiarni. Chcę, żeby była dobrym człowiekiem i nigdy nie popełniła błędów podobnych do moich. Bardzo ją kocham, mimo iż ciągle się uczę na czym polega miłość.

Wiem, że zabiłam człowieka i zrobiłam to z premedytacją, lecz w tamtej chwili nie widziałam innego rozwiązania. Nie mogłam pozwolić na to, aby jego czyny przysparzały cierpienia innym – niespokrewnionym osobom.

Wysoki Sądzie... oddaje poniższą książkę na ręce Wysokiego Sądu. To jest historia mojego życia. Chwile, które przeżyłam, a których nie powinnam. To są słowa które chciałabym móc wypowiedzieć w sądzie, lecz nie potrafiłam tego zrobić. Są one dla mnie zbyt bolesne oraz emocjonalne.

Mam nadzieję, że książka spowoduje iż dostanę możliwość skrócenia wyroku. Bardzo mi zależy na tym, abym mogła spędzić wyjątkowe chwile z córką. Chcę być przy niej zawsze. I trwać.

Wiem, że postąpiłam źle oraz, że przemoc nie rozwiązuje problemów. ”

Więźniarka
Joanna Borek